

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Piotr Kuncewicz

Antyk zmęczonej Europy

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Powszednie i odwieczne

Łamana linia spadająca od Oceanu Lodowatego wzdłuż gór, rzek i mórz, czysto umowna granica Europy – jest jak konwencjonalne wyobrażenie pioruna w dłoni Jowisza. Nie bucha zeń światło eksplozji, nie odzywa się grom. Ludzie są głusi, a bogowie niemi. Ale przecież wielka światłość czasów nowożytnych zdążyła się rozprzestrzenić na całą Ziemię i nie bardzo to w istocie ważne, gdzie zabłyśnie mocniej, a gdzie zmierzchnie. Po wiekach rodzących się i ginących cywilizacji przedtechnologicznych jakaś nowa granica została wreszcie przekroczona. Dokonało się to właśnie w Europie, a dokonało dlatego, że nie rezygnując nigdy z odrodzenia kultury antycznej, można było startować z miejsca, które niegdyś osiągnęła. Jej zmęczenie i pozorny upadek były tylko ułożeniem się do snu, z którego wstała wypoczęta i silniejsza. I jeśli nas niekiedy obejmuje znużenie, to możemy i musimy sięgać do korzeni czasu splatając odległe dziedzictwa z wątkami naszego dnia. Ponieważ kształt przyszłości jest dla człowieka w równym stopniu formą nadziei, co funkcją pamięci.

Większość z tego, co nas otacza na co dzień, karmi i ubiera, każe o sobie myśleć, nie ma zbyt dostojnej metryki. Kilkanaście, kilkadziesiąt, sto kilkadziesiąt lat. Nie tylko kosmiczne loty, telewizja czy komputery, ale rzeczy znacznie powszedniejsze, jak kuchenki gazowe, windy, bawełniane koszule czy zapalki nie sięgają starożytności. Nie sięgają jej także liczne owoce i warzywa, które albo jeszcze nie istniały, nie zostały wyhodowane, albo rosły na dalekich lądach. Wcale nie tak dawno przecież poznaliśmy kartofle i pomidory, truskawki i banany, cytryny i fasolę czy wreszcie tytoń i wódkę. I gdybyśmy chcieli jedynie odejmować to, co narosło z czasem, moglibyśmy sobie wyobrazić świat sprzed dwóch tysięcy lat jako nagą pustynię, w której właściwie brak wszystkiego. I cóż z tym mamy wspólnego, po co do tej nędzy powracać?

Albo jeszcze inaczej: jako świat odmienny tak bardzo, że nie potrafimy znaleźć z nim najmniejszego związku. Nawet dobrze nam znany kształt książki wyglądał inaczej – był to mało poręczny, umykający z dłoni rulon. Statek migał długimi wiosłami, z garnków buchał zapach liquamenu – specjalnie gnojonej ryby, ubranie układało się na ręku w tyleż malownicze, co niewygodne fałdy. To wszystko prawda – świat przedmiotów przeobraził się i przemienił. Ale przecież właśnie dzisiaj przemienia się on z szybkością zawrotną.

Pozostaje natomiast nie bardzo zmieniony, nie bardzo inny – sam człowiek. Zapewne, kształt fizyczny w całej pamiętanej przez nas historii zmienił się bardzo niewiele albo i wcale. Nie o to jednak idzie: nie zmienił się od czasów starożytnych (albo bardzo mało) stan ludzkich potrzeb i wyobrażeń.

Oczywiście, starożytność ze swej strony także była dziedziczką innych, pewnie liczniejszych, niż nam się zdaje, starożytności, ale my dopiero od niej potrafimy sensownie liczyć nasz czas, potrafimy posługiwać się stworzonymi przez nią pojęciami, wyobrażeniami. I jeśli o to idzie, można już z góry powiedzieć, że jest to ciągle jeszcze ta sama w istocie epoka i ten sam człowiek.

Może to już są jego ostatnie dni, nie wiadomo. Może nafaszerowany protezami, pod promieniami innych słońc będzie z czym innym się zmagał i czego innego pragnął; może będzie bardzo długowieczny, może uda mu się wędrować bez ograniczeń przez czas i przestrzeń, może przewycięży los i przypadek. Może... Ale jeśli się nawet tak stanie, to także tylko dlatego, że trzy tysiące lat temu jakiś Grek patrząc na białe skały i błękitne morze zaczął się zastanawiać nad naturą świata i człowieka. To jego myślą myślimy do dzisiaj, a często także i jego słowem swoją myśl nazywamy.

Nie całkiem jednak byłby chyba zagubiony Grek czy Rzymianin, gdyby w tej chwili znalazł się w centrum Warszawy. W śmigającej nawale nie znanych sobie przedmiotów mógłby odczytać słowa bliskie i znajome. Jeden obok drugiego zapalają się neony: Forum, Leda, Palladium, Metropol, Orbis, Centrum, Junior, Zodiak, teatr, Nike, muzeum... A to tylko cząstka drobniutka, są przecież tych nazw dziesiątki, a może setki. I tak jest w każdym europejskim mieście, tak jest też i tam, gdzie mieszkańcy Europy zanieśli swoje przyzwyczajenia, myśli i ideały.

Ileż różnorodnych instytucji powołuje się nieustannie na patronat bogów, którym nikt już nie składa ofiar, jak nieustannie obecne są słowa języków, które przemieniły się tysiąc kilkaset lat temu. Zauważmy, że szczególnie duży procent słów greckich i łacińskich przypada na instytucje i urzędnictwa kulturalne. Znajdziemy tu przecież i bibliotekę, i teatr, i muzeum, i kino, i fotografię, i telewizję, i radio. Szczególne, bo przecież niektóre z nich istnieją od bardzo niedawna – a jednak wynalazcy uważali za stosowne odwołać się do greki i łaciny. Nie zawodziła ich intuicja: rzeczywiście, tylko przedmioty są niestare, a zarówno rozumienie świata, które je umożliwiło, jak i potrzeby należą do zdobyczy antyku. Przywołując starożytnych spłacamy jedynie stary dług wdzięczności i zobowiązań.

Przecież to w istocie rzeczy ludzka psychika, ludzki duch jest tym ogniskiem, skąd bije światło oświecające ziemię, tworzące przedmioty. I nie jest to „duch” pojedynczego człowieka, ale społeczeństwa w całej jego złożoności. A ta złożoność dotyczy również czasu; choć nie zawsze chcemy i musimy o tym pamiętać.

Odkąd człowiek nauczył się czytać i pisać, odtąd znalazł sposób, aby różne ludzkie pokolenia rozmawiały ze sobą poprzez stulecia i tysiąclecia, uczyły się one od siebie, wymieniały doświadczenia, liczyły się z opinią następców. A właśnie nasz świat zaczął się kształtować w starożytności, tam też formował się pierwszy zarys naszego „ducha”. Tam uwierzono w potęgę człowieka, tam zaczęto ją skrupulatnie gromadzić, przyglądać się czynom przodków i pamiętać o nich. Wiara w człowieka po raz pierwszy stanęła obok wiary w los i bogów.

Oczywiście, nie w ten sposób, aby człowiek mógł bogów bezkarnie podejść. Nawet jeśli czyni to heros – Prometeusz, przynoszący ludziom ogień, będzie skazany na męki piekielne. Jeśli ktoś chce bogów przechytrzyć – czeka go piekło jak Syzyfa czy Tantalą. Jeśli ktoś chce wygrać z losem, to przepadnie tym tragicznej, jak Edyp. Nie, człowiek zawsze jeszcze jest słabszy od bogów, a zarówno człowiek, jak i bóg są w dłoni losu. Ale przecież wolno człowiekowi już grać z tymi potęgami, przecież ma już tyle godności, że nawet upadek jego wart jest odnotowania i pamięci. I wieczny Ikar wlatuje w słońce.

Jesteśmy dumni z osiągnięć człowieka. Ale przecież już dwa tysiące pięćset lat temu identyczną dumę odczuwał Sofokles:

Siła jest dziwów, lecz nad wszystkie sięga
Dziwy człowieka potęga.
Bo on prze śmiało poza sine morze,
Gdy toń się wzdyma i kłębi,
I z roku na rok swym lemieszem porze
Matkę ziemie do głębi.
Dzikiego zwierza z gór ściągnie na błonie,

Krnąbrny kark tura i grzywiaste konie
Ujarczmi w swojej uprzęży.
Wynalazł mowę i myśli dał skrzydła,
I życie ujął w porządku prawidła.
Od mroźnych wichrów, na deszcze i gromy
Zbudował sobie schroniska i domy,
Na wszystko z radą on gotów.

(tłum. Kazimierz Morawski)

A przecież w tej samej „Antygonie” człowiek, który daje sobie radę ze światem, nie potrafi rozwiązać własnych zawiłości i problemów! Już wtedy był. i potężny, i bezsilny zarazem. Jak widzimy – nic pod tym względem się nie zmieniło. Ale też pamiętać trzeba, że my właśnie od starożytnych nauczyliśmy się stawiania spraw w określony sposób. I są oni ciągle obecni, we wszystkich dziedzinach.

Nasz język nie mógłby się obyć bez terminologii greckiej i łacińskiej. Nasze prawo ciągle jeszcze terminuje u prawa rzymskiego, które stworzyło kategorie żywe do dzisiaj. Literatura powtarza w nieskończoność wątki klasyczne, coraz to inaczej je interpretując i przekształcając. Kiedy Giraudoux pisał o poczęciu się Heraklesa, zatytułował dramat „Amfitrion 38”, jako że było to już trzydzieste ósme z kolei ujęcie tego motywu. Inni nie numerowali, a w pewnych wypadkach liczby zapewne by szły w grube setki.

Rzeźba grecka jest do dziś i na zawsze jednym z największych osiągnięć człowieka. A cóż mówić o religii? Chrześcijaństwo jest także wytworem antyku, a przecież żyje do dzisiaj. I nawet nie w tym rzecz, czy ktoś wierzy czy nie, ale system pojęć, czasem zresztą bardzo przekształcony, jest w dalszym ciągu jednym z filarów całego świata.

Bez Euklidesa i starożytnej logiki nie poruszałyby się ani jeden mechaniczny pojazd – na ziemi, wodzie, w powietrzu czy kosmosie.

Ale przecież to tylko jedna strona medalu. Gdybyśmy się ograniczyli dętego, w czym nas zainspirowała starożytność, to jednak byłibyśmy tylko imitatorami. A tak nie jest. I nie myślę tu wcale o sprawach technicznych. Jeszcze kilkaset lat temu widziano w starożytności najwyższe i najdoskonalsze dokonanie ludzkości, którego nikt nigdy nie prześcignie. Zgodne to zresztą było ze stanem umysłów. Ludzkość zawsze wierzyła, że gdzieś, kiedyś istniał złoty wiek sprawiedliwości, piękna i dobra, że człowiek narodził się w raju, a dopiero potem został stamtąd wypędzony. Nie wierzono w postęp, raczej odwrotnie, uważano, że świat stacza się coraz niżej. Tak zresztą sądzili i sami starożytni – Owidiusz rozpoczyna swe „Metamorfozy” opisem złotego wieku w słynnym fragmencie, od którego na ogół wszyscy zaczynają naukę poezji łacińskiej. Dla ludzi Średniowiecza i Renesansu takim złotym wiekiem była właśnie starożytność klasyczna i do niej chcieli dorosnąć, nie wyobrażając sobie w ogóle, że można pójść dalej. I o paradoksie, dalsza droga ludzkości właśnie od tego się zaczęła. I nasz świat odmienił się zupełnie, stracił dawną stabilność na rzecz dynamiki. Świadomie wybraliśmy postęp.

Ma to swoje wspaniałe, ale ma i ciemniejsze strony. Człowiek starożytny może nam imponować swoim opanowaniem, odwagą, umiejętnością wybrania śmierci, kiedy życie stało się z jakichś względów koszarne czy niegodne. Miał chyba po prostu mniej nadziei albo też jego nadzieje były zupełnie inne niż człowieka współczesnego. Pewnie nie chcielibyśmy się z nim zamienić. Starożytność nie jest już dla nas wiekiem złotym, niedoścignionym. Widzimy jej ciemne i posępne strony. A więc przede wszystkim ogromne różnice między ludźmi, różnice tak duże, że nawet dystans między żebrakiem a królową angielską jest w porównaniu z nimi niewielki. Dziś mimo wszystko nikt chyba w Europie czy Ameryce nie będzie się do tego stopnia wynosił i afiszował swoją pogardą do innego człowieka. W starożytności było inaczej

– cesarz czy król był bóstwem, niewolnik był mniej niż człowiekiem. Krańce człowieczeństwa były od siebie odleglejsze i właściwie mieściło się ono dopiero w środku między tymi biegunami.

W tym zakresie pozostawiliśmy starożytność daleko za sobą. Po części dlatego, że największy nawet magnat przemysłowy ma poczucie jakiejś zależności od swoich pracowników, że struktura współczesnego państwa i społeczeństwa nie daje nikomu w ręce tak bezwzględnych narzędzi jawnego terroru. Ale jest tu coś jeszcze, co zresztą jest właśnie dziedzictwem starożytnych. Oto chrześcijaństwo uznało ludzi za równych, uznało, że każda ludzka dusza jest warta innej ludzkiej duszy. To prawda, że często była to tylko teoria, ale przecież jednocześnie była to nauka, która powtarzana przez dziesiątki wieków nie mogła minąć bez śladu. Być może chrześcijaństwo dożywa swoich dni, ale ta właśnie nauka stała się tymczasem własnością całej ludzkości.

Nie moglibyśmy zgodzić się na starożytne okrucieństwa. Nie dlatego, aby w naszych czasach okrucieństwo nie było znane, ale dlatego, że musi się już ukrywać. W Grecji i Rzymie było ono jawne i ostentacyjne.

Kiedy Aleksander Wielki zdobył Tyr, kazał ukrzyżować tysiące jego mieszkańców. Bez żadnego celu – po prostu sprawiało mu to przyjemność. Sprawiało także przyjemność Rzymianom oglądanie na arenach cyrków walk gladiatorów, rozszarpywania ludzi przez zwierzęta, wszelkich odmian tortur. Nikt się tego nie wstydził, nie usiłował ukrywać takich swoich upodobań. Nie znaczy to zresztą wcale, że nie było cynicznych prób pogodzenia zbrodni z prawem. Przeciwnie, były, podobnie jak w naszych czasach, bardzo liczne.

Podczas wojny peloponeskiej, która podzieliła niepodległą Grecję na sojuszników Aten i Sparty, ta ostatnia zdobywała Plateje. Miasto chyliło się ku upadkowi. W tej sytuacji Spartanie obiecali Platejczykom, że jeśli poddadzą się, to nikomu nic złego się nie stanie, z wyjątkiem tych, którym sąd udowodni winę. I rzeczywiście, Plateje się poddały, po czym nastąpił sąd, oczywiście spartański. Tukidydes tak to opisuje:

„Lacedemońscy sędziowie (...) polecieli wprowadzać Platejczyków pojedynczo i zadawali im pytanie: czy podczas obecnej wojny wyświadczyli coś dobrego Lacedemończykom i ich sprzymierzeńcom. Otrzymawszy odpowiedź przeczącą, kazali ich wyprowadzać i bez wyjątku zabijać. Kobiety sprzedano w niewolę. Miasto zburzono do fundamentów”.

W czterysta kilkadziesiąt lat potem Rzymianie byli nie mniej pomysłowi. Posłuchajmy dla odmiany innego wielkiego historyka, Tacyta, opowiadającego o upadku Sejana rządzącego w imieniu cesarza Tyberiusza Rzymem. Sejan zginął, uważano za rzecz naturalną zabicie jego dzieci.

„Niesiono więc do więzienia chłopca, który już rozumiał, co mu grozi, oraz dziewczeczkę, która tak dalece była nieświadoma, że ciągle zapytywała, co zawiniła i dokąd ją wloką; już więcej tego nie zrobi – mówiła – a skarcić ją można różgą dziecięcą. Podają współcześni pisarze, że ją kat przed założeniem pętli zgwałcił, ponieważ uchodziło za rzecz niesłychaną dziewicę gardłem karać”. Tak więc wszystko było w porządku i prawu stało się zadość...

Tego rodzaju poszanowanie prawa zostało zresztą niepomiaralnie udoskonalone w czasach nowożytnych.

Wiele jeszcze innych rzeczy można by wymienić bez trudu, które byłyby nam obce i odradzające. Ale to samo można przecież powiedzieć o każdej innej cywilizacji, od Chin po kultury Majów i Azteków. Tylko że to nie jest to samo. Ani dla nas, ani dla całego świata. Dla nas kultura antyczna ma znaczenie szczególne, gdyż jesteśmy jej bezpośrednimi spadkobiercami, tak jak cała, odradzająca się od mniej więcej dziesiątego wieku Europa. A jeśli ojcowie są odpowiedzialni za synów, to w jakimś sensie również i synowie są odpowiedzialni za ojców, skoro przyjęli i zaakceptowali ich dziedzictwo.

Nie znaczy to wcale, że możemy innymi kulturami pogardzać czy też uważać, że nasza jest lepsza z założenia. Zresztą i te inne kultury działają w tej chwili na nas, i nie wiemy, ile jesz-

cze będą mogły nam ofiarować. Na razie, co prawda, ich wpływ objawił się raczej w zamięcie i chaosie, zważywszy, że próby przeszczepiania jogi, taoizmu, buddyzmu, akupunktury itd. dały jak dotąd na Zachodzie owoce dość skromne i dwuznaczne.

To zresztą bardzo dobrze, że zainteresowaliśmy się całym światem, że badamy, zestawiamy, oceniamy. Do nie tak dawna jeszcze nasza wiedza na temat innych kultur była bardzo skromna, ale automatycznie i o sobie samych wiedzieliśmy nieporównanie mniej. Antyk w skali całego globu, a w takiej właśnie skali wypada w naszych czasach widzieć Ziemię i siebie samych, to jednak za mało. Musi obrastać innymi doświadczeniami, innymi pojęciami, może także innym pięknem i dobrem.

Ale i cała reszta świata nie może się do antyku odnosić z lekceważeniem. Przecież to właśnie na Zachodzie, u spadkobierców starożytnych; doszło do rewolucji naukowej, technicznej, biologicznej. Inne narody miały niekiedy imponujące osiągnięcia, znały parę, druk, kompas, metalurgię, ale to ich wcale nie przeobraziło. Wszystkie te wynalazki i koncepcje musiały zostać powtórzone po raz drugi w Europie albo, przejęte przez nią, trafić na określony grunt i dopiero w tej formie przeobrazić wszystko. Dziedzictwo antyku nie zostało roztrwonione, wręcz odwrotnie: zachowane i pomnożone.

Nie możemy więc nie interesować się tą ogromną cywilizacją, do której zresztą w jakimś sensie dalej należymy. Co wcale nie znaczy, że musimy Starożytność wychwalać – mamy tylko obowiązek znać ją.

Ale starożytność nie jest wcale czymś jednoznacznym. Przecież to ogromny szmat czasu i byłoby dziwaczne i niezrozumiałe, gdybyśmy mieli do czynienia z jedną tylko formułą, z jednym poglądem, jedną tendencją. Kto jak kto, ale starożytni wiedzieli, jak bardzo względna jest prawda. Przecież to właśnie Rzymianin Piłat zadał słynne pytanie „Co to jest prawda?“, a Grek Sokrates uważał, że naprawdę wie tylko, że nic nie wie. Obaj posługiwali się orężem wątplenia i względności, ale w jak zupełnie innym celu! Starożytność przekazała nam obie postawy. I co jest bardziej dla niej typowe, pierwsza czy druga? Naturalnie obie, i to w tym samym stopniu. Właśnie w sprzecznościach, w gwałtownych kontrastach objawia się najpełniej prawda o antyku – ale też i o nas samych.

Grecja i Rzym nie były izolowane, a na Wschodzie mieszkali ludy mające za sobą kilka tysięcy lat rozwoju kulturalnego. To prawda, że w okresie rozkwitu starożytności klasycznej ich świetność już przeminęła. Ale przecież jeszcze wiele, bardzo wiele ocalało i przesiąknęło na Bałkany i Półwysep Apeniński, na wyspy i przylądki „Naszego Morza”, jak nazywano Morze Śródziemne. Nie wszystko było dobre, nie wszystko godne wspomnienia. Cywilizacje Wschodu tak nam obce, prawie tak samo obce były starożytnym. Wprawdzie za pośrednictwem starożytności zachodniej przejęliśmy niejedno ze Wschodu, począwszy od nazw konstelacji po podział doby na dwadzieścia cztery godziny, ale po większej części wszystko, co zostało w Europie zrobione przez ostatnie trzy tysiące lat, było zaprzeczeniem świata „barbarzyńców”. Musimy jednak pamiętać, że i on przecież miał swój udział nawet w najklasycznej klasycyzacji.

Sam bieg czasu przynosił przemiany. Zmieniały się ustroje, poglądy, dominujące kraje, stolice. Jakże mogło być inaczej? Jeśli za początek świata antycznego przyjmujemy rok tysiąc sto osiemdziesiąty czwarty – upadek Troi, a za kres – likwidację Akademii Platońskiej w Atenach w pięćset dwudziestym dziewiątym, ale już naszej ery, to upłynęło między tymi datami siedemnaście stuleci. A od szóstego wieku do naszych czasów zaledwie czternaście... Cała epoka nowożytna włącznie ze Średniowieczem mogłaby się z powodzeniem pomieścić w antycznej.

Tak, to prawda, antyk nie znał zjawiska „przyspieszenia kulturowego”, z którym mamy do czynienia od jakichś trzystu lat, ale i bez tego mogło przecież zdarzyć się bardzo wiele.

Kto zresztą wie, czy za kilka tysięcy lat, jeśli człowiek ostoi się i rozwinie, z zupełnie innej perspektywy czasowej, a może i kosmicznej my sami nie będziemy zaliczeni do starożytnych

dziejów ludzkości? Cóż z tego, że między antykiem a nowożytnością były stulecia upadku, klasyczny antyk także miewał swoje upadki i wzloty. Z jakiejś bardzo odległej perspektywy da się to wszystko razem połączyć i można będzie nie dopatrzeć się wcale szczególnych różnic. Bądź co bądź tworzymy jeden ciąg cywilizacyjny i nie sposób się tego wyprzeć.

Weźmy choćby sposób liczenia czasu. Grecy liczyli czas olimpiadami, a pierwsza była w roku siedemset siedemdziesiątym szóstym. Rzymianie „od założenia miasta” – ab urbe condita, czyli od siedemset pięćdziesiątego trzeciego, my – od urodzenia Chrystusa, czyli właśnie rok siedemset pięćdziesiąty trzeci ab urbe condita uznaliśmy za rok pierwszy. W istocie rzeczy dopiero w kilka stuleci od tej daty przyjęto nową chronologię, która przetrwała do dziś. Były różne próby jej obalenia – najsłynniejsza należy do Wielkiej Rewolucji Francuskiej, która za rok pierwszy przyjęła tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty drugi – ustanowienie republiki. Ale ten nowy kalendarz przetrwał zaledwie osiem lat...

Ile jeszcze czasu będziemy liczyć po swojemu? Może kiedyś za początek nowej ery, ery kosmicznej, będzie przyjęty rok, w którym po raz pierwszy człowiek stanął na innym globie, a więc tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewiąty? Ostatecznie odkrycie Ameryki uważane jest za początek nowożytności, a na Księżyc jest trochę dalej... W każdym razie nasza chronologia wywodzi się z serca antyku.

Notabene nie uważam, aby zmiana określenia „po urodzeniu Chrystusa” na „nową erę” była najmądrzej pomyślana. Tak mogliby pisać właściwie tylko bardzo wierzący chrześcijanie, dla innych początkiem ery może byłoby właśnie założenie Rzymu? Ale ponieważ istotnie narodzenie Chrystusa i rozwój chrześcijaństwa było jednym z największych wydarzeń w dotychczasowych dziejach świata, niechże więc będzie „nowa era”. To coś nowego, co się narodziło, nie było zaprzeczeniem antyku, ale dopełnieniem.

Niełatwo odpowiedzieć, czym jest dla nas właściwie antyk, czym jest, może i powinien być dla każdego z nas. Można go lubić i nie lubić, można mu przyznawać ogromną doniosłość i odrzekać od czci i wiary. Myślę, że tyle jest różnych sposobów oceny, ile ludzkich nadziei i rozczarowań, o ile naturalnie ma się poczucie przynależności do wielkiego rodu świadomych spadkobierców, co tym samym oznacza świadomych pracowników przyszłości.

Historia ma przecież dwa skrzydła, jedno to przeszłość, przyszłość jest drugim. I nikt o jednym skrzydle nie polecą. Jeśli się w ogóle myśli o locie dokądkolwiek, to chyba trzeba mieć osobisty stosunek do tych spraw. A szczególnie drogie dla wielu jest pojęcie Śródziemnomorza.

Kolebką naszej kultury było Morze Śródziemne – Mare Nostrum. Tu rozkwiatały greckie miasta i na białych wyspach składano ofiary bogom o ludzkich kształtach, tu stoczono bezlitosną walkę między Rzymem i Kartaginą o kształt świata, tędy niosły się okręty krzyżowców. Tu narodziła się cywilizacja. Śródziemnomorze to w największym skrócie antyk i chrześcijaństwo, to także określony system wartości, który od kilkuset lat kruszy się i rozpada coraz prędkiej. My właśnie jesteśmy dziećmi epoki owego rozkładu. Może stąd tyle bezlitosnej mądrości w naszym i ubiegłym stuleciu? „Sowa Minerwy wylatuje o zmierzchu” – zmierzchu życia, zmierzchu jakiejś cywilizacji.

Kiedy w pogodny dzień, po sztormie. Morze Śródziemne wyrzuca kawałki starej smoły, można myśleć, że to wymyty z dna szczątki statku Odyseusza czy Eneasza i że to jest nieustające posłanie do nas samych. I takim kawałkiem smoły jest numer każdego kolejnego roku, antycznej przecież chronologii. A zarazem może i wezwaniem: co zrobiłeś w roku, który niedługo też będzie historią, a nieco później już nawet i starożytną...

Będzie to zapewne zależało także od tego, co właściwie zrobić chcemy, co uznamy za godne zrobienia i jaki wątek świata zdecydujemy się tkąć dalej. Starożytność może tu być jakąś wskazówką, może jednak być także czymś nienawistnym. Bywa i tak, że czasem podziwiamy ją, czasem znów uważamy za płaską i już do szczytu przebrzmiałą. Po prostu jest naszą własną częścią i stosunek do niej to stosunek do nas samych, do naszego własnego lo-

su, własnego życia i śmierci. Bo nie możemy istnieć poza sobą, nie możemy istnieć poza historią. A dzieje starożytne mówią tyleż samo o upadku, co o odrodzeniu.

Śródziemnomorze nigdy zresztą naprawdę nie istniało. Nie było Arkadii, nie było nigdy i nigdzie w ludzkim świecie harmonii, zgody bogów, natury i ludzi. Historia działa się zawsze poprzez napięcia i konflikty. Śródziemnomorze było jedynie mitem o takiej powszechnej zgodzie wszystkiego, co istnieje, marzeniem o harmonii piękna i dobra. Ale ten ideał „kalokagathii” był właśnie ideałem antycznym, greckim. I nie jest może niczym nadzwyczajnym, że nie był zrealizowany, bo w końcu jaki ideał kiedy w historii się urzeczywistnił? Ważne jest to, że w ogóle istniał. Zresztą tylko jako człon pewnej alternatywy. Otóż Tomasz Mann opisuje w „Czarodziejskiej górze” arkadyjską wizję Hansa Castorpa. Castorp widzi łagodny i piękny nadmorski kraj, a na wybrzeżu helleńską świątynię, w samym sercu idealnego świata. A w świątyni dwie staruchy rozszarpują na strzępy dziecko. I Castorp rozumie, że w wizji tej jedno jest zespolone z drugim, że jedno nie obywa się bez drugiego.

W ten właśnie sposób, zresztą jeszcze przed Mannem, odkryto drugie oblicze antyku; obok starożytności harmonijnej, Apollińskiej, ujawniła się inna – namiętna, krwawa i szalona – Dionizyjska.

Zmieniają się następcy antyku i on sam zmienia się razem z nimi. Różne są oblicza czasu, inaczej wygląda korzeń, kora, drewno, liście i kwiaty. Inne są zimą, a inne latem. Ale jest to ciągle to samo drzewo.

Klimaty Śródziemnomorza – Grecja

Mówiąc o antyku czy też Śródziemnomorzu robimy ogromne uproszczenie, w ciężkiej niezgodzie z historią. A w każdym razie z historią notującą skrupulatnie poszczególne fakty i wydarzenia. Poza owym skrzyętym liczeniem wydarzeń i szczegółów jest w historii coś jeszcze innego, wcale niełatwego do określenia i udowodnienia. Możemy to nazwać „duchem” dziejów takich czy innych, jakimś ogólnym celem, do którego, nie zawsze o tym wiedząc, historia zmierza, czy też generalną przyczyną wydarzeń. Wszystko to zależy od punktu widzenia, od stopnia znajomości, wreszcie od intencji patrzącego. Takie uproszczenie jest jednak konieczne, jeśli nie mamy się zagubić w natłoku drobiazgów, z których nic zupełnie nie wynika. Prawda historyczna jest kwestią punktu widzenia. A ów punkt widzenia też z kolei nie może być zupełnie obiektywny: przecież my sami nie jesteśmy poza historią, przeciwnie, także stanowimy jej część.

Przez setki lat mówiło się o antyku, o Śródziemnomorzu, ale miało się na myśli rzeczy rozmaite. Oczywiście, szło o jeden ciąg cywilizacyjny, od Greków i Rzymian prowadzący do naszych dni, ten ciąg, który zdaje się dzisiaj decydować o losach świata. Ale w owym ciągu spotkamy elementy bardzo odmienne. Następcy starożytnych powoływali się to na tę epokę, to na inną, co oczywiście wiązało się z analogiami ich własnego czasu. W dawnej Polsce na przykład z upodobaniem odwoływano się do republiki rzymskiej, tu wynajdywano wzory, przykłady, na jej właśnie wzór uformowano określenie „Rzeczpospolita”, tak szczytne, że dodawano do niej określenie „najjaśniejsza”. Wiek osiemnasty i dziewiętnasty interesowały się nade wszystko Grecją klasyczną, chętnie przeciwstawiając ją Rzymowi.

Młody Mickiewicz tak Greków wychwalał:

„Albowiem zbieg szczęśliwy okoliczności sprawił, że w Grecji więcej niż gdzie indziej pozjawiało się razem talentów twórczych, które, samą powodowane naturą ich ziemi właściwą, zwracały uczucie i imaginacją ku poszukiwaniu tego, co by było delikatne, foremne, piękne, równie w poezji, jak w muzyce, tańcu, malowidle i innych sztukach. Nadto Grecy, długo swobodni, weseli, życie publiczne wiodący, czystą narodowością w całej mocy przejęci, największych cnót liczne przykłady mający, nie mogli nie kształcić się moralnie w wysokim stopniu; kształcili więc drugi oddział władz, które łączą się w charakter moralny. Na ostatek umysły greckie, podniesione, ciekawe, wytrwale – wcześniej poszukiwać zaczęły prawdy; ćwiczyły się nieustannie rozumowaniem, różnaitą w nim, a najczęściej oryginalną postępując drogą; tym sposobem obudził się duch filozoficzny, nawykano myśleć porządnie i głęboko, czyli tym sposobem kształcił się, wzmacniał i ustalał rozsądek”. („O poezji romantycznej”)

To wszystko odnosi się naturalnie do Grecji klasycznej, natomiast epoka późniejsza, od Aleksandra Wielkiego do Augusta, zwana hellenistyczną, nie znajduje już łaski w oczach poety. Uważa, że był to tylko czas naśladownictw. Zresztą i Rzymian uważał za naśladowców. Mickiewicz miał na myśli twórczość literacką czy w ogóle artystyczną. Ale bo też i ską-

dinał patrząc, nie ceniono sobie ani hellenizmu, ani Cesarstwa Rzymskiego. Właściwie dopiero w naszym stuleciu zainteresowano się nimi żywiej i na swój sposób zrehabilitowano. W tej chwili największym zainteresowaniem cieszą się właśnie te pogardzane dotąd epoki, i tu też szukamy niejednokrotnie analogii, chociaż co prawda bardzo często smutnych i deprymujących. W każdym razie i nasz stosunek jest niejednakowy, jeśli idzie o Grecję klasyczną, hellenizm, Rzym republikański i Rzym cesarski. Przyjrzyjmy się im po kolei.

Tradycyjnie uważano, że zarówno pierwsza część dziejów Grecji, jak i Rzymu obfitowały we wszystko, co moglibyśmy podziwiać i naśladować. W Grecji niepodległej rozwija się sztuka i filozofia, Rzym dawał przykłady godności i bezinteresownej miłości ojczyzny, męstwa, wspaniałego rozwoju prawa. Natomiast hellenizm i cesarstwo były epokami tyranii i upadku godności ludzkiej, szaleństwa cesarów, ustawicznego strachu i przemocy. Wszystko, co twórcze, zamiera. Ostatecznie oba te okresy kończą się żalosnym upadkiem. Jeśli chodzi o Rzym, ginie kultura antyczna. Na jej miejsce przychodzi prymitywny w owym czasie Kościół chrześcijański, niszcząc resztki dawnej świetności. A jeszcze bardziej niszczą dawną kulturę półdzikie germańskie plemiona, nastaje bezrząd i chaos. Muszą minąć długie stulecia, aby świat odzyskał dawną świetność.

Co prawda dziś inaczej już patrzemy na wiele spraw. Kościół niszczył, ale i zachowywał. Zburzenie antycznego świata było może konieczne, aby światło antyku objęło nie tylko ludy zamieszkałe nad Morzem Śródziemnym. Upadek dawnych reguł pozwolił rozkwitnąć sztuce średniowiecznej i następnym epokom. Ruina systemu niewolniczego zmusiła ludzi do szukania innych form energii. Przecież antyk odkrył możliwości pary – ale nie były mu do niczego potrzebne. Swetoniusz w „Żywotach cesarów” chwali Wespazjana za to, że zrezygnował z jakiegoś wynalazku ułatwiającego transport, żeby nie odbierać zarobku ludowi...

Musiała nastąpić swojego rodzaju „dezintegracja pozytywna”, jakby powiedział Kazimierz Dąbrowski, z której wyłonił się inny, bogatszy świat. Zresztą ową „dezintegrację pozytywną” (którą się niezbyt prawnie tu posługujemy, bo Dąbrowski uważa, że poszczególne człowiek rozwija się poprzez rozpad tego, co już osiągnął, z historią nie musi być tak samo) znajdziemy w samych dziejach antyku, w których nie brakowało klęsk i dramatycznych przełomów. Pozostawmy jednak na razie specyficzny klimat agonii antyku i zajmijmy się jego początkiem.

Co prawda ów początek wiązał się z ruiną innych kultur basenu Morza Śródziemnego. A i później rozrostowi świata Hellenów i Latynów towarzyszyły klęski innych kultur i ludów. Bądź to wchłaniał je blask klasycznej kultury i hellenizowały się lub romanizowały, bądź też czekał je koniec w pożodze i krwi. Część dorobku podbitych ludów została przejęta przez zwycięzców, bardzo jednak wiele odrzucono i przepadło na zawsze. Zapewne niemało z tego, czego antyk klasyczny nie przejął, żałować nie ma po co. Ani egipskiego kultu zwierząt, ani palenia żywcem dzieci w ofierze Baalowi Melkartowi Kartaginy opłakiwać nie będziemy. Duch cywilizacji antycznej umiał zdobyć się na selekcję. Jeśli zaś przejmował coś w rodzaju ubóstwienia monarchów, było to już raczej znamię upadku.

Ale jak się zdaje, jedna była zasada selekcji: antyk wybierał to, co ludzkie, co mieściło się w ludzkim wymiarze i proporcjach, co można było zrozumieć i zastosować. Odrzucał to, co było tylko tajemnicą, co zamieniało ludzkie życie w niepojęte misterium, co było tylko zwierzęce lub tylko boskie. Nie jest to sformułowanie ściśle ani wyczerpujące problem. Grecy nie byli wszakże tylko racjonalistami, a tym bardziej ateistami. Nie, tak nie było. Cała Starożytność wierzyła we wszelkie wyrocznie, w ingerencję bogów, w obecność sił utajonych. Jeśli mówimy o „cywilizacji człowieka”, to nade wszystko przez porównanie z tym, co działo się współcześnie gdzie indziej. Cywilizacja człowieka była przede wszystkim cywilizacją wiary w człowieka, w jego moc i wartość. Nie darmo więc i antyczni bogowie „krojeni” byli na ludzką miarę i podobieństwo. Zresztą dzięki temu właśnie zlaicyzowali się w końcu kompletnie, stracili jakikolwiek element tajemniczości, zeszli ze sfery boskiej w ludzką. Ale też wte-

dy okazało się, że nie można żyć bez niedopowiedzenia, bez tajemnicy, że dzień nie obywa się bez nocy. I wówczas starożytni Grecy i Rzymianie zaczęli importować bogów – ze Wschodu.

Swoją drogą jakże różnorodny, różnolity, zaskakujący był świat ludzki, zanim hellenizm i Rzymianie przeprowadzili (nigdy zresztą całkowitą) unifikację. W tej chwili świat upodobnił się mocno i wierzyć się nie chce, że na obszarze wystarczającym dziś na godzinę lotu mogło się mieścić kilkadziesiąt zupełnie odrębnych kręgów kulturowych. Co prawda ta różnorodność szczególnie mocno wychodzi na jaw z perspektywy naszych możliwości. Wówczas izolacja była nieporównanie większa. Już nawet nie dlatego, że największe szybkości – konia, łodzi żaglowej nie były szczególnie imponujące. Ale nie istniały przecież żadne gwarancje, że sasiad nie pochwyli podróżnika w niewolę czy nie ukrzywdzi go w inny sposób.

Kupcy wędrowali wprawdzie od czasów niepamiętnych, ale był to zawód bardzo niebezpieczny. Tymczasem ludy, od których roilo się w świecie śródziemnomorskim, prezentowały niezwykle poplątaną mozaikę obyczaju, języka, stroju.

Nad Małą Azją, nad Mezopotamią wiele już razy przewaliła się historia. I to poczucie dawności było powszechne, przy czym wyobrażano sobie tę dawność dostojniej na ogół, niż my to dziś robimy.

Przecież pradawni królowie, utrzymywano, ci, którzy narodzili się bezpośrednio z bogów, panowali setki i tysiące lat. Rozsypywały się w proch miasta zaginionych już wtedy cywilizacji, kapłani używali języków wymarłych ludów, świat już wtedy był bardzo stary. Minęły cywilizacje Sumeru i Akadu, stary Babilon, Elam, archaiczny Egipt. Urartu przemieniało się w Armenię, przepadli Hetycy i Hurycy, zaginęło Mitanni, nadchodził czas Lidyjczyków, Medów i Persów.

Bardziej na północ nieustannie wędrowały, wojowały i mieszały się mnogie plemiona Traków, Scytów, Germanów, Słowian, Sarmatów, Celtów, a coraz to nowe nadciągały z niewyczerpanego wnętrza Azji. Niosły ze sobą swoje legendy i podania, swoje totemy. Ich los miał się jeszcze spełnić w chwale albo w zapomnieniu na tym ogromnym półwyspie, jaki stanowi sobą Europa. Bo tu właśnie było wszystko na ludzką, średnią miarę i skalę. Umiarkowane odległości między chłodnym morzem na północy i cieplejszym na południu, umiarkowane wysokie i rozległe góry, odległości ani zbyt wielkie, ani zbyt małe, pozwalające i na wymianę, i na odrębność. Klimat sprzyjał, ale nie do tego stopnia, aby nie wymagał żadnego wysiłku. Był to jednak wysiłek nie przerastający ludzkiej możliwości. Wreszcie dostępność wybrzeży południowych.

Jeśli spojrzymy na mapę Morza Egejskiego, to zobaczymy, że przypomina ono garnek lub amforę. Poprzez wybrzeża Grecji i Peloponezu, jak wysunięta na południe łapa prehistorycznego gada, poprzez wyspy stanowiące dno tej amfory – Cyterę, Krete, Kasos, Karpatos i Rodos – i znów na północ brzegami Azji Mniejszej do morza Marmara. W tym wielkim naczyniu łączącym w sobie ląd stały, wyspy i morze, które wolno nam nazwać po prostu Grecją, mieszały się wszystkie elementy i wysublimowała z nich cywilizacja. W odwiecznym łańcuchu stawania się i przemijania powstało coś, co jeszcze i dzisiaj nie minęło.

W każdym razie, gdy z północy zaczęły nadciągać greckie plemiona, a kiedy to się stało, niezbyt dokładnie wiadomo, gdzieś na początku drugiego tysiąclecia przed naszą erą – zastały świat kwitnących cywilizacji. Przemierzyły ów świat z mieczem w rękę. Achajskie plemiona zawładnęły Półwyspom Bałkańskim, spotkamy się z nimi w Azji Mniejszej, w Syrii, w Egipcie razem z innymi „ludami morza”, jak je wówczas w zaatakowanym Egipcie nazywano. Najeźdźcy zachowywali się więc tak, jak w tysiąclecia później wikingowie.

Zresztą konflikt koczowniców z ludami osiadłymi to jeden z najstarszych konfliktów historii, nieodmiennie powracający ciągle w nowej szacie; najczęściej zresztą jest to konflikt pasterzy przeciw rolnikom. Trzeba dodać, że ta opozycja stworzyła także określony konflikt duchowy, niezmiernie płodny dla kultury.

Jak się zdaje, największe znaczenie dla najeźdźców w całym zespole kultury egejskiej miała kwitnąca na Krecie kultura minojska z jej wspaniałymi pałacami, freskami, ceramiką zdobioną wizerunkami morskich stworów. Wedle wzorów stąd płynących powstaną później na Peloponezie zamki i miasta, w których już niedługo zamieszkają bohaterowie Homera. Sama Kreta tym różni się od wszystkich innych ludzkich osiedli, wcześniejszych i późniejszych, że nic nie znaleziono na niej żadnych urządzeń obronnych. Może dlatego niektórzy autorzy dopatrują się tu krainy szczególnie łagodnej. Harmonizują z tą teorią, to prawda, freski przedstawiające zwierzęta i ludzi wśród kwiatów. Obawiam się jednak, niestety, że teoria ta to tylko pobożne życzenia pacyfistów.

Nie mówiąc już o tym, że wszystkie te pałace legły ostatecznie w gruzach i zgliszczach, sądzimy, że po prostu drewnianym, ale skutecznym murem obronnym była flota króla Minosa. To określenie zresztą jest późniejsze i bardzo stawne. Otóż w czasie najazdu perskiego wyrocznia delficka odpowiedziała Atenom, że bogini imienniczka osłoni je „drewnianym murem”. Na podstawie tego Temistokles wybudował zwycięską flotę.

Floty króla Minosa strzegły świata nie tak bardzo chyba łagodnego, skoro w podziemiach Labiryntu człekobyk Minotaur domagał się corocznych ofiar ludzkich. Krew i tutaj musiała spływać obficie, nie mniej obficie niż pot niewolników. Łagodność, jak zawsze w historii, jest nade wszystko tworem perspektywy, a nie wydarzeń.

Achajowie zawojowali ten świat, podobnie jak nieco później, w dwunastym wieku przed naszą erą, zdobyli Troję. I pamięć o tych podbojach uwieczniła się w ich kulturze. Uwieczniła się, ale trochę odmiennie. Opowieść o Tezeuszu zabijającym Minotaura jest jeszcze tylko mitem heroicznym, opowieść o Troi jest już heroicznym poematem.

Dlaczego właśnie historia zburzenia Troi dostąpiła tego wyróżnienia, dlaczego stała się, podobnie jak księga o wędrowce Odyseusza, fundamentem cywilizacji greckiej, a w dalszym sensie i naszej? Chyba dlatego, że było to coś na kształt „wojny ojczyznianej”. Grecy z różnych miast i państw zjednoczyli się, co im się później rzadko i nigdy bez reszty nie zdarzało. Wprawdzie i tutaj ogromną część czasu pochłaniały im zaciekle swary, wprawdzie i tu wzajemna lojalność raczej nie kwitła wspaniale, lecz przecież wspólnego dzieła ostatecznie dokonali. Doszła do głosu solidarność ludzi jednej kultury, plemienia, błysnęła możliwość Grecji zjednoczonej. Może także i to sprawiło, że „Iliada” była przez nich czytana zawsze, wszędzie i we wszystkich okolicznościach. Czy możemy jeszcze bardziej to poszerzyć i nazwać apoteozą wielkiego, wspólnego wysiłku ludzi?

A „Odyseja”? Czyż dla odmiany nie była to apoteoza wędrowki, jakże naturalna dla tak niespokojnych ludzi, wędrowki, która dla nas jest po prostu symbolem życia? Po jakich koczownikach przejeśliśmy ten symbol? Po Grekach właśnie czy po wszystkich innych nacjach? W każdym razie zobaczymy, w jak wielu mitach powraca ten motyw; na krańce świata po głowę Gorgony wędruje Perseusz; Tezeusz i Herakles przemierzają lądy i morza; Argonauci płyną do dalekiej Kolchidy po złote runo. I w rzeczywistości historycznej Grecy byli narodem ruchliwym. Nie wystarczają im coraz ciasniejsze metropolie – dokoła zakładają kolonie, w Azji Mniejszej, na wybrzeżach Morza Czarnego – Euksynu, na Sycylii i na południu Półwyspu Apenińskiego. A zresztą mieszkają przecież na setce wysp rozsianych po Morzu Jońskim, Śródziemnym i Egejskim. Wszędzie wznoszą się ich miasta, porty, sanktuaria.

Jest coś urzekającego w tej wielości skrawków lądu, to kamienistych, to zielonych, otoczonych morzem pełnym życia – delfinów, jeźowców, żeglarków, skorupiaków, głowonogów, ryb i krabów, licznych, a stanowiących jedność, między którymi nieustannie ślizgają się statki i łodzie o niskich sylwetkach jak szybowanie niebieskiej ryby latającej.

Prawdziwa Grecja, Grecja, o której wiecznie pamiętamy, to nie nadciągające z północy posępne plemiona Achajów i Dorów, ale świat wyłaniający się z morza, otoczony morzem, przemierzający morze. Morze – „pontos” – oznaczało po prostu pierwotnie ścieżkę, drogę, i rzeczywiście

było dla nich drogą, tak jak ląd był domem. Gdyż była to jedna z tych rzadkich epok w dziejach ludzkości, gdzie droga ludów wędrownych złączyła się z domem plemion osiadłych.

I dlatego w trzy tysiące lat później piszę tę książkę.

Ale ciągle jesteśmy u początku czy niemal przed początkiem. Świat homerycki był jeszcze przed początkiem cywilizacji greckiej, był z rodu heroicznym poematów innych ludów, z Ramajan, Geserów, Gilgameszów. Świat ludzki jeszcze nie oddzielił się od boskiego, jeszcze boginie i bogowie zstępują na pole bitwy, aby osłonić swoich ulubieńców i synów. Afrodyta otacza Parysa mgłą, boginka Tetyda przynosi swemu synowi, niepokieszonemu Achillesowi, nową zbroję wykutą przez kulawego Hefajstosa. Wprawdzie ci bogowie są chyba bardziej ludzcy niż ludzie – boscy, ale los naszego świata jeszcze nie został przesądzony. Jeszcze wszystko mogło runąć jak cywilizacje niedalekiego Wschodu.

Ale nie runęło.

Pełnią blasku, choć był to już prawie blask przedwieczorny, promieniała niepodległa Grecja w piątym wieku przed naszą erą. To na ten właśnie czas powołujemy się najczęściej i sięgamy do książek napisanych w tym stuleciu albo niedługo potem. Gdyby wykreślić dorobek piątego i czwartego stulecia, nasza cywilizacja nie mogłaby najprawdopodobniej w ogóle powstać. Wszystko, czym żywiła się myśl ludzka aż do naszych czasów włącznie, w tym właśnie wieku ma swój początek. Nie pomyślę się wiele, jeśli powiem, że drugiego takiego stulecia dotąd w dziejach nie było – mam na myśli filozofię, teatr, podstawy nauki. Nie ma chyba dziedziny wiedzy, która by się mogła obyć bez tego, co w owym czasie pomyślano i zaproponowano. Do dziś sięgamy do Herodota i Tukidydesa, ojców historii, Euklidesa przerabia każde dziecko na kuli ziemskiej, ponieważ jego aksjomaty matematyczne są tym samym dla matematyki, czym głoski dla języka, ponieważ żadna inna książka w dziejach świata nie wywarła takiego wpływu na myślenie naukowe. Ku chwale jego „Elementów” porusza się więc wszystko, co używa kół na ziemi, skrzydeł w powietrzu i kosmosie, otacza nas codzienną cywilizacją.

W tym przecież czasie powstaje atomizm Demokryta i podstawy materializmu.

Czymże mogłaby być filozofia, etyka, logika, jaki sens i kształt miałyby chrześcijaństwo bez Sokratesa, Platona, Arystotelesa?

Czy da się pomyśleć teatr, dramat, w ogóle literatura bez Ajschylosa, Sofoklesa, Eurypideasa, Arystofanesa? A przecież długo jeszcze może się ciągnąć taka litania.

To wtedy żyje największy lekarz starożytności Hipokrates, którego przysięgę powtarzają do dzisiaj wszyscy lekarze świata. I jeśli medycy jakiegoś narodu sprzeniewierzą się owemu słynnemu, „primum non nocere” – „przede wszystkim nie szkodzić”, to w czeluściach Buchenwaldów i Ravensbrücków rodzi się zbrodnia. To wtedy Eudoksos oblicza kulistość Ziemi, jej obwód, odległość od Słońca, Archytas tworzy podstawy mechaniki, Heraklejdes stwierdza, że Merkury i Wenus krążą wokół Słońca. Wtedy działają sofisci, Antystenes tworzy cynizm, Arystyp hedonizm, a Pyrron sceptycyzm. A pisma Ksenofonta, Izokratesa, Gorgiasza, mowy Demostenesa? A dłuto Fidiasza, Myrona, Polikleta, Lizypa, Skopasa, Praksytelesa, Leocharesa?

Cóż więc w tym dziwnego, że przez dziesiątki wieków do dzisiaj powraca się myślą do tego właśnie czasu uważając go za południe antyku i najpiękniejszą wiosnę ludzkości? Zwłaszcza że do naszych czasów dotarło to, co owe stulecia miały najpiękniejszego. Wspaniałe pisma i myśli, Partenon wybielony słońcem, wspomnienia niezwykłych bohaterów, wzory męstwa, godności, demokracji, brązy i marmury, choć najczęściej już tylko w kopiach, smak dojrzałego owocu. I rodzi się myśl, że kiedy jak kiedy, ale na pewno wówczas ludzkość mieszkała we własnym domu, którego ciepło jeszcze dzisiaj kładzie się na naszych dłoniach. Że pękły obręcze przemocy, a wolność była ludzką rzeczą.

A w zmaganiach Greków i Persów dopatrujemy się symbolu ważnego i dzisiaj, i zawsze. Tak, to prawda, ale ileż trzeba było zapomnieć, aby bez zastrzeżeń uwierzyć w ten jasny blask nad Atenami. A więc zapomnieliśmy i uwierzyliśmy, bo nie potrafimy żyć bez wiary, że świat może być dobry.

Dla człowieka żyjącego w nowoczesnym, scentralizowanym państwie dzieje Grecji przedstawiają sobą trudną do zrozumienia i zapamiętania plątaninę, wręcz odwrotnie niż historia Rzymu. Znacznie łatwiej mógł je zrozumieć Niemiec, żyjący w jednym z licznych królestw i księstw z czasów przed hegemonią Prus i zjednoczeniem Rzeszy przez Bismarcka. My musielibyśmy sięgać głębiej w przeszłość, chyba aż do dwunastego, trzynastego stulecia, ale byłaby to analogia bardzo kaleka.

Grecja nie była przecież, i to prawie nigdy, jednym tylko organizmem politycznym. Dzieliła się na miasta-państwa nieustannie skłócone, nieustannie zwalczające się nawzajem. Miasta macierzyste zakładały z kolei kolonie w pewien sposób ze sobą związane. Wchodziły ze sobą w przeróżne związki – amfiklionie, symmachie – splot zawily i nierozwikłany, którego prawdziwym symbolem był ów słynny węzeł w Gordion, którego rozwiązać było niepodobna.

Aleksander Wielki rozciął go po prostu i taka też tylko brutalna interwencja miecza mogła zjednoczyć Grecję.

Historycy także nie bardzo mogą dać sobie radę z tym chaosem i przeważnie ograniczają się do przedstawienia dziejów Aten i Sparty, reszcie już poświęcając tylko okolicznościowe wzmianki. Istotnie, były to miasta-państwa i najgłośniejsze, i najbardziej wpływowe, przy tym każde z nich miało w pewnym momencie szansę na zjednoczenie całości. Ale cywilizacja grecka rozwijała się przecież w wielu miastach i na wielu wyspach. Znakomitości owego czasu zawadzały prawie z reguły o Ateny, ale nauczały i pracowały także w innych miejscach. Mimo to ujęcia historii Grecji z punktu widzenia jakiegoś Pylos czy Amfipolis są bardzo rzadkie.

W każdym razie istnienie tak znacznej ilości osobnych państewek stwarzało dla kultury wielką szansę. Ktoś, kto naraził się Ateńczykom, mógł szukać schronienia gdzie indziej. Idee wyklęte w Sparcie

mogły spokojnie krzewić się w Delfach lub Tebach. Ustawiczna rywalizacja we wszystkich dziedzinach prowadziła do popierania literatury i sztuki, rozwijała zmysł polityczny, wciągała tysiące Greków, kazała im myśleć i ćwiczyć inteligencję. Zwyczajowo ubolewa się wprawdzie nad tym, że Grecja „nie dorosła” do jedności, można jednak wątpić, czy owa jedność dałaby światu tyle, ile dały razem małe miasteczka skłóconej Hellady. To prawda, że trzeba było za to zapłacić, a cena nie była niska, była bowiem utratą niepodległości.

Ale do tego problemu wrócimy później – w każdym razie przez długie setki lat rozproszenie było raczej zjawiskiem korzystnym. Ale jak w ogóle możliwym?

To sprawa geografii. Poszczególne krainy greckie były od siebie oddzielone bądź morzem, bądź górami. Mimo pozornej bliskości bariery były znaczące. Odległość między głównymi antagonistami historii greckiej Atenami i Spartą była nie większa niż między Warszawą a Kielcami, czyli jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów. Ale po drodze było morze, góry, wąski przesmyk Istmu i jeszcze niezależne Polis na dodatek.

Teby leżały zaledwie pięćdziesiąt kilometrów dalej, a jednak był to już inny świat. Plemiona greckie, mimo stale obecnego poczucia wspólnego pochodzenia, różniły się między sobą nawet w jakiejś mierze językowo. Zresztą w imię czego poszczególne jednostki miałyby rezygnować ze swojej pełnej niezależności?

Pamiętajmy, że Grecja mogła się ukształtować w ten właśnie sposób z racji dość szczególnego momentu historycznego: nie było w tym czasie żadnego mocarstwa, które by mogło kontrolować basen Morza Śródziemnego... Co prawda mocarstwa wcześniejszej epoki brązu, może poza jedną Kretą, również nie stanowiłyby takiej potęgi. Ale nawet i one podupadły na długo.

Około dziesiątego wieku świat śródziemnomorski zachodzi mgłą. Stare państwa osłabione, nowi najeźdźcy ciągle jeszcze bardzo prymitywni. Jest to okres swoistego „średniowiecza” antycznego, chyba zresztą ciemniejszego i smutniejszego niż średniowiecze chrześcijańskie.

Ale takie okresy są przecież, jak się zdaje, konieczne, kiedy jakaś cywilizacja dochodzi do swych szczytowych osiągnięć. „Konieczne” naturalnie z późniejszej perspektywy, bo każdy taki moment upadku niesie ze sobą straszliwe niebezpieczeństwo zmarowania wszystkiego, choroby śmiertelnej. Być może i nasz świat za jakiś czas mocą znanych nam lub jeszcze nie uświadomionych kryzysów będzie musiał przejść przez kolejny okres upadku i regresu. I historia nie daje nam żadnej pewności, że ostatecznie przyjdzie odrodzenie i ocalenie. Pewności nie daje, ale i nie odbiera nadziei.

Od czternastego wieku po dziewiąty, ósmy coraz to większy regres. Coraz słabiej znane pismo, coraz marniejsza plastyka, coraz większy zamęt wędrówek, wojen, przewrotów. Czy doprawdy niczego dobrego nie da się powiedzieć o tym czasie? Słabo go znamy i możemy rozumować trochę przez analogię. Gdyby nie „nasze” Średniowiecze, gdyby nie gruntowanie się określonej wizji świata, filozofii, logiki, umiejętności finezyjnego myślenia, wiary w jakieś powołanie świata jako całości – dalszy rozwój cywilizacji nie byłby możliwy. Co się mogło formować u Greków?

Tym, co ukształtowało się właśnie w owym czasie, co stworzyło fundament dalszego rozwoju – była mitologia grecka. Powstał największy, najwspanialszy system mitologiczny w dziejach świata, przy czym ta mitologia była niezmiernie ludzka, bardzo funkcjonalna, niosąca w sobie przesłanki zarówno etyki, jak i estetyki. Może największą myślą tej mitologii było, że nie wszystko, czego wyższa siła żąda od człowieka, jest automatycznie dobre. Że nie można z tej strony oczekiwać usprawiedliwienia w każdym wypadku, że norma ma charakter obiektywny, a prawo rozciąga się nie tylko na ludzi, ale i na bogów.

To prawda, że najwyższe wcielenia tej idei przyjdą później, w dobie dojrzałości, w dramaturgii Ajschylosa i Sofoklesa, ale grunt był już przygotowany opowieściami mitologicznymi. Było to powolne dobijanie się do ludzkiej godności. Wprawdzie jedna z istotnych tu koncepcji – że człowiek jest jakoś potrzebny bóstwu – nie była wcale ani nowością, ani wyjątkiem. Bez Heraklesa bogowie przegraliby swoją wojnę z tytanami. Ale w innych mitologiach jest podobnie. U Skandynawów Odyn godził się na śmierć najdzielniejszych wojowników, ponieważ chciał ich mieć u siebie w Walhalli, gdzie będą czekali na dzień decydującego boju. A czyż to, co powiada współcześnie ojciec Chenu w „Teologii materii” o roli człowieka w planach Boga, rzeczywiście tak bardzo różni się od owych koncepcji? Po prostu każdy człowiek pod takimi czy innymi gwiazdami szuka najwyższej racji swego istnienia, racji, która mogłaby sprawić, aby spoglądał wzajemnie na owe gwiazdy bez drżenia i rozpaczki.

Ale kamieniem węgielnym przyszłej cywilizacji pozostały poematy Homera powstałe gdzieś w owym ciemnym okresie. Zarzucono już na szczęście koncepcję zbiorowego autorstwa „Iliady” i „Odysei” Przepuszcza się natomiast, że było tych autorów dwu. To już znośniej, choć w dalszym ciągu żal nam jednego Homera. I – bo ja wiem? – może jednak tradycja grecka, która tylokrotnie okazała się prawdziwa, i tutaj nie kłamie? Cóż stąd, że oba dzieła różnią się między sobą? Czy między „Balladami i romansami” a lirykami lozańskimi Mickiewicza nie ma różnic? A Homer mógł żyć długo – w dwu geniuszy tej samej miary jakoś trudno uwierzyć, i jeszcze w to, na dodatek, że Grecy o jednym z nich zapomnieli. Otóż Homer to nie tylko opowieść, to także wprowadzenie w naturę świata, nauka względności, subtelności psychologicznej i chyba także wielkie oskarżenie bogów – okrutniejszych i podlejszych od ludzi.

Margareta Riemschneider twierdzi nawet, że przez Homera rodzina bogów olimpijskich została ośmieszona i nigdy już więcej się nie podniosła. Jeśli nawet to twierdzenie jest zanedo kraincowe, to przecież na pewno wynikało zarówno z „Iliady”, jak „Odysei”, że nie wszyscy bogowie i nie we wszystkich okazjach godni są wychwalania i zaufania. Człowiek musi liczyć przede wszystkim na własne siły.

I rzeczywiście. Grek był człowiekiem, który ustawicznie ponosił odpowiedzialność i równie ustawicznie podejmował decyzje. Minimalne rozmiary państw helleńskich wymagały od

wszystkich obywateli uczestnictwa w życiu politycznym. Tym bardziej że dawne monarchie epoki homeryckiej porozpadały się ze szczętem, a na ich miejsce przyszły instytucje demokratyczne. Nawet arystokratyczna Sparta była w Likurgowym założeniu czymś w rodzaju demokracji. Nie znaczy to, aby nie mogli istnieć królowie – ale byli już tylko urzędnikami lub kapłanami. W Grecji nigdy nie było zastoju i małej stabilizacji. Nieustanny ruch kolonizacyjny, nieustanne spory wzajemne nie pozwalały na majestatyczny spokój. Trudno w to uwierzyć, ale początkowo na takiej Krecie było sto niezależnych mikrokrólestw!

A przecież mniej pamiętamy o tym nieustającym gwarze historii, bardziej zaś o instytucjach łączących wszystkich Hellenów. Nie mogły to być instytucje polityczne, bo niczego by w tego rodzaju świecie nie zdziałały. Istotne znaczenie miały przedsięwzięcia o charakterze ideologicznym. Były to przede wszystkim wyrocznie i igrzyska. Było ich sporo, największym jednak uznaniem cieszyły się igrzyska olimpijskie i wyrocznie w Delfach i na wyspie Delos – obie poświęcone Apollinowi. W tym punkcie zanikały różnice polityczne – z jednakim szacunkiem i ufnością odnosili się do wyroczni wszyscy Grecy. Zresztą to szczególna sprawa: przecież przez tyle stuleci musiały mylić się niejednokrotnie, przecież wiedziano dobrze, że Delfy są przekupne, a jednak nikt nigdy nie uczynił im żadnego despektu czy zniewagi. Wyrocznie były co prawda z założenia dwuznaczne, ale przy tej dwuznaczności przepowiadały trafnie. Aż taka umiejętność przewidywania? W każdym razie ci mądrzy starożytni ludzie nigdy ich nie kwestionowali, choć miewali do nich gorzkie i uzasadnione żale.

Przez całe stulecia Grecja była nie zagrożona niczym naprawdę poważnym, mimo że nie tylko wewnętrzne wojny prowadziła. Wielka kolonizacja nie działa się przecież w pustce, choć nasza sympatia do Greków każe nam zapominać o wszystkich zabitych i wydziedziczonych. Ale też kolonie rozsiewały w zamian dobra cywilizacji trudne do zakwestionowania. Nie eksploatowały, ale przynosiły rozkwit gospodarczy. Walki trwały ustawicznie – z ludami Azji Mniejszej, z Fenicjanami, Kartagińczykami Etruskami, ale posiew cywilizacji greckiej wschodził od brzegów Atlantyku po Kaukaz. Jednocześnie już rosła potęga, która miała wstrząsnąć Grecją i zarazem wynieść ją na szczyty chwały. Rodziło się mocarstwo Persów.

Właściwie dopiero od niedawna zaczęliśmy nieco sprawiedliwiej popatrywać na Persję. Przez całe tysiąclecie była dla nas po prostu symbolem barbarzyństwa i tępej przemocy. A przecież mimo całego swego okrutnego jedynowładztwa była ona pewnym złagodzeniem tego, co się dotąd w Azji Zachodniej dziać zwykło. Nie była państwem bardzo starym, ale dziedziczyła po innych, prastarych cywilizacjach. Zjednoczyła ciężką ręką skłócone ludy i pozwoliła im na powolny wzrost dobrobytu i kultury. A w szóstym wieku wchłaniając lidyjskie państwo Krezusa zetknęła się ze światem greckim rozsiadłym na egejskich wybrzeżach Azji Mniejszej, z jońskim, wywodzącym się z Aten „dwunastomiastem” – „dodekapolis” – i jego niezliczonymi koloniami.

Na ogół pamiętamy tylko o wielkiej wojnie, o bitwach, których pamięć nigdy się nie zatarła. A przecież stosunki grecko-perskie nie polegały na samej wrogości. Przeciwnie, więcej było związków wzajemnych niż czynów orężnych. Władcy perscy składali ofiary świątyni w Delfach, która też w istocie stała po ich stronie, Greków było pełno na dworze w Ekbatanie, Suzie, Persepolis, było ich także niemało w samej armii perskiej, a nawet w żyłach królów perskich płynęła po części krew grecka. Szczególnie w ostatnich latach imperium perskiego można mówić o bardzo znacznej hellenizacji Persów. Ale mimo wszystko spotkały się tu dwie zasady: perski, religijny despotyzm i grecka, świecka demokracja. I prawdopodobnie w tym momencie los świata zawisł na niezmiernie wątlej nitce.

Bo wszystko to razem budzi zdumienie. Z jednej strony scentralizowane mocarstwo przerastające swoim ogromem wszystko, co było dotąd, z drugiej szczupłe oddziały skłóconych wiecznie Greków, niezdolne do trwałego sojuszu, wzajemnie się napastujące i rabujące. Na dodatek część z nich opowiadała się po stronie perskiej. A jednak! Cud następuje po cudzie. W czterysta dziewięćdziesiątym roku armia Dariusza ponosi klęskę na polach Maratonu. W

dziesięć lat potem trzystu Spartan zatrzymuje na kilka dni kilkuset ty sieczną armię w przemyku termopilskim i zjednoczona flota grecka rozbija kilkakrotnie liczniejszą flotę perską pod Salaminą. W rok potem Persowie ponoszą ostateczną klęskę pod Platejami i potęga perska zostaje złamana. Odtąd koło historii zacznie się toczyć w odwrotnym kierunku, nie na zachód, lecz na wschód. I w sto kilkadziesiąt lat potem Grecy opanują wszystkie ziemie Persów.

To szczególne, że nie pokój, ale właśnie wojna wynosi Grecję na szczyty rozkwitu, także rozkwitu kulturalnego. To prawda, wojna była wygrana. Równocześnie wszystkie reformy ustrojowe i prawne, przede wszystkim ateńskie, wydają swoje owoce. Po tyranii Periandra i jego synów zostaje ostatecznie to tylko, co było dobrego i wspianego, po Drakonie, Solonie, Klejstenesie przychodzi dojrzałość prawna. Centrum greckiego świata, którym bywała po części Sparta, Korynt, miasta i wyspy jońskie, przenosi się ostatecznie do Aten. Ale jakaś stabilizacja, uspokojenie, wyciszenie nie istnieją ani na chwilę. Życie polityczne jest niesłychanie burzliwe, zarówno w sensie wewnętrznym, jak i zewnętrznym. W istocie rzeczy walki i rzezie trwają cały czas. Najwybitniejsi przywódcy po kolei idą na wygnanie – Temistokles, Arystydes, Kimon, Alkibiades, stając się niekiedy, przynajmniej w naszym rozumieniu, wzajemnymi zdrajcami. Bohater spartański, król Pauzaniasz, zostaje za zdradę zamorzony głodem w świątyni, gdzie szukał azylu. Najszlachetniejszego człowieka antyku – Sokratesa, skazano na śmierć wskutek nieprawdopodobnych oskarżeń. Sparta wojuje z Messenią, Ateny łupią nieposłusznych sojuszników, wszyscy biją się po trosze ze wszystkimi.

W czterysta trzydziestym pierwszym roku wybucha ostatecznie wojna peloponeska, która zniszczy potęgę Aten i osłabi całą Grecję. Ale równocześnie następuje niebywały wybuch wszelkiej twórczości! To teraz właśnie Perykles zamiast wydawać pieniądze na wojnę wydaje na budowę Partenonu. Rodzą się największe systemy filozoficzne dziejów, analiza jednostki ludzkiej w dziełach Eurypidesa dosięga szczytów. W największym zamęcie, w największej burzy triumfuje człowiek i jego myśl. I jeden z największych w dziejach czasów niepokoju jawi się nam po dziś dzień jako stulecie harmonii, pojednania człowieka, natury i bogów, jako triumf myśli, dobra, piękna i sprawiedliwości. Przelana krew i łzy dawno wsiąkły w ziemię, zgliszczą zarosły młodą zielenią, pozostała wieczna grecka kalokagathia – dobro i piękno. Była to najeżona okrutnymi wydarzeniami, zbryzgana krwią droga, my zaś uznaliśmy, że nigdy ludzkość nie mieszkała w piękniejszym domu. I obie prawdy są sobie równoważne.

Ale jeśli całe dzieje są pisane zbrodnią, to przecież nie każdy czas pozostawia po sobie to drugie oblicze, ten uśmiech, który jakże rzadko złoci twarz wiecznie spoconego walką wojownika.

Gdybyśmy mieli jakimś jednym tylko zdaniem określić klimat tamtego czasu, bardziej mając na myśli to, jak o nim pamiętamy, niż to, czym był dla swoich uczestników, należałoby przywołać narodzoną wówczas sentencję: „Miarą wszystkich rzeczy jest człowiek”. Jest to właściwie jedyne zdanie, jakie ocalało z głównego dzieła bardzo wybitnego sofisty, Protagoras z Abdery, z „Rozprawy polemicznej o prawdzie i bycie”, napisanej w okresie największej chwały i zamętu.

W istocie rzeczy zdanie miało trochę odmienny sens niż ten, w jakim jest dziś na ogół cytowane. Chodziło o to, że nie ma prawdy obiektywnej, że od człowieka, i to konkretnego człowieka, zależy, co będzie uważał za prawdę. Stąd możliwe i uzasadnione są sprzeczności.

Ale obok tego sensu bardzo konkretnego, bo służącego sofistyce, nauce stosowanej mądrości i wymowy przydatnej w sądzie i na zgromadzeniach ludowych, mieści się tu nauka o wiele donioślejsza. Mieści się nakaz: buduj na miarę ludzką, oprzyj się na formacie człowieka, na jego rozumieniu, na jego skali. Ani piekło, ani niebo, ani jakkolwiek niezgłębiany absolut nie orzekają o tym, co jest dobre i piękne. Wszystko to może być sprawdzone konkretnym ludzkim losem.

Zważmy, że chociaż nie znamy bliżej zdań, które to sformułowanie otaczały, jednak jest w tym wielka osobliwość: dla różnych okresów historycznych, Bo przecież rozmaicie bywało: miarą rzeczy bywała Ludzkość albo Historia, albo Społeczeństwo, albo Bóg, albo Człowiek...

Raz tylko w historii wpadł ktoś na tak wątpliwy pomysł, pomysł, jak tego dowiodły dzieje, doszczętnie poroniony. Bądź co bądź, jeśli to nawet jest próchno, to żaden totalizm przez wszystkie tysiące lat nie śmiał mu zaprzeczyć. Tylko tak się jakoś dziwnie zdarzyło, że chociaż z jego współczesnych ocalało sporo, to z Protagorasa tylko jedno raczej wypluwane niż cytowane zdanie. Ale czy można przeliczyć ilość wyroków śmierci, których nie ośmielono się wykonać dlatego, że ten wygnaniec i topielec coś takiego kiedyś napisał? A co z samym Protagorasem? W przybranej i wybranej ojczyźnie, tysiącrotnie rozślawionych Atenach, groził mu proces i wyrok śmierci za tekst przeczytany prywatnie w domu Eurypidesa. Wsiadł na statek, uciekał, statek zatonął.

W ten sposób w okrzykach chwały i rozpaczy świat helleński dobiegł swojego kresu. Tak przynajmniej twierdzą od tysiącleci uczeni, a także i natchnieni interpretatorzy. Mamy więc przed sobą nie byle jaki kęs do przełknięcia. Powstaje pytanie: czy symbole kłamią? Bo tak jak symbolem w naszej pamięci została walka Greków i Persów, tak samo symbolem została walka Greków z Macedonią.

Cheronea jest symbolem klęski nieodwołalnej, tak jak Termopile symbolem bohaterstwa. Na mogile termopilskiej napisano: „Przechodniu, powiedz Sparcie” – czy to naprawdę ważne o czym? Oni nie mieli czasu na formułowanie napisów. Umierali. Nikt także nie miał czasu na rozmyślanie pod Cheroneą.

Legion tebański, gdzie byli koledzy i przyjaciele Aleksandra, wyginął do szczytu. Do dzisiaj na pobojowisku stoi majestatyczna straż lwicy.

Aleksander Krawczuk, który nam podarował od nowa antyk, rozważa, na czyjej właściwie mogile i przez kogo ów lew został wystawiony. Historia to chyba jednak rozstrzygnęła. Jeśli nawet wystawili ów pomnik zwycięscy Macedończycy, to jednak stoi on w naszej pamięci tam, gdzie powinien: na grobie tebańskich hoplitów. Ale cóż właściwie znaczą schematy historii?

Schematy są znane: w walce z Kartaginą Rzym stał się mocarstwem. Dlaczego w walce z Persami nie stała się mocarstwem Grecja? Aleksander Macedoński, największy bohater średniowiecznych romansów, był i jest uważany za najeźdźcę. W czym i prawda, i niezupełnie prawda. Nie sposób do dzisiaj odpowiedzieć, czy Macedończycy byli Grekami. Ale czy do prawdy odpowiadać warto? Uważali się za Greków, robili wszystko, żeby nimi być. Czy warto prawie pod koniec tego tragicznego stulecia wskrzeszać ustawy norymberskie, orzekające, że ten jest tym, ile takiej właśnie ma krwi w żyłach, i to na użytek tych, którzy zginęli tysiące lat temu.

Tu klimat historii łamie się, łamie się tak nieznacznie, że właściwie nie sposób wybrać kogokolwiek. Legenda tu właśnie jest łaskawa dla stron obu. Ale ostatnimi laty wybiera Aleksandra Wielkiego, Macedońskiego, syna Filipa Drugiego. Jego przeciwnik, Demostenes, robi się coraz bardziej komiczny. Tego, co napisał, jak na razie mu nie odebrano. Tyle że ten kaleka i jakaś walczył naturalnie „o swoje”, przegrał zresztą. O co walczył w istocie?

O prawo do nieładu, braku zjednoczenia, o niezawisłość takich czy innych dialektów? W dawno przepadłej Rzeczypospolitej był jednym z nielicznych Greków przywoływanych obok Rzymian Republiki. Legenda może się mylić, ale przecież tylko z legendami mamy do czynienia. Wolność Greków była dla nich także prawem do nadużycia, do swobodnej walki ludzi, państw i wartości.

Nie mogli tego zrozumieć ani zaakceptować Rzymianie, którzy kilkakrotnie obdarowywali Greków wolnością, aby ją wkrótce z niesmakiem odbierać. Z punktu widzenia mocarstwa wolność małego państwa i wynikające stąd poczynania są zbędnym niepokojem i niekorzystnym nieładem.

Ale równocześnie Grecy tęsknili do potęgi i przynajmniej dla wielkiej ich części bajkowe dzieje Aleksandra były urzeczywistnieniem własnych pragnień. A były rzeczywiście bajkowe. W ciągu kilkunastu lat Aleksander jednoczy ostatecznie Grecję, wkracza do Azji Mniejszej zdobywa ją, zdobywa Egipt, Syrię, idzie w głąb Azji. Podbija całe mocarstwo perskie, sięga poza jego granice. Dociera do obecnego Kazachstanu, w pobliżu Jeziora Aralskiego. Kiedy wreszcie przekracza Indus i zmierza w głąb Indii, buntują mu się żołnierze. Wraca więc do Babilonu i planuje nową wyprawę, która ma oddać w jego ręce całą Afrykę i Europę zachodnią. Umiera w przeddzień swojej największej wyprawy nie osiągając pełnych trzydziestu trzech lat. Chyba ani przedtem, ani potem w dziejach nie było równie bajkowej kariery. Cóż więc dziwnego, że Aleksander staje się natchnieniem nie tylko pisarzy, ale i zdobywców? Myślał o nim Hannibal, Cezar, Napoleon.

I nie przeszkadzało nikomu, że przecież pod względem politycznym to ogromne państwo Macedończyka było efemerydą i rozpadło się dosłownie w parę dni po śmierci jego twórcy. Legenda głosi, że na pytanie, komu powierza swoje królestwo, Aleksander ustami już powleczonymi śmiercią wyszeptał „Najdzielniejszemu”. A który z jego wodzów-diadochów nie był dzielny? Cokolwiek zresztą Aleksander by powiedział, skutek byłby prawdopodobnie jednaki – testamenty wielkich władców nie spełniają się nigdy.

Imperium sięgające od Bałkanów po dzisiejszy Taszkient rozpada się na odrębne, także jeszcze bardzo potężne państwa. Seleukes zatrzymuje cały Wschód, Ptolemeusz Egipt, Antagones, Lizymach, Kasander rozszarpują resztę. I tak w roku trzysta dwudziestym trzecim, roku śmierci Aleksandra, rozpoczyna się nowa epoka przez trzysta bez mała lat wypełniona walkami spadkobierców Aleksandra i spadkobierców ich spadkobierców. Grecja właściwie staje się w tym czasie obiektem przetargów, a zarazem dostojnym autorytetem w sprawach filozofii i sztuki.

I mimo wielkich gestów, jeszcze większych słów i tytułów noszonych przez poszczególnych władców ten świat nie zmierza już ku niczemu. Nigdy już żaden Grek nie potrafi zjednoczyć rozprzęgłych części wielkiego królestwa. I przeznaczeniem tych państw nie będzie już rozkwit. Przeciwnie, będą stopniowo zamierać i więdnąć, karłowacieć i popadać w coraz większą zależność od innych ludów. W tej jednej tylko epoce tętno Wschodu i Zachodu biło miarowo w jeden takt. Aleksander chciał połączyć Greków z Persami, dosłownie zresztą nakazując każdemu ze swych żołnierzy ożenić się z Persjanką. I pewnego rodzaju jedność, a w każdym razie zbliżenie następuje istotnie i trwa przez lat kilkaset. Potem stopniowo Hindusi odzyskują najdalej na wschód wyciągnięte ziemie, z głębi Azji nadciągają nowe ludy, do głosu dochodzą Żydzi, Ormianie, rodzi się potężne państwo Partów, a z czasem odrodzi się i Persja, kładąc ostateczny kres wpływom Zachodu.

A na drugim końcu „zamieszkanego świata” – „ojkumene” powoli, ale nieustannie wzrasta potęga Rzymu i jak sunąca nieubłagane chmura zagarnia hałaśliwe greckie państwa i państewka. I kiedy w trzydziestym roku p.n.e. giną w walce z Oktawianem Antoniusz i Kleopatra, oznacza to kres bujnej epoki hellenistycznej. Rzym dotrze jeszcze do Mezopotamii i ustanowi granice na Eufracie. Dalej na Zachód nie posunie się już nigdy aż do epoki wielkich podbojów kolonialnych, której kres właśnie teraz przeżywamy. Czy przetrwa dłużej, tego jeszcze nie wiemy.

Rozpad imperium Aleksandra Wielkiego nie oznaczał rozpadu kulturalnego. Przeciwnie, te olbrzymie połacie ziemi pozostawały pod wpływem greckiej myśli i sztuki. I naturalnie także języka i sposobu bycia. Powstają nowe, greckie, choć niekoniecznie przez Greków zamieszkałe miasta; już sam Aleksander założył ich niemało, istnieją zaś do dzisiaj, od egipskiej Aleksandrii po Leninabad.

Wszystko, o czym myślała, wątpiała, spodziewała się stara Grecja, staje się wspólnym dobrem rozlicznych ludów, wchodzi w zażyłe związki z miejscowymi koncepcjami i przekonaniami. Jest to pierwsza w dziejach, przynajmniej o tyle, o ile je znamy, próba budowy cywili-

zacji uniwersalnej. Niezupełnie w ten sposób, aby od wszystkich brać to, co mają najlepsze, ale przecież podobnej cywilizacji jeszcze i do dzisiaj nie mamy. Kto wie, czy w ogóle mogłaby kiedykolwiek powstać, bo przecież „to, co najlepsze” w różnych kulturach, może się wzajemnie wykluczać. Ale bądź co bądź, próba w dziejach świata licząca się niemało.

Jeszcze do niedawna hellenizm nie miał najlepszej opinii. Uważano, że trzy stulecia dziejów greckiego świata, rozciągające się między Aleksandrem Wielkim a rzymskim Oktawianem Augustem, ani nie mają politycznego znaczenia, co jest prawdą, ani nie zdobyły się na nic nowego w dziedzinie kultury, ani też nie mają w sobie owego patosu i majestatu, który tak chętnie w odległych wiekach podziwiamy. W tej chwili nasza opinia zmieniła się o tyle, o ile przemieniła się i nasza epoka. Po prostu zauważamy dzisiaj analogie z naszymi czasami, siłą rzeczy nie istniejące jeszcze sto kilkadziesiąt lat temu. Przede wszystkim nie możemy już tak bezwzględnie przeciwstawiać dziejów greckich przed Aleksandrem i po nim, bo przestaliśmy wierzyć w nieskalaną harmonię minionego czasu. Ale różnice rzeczywiście są.

Jeśli dzieje Grecji niepodległej mogą, bodaj z ogromnej odległości, wydawać się „domem”, to najmniejsze nawet tego rodzaju wrażenie nie wiąże się z epoką Aleksandra. Jego czas był bez reszty „drogą” i w przenośni, i dosłownie. Przecież jego panowanie to w istocie rzeczy jedna gigantyczna wyprawa wojenna i odkrywcza, z rzadka znaczone wypoczynkiem. I rzecz szczególna: wypoczynki Aleksandra nigdy nie były powrotem do domu, do Macedonii, bo i nigdy tam nie wrócił. Nie były zresztą powrotem jakimkolwiek, także nie do egipskiej Aleksandrii, nowo założonej stolicy, której sam założyciel nie widział na oczy. Istniało tylko „dalej”, przeciągały armie, mieszały się ludy. Później ten ruch nie tyle zatrzymał się, co skierował do wewnątrz. Ale to nic szczególnego, stare miasta-państwa były przecież także w nieustannym ruchu. Tylko że teraz w istocie rzeczy ten ruch nie decyduje już o niczym, jest pozorny. Polityka pozostaje w rękach kilku silnych państw i w swoim czasie przejmie ją Rzym.

Natomiast kończy się już bez reszty „świat znajomych”, niewielkich organizmów, powiązań rodowych, domowych bogów. Powstają wielkie miasta-Aleksandria, Antiochia których centrum jest teraz królewski dwór, a dewizą jak największy przepych. Nauka i sztuka nie kończą się bynajmniej. Ich ośrodkami stają się wielkie biblioteki, jak aleksandryjska czy pergamońska. To prawda, epoka monumentalnej literatury minęła, nie będzie już nowego Homera, tragiczków, systemów platońskich i arystotelicznych. Teokryt, Menander czy Kallimach to już pisarze zupełnie innego pokroju, fraszkopisarze czy też uczeni komentatorzy. Teraz przecież w istocie rzeczy rodzi się filologia w aleksandryjskim Muzejonie, którego nazwę poświęconą muzom noszą do dziś muzea świata.

A to już oznacza odwrócenie twarzy ku przeszłości, poczucie czegoś nieodwracalnie dokonanego. Zresztą zwycięzcy Grecy nie mogą tak całkiem bez reszty lekceważyć ludów, które podbili.

Wprawdzie utożsamiają swoje bóstwa z miejscowymi bogami, ale krąg widzenia nieuchronnie się poszerza. Zresztą nie wszystko da się wymienić na wszystko – zderzenie Olimpu z Jehową będzie jednym z najważniejszych wydarzeń w dziejach.

A bogowie stają się bardzo, natarczywie potrzebni. Człowiek wykroczył poza ramy swojego niewielkiego społeczeństwa, które go aż dotąd określało i definiowało, nie może się już odwołać do niezłomnego obyczaju, potrzebna jest mu pomoc indywidualna. Na taką pomoc nie bardzo liczył Grek poprzednich stuleci – świat olimpijskich bogów niewiele miał w sobie intymności. Teraz do głosu dochodzą słabostki, których nie tolerowano by wcześniej. Człowiek poczuł już swoje znaczenie, swoją osobliwą misję, której ani wtedy, ani dzisiaj nie potrafi nazwać, nie chce być tylko cieniem w Elizjum. A nie ma już politycznej odskoczni, bo czasy gromadnych demokracji minęły, w wojsku zaś także lepiej spisują się zawodowcy. Zresztą format świata, w którym teraz trzeba się obracać, jest bez porównania większy.

Rodzą się więc nowi bogowie o nieporównanie większym pierwiastku tajemniczości niż w dawnej Sparcie czy Atenach. Rodzą się czy tylko odradzają? Przecież bogowie Olimpu narodzili się w ciemnym pomroczu dziejów z poprzedników o wiele mniej ludzkich i przystępnych, owianych grozą krwawych ofiar i tajemniczych obrzędów. Myśl, uczucie, ciepło, strach i nadzieja łączą się ze sobą ponownie. A Wschód ma ciągle wiele ciemnych dla niego samego tajemnic do zaoferowania. Nie wiemy wprawdzie, czy dochodzą jakieś echa z dalekich Indii. Ale całkiem przecież niedaleko Aryman walczy z Ormuzdem, Jehowa z szatanem, w powietrzu krzyżują się mgliste zalecenia magów, kabał, w nieodgadnionym Egipcie pokolenie po pokoleniu następują święte byki i czereda innych, niemniej boskich zwierząt. Granice ludzkiego świata, granice dnia znowu zaczynają się zacierać. I odtąd już pochód wschodnich bogów nie ustanie aż do kresu starożytności.

Być może misja cywilizacyjna Greków nie powiodła się właśnie dlatego, że to, co mieli do zaoferowania, trafiało do nielicznych, natomiast ich bogowie nie mogli konkurować z miejscowymi. Tak przynajmniej sądzi William Tarn, najznakomitszy znawca cywilizacji hellenistycznej. W każdym razie w okresie helleńskim niezmierną karierę robi Dionizos, pan ciemnych i szalonych mocy, karierę nie taką przecież, aby zawładnąć bez reszty światem. Najsłynniejszym bóstwem hellenizmu pozostał Serapis, bóstwo niejako sztucznie skonstruowane z cech egipskich i greckich, sięgające od wyżyn niebiańskich po piekielne otchłanie. Szczególne jednak, że wiele większe znaczenie miały w owym czasie boginie. A wiemy przecież, że przed epoką klasyczną, przed światem znanych nam Greków to właśnie Wielka Bogini panowała nad całym basenem Morza Śródziemnego. O wielu imionach i w trojakiiej postaci: dziewicy, kochanki i matki, rządziła matriarchalnym zapewne Śródziemniem. I teraz znowu przypomniawszy o swym istnieniu, będąc Anahit Persów czy Izydą Egipcjan „o dziesięciu tysiącach imion”. Jej kult, inaczej nazywany istnieje do dzisiaj w stopniu prawie nie zmienionym, chociaż ogranicza się teraz do atrybutów Matki i Dziewicy.

Najdziwniejszą jednak boginią była Tyche, co oznacza po grecku „los, przeznaczenie, zrządzenie, szczęście, nieszczęście” (jak notuje słownik Węclewskiego). Osobliwa to postać, po części tylko wywodząca się z panteonu Greków. Bogini losu, losu każdego poszczególnego człowieka, darząca na przemian dobrem i złem wedle niepojętych reguł, nie mających w każdym razie żadnego związku z ludzkim postępowaniem, z winą i zasługą. Zapewne i wtedy, podobnie jak dziś, ludzie uważali, że spotyka ich w życiu więcej złego niż dobrego, że więcej jest nieszczęśliwych niż zadowolonych. A przecież jeden z piękniejszych i bardziej słynnych posągów całej starożytności Tyche Antiochii dłuta Eutykhidesa przedstawia piękną, młodą kobietę z pękiem kłosów w dłoni, tajemniczą, ale i opiekuńczą zarazem, może jedną z najserdeczniejszych bogiń antyku. Ależ tak, bo i mieści się w tym prośba do losu, bezradna próba zaklęcia go, oswojenia, zauroczenia, tak jak w niezliczonych świątynkach i domowych ołtarzykach poświęconych tej najbardziej nieodgadnionej, nieprzewidzianej i wielorakiej bogini. Była bowiem Tyche poszczególnych miast i poszczególnych ludzi, jako że i los wszystkiego, co istnieje, jest przecież różny.

Wyniesienie Tyche, Przypadku, na ołtarze jest chyba jednym z najznamienniejszych cech ducha hellenizmu. Oznacza, że zawalił się jakiś porządek świata, że przepadła wiara w nieodmienny i konieczny związek rzeczy i wydarzeń. Nie wystarczy w określony sposób postępować, aby zyskać szczęście i powodzenie, ponieważ w każdej chwili jesteśmy zależni od sił nieobliczalnych. Nie ma więc bezpiecznego domu-ostoi, nie ma rzeczy dokonanych i spełnionych, jest tylko nieskończona droga nie wiadomo dokąd prowadząca.

Zburzenie kultów, ideologii i filozofii oficjalnych, a właściwie sformalizowanie ich, bo przecież istnieją nadal, wyraziło się w owym czasie narodzinami niezmiernie ważnych i wiele znaczących w dziejach koncepcji stoickiej i epikurejskiej (o czym będziemy mówić osobno), rozwojem poszukiwań naukowych i techniki, choć to ostatnie nigdy nie stało się mocną stroną starożytności. W każdym razie posunęła się naprzód matematyka, fizyka, geografia, a do

dzisiaj o Archimedesie wie każde dziecko. O wiele większe jednak znaczenie miały przeróżne odmiany myśli tajemnej i magicznej. Teraz właśnie rodzi się rozbudowany system astrologiczny, rozwija demonologia i wszelkie nauki „hermetyczne”. „Hermetyczne”, bo tajemniczym twórcą wszystkich tych dziedzin miał być Hermes Trismegistes, „Trzykroć wielki”, nie wiadomo – bóg, demon czy człowiek, którego „tablica szmaragdowa” była podstawą alchemii, katechizmem poszukiwaczy kamienia filozoficznego i tajemnicy produkcji złota, dokąd tylko tacy istnieli, a może i do dziś jeszcze. Zakwestionowanie jednego i autorytatywnego porządku świata otworzyło wrota poszukiwaniom wszelkiego rodzaju. Niewiara we wszystko i wiara we wszystko to dwie siostry, zawsze syjamskie.

Historia polityczna świata hellenistycznego kończy się ostatecznie w roku trzydziestym przed naszą erą. Nie kończą się jednak ani dzieje Greków, ani tym bardziej kultury greckiej. O ile na Wschodzie duch helleński z upływem czasu wiotczeje i zanika, o tyle w Europie staje się filarem Imperium Rzymskiego, którego częścią była teraz Grecja jako „provincia Achaja”. Jej kultura łączy się z Rzymem w jedną nierozzerwalną całość. Jej język będzie przez cały czas drugim językiem Cesarstwa i w nim właśnie Marek Aureliusz napisze swoje „Rozmyślenia”, w nim ojcowie Kościoła doskonalić będą myśli i pojęcia. A kiedy w niespełna czterysta lat po śmierci ostatniej greckiej królowej Egiptu Konstantyn Wielki założy nad Bosforem nową stolicę przeciwstawiając ją Rzymowi, to w tym właśnie wieloimiennym mieście – Bizancjum, Konstantynopolu, Carogrodzie, Stambule – jego mieszkańcy jeszcze przez tysiąc lat po upadku Rzymu zwąc się Rzymianami będą się tak nazywali w języku greckim. Ale mimo wszystkich niezwykłości Cesarstwa Wschodnio-Rzymskiego i dalszych dziejów Grecji, aż po jej współczesne odrodzenie, będą to już raczej dzieje jednego państwa, a nie historia świata, jak było dotąd.

Grecja współczesna nie jest w o wiele większym stopniu spadkobierczynią kultury Grecji antycznej niż Anglia czy Polska, a dla jej przyjaciół niezbyt wesoło brzmi stwierdzenie, że w dwudziestym wieku najśłynniejszym chyba rodakiem Sokratesa, Platona i Sofoklesa był dobrokiewicz Onassis. Bo też rolę Grecji przejął na początku naszej ery Rzym. Przejmował ją zresztą wcześniej, i to tak dokładnie, że nawet przejął wielowiekową rywalizację Greków z Fenicjanami i rozstrzygnął ją na zawsze na gruzach Kartaginy. A teraz, w nowej epoce hellenistycznej, czyta się Homera równie dobrze w Tokio, Kinszasie czy Pernambuco. Mała rzeczka Skamander, ponad którą świszczą strzały Achajów, okazała się największą rzeką świata – Oceanem, tym, który wedle Greków opływał całą zamieszkaną Ziemię. Może kiedyś okaże się także Mleczną Droga? Jeśli ten ktoś, kto kiedyś popłynie w kłębowisko dalekich gwiazd, nie będzie już pamiętał ani wiedział o małej trojańskiej rzeczce, to, doprawdy, nie ma po co lecieć.

Na razie jednak Grek z krwi lub też wychowania niewiele wie o gwiazdach, choć zapewne ogląda je częściej niż jego spadkobierca w dwa tysiące lat później. Są większe i jaśniejsze, nie zaćmione światłami neonów, nie przesłonięte chmurami kopcia, spalin i rozrywanej wstrząsami nuklearnych wybuchów materii. Krąg ziem wokół „Morza Wewnętrznego” został już zbadany i zamieszkaný. Od Półwyspu Pirenejskiego po Mezopotamię rozłożyły się ludne i bogate miasta, rozciągnęły uprawne pola bujne pszenicą, oliwnymi gajami i pędami winorośli. Aż do dziś ze świata Greków dobiega nas cierpki zapach morza i świeżego chleba.

U schyłku swojej politycznej historii Hellada mało już wydaje bohaterów; więcej kupców, żeglarzy, uczonych, filozofów i aktorów. To prawda, poszczególne greckie miasta raz wraz zrywają się do obrony swojej niezależności. Płonie Korynt, Syrakuzy, Aleksandria. Ale to raczej wyjątki, przeciętny Grek mało ma okazji do zajmowania się polityką, w każdym zaś wypadku jest to już tylko polityka lokalna. Mało tu okazji do wielkości, wszak „niewolnikowi Zeus połowę duszy zabiera”, ale żyje się chyba wygodnie, bezpiecznie i dostatnio. Helleńscy bogowie zmieniają imiona i przenoszą się na Kapitol. Przeminał czas ateńskiej Sowy, zaczyna się godzina Wilczycy.

Klimaty Śródziemnomorza – Rzym

Stare podanie opowiada o tym, jak Galowie pod wodzą Brennusa, rozbijając po drodze italskie państewka, dotarli do Rzymu. Wojsko łatyńskie obwarowało się na skalistym Kapitolu, a pozostali mieszkańcy uciekli. Nie wszyscy jednak: starcy, członkowie senatu, zasiedli w białych, bramowanych purpurą togach na swych kurulnych krzesłach z kości słoniowej na Forum. I wkraczający Galowie stanęli oniemiałi tym zgromadzeniem nieulekłych ludzi-posagów. Rzeź zaczęła się dopiero za chwilę. Później były słynne gęsi, które spłoszonym gęganiem ostrzegły obrońców, i nie mniej słynne „vae victis” – „biada zwyciężonym” Brennusa dorzucającego swój miecz do odważników mających odmierzyć cenę rzymskiego okupu. I ostateczne zwycięstwo Kamilla. Ale najbardziej majestatycznie rysują się nam w pamięci owi starcy pełni pogardy dla barbarzyńców, których nie raczyli się przerazić, pełni wręcz magicznej mocy i dumy. I nie dziwi nas, że przed owym senatem gięło się w strachu i pokorze wszystko. Przecież w trzysta lat potem wystarczyło, aby poseł senatu Popiliusz zakreślił laską koło wokół zwyciężającego Ptolemeuszów egipskich Antiocha i zażądał decyzji, zanim przekroczy kreskę, aby ten ugiął się i upokorzył. Podobnych przykładów, zapewne autentycznych, są dziesiątki.

Nie wiem, czy istniało w dziejach zgromadzenie, które przez setki lat potrafiłoby zachować tak wysoki i nienaruszony autorytet, i to mimo późniejszego haniebnego upadku, gdy senat staje się tylko pozorem i fasadą kiepsko okrywającą jedynowładztwo cesarów. Kaligula mógł nawet swego konia mianować konsulem i senat zdobył się tylko na uniżone wyrazy zachwyty, ale w owym czasie chwała Rzymu nie polegała już na senacie, a raczej na jedności kulturalnej ludów od Hiszpanii po Mezopotamię. Gdyż tylko na kilka stuleci Śródziemnomrze zostało zjednoczone, ani przedtem, ani potem nigdy już do tego nie doszło. Samo Cesarstwo, nie potrafiąc utrzymać jedności tego obszaru, podzieliło się na część wschodnią i zachodnią, później zaś wkroczył islam dzieląc świat na północ i południe, aż wreszcie cała pożąta Śródziemnomorza stała się już tylko wspomnieniem.

I dziś najpiękniejsze ruiny świata otaczają to prastare jezioro, które porzucili dawni bogowie.

W roku trzysta dziewięćdziesiątym, roku najazdu Galów, zachodnia część Morza Śródziemnego, choć bez porównania młodsza od wschodniej, też już nie jest całkiem dziewicza. Sam Rzym, założony w roku siedemset pięćdziesiątym trzecim (co zresztą wyliczono później), ma już kilkaset lat. Tyleż samo mniej więcej ma położona na terenie obecnego Tunisu Kartagina, w podobnym wieku są też liczne kolonie greckie rozsiane na Sycylii i na południowych wybrzeżach dzisiejszych Francji i Włoch. Ale nie ma w tej stronie świata wspomnień o dynastiach królów niemal tak starych jak bogowie, nie wznoszą się piramidy, zikkuraty czy wiszące ogrody. Dopiero my odkrywamy, że w głębokich jaskiniach już dziesiątki

tysięcy lat drzemią arcydzieła malarstwa, że i na tej ziemi od czasów niepamiętnych przeciągały plemiona i narody. Śródziemnomorze nie wie o tym, nie przeczuwa też, że z jego popiołów zrodzi się na miejscu owych mrocznych i chłodnych puszczy cywilizacja, która ośmieli się sięgać w kosmos. Krąży tylko niejasna wieść o zatopionej Atlantydzie, ale genealogii, prawdziwych i domniemanych, szuka się raczej na Wschodzie, w Sydonie, Tyrze, Troi. Właśnie Rzymianie powoływać się będą na Eneasza, który przed wiekami wyrwał się z płonącej Troi i przywędrował w nadtybrzańskie puszcze. Był synem Afrodyty i w ten sposób bogini miłości, czy może namiętności, stanie się „opiekunką Kwiryków”, tak jak patronką Ateńczyków była bogini mądrości – Atena. Rzym, co prawda, stanie się z czasem siedliskiem wszystkich możliwych bogów.

Na razie, w szóstym, piątym, czwartym stuleciu przed naszą erą jest jeszcze obojętne, na jakie genealogie się powołuje i jakich bogów wyznaje. Przepowiedziano mu wprawdzie panowanie nad światem, ale nikt tego serio nie bierze. Nie liczy się jeszcze ani kulturalnie, ani politycznie, jeśli nie brać pod uwagę polityki zgoła powiatowej. Gdyby zginął, gdyby przegrał, na przykład z Pyrrusem czy Hannibalem, nic byśmy dziś nie słyszeli i nie pamiętali o jakichś wojnach samnickich, o jakichś zakazanych Wolskach, Oskach, Latynach. Może i dzieje świata nie zmieniłyby się wiele: niezależnie od tego, jakie państwo zdobyłoby dominację, każde uległoby kulturze hellenistycznej, podobnie jak uległ jej sam Rzym. W posąg Aleksandra Wielkiego wpatrywali się tak samo Cezar i Hannibal; ktokolwiek byłby następcą, wzór był tylko jeden. Tyche jednak zadecydowała, że ojczyznę cywilizacji stanie się Europa.

Na razie o wiele większe znaczenie mają greckie kolonie („Wielka Grecja”), Kartagina i Etruskowie. Tych ostatnich ciągle jeszcze odkrywamy. Nie potrafimy zrozumieć ich języka, ale zadziwia nas ich wspaniała sztuka znajdowana w niezliczonych grobowcach. Nie wiemy, skąd pochodzili i z jakimi ludami wiązał ich język, wiemy jednak, że to oni panowali początkowo w Rzymie i że siedmiu królów, od których rozpoczyna się historia „miasta wilczycy”, było właśnie Etruskami. Sam Rzym, „Roma quadrata”, jak się to miasto we wczesnym okresie nazywa, ma kulturę ubożuchną. Chyba iż zgodzimy się, że on sam jest jedynym i najwspanialszym tej kultury przedmiotem. Myślę, że można tak sądzić, bo dzieje Rzymu to niemal dzieło sztuki.

Podobnie Maurois widział dzieło sztuki w „Dziejach Anglii”, gdzie wszystko się uzupełnia, sumuje, narasta, formuje twór sensowny i pełen chwały. Ale swoją książkę Maurois pisał przed drugą wojną światową, przed smętnym rozpadem brytyjskiego imperium. Dzieje Rzymu oglądamy do jego końca, do jego upadku. Zresztą jesteśmy i dziś jego spadkobiercami i na dobrą sprawę dzieje te toczą się dalej. Jak się zakończą – któż wie?

Ale jest coś imponującego w tym konsekwentnym narastaniu Miasta, wchłaniającego najpierw sąsiadów, odpierającego najazdy, potem toczącego śmiertelny bój z Kartaginą, sięgającego po Grecję, Persję, Afrykę, Brytanię i północne puszcze Europy. Byłyby to dzieje haniebne, gdyby przynosiły zniszczenie i upadek. Ale Rzym rozpowszechniał szczyty ówczesnej kultury, nie romanizował siłą, przejmował wiele od pokonanych. Rozsiewał ziarna, które wzeszły po wiekach, gdy on sam obrócił się w legendę.

To prawda, ale z drugiej strony pociąga mnie spojrzenie na historię oczami pobitych i podbitych. Jak też prezentowały się niezwyciężone legiony rzymskie i Miasto na siedmiu pagórkach z punktu widzenia pokonanych miast samnickich, galijskich etruskich? To przecież Rzym pokonał Galów Wercyngetoryksa, spalił do szczytu Kartaginę, Korynt, Jerozolimę, orząc miejsce, na którym stała, Numancję Hiszpanów, Palmirę, Sarmizegetuzę Daków. Ta posępna lista mogłaby się ciągnąć długo. Nie sposób bez zadumy pisać o Mieście Wilczycy w zrównanym nie tak dawno z ziemią Mieście Syreny. Ale Historia może tylko powtórzyć owe Brennusa „vae victis”, a Bóg jest zawsze po stronie silniejszych batalionów.

Bogowie przez całe wieki byli po stronie Rzymu. I on sam nie zapominał o nich nigdy. Już sama Roma była boginią, a każde stulecie mnożyło nowych bogów. Przechowywano tu Księ-

gi Sybillińskie, przepowiednie, których radzono się w chwilach niepowodzeń. Otóż właśnie Księgi Sybillińskie z reguły w takiej sytuacji radziły wprowadzenie kultu nowego bóstwa.

Były to najczęściej bóstwa greckie, bo przecież i sama Sybilla była grecką wieszczką Apollina i księgi jej oczywiście po grecku zostały spisane. Jest w tym zresztą pewna osobliwość i pikanteria: wedle legendy Sybilla sprzedała owe słynne księgi po dość szczególnych targach Tarkwiniuszowi Pysznemu, ostatniemu królowi Rzymu. Ale ten król wcale nie był Rzymianinem: był Etruskim, podobnie jak jego poprzednicy. W ten sposób najświętszym dziedzictwem łacińskiego państwa stały się greckie pisma wprowadzone przez mówiącego po etrusku króla. I był w tym znak nieomalże wieszczcy: przez długie stulecia miał Rzym i jego język wchłaniać kultury przeróżnych narodów formując mowę i świat pojęć uniwersalnych. Żeby się to jednak dokonało, przez wszystkie te stulecia rzeka krwi nie wysychała ani na chwilę.

Rzym z punktu widzenia zwyciężonych to rzeczywiście przebiegła i krwawa wilczyca o nie próżnujących, nieubłaganych kłach, które nie wypuszczały nigdy tego, co raz chwyciły. U schyłku republiki Mariusz przetnie skargi Mitrydatesa: „Albo bądź silniejszy od Rzymu, albo posłuszny”. Dyskusja była skończona.

Ale jacykolwiek „silniejsi” byli daleko, za kręgiem Śródziemnomorza; chroniły ich pustynie, oceany, góry albo bezmierne puszcze. Wolni od grozy Rzymu, ale także pozbawieni jego darów.

Tu, w śródziemnomorskim tyglu, sytuacja wyglądała inaczej. I zanim podejmiemy opowieść o chwale Miasta, poświęćmy trochę czasu jego hańbie. A hańbą bezsporną było niszczenie innych Miast przez duże „M”, miast, które także były zarzewiem cywilizacji. Bo wszystkich miast i miasteczek zniszczonych przez Rzymian wymienić nie sposób, o wielu, bardzo wielu ani pamiętamy, ani nawet wiemy. Pomińmy też miasta tylko zniewolone, lecz nie zniszczone, takie, jak choćby Ateny czy Aleksandria.

Listę wielkich miast zabitych, o których pamiętamy, otwiera chyba Kapua, sąsiadka i rywalka Rzymu, stolica bogatej Kampanii, przedmiot wiekowej zazdrości Rzymian. Wciśnięta między wrogie plemiona Latynów i Samnitów oddała się w poddaństwo Rzymowi. Ale kiedy wydawało się, że Hannibal ostatecznie zwycięży, po bitwie pod Kannami wpuściła Kartagińczyka w swoje mury. I tym samym dała Rzymowi pretekst do ostatecznej rozprawy. Rzym nie spalił Kapui, nie rozebrał jej murów, ale zrobił z niej mniej więcej to, co Hitler chciał początkowo zrobić z Warszawy: drobne „centrum usługowe” dla okolicznych rolników, podczas gdy ludność została częściowo wybita, a resztki przesiedlone gdzie indziej.

Inne miasta spotkał los bardziej dramatyczny i straszny, choć bohaterski. Sto lat trwała rozprawa z Kartagimą, aż wreszcie w połowie drugiego wieku przed naszą erą, w trzeciej wojnie, a właściwie już rzezi punickiej z miasta Fenicjan nie został kamień na kamieniu, a ostatni obrońcy Byrsy, kartagińskiego Wawelu, popełnili samobójstwo. Podobnie popełnili samobójstwo obrońcy hiszpańskiej Numancji, stolicy Iberów.

Klęskę Kartaginy poprzedziła agonía Syrakuz, klejnotu Sycylii, wyspy Pitagorasa i Platona, Empedoklesa i Archimedesza, Syrakuz ozdobionych dłutem i pędzlem najwybitniejszych twórców Grecji, Syrakuz, które długo karmiły i bogaciły sam Rzym.

To prawda, ich polityka była tyleż szalona, co obrona sławna. Syrakuzy, przelotny sojusznik Kartaginy, chciały się zresztą poddać, ale rzymski dowódca Marcellus zignorował te starania: chodziło mu o krwawe zwycięstwo, dające pretekst do mordów i grabieży. Cóż z tego, że oplakiwał Archimedesza, zabitego ponoć przez omyłkę w chwili, gdy mędrzec rozwiązywał matematyczne zadanie? Marcellus Archimedesza uroczyście pochował, ale miasto złupił doszczętnie i skazał na wieczystą nicość.

A po Kartaginie dopełnił się los Koryntu, prawie dokładnie w tym samym czasie, w roku sto czterdziestym szóstym. I nie było to podyktowane żadną koniecznością militarną czy polityczną, o czym od biedy dałoby się mówić w wypadku Syrakuz czy Kartaginy. Korynt był

po prostu konkurentem handlowym Rzymu. Bo przecież było to miasto wspaniałe i stare, zbudowane na skrzyżowaniu dróg lądowych i morskich. Tędy właśnie z kontynentu, przez Istmos, prowadziła jedyna lądowa droga na Peloponez, ku Sparcie, ku Olimpu. Tu zbliżały się do siebie z przeciwległych stron Zatoka Saronńska i Koryncka, między którymi przeciągano statki pochylniami, które zwały się „diolkos”. Korynt jeszcze przed Atenami był najświetniejszym producentem najpiękniejszej ceramiki, miastem wspaniałym i bogatym sztuką. Legenda mówi, że podczas ostatecznego szturm i pożaru miasta strugi stopionych drogocennych metali pomieszały się tworząc najstłynniejszy w starożytności brąz koryncki. Tyle więc zostało z wolności, którą miał rzekomo nieść filhelleński Rzym ciemionej przez Macedończyków Grecji.

Koroną zniszczeń była Jerozolima, zdobyta przez Pompejusza w roku sześćdziesiątym czwartym przed naszą erą, już później zburzona i zaorana przez szlachetnego cesarza Tytusa, wówczas następcę tronu. Ileż napisano o tym, ileż deliberowano, jak to się stało, że spłonęła nawet świątynia, która początkowo miała być rzekomo oszczędzona, świątynia Salomona i Heroda, oś zdarzeń roku trzydziestego trzeciego nowej ery.

Zawsze było mniej więcej tak samo. Legiony nadciągały w równym, karnym szeregu pałac wioski, niszcząc sady i winnice. Wokół miasta zaciskał się żelazny krąg, wznosił się pierścień wałów i wież. Mógłby stąd uciec kret, mógłby odlecieć ptak. Ludzie musieli zostać, miesiącami przymierać głodem, bronić coraz słabszych, coraz ciasniejszych fortyfikacji. Wreszcie zabijali się lub ginęli rozpięci na krzyżach. Pędzone w niewolę niedobitki oglądały, jak burzono do szczytu miasto i orano miejsce, na którym stało.

Rzym z punktu widzenia jego przeciwników to gigantyczny zaborca, któremu nic oprzeć się nie może. To likwidacja wszelkiej niezależności i bezwzględna kara za opór. I to piętno pozostało już na zawsze – nie zapomniano ani Numancji, ani Jerozolimy, ani nawet Kartaginy, choć nie ma już nikogo, kto mógłby się o tę ostatnią upomnieć. Ale bezpośredni spadkobiercy nie zawsze są konieczni. To przecież w Polsce największym głosem Zygmunta Krasińskiego upomniano się w „Irydionie” o zniewoloną Grecję, w dwa tysiące lat po zburzeniu Koryntu.

Ale wszystko to było chyba konieczne, aby zdobycze antyku mogły się utrwalić i ostatecznie stać dziedzictwem całego świata. Nie można też zapominać i o drugiej stronie medalu, jeśli oczywiście rozważania o moralności, słuszności lub niesłuszności historii mają jakikolwiek sens.

Rzym, wielki agresor, sam z kolei był właściwie nieustannie zagrożony. Nawet w pierwszych wiekach naszej ery, kiedy osiągnął szczyty swojej potęgi, w każdej chwili mógł nastąpić druzgoczący najazd z północy. I rzeczywiście w końcu nastąpił. O ile południe, zachód i częściowo północny zachód opierały się o pustynie i wielkie wody, o tyle wschód i północny wschód były otwarte, nigdy do końca nie zbadane, przez cały czas grożące niewiadomymi najazdami. Bezkręsy Azji zawsze mogły kryć potencjalnego Attyle czy Czingis-chana. A Rzym pamiętał. o najeźdźcach swojej wczesnej historii, pamiętał, że jego los wisiał na włosku, gdy zdobywali go Galowie czy Etruskowie, Brennus czy Porsenna.

Była to przecież mała osada, jedna z bardzo wielu na Półwyspie Apenińskim. Podobną sytuację obserwowaliśmy i w Grecji, ale z bardzo istotną różnicą – tam mianowicie sąsiadami Greków byli inni Grecy, tutaj plemion i języków było bez liku – oprócz Latynów i Etrusków – Faliskowie i Umbrowie, Ligurowie i Wenetowie, Galowie i Retowie, Sabinowie, byli Samnici, Marsowie, Wolskowie, Kampanowie, Ausonowie, Oskowie, Sykulowie, Sykanowie, Picenowie, Frentani, Apulowie, Japygowie i Messapiowie, nie mówiąc o wtedy już prastarych i ginących Ojnotrach, Chonach, Morgetach.

Małe miasto u przeprawy nad Tybrem, wedle legendy kolonia starszej Alba Longa, potrzebowało setek lat, aby drogą niezliczonych sojuszy i wojen opanować cały Półwysep Apeniński. Na północy byli Etruskowie, na południu Samnici. Rzym skupił początkowo wokół

siebie Latynów i długo terminował u Etrusków, później zaś rozpoczął się cykl wojen samnitycznych, w których niekiedy Miasto ponosiło straszne i hańbiące klęski, jak w słynnych wąwozach kaudyńskich, gdzie cała armia Rzymu dostała się do niewoli.

Ludy podbite albo zmuszone do sojuszu obdarzał Rzym swoim obywatelstwem, początkowo z reguły niepełnym. Wiązał ich ze sobą silniej i silniej, bo obywatelstwo rzymskie zapewniało wielkie korzyści. Ale przez całe wieki nie mógł być zupełnie pewny swoich sprzymierzeńców. Z niektórymi nie uładził się nigdy – Samnitów na przykład dotknęła ostatecznie prawie zupełna eksterminacja.

Równocześnie krzepła struktura polityczna Rzymu, który od schyłku szóstego wieku, wymienia się tu rok pięćset dziewiąty, stał się republiką. Od tego czasu trwał nie kończący się nigdy spór między patrycjuszami a plebejuszami. Różne są teorie na temat powstania tych dwóch grup, których nie można utożsamiać z klasami społecznymi w naszym rozumieniu. Bywali plebejusze bogatsi od patrycjuszy, bywały rody plebejskie nie mniej stare i dumne.

Bywało i tak, że patrycjusz drogą adopcji stawał się plebejuszem, bo tylko wtedy mógł osiągnąć trybunat, potężny urząd zapewniający nietykalność, zarezerwowany później dla cesarzy. Ale też do plebsu należały ogromne rzesze biedoty, biedoty obdarzonej jednak prawem głosu, co w ostatnich latach Republiki stało się przedmiotem cynicznych targów.

Każdy podręcznik historii przynosi opisy bezustannych walk politycznych dotyczących prawa do obejmowania urzędów, umorzenia długów, rozdziału ziemi i tak dalej. Walki, pełne dramatycznych epizodów, politycznych procesów, secesji, czyli opuszczenia miasta przez zbrojny plebs, osiągnęły swoją kulminację w drugim wieku, w czasach Tyberiusza i Gajusza Grakchów, przywódców ludu, ale i pretendentów do władzy absolutnej.

Wtedy właśnie zaczęło się jawne łamanie i obchodzenie obowiązujących praw, co musiało doprowadzić ostatecznie do upadku Republiki. Oczywiście prawo jak zawsze i wszędzie obchodzono i przedtem, ale w Rzymie było to może trudniejsze niż gdzie indziej. Nie zapominajmy, że przez wszystkie wieki Rzym był mocarstwem jurydycznym, a jego prawodawstwo stanowi do dzisiaj punkt wyjścia i podstawę systemów prawnych całego zachodniego świata. Fundamentem rzymskiego prawa było zaś prawo dwunastu tablic ogłoszone w połowie piątego wieku, w kilkadziesiąt lat po ustanowieniu Republiki. Miało znaczenie ogromne.

Ustanowili je decemwiriowie, dziesięciu urzędników o najwyższych uprawnieniach, którzy zresztą nie chcieli z owych uprawnień zrezygnować i musieli zostać obaleni siłą. Mieli oni zrównać wobec prawa wszystkich obywateli, czego jednak nie przeprowadzili całkiem konsekwentnie, ale co jest, przynajmniej w teorii, kamieniem węgielnym prawa współczesnego. W praktyce siła stoi ponad prawem, o czym już starożytni wiedzieli – ale prawo jest od niej trwalsze. Prawo dwunastu tablic to coś więcej jeszcze, to przejście od prawa bogów do prawa ludzi, od niezbadanego i niedocieczonego „fas” do umownego i służącego człowiekowi „ius”.

Naturalnie, zdarzało się i zdarza, że ludzie uświęcają jakąś zasadę do tego stopnia, iż staje się ona ostatecznie czymś boskim i niepodważalnym. Być może, jest to po prostu nieuniknione. To znowu powrót do „fas”. Ale powrót z reguły wstydlivy i szukający racjonalnych uzasadnień, powrót zawieszony między krzywdą jednych a władzą drugich. Od czasu prawa dwunastu tablic fałszywi prawodawcy są skazani na fałszywą sankcję.

Prawo, przynajmniej to prawo, które wywodzi się od Rzymian, jest domeną szczególną. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej sprzecznego z obyczajami natury, z naturalnym biegiem wydarzeń. Trudno sobie wyobrazić dziedzinę bardziej ludzką, bardziej zawisłą od ludzkiego rozumu i umowy. Może niekoniecznie musimy podzielać pogląd Goethego, że właśnie prawo może nam dać prawdziwą wolność, ale nie sposób zaprzeczyć, że tylko ono zakreśla granice społecznego działania. Bo nawet zburzenie prawa mieści się w nim, jako że musi prowadzić do ustanowienia nowego.

Konrad Lorenz w książce „Tak zwane zło” wyprowadza z agresji, z nieuniknionej walki właśnie dobro i to, co w istotach żywych jest najpiękniejsze i najszlachetniejsze. Ale ta prze-

miana realizuje się wedle niego poprzez poczucie i niezbędność rytuału, a więc coś jakby pierwociny prawa zapisanego w zbiorowym ciele gatunku.

Ale gatunek ludzki nie może, na dobre czy na złe, liczyć na tak automatyczną własną zaletę. Jeśli nie całkiem wolny, co do czego zdania są rozbieżne, to przecież wolniejszy od zwierząt, jest w stopniu wprost proporcjonalnym bardziej zależny od własnego rozumu, od stworzonej przez siebie samego konwencji.

Przez wszystkie wieki patrzą w człowieku twarzą w twarz prawo i bestia. Od czasu dwunastu tablic prawo można wprawdzie złamać bez trudu, jeśli się ma siłę i władzę, ale żadna siła i władza nie ochroni od upadku i potępienia.

Nie znajdziemy tego u greckich prawodawców, u Likurga, Solona czy Klejstenesa. Może i dlatego, że pierwotni, własni bogowie Rzymu byli mniej antropomorficzni, a bardziej abstrakcyjni niż piękni bogowie Grecji. A może wzięło się to i stąd, że ustroj republikańskiego Rzymu zawierał w sobie wiele elementów społecznej równowagi.

Wychwalał go za to Polibiusz, grecki zakładnik, który spędziwszy w Rzymie siedemnaście lat spisał jego historię i pochwałę. I nie tylko wychwalał: uważał, że państwo o najdoskonalszym systemie społecznym (działo się to w drugim wieku p.n.e.) powinno podbić cały świat, aby wszyscy mogli dostąpić dobrodziejstw jego ustroju. Ów ustroj zawierał, wedle Polibiusza, elementy monarchii, arystokracji i demokracji ucieleśnione w instytucji konsulatu, w senacie i zgromadzeniu ludowym.

Nie wdając się w dyskusję z wnioskami Polibiusza, trzeba przyznać, że przez pięćset lat nie tyle współlistnienie, co nieustanna walka republikańskich przeciwieństw, a więc nieustanna kontrola społeczna, zmuszająca do jawności życia społecznego, wykształciła typ człowieka na swój sposób idealnego czy, mówiąc ściślej: idealnego obywatela podziwianego przez wieki.

Ideał, żaden ideał, nie istniał i nie mógł istnieć nigdzie i nigdy. Ale wśród państw europejskich, spadkobierców Rzymu, Polska szesnastego i siedemnastego wieku umiłowała sobie właśnie ów obywatelski, republikański wzorzec. To nie tylko sprawa frazeologii politycznej ani nawet Konfederacji Warszawskiej z tysiąc pięćset siedemdziesiątego drugiego roku, unikalnego manifestu tolerancji, ani nawet tego, że była to monarchia i przecież republika – Rzeczpospolita – zarazem, ani trochę zabawnych pseudoantycznych rodowodów czy też powszechnej znajomości łaciny, to sprawa społecznej właśnie równowagi, równowagi takiej, jaka była wówczas możliwa. Czy naprawdę popełnię wielki anachronizm, jeśli nazwę to po prostu praworządnością? Łamaną i kaleką, tak jak zawsze, ale przecież nie kwestionowaną.

To właśnie obywatelskie legendy Rzymu, których prawda miesza się z pięknym zmyśleniem, stworzyły przez tysiąclecia obecny wzorzec heroiczny i bezinteresowny. Podejrzewamy, że więcej w nim legendy niż prawdy, i to podejrzenie przynosi zaszczyt równy naszym sceptycznym umysłom, jak i wątpliwe świadectwo charakterom i wyobraźni.

Przypomnijmy sobie bodaj nieliczne. O ile rzeczywiście trzeba przypominać. Bo któż nie pamięta Koriolana? Co prawda, pamiętamy raczej tragedię Szekspira, uverturę Beethowena i szydery dramatu Günthera Grassa. Ale to jednak ta sama legenda, przesłanie równie przewrotne, ale bardziej jeszcze dwuznaczne niż ironiczna tragedia Sofoklesa o Edypie, gdzie każdy krok ku zwycięstwu jest krokiem ku zagładzie. Porównanie Edypa z Koriolanem może budzić wątpliwości. A jednak... Edyp zabija ojca i żeni się z własną matką zostając tebańskim królem. Po czym, nieświadomy tego, co uczynił, próbuje odeprzeć atak losu, zarazę niszczącą miasto. Może to zrobić, jeśli odgadnie, skąd wzięła się zaraza – „miazma”. Ale wiedza, którą uzyska, będzie wiedzą dla niego fatalną, będzie wiedząc jego zawinionej nie zawinionej hańbie. Duch zemsty rodowej – Alastor – nie opuści wraz, z nim miasta, mimo że przecież cały przeklęty ród będzie się zabijał i oślepił. W tebańskiej twierdzy Kadmei rozegra się jeszcze walka dwóch braci: Eteoklesa i Polinejesa, ich śmierć, tragedia Antygony, Hajmona...

Czy naprawdę bardzo różny jest los Koriolana? Zdobywca Corioli, pogromca Wolsków, wypędzony dla swej dumy i nierealnych żądań politycznych z Miasta staje się zdrajcą i prowadzi tychże Wolsków na Rzym. I w ostatniej chwili zdradza także i Wolsków na błagania matki i żony. Legendy różnie powiadają, co stało się dalej. Szekspir (jest to jeden z jego najpóźniejszych dramatów) każe go Wolskom zabić i wynieść ze sceny ciało, tak jak wyniesiono ciało Hamleta. Wraz z tym zdeptanym ciałem odchodzi na zawsze Alastor. Edyp walczył z losem, Koriolan ze społeczeństwem. Imię Edypa ocalało, co prawda niekiedy używane do wątpliwych konceptów, ale nic ma prawie śladu po Tebach. Koriolan został okryty na całe wieki hańbą, ale Rzym istnieje do dzisiaj. Oto praktyczna różnica między „fas” bogów, a „ius” ludzi.

Koriolan, mówią historycy, nigdy nie istniał. Natomiast mógł istnieć Mucjusz Scewola, jemu prawie współczesny. Choć wszystko, co legenda opowiada, miało się jednak inaczej. A legenda prawi, że Scewola chciał zabić króla Etrusków, Porsennę, oblegającego Rzym, a przez pomyłkę zabił kogo innego. Kiedy zaś zażądano od niego zeznań i zagrożono torturami, włożył prawe ramię w ogień i patrzył, jak Porsenna powoli blednie. Po czym Porsenna odstąpił od oblężenia, a Mucjusz zyskał przydomek „Mańkut”, czyli właśnie Scaevola. Historycy różnie mówią o Scewoli, natomiast zgadzają się, że Porsenna naprawdę Rzym zdobył. Może. Ale po Etruskach Porsenny zostały pięknie malowane groby i nieliczne słowa języka, którego nikt na świecie nie potrafi odczytać, a łacina Scewoli jest ciągle obecna, a czasem wybucha w każdym zdaniu pisanym w moim języku. Któż więc istniał prawdziwie i co się stało?

Dalej można by wyliczać wielu wodzów schwytych do niewoli i wypuszczonych na słowo, którzy nie bacząc na czekającą ich śmierć, dawali senatowi; rady dalekie od oczekiwanych wśród nieprzyjaciół i wracali z powrotem w ręce wroga. Tak zresztą działo się i wtedy, gdy senat nie akceptował zawartego porozumienia. Tego rodzaju wypadków było wiele i są raczej autentyczne. Z tym że wrogowie najczęściej nie chcieli przyjmować z powrotem owych dobrowolnych jeńców; bo i na co mogli im się przydać? Nie wszyscy co prawda i nie zawsze byli tak wielkoduszni: Kartagińczycy zatrzymali Regulusa, ale czy rzeczywiście go zabili, to już sprawa dyskusyjna.

Najbardziej może niezwykle wzory postawy obywatelskiej dawnego Rzymu powstawały wtedy, gdy wódz poświęcał siebie bogom podziemnym, poświęcając tym samym przeciwników. Praktycznie oznaczało to, że rzucał się sam w tłum wrogów. Z wielu wypadków tego rodzaju najśłynniejsze jest poświęcenie się obu Decjuszów, ojca i syna, przy czym znów sceptyczni komentatorzy uważają, że tylko synowska ofiara była historyczna. A jak na złość stary Liwiusz opisuje nam dokładnie śmierć ojca, Publiusza Decjusza Musa, konsula roku trzysta czterdziestego p.n.e. Było to w czasie bitwy z Latynami, którą Rzymianie zaczęli przegrywać.

„W tym niebezpieczeństwie zawołał konsul Decjusz bardzo, głośno do Marka Waleriusza: »Marku Waleriuszu, bogów pomocy trzeba. A więc ty, jako kapłan narodu rzymskiego, przepowiadaj mi słowa, którymi mam się poświęcić za legiony«. Kapłan kazał mu wziąć toż obramowaną, zakryć głowę, rękę pod togą wysunąć ku brodzie, stanąć na włóczni leżącej pod nogami i tak mówić: »Janusie, Jowiszu, ojczyźnie Marsie, Kwirynie, Bellono, Lary, bogowie nowo przyjęci, bogowie opiekunowie ziemi naszej, bogowie, w których mocy jesteśmy my i nieprzyjaciele, boskie cienie zmarłych, do was się modlę, że czią was błagam, o łaskawość proszę i wołam, byście narodowi rzymskiemu Kwiryków dali moc i zwycięstwo, a nieprzyjaciół narodu rzymskiego Kwiryków dotknęli strachem, przerażeniem i śmiercią. Jak to wypowiedziałem słowami, tak za Rzeczpospolitą, za wojsko, legiony i posiłki narodu rzymskiego Kwiryków poświęcam legiony i wojsko nieprzyjacielskie razem ze mną bogom podziemnym i ziemi«. Tak pomodliwszy się (...) wskoczył w zbroi na koń i na oczach obu wojsk rzucił się w środek nieprzyjaciela. Wydawał się wyraźnie dostojniejszy od zwykłego człowieka, jakby z nieba zesłany na przebłaganie wszelkiego gniewu bogów, aby zgubę odwrócić od swoich i

przenieść na nieprzyjaciela. Tak razem z nim idący wszystkim strach i trwoga mieszały pierwsze szeregi łatyńskie, a następnie całą ich linię wprawiły w zupełne zamieszanie. Najwyraźniej objawiało się to w tym, że gdziekolwiek wjechał z koniem, tam trwoga ogarniała wszystkich jakby przerażonych pojawieniem się gwiazdy wróżącej zarazę. A gdy padł pod gradem pocisków, uciekły z tego końca już bez namysłu spłoszone kohorty łatyńskie zostawiając wszędzie zupełną pustkę”. (VIII, 9)

Zapewne, ani to pierwszy, ani ostatni wypadek, gdy żołnierz oddaje życie za swój naród czy miasto. Rzadszą nierównie jest rzeczą, aby to czynił wódz naczelny, choć i to nie jest rzymską specjalnością. Czyż co innego uczynił król ateński Kodros, kiedy wyrocznia orzekła, że jego śmierć ocali miasto? Czyż na cokolwiek innego mógł liczyć Traugutt przyjmując dyktaturę upadającego powstania styczniowego?

W przytoczonym powyżej fragmencie trafiamy na jedną z największych zalet Rzymianina – wielkoduszność. Ale czasem łatwiej jest przyjąć śmierć niż niesławę, czasem łatwiej zginąć niż zrezygnować z prywatnej nienawiści. A przecież i tak bywało.

Miał powody do nienawiści Fabiusz Kwintus Rullianus, kiedy go starszy od niego wódz Lucjusz Papiriusz chciał skazać na śmierć za nieposłuszeństwo, mimo że to nieposłuszeństwo przyniosło Rzymianom zwycięstwo. I ledwie mu owo przebaczenie wyblągano. Ale po latach, a była to druga wojna samnicka, właśnie Fabiusz Kwintus, wtedy już konsul, mógł mianować Papiriusza dyktatorem. I dławiąc w sobie wściekłość zrobił to, czego dobro Rzeczypospolitej wymagało.

Nie musiał Emiliusz Paulus pozostać na tragicznym poboju pod Kannami, choć nie on był odpowiedzialny za klęskę. I nie musiał znosić kpin i wyzwisk słynny Fabiusz Kunktor, kiedy zamiast beznadziejnej bitwy zastosował jedyną słuszną metodę walki z Hannibalem – zwlekanie. A jednak wszyscy ci „mężowie konsularni” potrafili podporządkować własną korzyść dobru ojczyzny. Każdy z nich czuł się wcieleniem powszechności, był i w swoim odczuciu, i w rzeczywistości zarazem ofiarnikiem i ofiarą, choć nie zawsze towarzyszyły temu okoliczności tak wzniosłe, jak śmierci Decjusza.

Demokracja rzymska, jakkolwiek ograniczona, przy sprawnie działających instytucjach publicznych i głębokim poczuciu praworządności, niekiedy aż do zbędnej zdawałoby się formalistyki prowadzącym, owocowała tą szczególną postawą, która przeszła do legendy. Oczywiście, Rzymianie także byli ludźmi, którym nieobce były wszelkiego rodzaju słabostki i wady. Nacisk opinii publicznej, dopóki trzeba się z nią było liczyć, sprawiał jednak, że starano się okazywać lepsze cechy charakteru. W małym jeszcze państwie niewiele dało się ukryć, na anonimowość nie można było liczyć. A więc, przynajmniej nominalnie, dobro publiczne było najwyższą wartością, której nie wolno było uchybić, bo to się równało zgubie po prostu osobistej. Dodajmy do tego klimat pewnej surowości, wyczulenie na patos i chyba brak poczucia humoru czy względności rzeczy, przy wielkim zarazem realizmie politycznym.

Rzymianin, który dostał się do niewoli, umierał śmiercią cywilną – o ile go w ogóle zechciano wykupić czy wymienić. Po bitwie pod Kannami pozostawiono jeńców swojemu losowi, a niedobitkom przegranej batalii okazano skrajną niełaskę.

Długo i zaciekle walczone z ciepłymi powiewami hellenizmu, odrzucano sztuki piękne, powoływano się na surowe obyczaje ojców. Zresztą nadaremno, ale rzecznikiem surowości i dawnych cnót będzie jeszcze niejedyn cezar z wielkim Augustem na pierwszym miejscu.

U schyłku trzeciego wieku przed naszą erą Rzym staje przed wyzwaniem historii. Czekają go albo całkowity upadek, albo panowanie nad światem. To wyzwanie nazywa się Kartaginą. I jest trochę nieoczekiwane. Bo Kartagina wcale nie była wrogiem Rzymu. Przeciwnie, przez całe stulecia utrzymywała z Rzymem stosunki przyjazne, jeśli nie wręcz serdeczne. Nie było zresztą o co walczyć. Rzym był państwem ściśle lądowym, floty nie posiadał wcale, a jego zainteresowania polityczne nie przekraczały Półwyspu Apenińskiego. Kartagina zaś była pań-

stwem morskim, od wieków niezależną od macierzystego Tyru kolonią fenicką, której statki penetrowały zachodnie krańce Morza Śródziemnego i atlantyckie wybrzeża Afryki.

Niezbyt wiele możemy powiedzieć o jej kulturze, nie wiemy, czy miała jakąś literaturę, dotarły do nas szczątki plastyki, mętne informacje o ustroju społecznym, religii, historii, wysokiej kulturze rolnej. Resztę pochłonęły płomienie. Znamy wprawdzie jej okrucieństwo, wiemy, że z reguły krzyżowano tu wodzów, którzy ponieśli porażkę. Historia nie zapomniała także o strasznych ofiarach molek, polegających na paleniu żywcem małych dzieci. Wiemy także jednak, że i tu, może z większą nawet siłą niż w Rzymie, odciskały swe piętno łagodniejsze wpływy helleńskie.

Kartagina i Rzym należały do innych kontynentów. Ale to dostojniej brzmi, niż wygląda w rzeczywistości. Półwysep Apeniński to jeden z tych gigantycznych pomostów, jak Bałkany, jak Półwysep Pirenejski, które Europa wysuwa na południe. A to gigantyczne molo nie kończy się przecież otchłanią. Jeszcze dalej na południowy zachód wysuwa się Sycylia leżąca na pograniczu obu kontynentów. I wreszcie w samej cieśninie między nią a obecnym Tuniszem, gdzie leżała antyczna Kartagina, znajdziemy wyspy: Pantellerię i Malte. Pamiętamy, jaką rolę odegrały w ostatniej wojnie; otóż nie stało się tak po raz pierwszy. W momencie gdy Hannibal wkraczał do Italii, konsul Semproniusz chciał dokonać inwazji, Afryki: zaczął od opanowania Malty.

Nie sposób wchodzić w zawiłe i nie całkiem dobrze znane wydarzenia. W dwieście sześćdziesiątym czwartym roku wybucha pierwsza wojna punicka, a jest to wojna o Sycylię. Rzym buduje swoją pierwszą i na owe czasy nowoczesną flotę, odnosi wielkie zwycięstwo pod Mylae i ostatecznie wygrywa wojnę. Ale i Kartagina modernizuje się pospiesznie, buduje nową kolonię w Hiszpanii i niweluje skutki wojny. Przewodzi jej teraz dynastia Barkasów, których imię pochodzi podobno od słowa „błyskawica”: Hamilkar, jego zięć Hazdrubal i przesławny syn Hannibal, według legendy zobowiązany przysięgą złożoną ojcu do walki z Rzymem. I w przedostatnim dziesięcioleciu trzeciego wieku on właśnie skieruje na Rzym poprzez Galie, poprzez alpejskie przełęcze wszystkie zasoby Afryki i Hiszpanii, numidyjską konnicę, kolosalne cielska słońi, kohorty barbarzyńskich Celtów. Jego szlak znaczą zwycięskie bitwy: nad Trebią, Jeziorem Trazymeńskim, Kannami. Był to pochód tak słynny, jak kiedyś Aleksandrowy. Koniec był jednak odmienny: Aleksander zwyciężył, Hannibal poniósł klęskę. Nie rozpadł się związek italski, Rzym był już czymś więcej niż wielkim Miastem: był narodem.

Jesteśmy przyzwyczajeni do innego tempa i z trudem chce się nam wierzyć, że kampania Hannibala w Italii trwała prawie dwadzieścia lat. Tak długo szarpały się dwie potęgi zwarte w śmiertelnym uścisku, walcząc wszelkimi środkami militarnymi, politycznymi, dyplomatycznymi. Bo ostatecznie cały świat śródziemnomorski został wciągnięty do wojny od Atlantyku po Azję Mniejszą. I nie wcześniej zakończyły się zmagania, aż czterysta miast i osiedli italskich legło w zupełnej ruinie, a drugie tyle zostało zdewastowane. Aż Scypion Afrykański przenosząc wojnę do Afryki i zmuszając Hannibala do opuszczenia Italii odniósł druzgoczące zwycięstwo pod Zumą w dwieście drugim roku i narzucił kapitulację Kartaginie.

W grubych księgach opisano te boje. Poświęćmy więc i my bodaj parę słów losom Hannibala, największego stratega wszystkich czasów. Ścigany przez Rzym ucieka wciąż dalej i dalej, chroni się w miastach fenickich, greckich, armeńskich. Ślepy na jedno oko, bliski siedemdziesiątki, zawsze wierny przysiędze nienawiści, zawsze wzbudzający strach, samotny i ścigany wygnaniec, ciągle jeszcze groźniejszy niż całe armie. Rzymianie osaczyli go w Bitynii. Wybrał truciznę. W tym samym roku umiera na wygnaniu jego pogromca spod Zamy, Scypion Afrykański, który – dopóki tylko mógł – chronił przed zemstą senatu swojego wroga.

Chronologia. Był rok sto osiemdziesiąty trzeci przed narodzeniem Chrystusa. Mijało właśnie tysiąc lat od zburzenia Troi. A Rzym mierzący się z losem w wojnach punickich miał lat

pięćset, mniej więcej tyle, ile Polska w okresie bitwy pod Grunwaldem. Kartagina miała przed sobą niespełna czterdzieści lat życia, niepodległy Rzym jeszcze prawie siedemset.

Ale stulecie wojen punickich zmieniło oblicze Rzymu i Śródziemnomorza. Historycy naszego stulecia porównują tamten czas do współczesnych wojen światowych. Rzeczywiście, świat nie mógł być już taki, jak przedtem, zanim roztratowały go kopyta czterech koni Apokalipsy. Rzym nie był już państwem lądowym; miał największą flotę swoich czasów. Hannibal, w niedługim czasie między bitwą pod Zamą a wypędzeniem go z ojczyzny, oprócz reform, które nie miały już zdać się na nic, zatrudnił swoich żołnierzy przy sadzeniu gajów oliwnych, drzew pokoju.

Północno-zachodnia Afryka miała odtąd razem z Egiptem stać się spichlerzem Zachodu. Legiony rzymskie stacjonowały na Sycylii, w Afryce, w Hiszpanii, w Grecji. Powoli wszystkie pobojuwiska pokrywały się plantacjami oliwek i winorośli. Rodził się czas powszechnie przyjętych pojęć, języka i bogów. Ale wspólny dom ludów nie był jeszcze gotowy. I nawet droga do początku „naszej ery” była daleka.

Świat hellenistyczny stworzony przez Aleksandra Wielkiego i jego następców nie był już światem republik. Grecy podbijając Wschód ulegali jego wyobrażeniom. Niezbyt ściśle mówiąc: w jedną stronę wędrowali ludzie, a w drugą bogowie. A królowie Wschodu z reguły wstępowali w doczesną boskość. Reguły owej boskości doskonale znane w państwach Ptolemeusza i Seleukidów zostały na Zachód przeniesione przez Hannibala, a pierwszym jego uczniem był Scypion. W każdym razie on pierwszy w Rzymie bił monety z własnym wizerunkiem, po nim Flaminiusz, dwuznaczny wyzwoliciel Grecji, a potem już chyba wszyscy.

Znowu odmienia się klimat czasu. Musi minąć jeszcze stulecie wielkich mężów konsularnych, już niekiedy jedynowładców, zanim ludzie Zachodu o kimkolwiek zdecydują się powiedzieć „boski”. Już wprawdzie stary Scypion nie protestował, kiedy nazywano go synem Jowisza. Potęga, którą dzierżyły jedne dłonie, stawała się coraz większa i coraz mniej podlegała kontroli. Jeszcze Katon, słynny cenzor, konserwatysta i rolnik, musiał latami powtarzać w senacie swoje złowieszcze „*ceterum censeo Carthaginem delendam esse*” – „poza tym sądzę, że trzeba zburzyć Kartaginę”, aby Scypion Młodszy mógł spełnić rolę kata. Inaczej już wyglądały arkana polityki Mariusza, Sulli, Pompejusza, Cyncerona.

Z pewnością byli to ludzie nietuzinkowi. Nie brak ich było i przedtem. Ale raz złamane „*fas*” bogów, zamienione na konwencjonalne „*ius*” służyło teraz ludziom. Słabym – i bardzo silnym.

Rósł więc w siłę plebs i jego absolutni władcy. Sekretom ich potęgi miała być wierność słowom, które już nie znaczyły nic. Ale ciągle jeszcze stanowiły tarczę i miecz, jednak już tylko dla tych, którzy sprawowali władzę. By się jednak tak stać mogło, musiało minąć właśnie jeszcze jedno stulecie coraz mniej skrępowanych wielkich indywidualności. Potem wielkość jednostki nie była już potrzebna. Zaczęła ją ochraniać nowo odkryta zasada. W jakimś sensie przypomina to nam Hitlera budującego gigantyczne gmachy Trzeciej Rzeszy, aby już tylko same mury mogły w przyszłości chronić jego słabszych następców.

Ale człowiek, który w czasie ostatnich stu pięćdziesięciu lat przed naszą erą wstępował w publiczne szranki, musiał być naprawdę kimś niezwykłym. Patrycjuszowskie pochodzenie i odziedziczony majątek nie były już skuteczną gwarancją powodzenia, równocześnie zaś prawo nie stanowiło już ochrony, na którą można by liczyć w każdej sytuacji. Teraz trzeba było być genialnym politykiem i wodzem, odziedziczyć lub umieć zdobyć ogromny majątek, potrafić przemawiać, przekonywać, interpretować prawo i łamać je bez skrupułów, popełniać morderstwa, wiele morderstw, zdobywać się na ryzyko śmierci własnej.

Cóż więc dziwnego, że politycy tamtych czasów potrafili być równocześnie sprytnymi intrygantami i niemal półbogami, których sława, sława w pełni zasłużona, nie zgasła do dzisiaj? Są dwie skrajnie sobie przeciwstawne metody przedstawiania ludzi tamtego czasu. Pierwsza z nich, zgodna z naturalnym szacunkiem do tego, co minęło i bronić się nie może, to podziw i

heroizacja. Druga, zgodna z naturalnym brakiem obawy i respektu przed tym, co już bezbronne, zamienia wszystkich w kłębek brudnych szmat wyciągając i rozważając szczegółowo to, co najciemniejsze, najbardziej plugawe i do obrony niezdolne.

Nasze stulecie obrało sobie metodę drugą, robiąc ostatecznie z historii coś na kształt permanentnego spisku łajdaków. Być może jest to naturalna reakcja na długie wieki zawiści i podziwu.

Szczególne w tym wszystkim jest to, że każdy wielki człowiek Rzymu ostatnich lat Republiki właściwie musiał przegrać. Nie wiemy zresztą, czy „musiał”, wiemy, że przegrał. Pozabijani bracia Grakchowie, wielcy reformatorzy (zresztą kto z nich nie był, chcąc nie chcąc, reformatorem?), wzgardzony zwycięzca numidyjskiego Jugurty, Metellus, umierający w konwulsjach strachu Mariusz i dławiący się przelaną w słynnych proskrypcjach krwią Sulla, ukrzyżowany buntownik Spartakus, Krassus wraz z synem zabity przez Partów, Pompejusz zaszczytowany przez Cezara, Kato Młodszy wybierający w Utyce śmierć zamiast pogardliwej łaski Cezara, Cezar zasztyletowany przez spiskowców, wśród których był, być może, jego własny syn, Brutus, Cicero zgładzony przez Marka Antoniusza, Marek Antoniusz przez Oktawiana Augusta.

Nie kończący się wir wojny domowej, rodzące się co chwila spiski, nie wierzący sobie nie bez racji triumwirowie, czerwona mgła na źrenicach ludzi nie mających nadziei na łaskę i kompromis, wiecznie spocone ze strachu dłonie, których nie może ochłodzić codziennie przelewana krew przeciwników.

Czego chcieli, dlaczego tak walczyli? Czy szło im tylko o władzę? Jaką wizję nadchodzącego czasu mieli, jaką reakcję na własne czyny przewidywali? O republikę walczyli czy monarchię? Realizowali dalekosiężne plany, czy byli tylko więźniami losu i własnych, mikroskopijnych posunięć? Nie wiadomo. Tak jak nie wiadomo, kto właściwie i dlaczego wywołał pierwszą i drugą wojnę punicką i czy zdawał sobie z tego sprawę, co robi.

Co nie znaczy, aby historycy wszystkich czasów nie zadawali sobie tego pytania i nie znaleźli na nie tysiąca odpowiedzi. Niestety, o tysiąc za dużo i o jedną, tylko o jedną za mało. Jak zawsze, gdy odpowiedź ma dotyczyć człowieka i jego historii.

Półtora stulecia wojen zaborczych, walk klasowych, wzrostu gigantycznych fortun doprowadziło do prawie zupełnego upadku praworządności. Powszechne przekupstwo nie było nawet zakrywane pozorami, a wszelkiego rodzaju prawa i orzeczenia sądów obchodzono bez szczególnych trudności. Nie jest to jeszcze monarchia, ale teraz konsul, jeśli tylko może, nie zamierza ustępować po rocznym, przepisany prawem okresie. I każdy przelewa krew, coraz więcej krwi. Nawet Cicero w obronie republiki musiał łamać prawo, cóż mówić o innych. Mariusz zabija tysiące zwolenników Sulli, Sulla zwolenników

Mariusza. Wszystko na tle wojen zewnętrznych i narastających domowych. W Afryce wojny jugurtyńskie, na północy po raz pierwszy pojawiają się plemiona germańskie Cymbrów i Teutonów, zapowiedź odległej jeszcze zagłady. Odległej, ale przeczuwanej: Rzym tego okresu spodziewa się ustawicznie końca świata, „dnia namiotów na Forum”; są i tacy, którzy ruszają na poszukiwanie wysp szczęśliwych.

Tak, klimat czasu jest inny. Półwysep Apeniński staje się bardziej rzymski, a sam Rzym bardziej grecki. W dziewięćdziesiątym pierwszym roku p.n.e. wybucha wojna sojusznicza, ostatni bój wewnątrz Italii. W wyniku tej wojny wszyscy italscy sprzymierzeńcy Rzymu uzyskują rzymskie obywatelstwo bądź giną. Definitywnie giną ich języki: oskijski, samnicki, etruski. Za to język grecki, język ludu podbitego, święci największe triumfy.

Jest to historia długa i zawiła. Następcy Aleksandra Wielkiego podzielili Wschód na liczne i nieustannie zwalczające się państwa, ośrodki bujnej kultury hellenistycznej. Ich wpływ sięgał po Indie, po Jezioro Aralskie, wpływ zresztą od Wschodu ze stulecia na stulecie słabnący, wchłaniany przez podbite niegdyś, a teraz rosnące w siłę ludy. Od Zachodu Rzym systematycznie i stopniowo niweczył niezależność greckich kolonii i królestw. Przez dwa stulecia

uzależnia od siebie Grecję właściwą, państwa Azji Mniejszej, aby po licznych Seleucjach, Pontach, Macedoniach i Pergamach wchłonąć ostatecznie Ptolemejski Egipt, którym zresztą i tak obok Kleopatry władał Rzymianin, Marek Antoniusz. Bitwa pod Akcjum w trzydziestym pierwszym roku p.n.e., kiedy Oktawian August ostatecznie utrwala cesarstwo, a Kleopatra i Marek Antoniusz popełniają samobójstwo, to ostateczny kres greckiego władania na Wschodzie.

Do Rzymu już od dwustu prawie lat płynie nieprzerwany potok dzieł sztuki greckiej, przybywa też coraz więcej Greków. Są wśród nich posłowie i zakładnicy, jeńcy i wszelkiego rodzaju specjaliści szukający kariery. Reprezentują najwyższą kulturę swego czasu, racjonalistyczną i podszytą sceptycyzmem, pełną poczucia względności myśli i rzeczy, wyrafinowaną, zakochaną w sztuce, w literaturze, w filozofii. Rzym jest wobec nich, wobec miast, z których przychodzą, miastem surowym i nieomalże barbarzyńskim.

Nie może chyba, nie jest w stanie normalnie wchłonąć takiej dawki kultury, jaką mu zaplikowano, zatracą się, nie umie uchwycić różnic między tym, co w darze losu wielkie, a tym, co schyłkowe i zdegenerowane. Przyjmuje wszystko i nie potrafi zachować umiaru. Nie potrafi tego aż do końca: przepych, barbarzyńskie demonstrowanie bogactwa będą wzrastały aż do ostatecznego bankructwa. Ale nowobogackie maniery to tylko jedna strona medalu.

Więc przede wszystkim zmienia się samo miasto Rzym. Upiększane, kierowane przez najświetniejszych znawców i współzawodniczących ze sobą władców i potentatów szybko bogaci się w nowe pałace, świątynie, fora i przeróżne budynki użyteczności publicznej, na skalę większą niż wszystko, co było dotąd. Na wystawnych ucztach, którym towarzyszą wędrowni filozofowie, tancerki i fletnistki, po większej części Grecy, naturalnie, rozważa się zawile reguły wymowy, filozofii i dobrego smaku. Rozważa się w języku greckim, w którym też najczęściej się pisze. Ale przecież nie tylko.

Najpopularniejsze kierunki filozoficzne przyswojone przez Rzym to epikureizm i stoicyzm. One właśnie natchną autorów rzymskich do stworzenia dzieł wzorowanych na Grekach, ale na swój sposób własnych i ważnych do dzisiaj. Lukrecjusz pisze poemat „O naturze wszechrzeczy”, którego sam tytuł świadczy o zasięgu zamysłu. Wielkim eklektykiem jest Cicero, większym jeszcze mówcą, z pewnością nie niższego lotu niż ongiś Demostenes. Teatr już od dawna przemawia po łacinie, co zresztą oczywiste, bo inaczej nie znalazłby dostatecznej widowni. Plaut, Liwiusz Andronikus, Terencjusz to już przeszłość, nieomalże tak dostojna, jak samo prawo dwunastu tablic. W poezji króluje Katullus, a już chodzą po świecie najwięksi poeci mowy łacińskiej. Powstaje cała masa pamiątek, dzieł historycznych Salustiuszów i Neposów, rodzi się arcydzieło pamiętnikarsko-historyczne Cezara.

Dla kultury rozpoczął się wiek złoty, którego dzieła na równi z Grekami piątego stulecia na trwale będą odtąd kształtowały kulturę ludzką, formując serca i umysły aż do dzisiaj. Wszystkie ośrodki kulturalne Śródziemnomorza znalazły się w zasięgu Rzymu, wszystkie wpływy krzyżują się w Mieście.

To prawda, jest jeszcze coś, co sprawi niebywałą niespodziankę temu światu, ale to narodzi się dopiero w pogardzanej Judei, na razie w równym stopniu powleczonej pokostem hellenizacji, jak i podległej wpływom Rzymu.

W pierwszym wieku przed naszą erą i na przełomie epok kształtuje się prawie ostatecznie geograficzny zasięg Imperium. Należy do niego cała Europa zachodnia, od Atlantyku po Ren. Pierwsze legiony rzymskie stanęły także w Brytanii, choć jej podbój, nigdy zresztą całkowity, nastąpi dopiero później. Granica świata zamieszkanego biegnie na wschód na Dunaju, obejmuje wybrzeża Morza Czarnego i znaczną część Azji Mniejszej. A później jest to szeroki pas ziem, w ten czy inny sposób zależnych od Rzymu wzdłuż północnych wybrzeży „naszego morza”. Wszystko razem przypomina to grubszą, to cieńszą obręcz obejmującą zawsze ciepłe i łaskawe ludziom morze, zwane także „mare internum” – morze wewnętrzne.

Imperium nie sięgnęło i nie sięgnie po granice wytyczone Grekom przez Aleksandra, choć wielu cesarów śniło o wyruszeniu jego śladami. Każda taka próba kończyła się jednak fatalnie. I już tylko nieliczne zdobycze usświetniały władanie Miasta: Dacja, fragmenty Arabii i Mezopotamii, znaczne wpływy w Armenii po Morze Kaspijskie.

Będą to jednak rejony trudne do utrzymania, często tracone, nigdy całkowicie pewne. W istocie rzeczy Rzym przechodzi do defensywy, która na zachodzie pozwoli mu przetrwać do piątego, a na wschodzie do piętnastego stulecia. I te wieki nie minęły dla kultury ludzkiej na próżno: proces jednoczenia i utrwalania pojęć musiał mieć więcej czasu dla siebie, niż miał kiedyś zjednoczony na krótko świat Aleksandrowy. Bez Rzymian, bez ich cesarstwa, bez niepodważalnej dominacji politycznej i kulturalnej nad całym osiągalnym światem wszystkie zdobycze Śródziemnomorza mogły pójść na marne.

Trzeba więc było widocznie setek czy tysięcy bibliotek, aby mógł przetrwać choć jeden zdefektowany egzemplarz, tysiące świątyń, by przetrwały nieliczne kopie dzieł Fidiasza i Polikleta, pokruszone kolumny, wyblakłe freski. Wystarczy jednak samotna oliwka i jeden jedyny szczep winny, aby wszystkie spalone i wycięte oliwniki i winnice nie istniały na próżno. Z ogromnej budowli pozostał tylko marny szczątek, ale on właśnie po wiekach stał się fundamentem nowego czasu.

Zarówno narodziny, jak i sama nazwa cesarstwa kieruje nasz wzrok na Juliusza Cezara, jednego z najgłośniejszych bohaterów historii, sławionego i zniesławianego w niezliczonych opowieściach. Jego imię stało się tytułem, podobnie jak imię Karola Wielkiego. Imię „Juliusz” także jest w językach romańskich, i zresztą nie tylko w nich, nazwą lipca, czego dostąpił również jego adoptowany syn i następca Oktawian August, uwieczniony w nazwie sierpnia. Są to miesiące letnie; czy okres ich władzy oznacza także południe starożytności? Może i tak; w każdym razie odtąd zaczęło ubywać słońca, nawet jeśli tego nie dało się zauważyć od razu. Czas jesieni to zresztą czas owoców i rosnącego znużenia, oba określenia są prawdziwe dla kilku początkowych wieków naszej ery. Jeśli zaś idzie o same nazwy miesięcy, to prawie każdy cesarz wprowadzał tu jakieś reformy, naturalnie dla upamiętnienia siebie samego. Nic z tego nie zostało, pamięć ludów ocalała tylko miesiące Cezara i Augusta. I nie bez racji.

Cesarstwo, jak już mówiliśmy, rodziło się przez półtora stulecia. Ale nikt, aż do Cezara, nie przyjął jeszcze zasady władzy dożywotniej. W ogóle zresztą pojęcie królestwa było bardzo niepopularne. Rzym nie najlepiej wspominał swoich królów, jeśli zaś idzie o królów obcych, to bywali oni w Rzymie jako jeńcy albo petenci; nic w nich nie było do podziwiania. Toteż nowe jedynowładztwo nie mogło korzystać z tych tradycji. Próba uwieńczenia Cezara królewskim diademem wypadła bardzo niedobrze. Trzeba więc było utrzymując istotę rzeczy przyozdobić ją i nazwać najzupełniej inaczej.

Posłużyły do tego instytucje starej republiki, niezmiernie sprytnie zachowane i otoczone oficjalnym szacunkiem. Jedynowładca, oficjalnie, nie był żadnym królem: po prostu skupiał w swoich rękach urzędy dające mu nietykalność i kontrolę nad wszystkim. Był więc cenзором i trybunem, najwyższym kapłanem i dowódcą wojska. Był tylko pierwszym urzędnikiem republiki „princepssem”, i nominalnie państwo funkcjonowało jak dotąd. Praktycznie jednak uprawnienia princepsa obejmowały wszystko: mógł każdego skazać na śmierć lub wygnanie, przeprowadzić dowolną reformę czy ustawę dotyczącą ludzi czy bogów. Sam zresztą w krótkim czasie też zostawał bogiem, stawiał sobie świątynie i kazał oddawać cześć swoim posągom.

Na początku były to jeszcze posunięcia nieśmiałe i ograniczone, bardzo często podejmowane w imię dobra właśnie republiki. Bo republika miała jeszcze bardzo wielu zwolenników (będzie ich zresztą miała aż do końca) wierzących, że cezaryzm jest tylko przejściowym złem. Sam Cezar został przecież zabity w imię ocalenia republiki. Ale ta republika już istnieć nie mogła i większość społeczeństwa po prostu jej nie chciała.

Nie życzył jej sobie bynajmniej plebs utrzymywany przez cesarów i bawiony przez nie- skończoną ilość dni świątecznych. Bo świąt było coraz więcej i po jakimś czasie już co trzeci dzień był okazją do zabawy i rozdawnictwa przeróżnych podarków.

Nie życzyli sobie żadnej republiki żołnierze, bezpośrednio związani z osobą imperatora, przez niego opłacani i obdarowywani.

Do rządów senatu nie mogły mieć także najmniejszego nabożeństwa prowincje rzymskie, po pierwsze dlatego, że taka tradycja była im obca, po drugie zaś stąd, że rządy rzymskiego senatu pozostawiły po sobie jak najgorsze wrażenie.

Po prostu zarządcami prowincji zostawali wysłużeni rzymscy urzędnicy, dopiero teraz gromadzący pieniądze na spłatę ogromnych łapówek, które umożliwiły im karierę. A także na opłacenie nieuniknionego procesu o zdzierstwo. A więc każdy taki prokonsul czy propretor miał i właściwie mieć musiał obyczaje i niezawodność pijawki. Wyjątki bywały, lecz bardzo rzadkie. Takim wyjątkiem był Cicerono jako namiestnik Cylicji. Poza tym sama kariera urzędnicza w ostatnich latach republiki polegała na gigantycznym przekupstwie. Trzeba było przekupić innych urzędników i przede wszystkim wyborców, tysiące wyborców.

Nominowany urzędnik cesarski nie miał tego rodzaju obciążeń i nie miał też żadnej nadziei, że przekupi lub wygra proces z cesarem, jeśli zostanie oskarżony o zbyt jaskrawe nadużycia. A więc ostatecznie republika nie miała właściwie zwolenników oprócz garstki senatorów i intelektualistów, zmuszonych do opiewania aktualnego władcy. Co prawda właśnie cesarowie byli hojniejszymi – choć bardzo kapryśnymi i groźnymi – mecenasami, aniżeli mogłoby nim być jakiegokolwiek ciało zbiorowe.

Władza Cezara wyłoniła się z pierwszego triumwiratu, zespołowego kierownictwa, które trwało dopóty, dopóki istniała jakaś taka równowaga sił. Przy czym szczególne jest to, że Cezar rośnie w siłę nie w samej Italii, ale właśnie poza nią. Bogaci się w Hiszpanii, zdobywa chwałę wojskową w Galii, którą podbija i wciela do imperium, wreszcie rozstrzyga wojnę domową: z Pompeuszem w Egipcie, z Katonem Młodszym w afrykańskiej Utyce. Podobnie Oktawian wyszedł z triumwiratu, a zwyciężył ostatecznie pod Filippi, u brzegów greckiej Akarnanii i w Egipcie. W przyszłości nie będzie już triumwiratów, a rzadkie próby współwładzy obfitować będą aż do czasów Dioklecjana w morderstwa i bratobójstwa. Gigantyczny śródziemnomorski pierścień Imperium mógł zdobyć tylko jeden nieporównanej mocy i blasku klejnot.

W czterdziestym czwartym roku ginie zaszytowany Cezar. W trzydziestu lat potem Oktawian August ostatecznie utwierdza swoją władzę rozpoczynając długie, czterdziestoczteroletnie panowanie, jeden z najwyższych wierzchołków antycznego świata. Powoli gasną ognie wojny domowej, nadchodzi czas reform, pokoju, dobrobytu. Ostatecznie utrwała się pryncypat, jedna z najperfidniejszych postaci jedynowładztwa, skrywająca się za fasadą przywróconej republiki, za parawanem pięknie brzmiących słów. Wszystkie instytucje republiki funkcjonują wybornie i regularnie, wszystkie stanowiska jak dawniej są obieralne, uchwały zatwierdza senat. Z tym tylko, że obiera się tych, których zalecił cesar, a senat także składa się ze zwolenników cesara. A więc wszystko w istocie zależy od osoby władcy, którego nie można zmienić ani jakkolwiek zakwestionować jego decyzji. Można go jedynie obalić siłą, w praktyce po prostu zabić. Nie jest to łatwe. Świetnie opłacone formacje przyboczne, pretorianie, będą odtąd w Imperium odgrywały wielką i rosnącą rolę. Już niedługo to one właśnie będą decydowały o obiorze i życiu cesara. Próbować jednak można, bo dostęp do cesara jest ostatecznie możliwy, a wszyscy pamiętają o losie boskiego Juliusza. Toteż historia cesarów obfituje w nieustanne spiski i tajna policja ma pełne ręce roboty. Nawet August, rzeczywiście możliwie najdoskonalszy władca, słynący z wyrozumiałości i skromności, jest nieustannie zagrożony.

Co prawda, cesar nie może być nazbyt łagodny. Na wygnanie, na skaliste wyspy, wędrują długie szeregi przestępców politycznych. Oczywiście nie żadnych spiskowców; ci giną na

miejscu. Na mniej lub więcej łagodne wygnanie idą ci, którzy co prawda jak i inni wysławiają cezara, ale mieli nieszczęście mu się narazić. Za niemoralne prowadzenie znajdzie się tam córka i wnuczka Augusta, inni członkowie jego rodziny, wielki poeta Owidiusz – jak się zdaje – za to, że widział coś, czego widzieć nie powinien, i tak dalej. W świetle tego, co opowiada Swetoniusz, łagodność Augusta wydaje się nam dosyć osobliwa. A Swetoniusz opowiada wiele. A więc: „ojcu i synowi, którzy prosili o darowanie życia, miał rozkazać, aby ciągnęli losy o to, który z nich zostanie ulaskawiony. Potem patrzył na zgon obydwu, gdyż ojciec poniósł śmierć poświęcając się za syna, a syn życie sam sobie odebrał”. Błagającym go o życie mieszkańcom zdobytej Peruzji odpowiadał, zanim się odezwali, „trzeba umrzeć”, kiedy indziej znów pretora Kwintusa Galiusza, który mu się wydał podejrzany, nie tylko skazał na śmierć, ale mu własnoręcznie przedtem oczy wyłupił... I tak dalej. Ale to i tak niewarte wzmianki drobiazgi wobec wyczynów jego następców.

Zresztą nie bądźmy niesprawiedliwi, nie usiłujmy mierzyć tamtych ludzi miarą naszego czasu.

Rzymianin był przyzwyczajony do okrucieństwa i do przelewu krwi. Oglądał ustawicznie krwawe walki gladiatorów, oglądał zabijanie zwierząt. Bo jeśli my sprowadzamy do ogrodów zoologicznych zwierzęta, to po to, aby tam żyły. Rzymianie sprowadzali je po to, by umierały.

Rzymianin wreszcie od prawie stu lat był świadkiem nieustannych mordów politycznych, wyniszczających walk domowych, proskrypcji. Na tle tego wszystkiego właśnie czasy Augusta rozkwiły niezwykłym pokojem i bezpieczeństwem. Ukrócono wyzysk prowincji, bandytyzm i piractwo. Wojny, dogasające zresztą, ucichły w końcu, a na wojnę szli przecież jedynie pełnoprawni obywatele Rzymu.

Raz tylko olbrzymia klęska wstrząsnęła Miastem: kiedy usiłowano stworzyć nową prowincję. Germanię, opartą o Labę, i trzy legiony rzymskie razem z wojskami posiłkowymi, oficerami i konsulem Warusem zostały wycięte co do nogi. W Rzymie wybuchła panika; sam August tłukł głową o ścianę wołając: „Warusie, oddaj legiony!” (Słynne: „Quintili Vare, legiones redde!”). Nawet w chwili największej potęgi rozłożonego na trzech kontynentach mocarstwa każdy niezręczny krok groził zagładą. Ale klęska Warusa w Lesie Teutoburskim w Germanii to właściwie wyjątek. Poza tym po raz trzeci w całej historii Rzymu można było zamknąć podwójne wrota świątyni Janusa, otwarte zawsze podczas wojny.

W Rzymie buduje się wiele, bardzo wiele, wkrótce zostają zdystansowane wszystkie miasta hellenistyczne. Do Miasta ściągają cudzoziemcy ze wszystkich stron Imperium, płyną tu także osobliwości i luksusy. August usiłuje przywrócić dawne cnoty, dawne życie rodzinne, ale te wysiłki nie zdają się na nic. Szuka się nowych rozkoszy wszystkich pięciu zmysłów, nie zaniedbuje się i szóstego: badania spirytystyczne są modne, pełno wróżbitów, astrologów, krzewicieli nowych kultów, na próżno przepędzanych przez Augusta. Kultura plastyczna i literacka dochodzą do apogeum. Traktat o architekturze pisze Witruwiusz, rozwijają się nauki geograficzne i przyrodnicze, doskonali się teoria prawa. I wybuch poezji: Wergiliusz, Horacy, Owidiusz, Tibullus, Propertjusz to niemal rówieśnicy. Zresztą uprawiających przeróżne gatunki literackie są setki, samego Augusta nie wykluczając. Wszystkich prozaików przerasta dzieło Liwiusza, twórcy gigantycznej, w stu czterdziestu dwu księgach zawartej historii Rzymu. Prawdziwy, nieprześcigniony wiek złoty! I kiedy August w cztertnastym roku naszej już ery umiera po pięćdziesięciu sześciu latach sprawowania władzy w ogóle, a czterdziestu czterech samowładnej, świat śródziemnomorski już wie, że nastąpiła nowa era, a umierający władca sam może z przekornym uśmiechem spytać przyjaciół, czy dobrze odegrał komedię życia. I przyjaciele, i historia odpowiedzieli twierdząco.

Długie panowanie Augusta było rzeczywiście ważnym momentem dziejów, jednym z tych, w których ludzkość zdaje się na chwilę mieszkac, a nie tylko przechodzić przez nie. Pod tym względem czas Augusta różni się diametralnie od czasu Aleksandra Wielkiego, kiedy wszyst-

ko było marszem, pochodem, pogonią. Państwo Aleksandra rozpadło się w momencie jego śmierci, państwo Augusta trwało stulecia. Lecz w Aleksandrze wszystko spełniało się jak w błyskawicy, proces łączenia odległych krain i syntezy kultur miał do dyspozycji dziesięć razy mniej czasu niż za panowania Augusta. A przecież na jakiś sposób się dokonał, w jakiś sposób zdecydował o kulturze świata. Historia objawiła się w jednym wypadku w eksplozji, w drugim – w powolnym dojrzywaniu, na które złożyły się wysiłki poprzedników, zmęczenie ludów, czas darowany i talent władcy. Piorun wojny przyspiesza procesy, które kiedy indziej wymagają stuleci. Cóż z tego, skoro ów piorun także i przede wszystkim – zabija.

Wielka kultura czasów Augusta różni się bardzo i pod każdym względem od kultury greckiej z czasów Peryklesa. Za czasów Peryklesa trwała ustawiczna wojna, ciągły niepokój, wir politycznych namiętności. I mimo to czy właśnie dlatego powstawały dzieła o najwyższej harmonii, ale też o ogromnym napięciu metafizycznym. Teraz inaczej. Nie znaleźlibyśmy u Horacego tych pytań egzystencjalnych, które stawiał Ajschylos, ani u Wergilego takiego poczucia boskiej i okrutnej ironii jak u Sofoklesa.

Jedna tu bogini nade wszystko się wznosi: bogini Roma. Zarówno Horacy, jak i przede wszystkim Wergiliusz są w tym samym stopniu apologetami dziejowego powołania Rzymu, jak historyk Liwiusz. Rzym jest dla nich narodem wybranym, pobożny Eneasz prefiguruje boskiego i nie mniej pobożnego Augusta, twórcę pokoju, *pacis Romanae, pacis Augustae*.

U Greków bogowie powoływali herosa do czynów ważnych dla historii świata, u Rzymian powołanie dotyczy narodu, a jednostka jest tylko jego chwilowym nosicielem, wykonawcą i uczestnikiem. W ten sposób rodziło się poczucie ciągłości narodowego istnienia, łączności z pokoleniami minionymi i nie narodzonymi jeszcze, a raczej nie tyle się rodziło, co definio- wało i umacniało. I miało się to wkrótce przerodzić w coś więcej niż łączność krwi, ale przede wszystkim w łączność obywatelstwa, scalającą Etruska Mecenasa, Samnitę Owidiusza i Żyda Pawła w jeden Rzym zgody i jedności kulturalnej narodów, ale zarazem uznanych różnic i tolerancji.

Innymi jednak drogami toczyły się losy zwyczajnych mieszkańców imperium, innymi zaś los i legenda jego władców. Po Cezarze i Auguście przez kilkadziesiąt lat panować będzie dynastia klaudysko-julijska, najślawniejsza chyba i najbardziej osławiona. Tyberiusz, Kaligula, Klaudiusz, Neron połączeni przede wszystkim więzami adopcji i odległego zawilego pokrewieństwa to, z wyjątkiem Klaudiusza, ludzie, których imiona do dzisiaj wywołują grozę. Można by dodać do nich późniejszego nieco Domicjana. Oczywiście, jeszcze później wszystko już mogło się zdarzyć, ale były to już czasy, gdy Rzym wyraźnie zsuwał się po pochyłości i zresztą nikogo nic już nie mogło zadziwić. Na razie wyczyny cesarów budzą zdumienie i grozę. Pod pewnymi względami są do siebie podobne, podobnie też ówcześni jedy- nowładcy budzą w nas i dzisiaj żywe zaciekawienie, takiej mniej więcej natury, jak lew w zwierzyńcu; mieszanię podziwu i strachu. Strachu bezpiecznego i przyjemnego nawet, skoro jesteśmy odgradzeni kratą z żelaza albo minionego czasu. Miło jest zajmować się Kaligulą z dystansu lat dwu tysięcy. Wolno podejrzewać, że po takim upływie czasu nawet najbardziej znane osobistości naszego stulecia będą mogły liczyć także na również życzliwe zaintereso- wanie potomnych.

Panowanie zaczynało się zazwyczaj od szopki. Nowy cesarz dzierżący już pełnię władzy udawał, że właśnie przywraca republikę i że sam ani władzy, ani żadnych tytułów nie pragnie i stanowczo nie przyjmie. Senat i lud rzymski musiały długo błagać, aby przyszedł kat zechciał przyjąć niezliczone tytuły i zaszczyty. Rozpoczął tę grę już Juliusz Cezar odsuwając podawaną mu przez Antoniusza koronę, rozwinął August, a w długi i nużący spektakl zamienił Tyberiusz. (My natomiast najcelniejsze ujęcie tej ceremonii możemy znaleźć w „Ryszardzie III” Szekspira.) W każdym razie obie strony odgrywały komedię, z jednej strony skromności, z drugiej entuzjazmu. Zresztą był to entuzjazm w jakiejś mierze szczery, gdyż sycony ulgą z racji śmierci

poprzednika. Bo o ile początki panowania były z reguły zachęcające, liberalne, rozsądne i sprawiedliwe, to tak samo regularnie koniec kolejnego cesarza tonął w obłędzie i okrucieństwie.

Nie wiadomo, kto z nich dzierży pod tym względem palmę pierwszeństwa. Historia zanotowała niezliczoną ilość posępnych i makabrycznych opowieści. Więc znowu Swetoniusz o Tyberiuszu, który zresztą zwyczajną śmierć uważał za coś w rodzaju wyświadczonej przez siebie łaski: „W kilka dni po przybyciu na Kapri pewnemu rybakowi, który przyniósł mu niespodziewanie wspaniały okaz barweny podczas jego odpoczynku w zacisznej samotni, kazał twarz podrapać tąż samą rybą, przerażony tym, że rybak zdołał przedostać się do niego od tyłu wyspy przez urwiska i bezdroża. Rybak wśród męczarni pocieszał się myślą, że nie przyniósł cesarzowi jeszcze olbrzymiej langusty, którą również złapał. Tyberiusz kazałby mu poszarpać twarz także langustą”.

Czy może trzeba jeszcze opowiadać, jak to Kaligula rozkazał przyglądać się rodzicom egzekucji ich dzieci? Lub jak kogoś innego kazał bić przez wiele dni w swojej obecności, a dobić pozwolił dopiero, gdy „urażać go począł odór gnijącego mózgu?”. Czy trzeba zatrzymywać się nad matkobójstwem Nerona, jegoż „pochodniami chrześcijaństwa”? Wymyślnymi torturami Domicjana, nieskończoną litanią okrucieństw i zbrodni? Nie warto wspominać o ekscesach erotycznych, zresztą nasze stulecie patrzy na nie z większą wyrozumiałością. Ale i w tym względzie kolekcja zbrodni i kazirodztw jest nieprześcigniona.

Wszystko to w atmosferze szaleństwa, spełnianego, zamierzonego, przypisywanego. Nie wiemy, czy rzeczywiście Neron podpałił Rzym, raczej nawet wątpimy w tę pogłoskę, wiemy jednak z pewnością, że Kaligula kazał przeciąć mostem zatokę po to, by kilkakrotnie przejechać się po nim. Wiemy, że kazał oddawać cześć swemu szczerozłotemu posagowi przybieranemu codziennie w te same, co i on, szaty. Neron także sprawił sobie posąg, złoty oczywiście, i do tego gigantyczny. I on, i Domicjan zapraszali posągi swoich kolegów-bogów na uczty, zabijali bez powodu jednych poddanych i właściwie bez powodu wynosili drugich. Na sztucznych jeziorach odbywały się sztuczne bitwy morskie, gdzie przelewano jednak krew prawdziwą.

Dla kaprysu robiono wszystko, zatracając poczucie granicy między tym, co możliwe, a tym, co niewykonalne. Na tym też polegał słynny „obłęd cesarów”, gdy poczucie mocy jedy-nowładcy wrywało się ostatecznie spod jakiegokolwiek kontroli, oddalało poczucie rzeczywistości i rozeznanie w rzeczywistych nastrojach społeczeństwa, a wreszcie prowadziło do śmierci w najbliższym spisku.

Bo spiskowano nieustannie. Ale szczególne, że znakomita większość spisków wychodziła szybko na jaw. Nie udał się ani jeden o charakterze ustrojowym. W ustroju policyjnym konspiracja na dalszą metę była zupełnie niemożliwa i skazana z góry na niepowodzenie. Udały się jedynie zamachy, wprowadzające na miejsce jednego cesarza jego nie lepszego następcę. Te zamachy z reguły wywodziły się z najbliższego otoczenia władcy i często były dziełem jego rodziny. Drugą możliwością, najpowszechniejszą w późniejszych czasach, był bunt wojska.

Umierający Tyberiusz zostaje doduszony poduszkami, jego następcą, młodziutki Kaligula, pierwszy zresztą cesarz, który naprawdę poczuł się bogiem, zabity mieczami pretoriańskich oficerów, Klaudiusz otruty przez żonę Agrypinę, matkę Nerona, grzybami dostarczonymi przez słynną wiedźmę Lokustę, Neron przebity przez swego wyzwolénca, w obliczu buntu wojska i groźby zasieczenia na śmierć różgami. Bo ludzie, którzy uważali się za bogów i do innych stosowali zasadę Kaliguli „zabijaj tak, aby czuł, że umiera”, właściwie nie mieli szansy na śmierć naturalną. Jeśli jeszcze w pierwszym wieku naszej ery nie było to całkiem oczywiste, to poczynając od trzeciego zaszczyt zostania cesarzem był równoznaczny z nieco odwleczoną karą śmierci. A jednak nigdy nie zabrakło kandydatów. (Ponoć obok tych gladiato

rów, którzy byli nimi z konieczności jako przestępcy albo jeńcy wojenni, zawsze znajdowali się dobrowolni, wcale nie biedni, którzy decydowali się na śmierć, byle na oczach dziesiątków tysięcy widzów.)

Ale to już nie jest rzymska czy nawet antyczna specjalność. Człowiek, jak to do dzisiaj za Arystotelesem powtarzamy, jest zwierzęciem społecznym, lecz przecież współczesna etologia nauczyła nas, że w każdym zbiorowisku zwierząt istnieje hierarchia i nieustanna walka o wyższe w niej miejsce. Tym bardziej w ludzkiej gromadzie. I nie trzeba sprawy upraszczać, sprowadzać jej do jednego tylko motywu: erotyki, władzy, jedzenia. Cóż bowiem za władzę, za pokarm i miłość może zapewnić skrwawiony po niewielu chwilach piasek areny i nieodwołalny mrok śmierci? Tu najwyższą i jedyną zresztą stawką jest tylko wyróżnienie się, odróżnienie od innych, zdobycz czysto umowna, a jednak wznosząca się ponad poprzedzoną męką i upadkiem barierę śmierci. A odróżnić się, to znaczy nie dać się sprowadzić do innych czynników poza sobą samym, zapewnić sobie bodaj umowny, ale jakoś wyższy i trwalszy stan homeostazy, istnienia, trwania. Przynajmniej aż do chwili, kiedy ogromne zmęczenie życia nie każe zapragnąć rozproszenia się w innych, w innym, w nicości. Ale cesarowie nie znali zmęczenia.

I tak właśnie rok sześćdziesiąty dziewiąty naszej już ery przeszedł do historii jako „rok trzech cesarów”. Właściwie, gdyby nieco poszerzyć granicę czasu, wolno byłoby mówić i o pięciu. W Rzymie dygoczący ze strachu Neron daremnie usiłował zadać sobie celne uderzenie. A już w Hiszpanii wojsko obwołało cezarem starego Galbę wyprzedzając tym obiór, przez legie dla odmiany germańskie, Witeliusza, a przez rzymskich pretorianów Othona. Wymordowali się wzajemnie, a ostatniego z nich, Witeliusza, zabił najszcześniejszy rywal, Wespazjan, obrany przez legiony judejskie i syryjskie.

Ale zanim machina mordów i tortur zwołała na chwilę swoje obroty, trzech władców dostąpiło zwycięskiego przetrwania w naszej pamięci. Pożegnajmy ich i ten czas zamętu cytatem ze Swetoniusza: „związano mu (Witeliuszowi) ręce na plecach, na kark nałożono powróż i tak w podartej szacie, półnagi, wleczono na Forum wśród powszechnego poszturchiwania i pośmiewiska, przez całą długość drogi Świętej. Głowę odchyłono mu ku tyłowi, gdyż trzymano go za włosy, jak zwykle złoczyńców, ostrzem miecza podparto mu podbródek, aby można było obejrzeć jego twarz i aby nie pochylał jej w dół. Niektórzy rzucali w niego gnojem i błotem. Inni przezywali podpalaczem i żarłokiem. Część spóółstwa wytykała mu fizyczne ułomności. (...) Wreszcie u Schodów Gemońskich umęczono go drobnymi ciosami i wykończono. Stamtąd hakiem zawleczono do Tybru”.

Ci cesarowie urastający w różnych zakamarkach Imperium i zwalający ostatecznie w kałużę własnej krwi, są zapowiedzią odległego o całe stulecia rozpadu i upadku Cesarstwa.

Bo na razie nikt nie usiłował wykroić sobie własnego państwa, byłoby to wobec niezłomnej jeszcze potęgi całości zupełnie niemożliwe. Ale rozległe przestranie, brak łatwej i szybkiej łączności sprawiły, że przeciwnicy brodzili jakby we mgle nie bardzo wiedząc, kiedy i kogo spotkają na swojej drodze. Co prawda zdarza się to nie tylko cesarom i nie tylko w starożytności. Po wtóre, zauważamy, że nikt już nie korzystał z zamętu, aby podjąć próbę odrodzenia Republiki. To zresztą oczywiste: minęło już sto kilkanaście lat od śmierci Cezara, przeminęło kilka pokoleń. Republika może i wypiękniała we mgle legendy, ale nie była już żadnym społecznym wzorcem. Od następnych prób demokratycznych dzieliły Italię tysiąclecia.

Pogodzono się z tym definitywnie, tym bardziej że stosunki zaczęły układać się całkiem znośnie. Coraz większa ilość mieszkańców Imperium zyskiwała obywatelstwo rzymskie, możliwe rody prowincjonalne wchodziły do senatu, rozkwitał handel, rzemiosło i rolnictwo, na szlakach handlowych panował pokój, zdzierstwo urzędników zostało ukrócone. Dynastia Flawiuszów, a ściślej mówiąc sam Wespazjan i jego syn Tytus, wprowadziła oszczędną go-

spodarkę i praworządność. I tak miało trwać aż do końca prawie drugiego stulecia, z krótką przerwą na terrorystyczne rządy ostatniego Flawiusza – Domicjana.

Po nim następuje szereg cesarów z adopcji i wszystko odbywa się bez krwawej walki o władzę. Co więcej, adoptowani kolejno cesarowie nie są ani szaleńcami, ani durniami, ani krwawymi potworami. Po dynastii klaudyjsko-julijskiej, po „roku trzech cesarów”, po Domicjanie można się niemal upajać szczęściem. I rzeczywiście ten właśnie czas przeszedł do legendy jako najszczęśliwszy okres historii Rzymu. Obraz ten został ostatecznie umocniony przez znakomitego historyka osiemnastego wieku, Gibbona. Pisze on, co następuje:

„W drugim wieku ery chrześcijańskiej Cesarstwo Rzymskie obejmowało najpiękniejsze połacie świata i najbardziej cywilizowaną część ludzkości. Granic tej rozległej monarchii strzegła starożytna sława i zdyscyplinowane męstwo. Pod łagodnym, a przecież potężnym wpływem praw i obyczajów poszczególne prowincje stopniowo połączyły się w jedną całość. Mieszkańcy tych prowincji, rozmiłowani i w pokoju, cieszyli się korzyściami płynącymi z bogactwa i zbytku, często ich nawet nadużywając. Z należyтым uszanowaniem zachowywano pozory swobodnego ustroju. Najwyższą władzę zdawał się mieć rzymski senat, który przekazywał cesarzowi wszelkie niezbędne do rządzenia uprawnienia wykonawcze. W ciągu szczęśliwego okresu trwającego z górą osiemdziesiąt lat rządziły państwem cnota i zdolności takich cesarzy jak Nerwa, Trajan, Hadrian i dwaj Antoninowie”. (T.I. Roz. 1)

Historycy współcześni starają się po trosze zdezawuować tę legendę uważając, że dobra opinia o Antoninach jest dziełem senatu, a także intelektualistów wysoko przez cesarów cenionych. Zapewne jest to w jakiejś mierze słuszne, chociaż właśnie to poszanowanie uczonych przemawia chyba na korzyść rządzących. I poza tym trudno dociec, co właściwie miałyby się Antoninom zarzucić? Zresztą różnili się od siebie mocno. Rządy Nerwy trwały krótko, za to Trajan był ostatnim chyba cezarem-zdobyczą. Przekroczył Tygrys śladami Aleksandra, dotarł do Zatoki Perskiej, podbił Dację zakładając na obszarze dzisiejszej Rumunii nową prowincję i przekraczając w ten sposób Dunaj, czyli łamiąc testament polityczny Augusta, zalecający następcom politykę defensywną, ograniczającą się do obrony granic. Co prawda w przypadku Daków nie było to takie proste – ten wojowniczy lud najeżdżał po prostu posiadłości rzymskie i już Domicjan musiał drogo opłacać pokój. Ale podbój Armenii, wojny z Partami nie rokowały trwałych pomyślnych skutków, ani też ich rzeczywiście nie miały. Następca Trajana, Hadrian, zrzekł się wszystkich zdobyczy. Cezara-Aleksandra zastąpił cesar-intelektualista i podróżnik przemierzający bezustannie swą ogromną dziedzinę. U schyłku życia wybudował w swoich ogrodach pod Rzymem miniaturę cesarstwa, w której znalazło się coś z aleksandryjskiej Kanopy i coś z Aten, i po trosze zewsząd. Czy tam właśnie, w dzisiejszym Tivoli, powstał ów słynny wiersz o duszyczce? Nie doszły do nas wiersze Nerona, niektórzy twierdzą, że nie były złe. Posłuchajmy Hadriana:

Animula vagula, blandula,
Hospes comesque corporis,
Quae nunc abibis in loca
Pallidula, rigida, nudula
Nec, ut soles, dabis iocos...

Co w przekładzie Kazimierza Morawskiego się wyklada:

Duszyczko moja tkliwa i ruchliwa,
Gościu tu ciała mojego i družko,
Co pójdziesz teraz w krainy ciemności,
Twarde i nagie, i pełne bladeści,
A żartów zwykłych stroić już nie będziesz.

A kiedy i ten cesarz pożegnał swą duszyczkę, opróżnione miejsce zajął, znów adoptowany, Antoninus Pius, dla odmiany nie ruszający się zgoła z Rzymu przez dwadzieścia i trzy lata, uważany, pewnie nie bez racji, za najsprawiedliwszego z cesarów. I po nim ostatni z wielkich, Marek Aureliusz, filozof i obrońca linii Dunaju. Może zresztą nie obrońca tylko. Bo przecież kołatał się ciągle, zawsze odkładany, nigdy nie zrealizowany plan poszerzenia granic cesarstwa poza Ren i Dunaj, na wschód, na północ, po ujścia Odry i Wisły. Czy był w ogóle możliwy? Czy dobrze zrobiono trwając przy zaleceniach Augusta? Pytania bez odpowiedzi. Zapewne cesarstwo pierwszych stuleci naszej ery mogło próbować i tego podboju. Było tak potężne i bogate, że mogło nawet zaryzykować klęskę. A za Marka, czy to czas już przemiął, czy jemu samemu życia nie stało – w każdym razie było już na zawsze za późno, ziemie Markomanów i Kwadów, Germanów i Słowian pozostały poza obrębem światłości Śródziemnomorza.

Spokojne, syte czasy Antoninów nie miały co prawda tego piętna wielkości, które zdoła bardziej heroiczne stulecia. Znajdziemy tu „aequanimitas” – „pogodę ducha” Antonina Piusa, znajdziemy wzniosłe rozmyślenia Aurelega, ale napięcie istnienia jakby nieco słabnie, jeśli o jakiegokolwiek chwili w historii wolno coś takiego powiedzieć. W każdym razie określone świadectwo o epoce daje i to, że nie przedstawiała dla potomnych szczególnie pociągającej fabuły literackiej, co świadczy zarówno o braku dramatyzmu, jak i o politycznej i gospodarczej stabilizacji. Czy znaczy to zresztą, że świat zastygał z wolna pod warstwą własnego tłuszczu? Nie, z pewnością. Tyle, że wielki niepokój istnienia przybierał teraz inne formy, celował w inne wymiary niż polityczne. Tu, mimo okresowej stabilizacji, wielkich nadziei i wzlotów już nie było. Lekcja, jakiej udzieliły panowania szalonych cesarów i kolejne fale terroru, została zrozumiana. To w tej przecież epoce pisze największy i najbardziej gorzki historyk Rzymu – Tacyt. Sekunduje mu Swetoniusz, satyra zdobywa się na swój największy wzlot w twórczości Juwenalisa. Niewiele u nich złudzeń w materii historii, w materii natury ludzkiej. Kultura antyczna jest zmęczona, zmęczona jest historia i zmęczeni jej badacze.

Wiadomo już, że człowieka można zmusić do wszystkiego, do największej podłości, do najtańszego pochlebstwa, że godność osobistą da się zachować jedynie w sprzyjających warunkach, a te warunki rzadko bardzo chcą sprzyjać. O przebudowie społeczeństwa nie ma co i myśleć, można więc myśleć jedynie o ucieczce. I o tym właśnie się myśli. I o ile maleje intensywność życia społecznego, o tyle wzrasta nerwowość poszukiwań religijnych i tajemnych. Nerwowość, bo wszystko jest teraz wątpliwe i wszystko prawdopodobne. A tych prawdopodobieństw jest bardzo wiele.

Rzym prawie w niczym nie przypomina siebie samego z czasów wojen punickich. Więc przede wszystkim jest państwem dwujęzycznym. Latium zostało podbite tak dokładnie przez kulturę grecką, że oba języki są zupełnie równorzędne. Łacina jest językiem administracji, greka – kultury i nauki. Hadrian pisze w obu językach, Marek Aureli po grecku, inni tak samo. Zresztą nawet prawnie Grecy zostali zrównani z Rzymianami, a zrobił to ostatecznie Hadrian. Ale przecież Grecja, która kulturalnie zawojowała Rzym, nie była Grecją klasyczną, lecz hellenistyczną, wzbogaconą tysiącami odpryskami kultur, jakie wchłonęła na Wschodzie od czasów Aleksandra Macedońskiego. A sięgnęła wtedy aż po Indie. Teraz więc mieszają się tu wierzenia i obyczaje judejskie, syryjskie, perskie, afgańskie, egipskie i setka innych.

Z kolei i sam Rzym zetknął się już bezpośrednio z obcymi kulturami. Celtowie czy Dakowie byli wprawdzie barbarzyńcami, ale niekiedy godnymi podziwu. Co prawda ich wierzenia nie bardzo chyba mogły konkurować z barwnością wierzeń Wschodu. Jedno jest pewne: autorzy rzymscy nieustannie podkreślają, że nieugiętość barbarzyńcom daje ich bezwzględne przekonanie o nieśmiertelności duszy. A w sceptycznym Rzymie nie jest to sprawą pospolitą.

Kulty oficjalne nic już prawie nie znaczą, nieoficjalnych jest po prostu za wiele, aby je wszystkie brać serio. Zresztą nie tylko kulty religijne uczestniczą w tym kłębowisku pojęć i idei. Starożytność zawsze bardzo wysoko ceniła wszelkie wieszczby i wyrocznie. Teraz wieszcz czy astrolog to niemal najpopularniejszy zawód. A to przecież tylko część tej wielkiej fali gnozy, magii, hermetyki, jaka przetoczy się w najbliższych stuleciach poprzez cały rządony przez Rzymian świat. I Rzym jest wobec niej właściwie bezradny.

Nie wypracował kategorii duchowych czy moralnych, które dałoby się z powodzeniem przeciwstawić tym nowym objawieniom. Jego kultura duchowa miała charakter obywatelski i prawny, a te w czasach cesarstwa nie miały już samoistnego znaczenia, gdyż zostały do szczerze sprostytuowane i spodłone. Rzym piastował ideał obywatela, co mu zresztą pozwoliło poddać swojej woli całe Śródziemnomorze. Ale obywatel zamienił się tymczasem w posłusznego poddanego i w zobojętniałego na wszystko dorobkiewicza. Ideały religii rzymskiej były zarazem ideałami państwowymi i wraz z zanikiem rzeczywistości, jakiej odpowiadały, zawisły po prostu bezsilnie w powietrzu.

Bogini Roma została ściągnięta z ołtarzy pod latarnię. A innego prawdziwie własnego bóstwa Rzym nie miał.

Równocześnie jednak, pod grozą utraty własnej tożsamości, nie mógł się przyznać do ideowego fiaska. Musiał więc podtrzymywać sztucznie wiarę w bóstwa i dogmaty, wbrew wszystkiemu, wbrew rzeczywistości, i to za wszelką cenę. Musiał przecież istnieć Rzym, aby cesarz miał czym rządzić.

Duch ekspansji rzymskiej miał zawsze charakter przede wszystkim terytorialny i zapewne brak mu było jakiegś cząsteczki szaleństwa, tej właśnie, jaką miał Aleksander Wielki, gdy podejmował swą indyjską wyprawę, i jakiej zapewne nie brakowało także Hannibalowi. Rzym był trzeźwiejszy i ta trzeźwość musiała go ostatecznie zgubić. Bo ekspansja jego nie miała sięgać poza tereny bezpośrednio mu przydatne. Nie słyszymy o żadnej próbie przebycia Atlantyku, nie podejmuje się wypraw badawczych dla samej wiedzy, dla luksusu poznania.

Ograniczono się ściśle do tego, co służyło polityce i gospodarce, a to jednak było za mało; w decydujących stuleciach nie było już żadnego ideowego „zapasu”. Gorączkowe „przymiarki” importowanych ideologii nie dały rezultatu, nie dały się pogodzić z bardzo już statyczną i zachowawczą rzeczywistością łacińską. Nie przyniosła ratunku Izyda ani Mitra, ani Chrystus. Cywilizacja antyczna musiała obumrzeć, aby się móc w przyszłości odrodzić w nowym wcieleniu, pełna starych zwątpień i nowych nadziei.

Na razie jeszcze do tego daleko. W drugim wieku naszej ery pewnie nawet jeszcze nie przeczuwa się nadciągającego mroku. Choć nie. Rzym przez cały czas istnienia miał poczucie własnej skończoności, oczekiwał zagłady. Więc myśli się o tym i teraz. Lecz myśli mało. Bo aktualny kształt świata jest pociągający i bezpieczny. Rzym bezpośrednio lub pośrednio sięga od Atlantyku i piasków Sahary po źródła Odry i Wisły, po Kaukaz, po Mezopotamię. Wszędzie powstają nowe miasta, a w starych nowe i coraz wspanialsze budowle.

Świat jest urozmaicony i bogaty, a do jego centrum napływają coraz to nowe dziwy, luksusy i przysmaki. Wytworne i sceptyczne rozmowy, dyskursy o prawidłach wymowy mieszają się z barbarzyńskimi i brutalnymi, ale jakże podniecającymi obrzędami.

Wyznawcy Mitry biorą chrzest w gorącej krwi byka, smakosze lubują się w języczkach flamingów, w sztucznych jajkach, gdzie w żółtku pływają pieczone, maleńkie ptaszki. Setki niewolników krzątają się wokół wytwornych pań i przebogatych dorobkiewiczów. W tym wyrafinowanym świecie coraz to nowe rekordy wymyślności zaćmiewają się wzajemnie. Kąpiele w mleku oślic i w winie, specjalne fryzjerki, „kunnipekty”, których zadaniem jest jedynie fryzowanie i barwienie włosów w miejscach intymnych, sadzawki wypełnione kolorowaną i perfumowaną wodą, lasy posągów i ulice posypywane w dniach uroczystych pochodów sproszkowanym złotem. Je się coraz więcej i wymiotuje się, aby można było jeść dalej. Granice rozkoszy poszerza się torturą. Cóż można zrobić lepszego?

W bogactwie metropolii uczestniczą prowincje, teraz właśnie rozkwitające w całej krasie. Niezmierzonym bogactwom Wschodu skromniej trochę sekundują wille i świątynie, winnice i oliwniki Galii i Hiszpanii. I tu, jak w Rzymie, karmi się drapieżne, smaczne i opłaczalne handlowo ryby mureny mięsem żywych niewolników. I tu powstają amfiteatry, na których giną zwierzęta i gladiatorzy. Lokalni bogowie przyjęli greckie i rzymskie imiona, rodzime języki dobre są co najwyżej dla nieokrzeseanej biedoty. Ale i ona w łacińskiej mowie – kłania się dalekiej bogini Romie, nie wiedząc, że jej piedestał jest już pusty. Nie wiedzą o tym także ludy najodleglejszych krańców Afryki i Azji, bo wszędzie tam dociera rzymski kupiec i śródziemnomorski towar. Do Rzymu płyną perły, pieprz, niewolnicy. Z Brytanii sprowadza się psy myśliwskie, z Bałtyku bursztyn, z Afryki kość słoniową, z Indii materie bawełniane, a z dalekiego kraju „Serów”, czyli Chińczyków, straszliwie drogi jedwab. Właśnie teraz w sto sześćdziesiątym szóstym roku naszej ery rzymskie poselstwo odwiedziło cesarza Chin. Teraz poprzez Taszkurgan otwarto transazjatycką „drogę jedwabną”, tak jak przez Europę środkową przebiegała „droga bursztynowa”.

W drugą stronę płyną na statkach, kołyszają się na karkach koni, osłów i wielbłądów ładunki czerwono polewanej ceramiki, słynnej „terra sigillata”, szkła, srebrnych pucharów, pancerzy i broni. Od północnej Norwegii, od Litwy po Mombasę w Afryce wschodniej, po Indie, po Chiny docierają towary i legendy. Bogaci Hindusi piją italskie wina, a ich rzeźbę koryguje helleńskie dłuto, imituje się rzymskie srebrne denary w terakocie. Trudno powiedzieć, o ile towarzyszyły temu wędrówki idei, ale z pewnością i one istniały, odciskały się zresztą w rzeźbie, przenosiły w najdalsze kręgi wzór śródziemnomorskiego, ciepłego realizmu sylwetki człowieka i jego świata. Ogromne słońce promieniowało i wszędzie niesło drobiny własnego ciepła i życia. Ale w jego płomiennym oku wibrował już obłęd, a do serca skradał się chłód, trwoga i mrok.

Długa agonía

Nie wiemy, dlaczego narody i kultury umierają. Ale również dobrze nie wiemy, dlaczego musimy umierać sami, czemu giną gatunki, gwiazdy, galaktyki i może całe wszechświaty. Wiemy tylko, że tak jest na pewno, wiemy też, że im szersza jednostka systemowa, tym jej żywot trwa dłużej. Najkrócej istnieje komórka, dłużej organizm, jeszcze dłużej cały gatunek. Nie można naturalnie przenosić mechanicznie praw biologicznych na historię. Ale analogia jest bezsporna. Czy jednak na jej podstawie da się zestawić ciąg: systemy polityczne, narody, systemy kulturalne – to już pewne nie jest. Narody bywają ogromnie długowieczne, chociaż mogą istnieć tylko w postaci mizernego szczątka. Tak przecież do dzisiaj egzystują Asyryjczycy... Zresztą precyzyjne zestawienie poszczególnych członów analogii nie jest naszym celem; próby przedstawiania społeczeństwa w postaci organizmu należą do ubiegłego stulecia.

W każdym razie zarówno kultura, jak i system polityczny Rzymu będącego już czymś znacznie szerszym niż naród, przemieniały się i rozpręgały przez całe stulecia. I wielkie pytanie, czy rozpręgiły się do końca, skoro do spadku po nich przyznaje się wielka część świata. Ale był to już spadek mocno przemieniony, przeniesiony przez strefę ciemności.

Zarówno początek końca, jak i jego dopełnienie są w znacznej mierze umowne. Ruina systemu politycznego nastąpiła ostatecznie w piątym stuleciu, ale przecież nie całkowicie – Cesarstwo Wschodnie przetrwało jeszcze tysiąc lat. Ruina kultury postępowała w miarę sukcesów chrześcijaństwa, które wprawdzie ocaliło niejedno i przejęło wiele, ale zniszczyło bezlitośnie żywą całość antycznej kultury, obaliło posągi i świątynie, zlikwidowało instytucje.

I znów nie bardzo potrafimy odpowiedzieć, dlaczego tak się stać musiało, dlaczego tak harmonijna, składna i na swój sposób doskonała całość musiała się zamienić w drzazgi i pył. Wprawdzie od setek lat historycy i filozofowie rozważający upadek Rzymu wymienili wiele przyczyn i powodów, ale nie potrafimy do dzisiaj wskazać rzeczywiście głównego. Może nie było go wcale, może sumowały się po prostu drobne przyczyny przekraczając w pewnej chwili jakąś wartość graniczną. A może wszystko to, co uważamy za przyczyny, to jedynie objawy nieuniknionego procesu, którego skryta istota polega na czymś jeszcze zupełnie innym? Wreszcie i same przyczyny upadku inaczej były oceniane w stuleciu osiemnastym, inaczej dzisiaj; należy się więc spodziewać, że i to będzie się dalej zmieniać.

W każdym razie pierwszy etap rozkładu wiązał się z kryzysem władzy. Całe trzecie stulecie było wiekiem zamętu, nieustannych wojen domowych, buntów i kontr buntów, dzięki szarpaniny pretendentów. To, co się wyprawiało w cesarstwie od śmierci Marka Aureliusza po Aureliana, Dioklecjana, mogłoby po trosze przypominać zmiany rządów w pierwszym dziesięcioleciu powojennej Francji czy Włoch, ale tylko przypominać i jednak dość odległe.

Kryzys władzy nie polegał przecież na osłabieniu pozycji cesarów; przeciwnie raczej, nie było już żadnej przeciwwagi, żadnej powściągającej siły. Lud rzymski stracił jakiegokolwiek prawa, ale również i zainteresowania polityczne, senat był jedynie marionetką. Działo raczej ograniczenie czasowe – po niezbyt długim na ogół okresie władzy cesar nieomylnie ginął z rąk nie dającego się przewidzieć następcy bądź też w wyniku buntu wojska. W krańcowych przypadkach panowanie takiego władcy mogło trwać zaledwie parę dni – akurat doś czasu na kolejną falę egzekucji, nieodłączny atrybut każdego nowego panowania. Niewielki byłby sens wyliczania wszystkich kolejnych władców i ich czynów. Zresztą jest ich bezlik – w pewnym okresie mówiono o trzydziestu sobie mniej więcej współczesnych, co jest pewnym zaokrągleniem. Ale dwudziestu dysponujących częścią wojska i częścią imperium da się rzeczywiście wyliczyć. W ciągu całego stulecia było ich naturalnie znacznie, znacznie więcej. Prześcigali się zarówno w szaleństwach, jak w wystawności. To teraz właśnie Filip Arab urządza najwspanialsze igrzyska, teraz syn Marka Aurelego, Kommodus, osobiście wychodzi na cyrkową arenę, Karakalla wślawia się bratobójstwem, Heliogabal zaprowadzeniem kultu syryjskiego Baala i transwestyzmem (doprowadzonym zresztą aż do wyjścia za mąż), Walerian tym chyba, że zakończywszy jako jedyny cesar życie w niewoli perskiej, został ostatecznie wypchany jako osobliwe trofeum wojenne.

Szczególnie jednak, że wszystkie te barwne historie zostały przez potomność mocno zlekceważone. Wprawdzie wszystko już miało swoje precedensy i niełatwo było przewyższyć wyczyny Nerona czy Kaliguli. W każdym razie cesarowie dynastii klaudysko-julijskiej cieszą się nieporównanie większym zainteresowaniem niż władcy trzeciego stulecia. Ale też sytuacja cesarstwa mocno się zmieniła, i to pod wieloma względami. Ogólnie rzecz biorąc wszystko zaczęło podupadać. Może nie było to wyraźnie dostrzegalne dla współczesnych, może bardziej rzucały się w oczy monumentalne termy i świątynie, jakie teraz budowano, coraz wspanialsze igrzyska i przepychy możliwych, ale w każdej dziedzinie wyczerpywały się siły i marniały umiejętności. Upada literatura i plastyka, nieco lepiej rozwija się, wtórna co prawda, filozofia. Wtórna z jednym wyjątkiem: teraz właśnie Plotyn tworzy niezwykle system neoplatonicki. I jeszcze coś: jak na ironię w stuleciu upadku praworządności wspaniale rozwija się prawoznawstwo reprezentowane przez tak wielkich prawników, jak Paulus, Ulpianus, Papinian, których wpływ pośrednio rozciąga się po dzień dzisiejszy.

Ale czynnikiem dominującym w życiu społecznym jest teraz armia, a cesar rządzi właśnie jako jej wódz naczelny. Co prawda w jakiejś mierze tak właśnie było od samego początku Cesarstwa i już Juliuszowi Cezarowi zwycięstwo przyniosły legiony. Z nimi przecież przekroczył Rubikon, a nie z urzędnikami. I od dawna już o wyborze cesarza decydowała armia, której też musiał się wybrany stosownie wywdzięczać. Już sam obiór był nagradzany odpowiednio wysoką darowizną, a zdarzyło się i tak, że dwaj pretendenci, Sulpicjanus i Dydius Julian prowadzili normalną licytację. Kluczowe miejsce zajmowali pretorianie stacjonujący w samym Rzymie, ale przecież wielokrotnie cesarowie byli obwoływani przez legiony, w oddalonych od centrum prowincjach. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że utrzymanie i odpowiednie obdarowanie tych armii było główną troską cesarów i olbrzymim obciążeniem dla całego państwa. Wojska te w znacznie mniejszej mierze zajmowały się ochroną granic niż utrzymaniem władzy swego dobroczyńcy.

Zresztą jest to czas, gdy związki między poszczególnymi prowincjami zaczynają się zrywać, zapowiadając przyszły rozkład. Na dłuższą odpada Brytania i Galia, Wschód pod berłem słynnej Zenobii z pustynnej Palmiry tworzy właściwie osobne państwo. Siłą rzeczy podupada i handel wobec zagrożonych szlaków transportowych oraz rolnictwo z braku rąk do pracy, rosnących podatków i nieustannych dewastacji.

Rzym od dawna nie jest już państwem narodowym. Może i mniej ubolewamy dzisiaj nad tym niż historycy minionych stuleci, że cesarem bywa teraz niekoniecznie rodowity Rzymianin, ale także Arab, Syryjczyk, Trak, Dalmatyńczyk czy ktoś jeszcze inny. W istocie skoro

posłannictwem Rzymu było stworzenie wspólnego domu dla różnych ludów, to ich udział także we władzach najwyższych nie powinien budzić zdumienia. Ale wraz z tym postępowała barbaryzacja całej armii. Żołnierz był więc związany z osobą dowódcy, ale w stopniu znacznie mniejszym albo zgoła żadnym z wielką tradycją całego Imperium. A tymczasem sytuacja poza granicami Cesarstwa zaczęła się powoli, lecz nieubłaganie i fatalnie zmieniać.

Oczywiście, zawsze jakieś naciski zewnętrzne istniały, ale przez parę stuleci nie miały zasadniczego znaczenia. Na wschodzie panowała rozsądna równowaga sił, a najazdy od północnego wschodu dawały się bez trudu powstrzymać. Teraz jednak ze wszystkich stron rozpoczął się nacisk, któremu osłabione Cesarstwo miało coraz mniej własnych sił do przeciwstawienia. W połowie trzeciego stulecia Frankowie przekraczają Ren i rozlewają się szeroką falą w Galii i Hiszpanii, Alamanowie i Swewowie przechodzą Alpy i pustoszą Lombardię, a dla odmiany Goci w kilku kolejnych najazdach przepływają Morze Czarne i poprzez Bosfor i Morze Egejskie uderzają na Grecję. Płonie serce Śródziemnomorza – Ateny.

Ten najazd plemion germańskich, szerokim frontem wlewających się w skruszone mury Imperium, został tym razem jeszcze odparty, choć pozostawił po sobie straszliwe zniszczenie. Skąd jednak się wziął, skąd czerpał tak straszną siłę?

Po części nie był niczym nowym. Tego rodzaju zagrożenie wisiało nad Cesarstwem od dawna, ale siła Rzymu oddalała niebezpieczeństwo. Jednak i sam nacisk miał różne nasilenie, a przyczyny tego kryły się w głębi Azji. Znakomity orientalista radziecki Lew Gumilow wiąże najazdy ludów stepu z kierunkiem wiatrów. Kiedy przez dłuższy czas utrzymywał się taki ich kierunek, że omijając zapory gór niosły znad oceanu deszcze w głąb Azji, wówczas Step pokrywały się zielenią, koczownicze plemiona rosły w siłę i dochodziło ostatecznie do swoistej eksplozji demograficznej. Jej siła uderzała na wszystkie strony niszcząc stabilne organizmy państwowe. Nie jest przecież rzeczą przypadkową, że w tym samym czasie, gdy dogorywał Rzym, poszły także w rozsypkę starożytne Chiny.

Teraz więc wzbierała fala, która – rosnąc przez najbliższe dwa stulecia – zatopi Europę i nawet Afrykę północną. Na razie sytuacja zostaje pozornie opanowana – ale na spustoszonych przygranicznych ziemiach zaczynają na mocy różnych układów i traktatów, albo i bez nich nawet, osiedlać się barbarzyńcy. Równocześnie zaś następuje odrodzenie państwa perskiego, które sięga teraz po Syrię, po Azję Mniejszą. I tu kosztem ogromnych wysiłków udaje się zyskać pewną stabilizację, choć Walerian pójdzie do niewoli, a w sto lat potem podczas kampanii perskiej zginie Julian Apostata.

Na razie rozkład Cesarstwa zostanie pozornie wstrzymany, co będzie dziełem kilku wybitnych cesarów przełomu trzeciego i czwartego wieku. Ich poczet otwiera Klaudiusz pogromca Gotów, po nim zaś Aurelian, którego niezbyt długie, bo czteroletnie (co prawda Klaudiusz i tak panował o połowę krócej) rządy wniosły w rozdygotane państwo nieco ładu. Przede wszystkim przyłączono z powrotem Galie, Hiszpanię i Brytanię, gdzie tymczasem w kolejnych buntach ginęli uzurpatorzy Postumus i Wiktorynus. Ich następcą, Tetrykus, uciekł opuszczając własne legiony, które biły się zaciekle z Aurelianem aż do końca. Następnie Aurelian pokonał legendarną Zenobię z Palmiry, przyłączając z powrotem do Cesarstwa Syrię i Egipt. Przy tym, co nie było wcale regułą, darowano życie i Tetrykusowi, i Zenobii, którzy zamieszkali spokojnie w Rzymie jako prywatni ludzie. Aurelian zresztą właśnie dla Rzymu zrobił coś bardzo potrzebnego, ale i żalostnego zarazem: otoczył go nowymi, dziewiętnaście kilometrów liczącymi murami. Przez całe wieki taka ostrożność nie była potrzebna, teraz oznaczało to, że stolica państwa nie jest już bezpieczna.

Ale w istocie Rzym przestawał już być stolicą. Senat nie posiadał nawet pozorów władzy, cesarowie byli natomiast obierani tam, gdzie akurat stacjonowały najsilniejsze legie. I sam Rzym odwiedzali coraz rzadziej, zdarzało się nawet tak, że nie byli tu wcale. Dogodniejszym miejscem był dla nich bardziej na północ położony Mediolan, może i dlatego, że tu byli mniej skrepowani. Rolę czasowych stolic obejmowały także inne miasta, zresztą niewiele ustępują-

ce Rzymowi, a niekiedy przewyższające go nawet. Była więc Nikomedia, Antiochia, Aleksandria, która pozatem w tych późnych stuleciach pełni rolę intelektualnego centrum Cesarstwa.

A w końcu został założony Nowy Rzym – Konstantynopol nad Bosforem, o czym jeszcze pomówimy. Oczywiście, w pewnym sensie Rzymu, miasta, którego nazwę nosiło całe Imperium, nie dało się niczym zastąpić. Toteż nawet ci cesarowie, którzy prawie nie odwiedzali Rzymu i nie zamierzali w nim nigdy rezydować, starali się zostawić tu po sobie jakieś wspomnienia. Dioklecjan buduje termy, Konstantyn – bazylikę, Konstancjusz sprowadza z Egiptu największy obelisk. Rzym ciągle jeszcze oddycha i bawi się nawet, choć już nie politykuje, a posągów jest tu więcej może niż żywych ludzi. Tak więc przedwieczne zdumienie Galów, którzy nie wiedzieli, czy na kurulnych krzesłach senatu siedzą ludzie, bogowie czy posągi, zaczęło się powoli obracać w przekleństwo. Ale to jeszcze nie był koniec, jeszcze los pozostawił Miastu dwa ostatnie stulecia.

Bo po Klaudiuszu, Aurelianie, Probusie nadszedł czas wielkich reform, możliwych we wzmocnionym na razie państwie. I zapewne tak jest zawsze, że na reformy może sobie pozwolić kraj nie całkiem wyczerpany. Wielkie zmiany są przecież czymś na kształt surowicy zapobiegającej chorobie na przyszłość, ale w pierwszej chwili niosącej jednak gorączkę. Chory organizm musi więc przetrwać najgorszy kryzys, bo dodatkowy wysiłek może go po prostu zniszczyć. Wielka reforma Rzymu wiąże się z imieniem Dioklecjana, przez dwadzieścia lat władającego Cesarstwem (284–305). Nie władał nim jednak sam – przybrał sobie współaugusta i dodatkowo dwóch niższych stopniem cesarów. Sytuacja zresztą wymagała takiej reformy, gdyż wszystkie prowincje mogły być zagrożone. Tetrarchia Dioklecjana przetrwała wprawdzie tak długo, jak on sam, ale zdążyła umocnić całe państwo.

Było to państwo bardzo już odmienne od dawnego, nazywamy je zresztą Późnym Cesarstwem. I forma rządów zmieniła się niemało – nie jest to już pryncypat podtrzymujący fikcję Republiki, lecz dominat, monarchia absolutna. Dioklecjan wprowadził wschodni rytuał wobec ubóstwionego monarchy – obowiązuje padanie na twarz, którego kiedyś tak strasznie nie znosili hetajrowie Aleksandra. Ale orientalizacja Cesarstwa dokonała się już dawno temu – stąd napłynęły wyznawane teraz religie, tu są najbogatsze prowincje, tu, w Nikomedii, rezyduje sam Dioklecjan. I tu zrzeknie się ostatecznie władzy.

Rzadki to wypadek w dziejach, jeśli nie płynie ze słabości. Tak kiedyś zrezygnował krwawy Sulla, tak po wiekach postąpi cesarz Karol V i w naszych czasach nieomalże tak de Gaulle. Dioklecjan po dwudziestu latach panowania buduje sobie wspaniałą pałac w dzisiejszym Splicie i spędza tu schyłek życia. Z pewnym wstydem dowiadujemy się, że jego następcy zawdzięczający mu władzę nie oszczędzili staremu cesarzowi trosk i upokorzeń. Mimo jego próśb Maksymin prześladowuje jego żonę i córkę, a Licyniusz je zabija. Konstantyn Wielki w tej sprawie także wielkości nie okazał.

Okazał ją natomiast w czym innym – w zdobyciu władzy, zjednoczeniu Cesarstwa i doprowadzeniu do końca reform Dioklecjana. W niejkiej mierze były to smętne reformy, gdyż pozbawiały obywateli znacznej części wolności osobistej; wkrótce już, wolny dotąd, osadnik-kolon wypierający niewolnika sam stanie się jeńcem uprawianej przez siebie ziemi, syn żołnierza musi także pozostać w wojsku, a córka prostytutki będzie musiała spełniać zawód matki. Ale dwa najbardziej pamiętne czyny Konstantyna to założenie Konstantynopola i równouprawnienie chrześcijaństwa, co się dokonało edyktem mediolańskim roku trzysta trzynastego.

Konstantynopol był zresztą właśnie chrześcijańską stolicą, przeciwstawiającą się Rzymowi. Było tu wprawdzie prastare greckie miasto Bizancjum, nie odgrywało jednak nigdy większej roli, choć jego położenie umożliwiało mu kontrolę nad morzami i kontynentami. Konstantyn zabrał się do dzieła z ogromnym rozmachem – wznosił mury i pałace, prznosił rzymskie instytucje i posągi z całej Grecji. I ten Nowy Rzym wzniesiony w niewiele lat, choć

przez stulecia długie rozbudowywany i przez następne stulecia sypiący się w gruzy, miał się stać ostatnim ogniskiem kultury antycznej na lat prawie tysiąc dwieście, to jest właśnie tyle, ile istniał Rzym nad Tybrem. Zresztą oba miasta istnieją dalej: tyle że zmieniły swych panów. Tak na ziemi, jako i na niebie.

Edykt mediolański i założenie chrześcijańskiego Konstantynopola sankcjonowały stan istniejący. Sam Konstantyn ochrzcił się pono tuż przed śmiercią, ale związał się z wyznawcami tej religii już przedtem, co mu niezmiernie ułatwiło zarówno zdobycie, jak i utrzymanie władzy.

Chrześcijaństwo bowiem w tym czasie stanowiło już ogromną siłę polityczną, wzmagającą się z każdym rokiem. Starzy bogowie tracili coraz bardziej grunt pod nogami, a w nadchodzącym stuleciu mieli zginąć niemal zupełnie. Zresztą i tak nie byli już tym, czym przed wiekami.

Chrześcijaństwo pojawiło się w Rzymie w czasach Nerona. A w każdym razie to jest to, co o tym wiemy, czerpiemy zaś tę wiedzę z Tacyty, który opisując wielki pożar Rzymu wspomina i o chrześcijanach, notabene niezbyt pochlebnie. Sprawy te są powszechnie znane – Neron oskarżany, najpewniej niesłusznie, o podpalenie Rzymu znalazł kozła ofiarnego właśnie w chrześcijanach. Była to jedna z licznych religii wlewających się wówczas do Rzymu, w istocie słabo dająca się odróżnić od religii Żydów. I nie bez przyczyny, gdyż pierwsi chrześcijanie byli rzeczywiście Żydami, i to przestrzegającymi wszystkich nakazów Mojżeszowych. Tu jednak niezbędna jest dygresja.

W kręgu ludów otaczających Moze Śródziemne, a zespolonych w złoty pierścień Cesarstwa Żydzi zajmowali miejsce szczególne i dość wyjątkowe. Po pierwsze, w sensie geograficznym. Ich ziemie stanowił przesmyk między Azją a Afryką, co w sensie politycznym oznaczało także granicę wpływów Egiptu i kolejnych mocarstw zachodniej Azji – Asyryjczyków, Babilończyków, Hetytów, Persów. Jakikolwiek państwo tego regionu, czy w szerokim sensie Syrii, niewiele miało szans na trwalszą niepodległość. Nieustannie przez kogoś zagarniane, podbijane, eksploatowane musiało, żeby istnieć i trwać, znaleźć taki czynnik konsolidujący, którego by się nie dało spalić i zburzyć.

Tym czynnikiem stała się religia, wyobrażenie Jedyne Boga, sublimujące się i precyzujące przez stulecia, kształtowane w tragicznych kolejach losu, w następujących po sobie niewolach i diasporach. Zresztą judaizm nie tylko odcinał się i wyodrębniał, także przejmował od swoich przeciwników, sąsiadów czy zaborców, i to wcale nie mało. W Biblii są pokłady legend i wyobrażeń od Mezopotamii po Egipt, od Persów po Greków. Ale całość miała kształt niepowtarzalny i jedyny na świecie.

Dlaczego właśnie Żydów spotkał taki los, zarazem nędzny i wzniosły? Nie byli przecież jedynym ludem Syrii, nie byli jedynym narodem, którego udziałem była diaspora. Rozpraszali się równie dobrze Grecy i Fenicjanie. Ale co prawda zasadniczą formą rozsiedlania się tych narodów były jednolite narodowościowo kolonie, zakładane w miejscach bezludnych albo raczej zawojowanych. Żydzi natomiast, jeśli nie liczyć podbojów z czasów Mojżesza i Jozuego, byli jedynie współmieszkańcami ziem cudzych – mowa naturalnie o diasporze czy raczej kolejnych diasporach. Ale i to nie wyjaśnia niczego. Wyjaśnień jest zresztą wiele, mistycznych i geograficznych, apologetycznych i oskarżycielskich. Tak czy inaczej Żydzi weszli w orbitę Rzymu wraz z upadkiem królestw hellenistycznych. A może i wcześniej nieco, bo przecież nie wiemy, od kiedy datują się początki ich diaspory śródziemnomorskiej. W miastach greckich, nade wszystko zaś w Aleksandrii, mieszkało ich bardzo wiele od samego początku. Tu judaizm spotkał się z wpływem o znaczeniu decydującym – z filozofią grecką, przede wszystkim zaś z Platonem.

Było to spotkanie na połowie drogi. Żydzi diaspory, ale także samej Judei, żyjąc w świecie Greków posługiwali się ich językiem do tego stopnia, że trzeba było na ich użytek dokonać przekładu ksiąg Starego Testamentu na grecki – jest to tak zwana septuaginta. Doszło i do

zbliżenia obyczajowego, że zaś jął się już rysować kryzys religii klasycznych i wpływ Wschodu był coraz silniejszy, więc też i judaizm zaczął przyciągać prozelitów sympatyzujących z synagogą.

Elementem przyciągającym był zarówno uniwersalizm, jak i radykalizm tej religii. Ale uniwersalizm był dopiero w załączku i nie rozwinął się zresztą nigdy, gdyż przejęło go chrześcijaństwo. Tymczasem niepoczytalne szykany, dotyczące bądź jedzenia, bądź obrzezania, rozplomieniły to, co było, zdaje się, samo przez się w zaniku i gminy żydowskie zaczęły znowu zamykać się w sobie. Tak właśnie nakazy i zakazy Antiocha IV doprowadziły w 167 r. do powstania Machabeuszy. Bądź co bądź. Żydzi uzyskali ten przywilej, że nie musieli składać ofiar bogom Rzymu i Grecji, co by się w najwyższym stopniu kłóciło z ich religią, tak jak oni ją rozumieli.

Był to przywilej zupełnie wyjątkowy i nikt poza tym w starożytności o nic takiego by się nie ubiegał. Jeśli się wyznaje wielu bogów bądź też zakłada, że boskość przyjmuje nieskończenie dowolną ilość imion i postaci, to nie ma powodu, aby któremukolwiek z nich odmawiać ofiary i szacunku. Co innego, jeśli Bóg jest jeden i jego imię jest samo przez się niezwykle potężnym bytem. A właśnie judaizm odnosił się z tak wielkim nabożeństwem do bożego istnienia i słowa (nie na próżno nazwano Żydów „narodem księgi”), że i głoski w Zakonie policzył i imienia Jahwe nie używał, zastępując je omownym „Adonaj” – Pan.

Dzięki temu całemu splotowi okoliczności Żydzi byli tolerowani, ale poza dość wąskim ostatecznie gronem sympatyków równocześnie izolowani. Trzeba jednak dodać, że owa tolerancja nie zawsze była przestrzegana. W Aleksandrii, i nie tylko tam, dochodziło do krwawych rozpraw między Żydami a Grekami. Po zburzeniu Jerozolimy i świątyni przez Tytusa narodowość i religia żydowska jeszcze silniej splotły się ze sobą, splotły nie tylko dla przetrwania, ale i dla odwetu. Ostatnią i tragiczną próbą odzyskania niepodległości było powstanie Bar Kocilby, któremu – w momencie gdy Trajan ruszał na podbój

Persji, a snił o Indiach – towarzyszyła ogromna fala zbrojnych wystąpień żydowskich we wschodniej części Imperium. Stłumił je następca Trajana Hadrian, pokonał Bar Kochbę, „Syna Gwiazdy”, i zburzywszy te resztki Jerozolimy, które przetrwały oblężenie Tytusa, założył tu miasto łacińskie – Aelia Capitolina.

Otóż chrześcijanie. Żydzi początkowo, poszli na wygnanie razem z innymi. Tylko że już wtedy, stosunkowo wcześniej, chrześcijaństwo podzieliło się na dwa nurty. Z jednej strony pozostali Nazarejczycy, później zwani ebionitami, którzy będąc chrześcijanami przestrzegali równocześnie przykazań Mojżeszowych. Drugi odłam, biorący swój początek od Pawła z Tarsu, apostoła narodów, wyszedł zdecydowanie poza judaizm i rekrutował się z pogan, początkowo właśnie owych prozelitów otaczających synagogę. Ostatecznie oddzielił się od niej, i w tym momencie przestały go dotyczyć przywileje przyznane Żydom. Przecież były to przywileje dla religii i świętości określonego narodu, a nie dla jakiejś zawieszanej w powietrzu sekty. I chrześcijanie odmawiający czci bogom, a tym samym oficjalnym symbolom i władzom państwa (i Roma, i cesarowie byli wszak bogami!), znaleźli się automatycznie w konflikcie z prawem i obyczajem.

Wbrew późniejszym legendom nie był to konflikt ani nieustanny, ani powszechny. Prześladowania chrześcijan, dość sporadyczne, trwały dwieście lat, to prawda. Ale na ogół przyemykano oczy na ich poczynania. Słynny jest list Trajana do Pliniusza Młodszego w sprawie sądenia chrześcijan, odradzający jakiegokolwiek specjalnego śledzenia winnych i ograniczania się jedynie do wypadków ujawnionych skądinąd. Zresztą wystarczyło symboliczne złożenie ofiary, aby winny przestawał być winnym. Tak było i za Marka Aureliusza, i za Decjusza, i za innych. Gibbon robi kostywną uwagę, że prześladowcami byli z reguły najsprawiedliwsi, najmądrzejsi i najbardziej zasłużeni cesarowie. I tak było w istocie, i nie był to wcale przypadek. Czy rozum, czy intuicja podszeptywały im, że mimo niewinnych pozorów, mimo pro-

gramowej miłości bliźniego, pokory i niesprzeciwiania się przemocy – mają do czynienia z czymś zasadniczo obcym i wrogim, z czymś, co może stać się grabarzem całości.

Tyle że prześladowania, jak zresztą w takich razach, były tu środkiem bezużytecznym, a nawet całkiem odwrotnie – wzmagającym siłę chrześcijaństwa. Bo chrześcijaństwo potęgowało. W sensie ideowym oficjalna religia nie stanowiła dla niego żadnej konkurencji, bo z niej dawno jakikolwiek cień świętości wyparował. Znacznie groźniejsze były kultury wschodnie – kult Mitry i Izydy. Ale żaden z nich nie dysponował programem tak uniwersalnym, tak niezwykłym i tak uzasadniającym ludzkie istnienie. Geniusz Chrystusa i jego ewangelicznych interpretatorów oferował ludzkości system równocześnie zwarty i elastyczny, tłumaczący los jednostek i zarazem całej ludzkości, system, który, jak się to miało potęgować w przyszłości okazać, nie musiał wcale degradować spraw tego świata, a przeciwnie, stał się kamieniem węgielnym czy może raczej trampoliną do stworzenia potężnej cywilizacji naszych czasów. Co zresztą było możliwe dzięki antycznemu dziedzictwu. W każdym razie przez całe drugie i trzecie stulecie Kościół rozprzestrzenia się po Cesarstwie. Bo właśnie Cesarstwo umożliwia mu ten triumfalny pochód, który byłby znacznie trudniejszy, jeśli w ogóle możliwy, gdyby przegradzały go granice wrogich czy po prostu obcych państw i języków. Tymczasem języki powszechnie używane są dwa, a morzem i lądem wędrują kupcy, posłańcy, żołnierze. I wraz z nimi misjonarze docierający wszędzie tam, dokąd sięgają wpływy znienawidzonego przez nich państwa.

Początkowo formuła wiary jest na tyle ogólna, że wewnętrzne spory nie są zanadto groźne, choć już we wczesnym stosunkowo okresie powstaje немало sekt i herezji. Na swych niejako obrzeżach chrześcijaństwo łączy się z innymi kultami – tak właśnie w domowej czy pałacowej raczej świątyni Aleksandra Sewera stoi posąg Chrystusa obok Mitry, Izydy i Apolla. Ale wewnątrz trwa proces odwrotny i odwrotny w stosunku do wszystkiego, co działo się w antyku klasycznym. Tam bogowie łączyli się ze sobą, nowo przyjęci nadludzcy opiekunowie czy stwórcy Celtów, Iberów, Numidyjczyków czy Kartagińczyków identyfikowali się z bogami Grecji, jak dawno już temu zjednoczyli się z nimi bogowie Rzymu. Tu odwrotnie – jak w judaizmie następowało odgradzanie Zakonu, oczyszczanie go, wyodrębnianie, tak samo dzieje się w chrześcijaństwie. Cóż ma Jerozolima wspólnego z Atenami? – pytano. – „Quid Athenae Hierosolymis?”, chociaż miała, i to bardzo wiele. Ale pewnie samoistnienie chrześcijaństwa wymagało odcięcia się od swoich poprzedników, pełnego niewdzięczności sprzeniewierzenia zarówno judaizmowi, jak i hellenizmowi.

Chrześcijaństwo rośnie więc w siłę i bogactwo. Poszczególnymi gminami rządzą prezbiterowie i biskupi, a wspólne problemy są rozstrzygane na zjazdach – synodach. Nie jest to już Kościół ubogich, choć w dalszym ciągu biedni, niewolnicy i wszelcy nieszczęśliwi stanowią jego opokę nie do skruszenia.

Liczne dary i fundacje sprawiają, że Kościół dysponuje już całkiem świecką potęgą i wpływami. I kiedy nastąpi największa próba sił – wielkie prześladowanie czasów Dioklecjana i Galeriusza – przeciwko państwu staje potęga silniejsza od niego samego. Potęga ta dysponuje nie tylko zwyczajnymi wyznawcami, ale całą armią afrykańskich i syryjskich mnichów i rozwijającym się bujnie piśmiennictwem apologetycznym. Przełom trzeciego i czwartego wieku musi przynieść rozstrzygnięcie – i tak się staje. Chrześcijaństwo wynosi pierwszego „swego” cesarza – Konstantyna. Los kultury antycznej jest przesądzony. Ale jak?

Historycy notują, że Konstantyn ucieszył się widząc na soborze nicejskim roku trzysta dwudziestego piątego, którego „Credo” powtarza się do dzisiaj, także biskupów spoza granic Cesarstwa, ze Scytii i Armenii. Był to niewątpliwym znak, że rozpoczyna się nowa, na znacznie większą skalę zakrojona faza wpływów Rzymu. Ale zarazem podzwonne dla kultury antycznej, bo nie ona wszak przyciągnęła tutaj tych barbarzyńców, coż, że biskupów. Kościół negocjował przecież wszystko, czym przez długie stulecia żyło Śródziemnomorze. Jego królestwo nie było z tego świata, a jeśli już i na tym świecie przyszło mu istnieć, musiał to być świat

urobiony na własną i całkiem odmienną modłę. W istocie jednak sprawy nie przedstawiały się aż tak jednoznacznie i nie całkiem też jednakowe było stanowisko kościelnych przywódców i myślicieli.

Najradykalniejsze zerwanie z całą rzymską przeszłością głosili wielcy myśliciele kościelni z przełomu drugiego i trzeciego stulecia, nade wszystko zaś Tertulian, wróg państwa, nauki i wręcz myślenia. Notabene ci nabożni chrześcijanie wyobrażali sobie zaświaty jako rodzaj wielkiej areny, wokół której zasiądą święci, aby obserwować nieskończone męki swoich doczesnych przeciwników i prześladowców. Nie był to najlepszy prognostyk i na życie doczesne. Ale zanim doszło do tego, że Kościół mógł zakosztować takich rajskich rozkoszy, przejmował przecież od antycznego świata niejedno. Przede wszystkim jego własna organizacja była wzorowana na urzędach rzymskich, po wtóre zaś, niejedna cecha kościelnego rytuału przywędrowała tu pono z kultów hellenistycznych. Ale i coś więcej jeszcze: zasadnicza sprawa teologii chrześcijańskiej, sprawa Trójcy, wywodziła się przecież ze źródeł antycznych, z Platona. U niego właśnie świat rzeczy jest rodzajem cienia, które rzucają nieśmiertelne i doskonałe idee. Jest to zresztą jedna z piękniejszych platońskich parabol: jesteśmy jak skrepowani niewolnicy siedzący w pieczarze tyłem do wejścia i tylko po przesuwających się po ścianie cieniach możemy wnioskować, co dzieje się za nami, w pełnym słońcu. I pojawiła się tu myśl, że między doskonałością a owymi cieniami musi być jakiś łącznik, jakieś pośrednictwo. Zawiliymi drogami koncepcja ta dotarła i do judaizmu, w owych latach, gdy w takich miastach jak Aleksandria idee swobodnie przenikały się nawzajem. I trafiła ostatecznie do Ewangelii Janowej, jako Logos – Słowo, które stało się Ciałem. Słowem tym była druga osoba Trójcy, Syn, Chrystus.

I w tym miejscu zaczął się obłądny spór, który podzielił chrześcijaństwo na całe stulecia. Ale przecież najpierw musiało dojść chrześcijaństwo do głosu i władzy, aby z roli dręczzonego baranka przedzierzgnąć się w bezwzględnego oprawcę. Tak zresztą, niestety, bywa z reguły w historii, że przemoc zaszczenia w prześladowanych to samo okrucieństwo i nietolerancję, na które skarżyli się wcześniej. Edykt mediolański Konstancyna nie dał jeszcze przewagi chrześcijaństwu, ale ujawnił tłące się wewnątrz spory. Za panowania jego syna, Konstancjusza, wrzenie doszło do szczytu. Ponieważ teraz właśnie spory teologiczne pochłaniały całe społeczeństwo, od samego cesarza po mizernych niewolników. Nikt właściwie nie mógł zostać neutralny, a rozprawiano wcale nie tylko słowem, ale i orężem. Nie była to zresztą rzecz całkiem nowa. W miarę precyzowania się teologu chrześcijańskiej już nie dziesiątki, ale zgoła setki sekt i herezji napępiały wrzawą świat śródziemnomorski.

W Afryce północnej sekta donatystów przeszła do czynu i bandy wyznawców uzbrojonych w ciężkie maczugi zwane „izraelitami” zaczęły wokół szerzyć śmierć i rabunek. Walczono także w Azji Mniejszej, zresztą właściwie wszędzie.

Ale ariański spór o Trójcę przerósł wszystko. Rzecz polegała na stosunku, w jakim pozostaje Syn do Ojca. Czy został stworzony, czy jest przedwieczny, czy jest z tej samej substancji, czy może z podobnej? Czy jest raczej człowiekiem, czy Bogiem i jak się właściwie oba te pierwiastki łączą? Ariusz dowodził, że Syn został, wprawdzie bardzo dawno, przed wiekami stworzony, katolicy, jak zaczęto ich po soborze nicejskim nazywać – przeciwnie. Spór z perspektywy wieków wydaje się raczej idiotyczny, jeszcze zaś idiotyczniejszą postać przybrał, gdy zasadniczą różnicą, w imię której mordowano i palono na stosach, stała się jedna litera, słynne „i”. Prawowierni twierdzili, że Syn i Ojciec są „współistotni” – „homousion”, pólarianie dowodzili natomiast, że ich substancje są tylko podobne – co brzmiało „homoiousion”.

Spór ten pięknie rozpoczęty przez Ariusza, prezbitera z Aleksandrii, przewędrował przez sobór nicejski, przez nieskończoną ilość innych synodów i soborów, później, w okresie ewangelizacji barbarzyńców, oddzielił ich od dawnych mieszkańców Śródziemnomorza, odcisnął się w rozdzieleniu katolicyzmu i prawosławia, dzieląc Europę na lat tysiąc sześćset, i

dopiero współcześnie zaczyna wygasać. Oczywiście zwalczające się strony od dawna poza teologami zapomniały, o co tu właściwie poszło i dlaczego. A rzecz miała pewne tło ogólniejsze i nie była tak głupia, jak się wydaje. Tym tłem ogólniejszym był stosunek monoteizmu do politeizmu. O ile państwo, pod wpływem chrześcijaństwa zresztą, monoteizowało się po trosze, o tyle chrześcijaństwo nie mogło całkiem uniknąć politeizacji i nie uniknęło na szczęście. Oczywiście substancjalnie pozostało monoteizmem, lecz przecież przyjmując, że i człowiek jest stworzony „na obraz i podobieństwo”, musiało mieć do czynienia z rozproszonymi częściami boskości w ludziach, w aniołach, w demonach. Jeśli kogoś razi słowo „boskość”, zastąpię je chętnie przez „transcendencja”. Spór o Trójcę dotyczył tych spraw w samym ich jądrze.

Wszystko to było ponad wszelki wyraz i pod każdym względem zawile. Konstantyn popierał początkowo katolików, później jednak skłonił się w stronę arian. Konstancjusz natomiast był zacietrzewionym arianinem. To jedna, to druga strona brała górę. Historycy opowiadają, że został formalnie zdeorganizowany transport cesarski, gdyż zajmował się prawie wyłącznie przewożeniem biskupów z synodu na synod. Przesłannym przeciwnikiem arian był biskup aleksandryjski Atanazy, wielokrotnie wyganiany, prześladowany, zsyłany, skłócony z kolejnymi cesarzami i aż do końca nieugięty. Zresztą na południe od Aleksandrii, na pustyniach Tebaidy, rozkwitało życie monastyczne. Praktycznie wyglądało to tak, że ogromne tłumy mnichów i pustelników zyskiwały względnie łatwy chleb i ochronę przed świadkami na rzecz państwa, bardzo wówczas uciążliwymi, w takiej właśnie służbie duchownej.

Zadziwiona historia przekazała nam wspomnienia o wzajemnych rywalizacjach w ascezie, o Szymonie Słupniku, stojącym latami na kolumnie, o zwidach świętego Antoniego, o wszelkich cudach i potwornej ciemnocie. Notabene Waclaw Korabiewicz („Śladami amuletu”) dowodzi, że tu właśnie i wtedy przyjęty został emblemat krzyża, wprowadzony wedle niego przez jednego z organizatorów życia klasztorowego, Pachomiusza, a przejęty ze starego egipskiego hieroglify zwanego anchem, przedstawiającego krzyż z pętlą u góry i będącego symbolem życia. Atanazy krył się wśród mnichów także i wtedy, kiedy na jego stolicy zasiadł słynny zdierca i łajdak, Jerzy z Kapadocji, arianin, który dziwnie ironicznym nieporozumieniem historii został w końcu katolickim świętym. Ale ostatecznie – przecież świętym został także Konstantyn, za życia czczony jako pogański cesar-bóg.

Chrześcijanie, bądź co bądź, w jednym byli zgodni – w tępieniu pogan. A ci, chociaż jeszcze liczni, nie bardzo mogli się bronić i ostać wobec narastającej lawiny pogromów, ustaw, zakazów. Okazało się przy tym, że filozoficzny grunt ich systemu jest w zderzeniu z chrześcijaństwem dosyć miálki. Zaczęły się więc gwałtowne prace renowacyjne, wzorowane po części na chrześcijaństwie, zresztą przede wszystkim w samej strukturze organizacyjnej. Ale nie tylko. Neoplatonizm Plotyna, gdzie z najwyższego bytu wypromieniowują kolejne szczeble – hipostazy istnień, wiązał w całość mitologicznych bogów. Tak czy inaczej zbliżenie do monoteizmu wydawało się wyjściem jedynym. Takie też wyjście możemy odczytać w systemie cesarza-filozofa, Juliana Apostaty, postaci pięknej i tragicznej.

Był ostatnim spadkobiercą krwawego rodu Konstantyna. Krwawego, bo w czasach, gdy zaczęła górować idea dynastyczna, a przypomnijmy sobie, jak było niegdyś inaczej – cała dynastia klaudyjско-julijska i antonińska rozwijały się wyłącznie przez adopcję, otóż teraz należało wygubić wszystkich krewnych, aby zrobić miejsce najbliższemu, najlepiej własnemu potomkowi. Co prawda Konstantyn zabił właśnie swojego syna – ale to niezbyt jasna, choć bardzo literacka tragedia. Ponoć w Kryspusie zakochała się jego macocha, Fausta, a odrzucona oskarżyła pasierba o gwałt. Słowem, historia o Józefie i żonie Putyfara. W każdym razie z tych czy z innych względów ród Konstantyna wybił się nawzajem ze szczętem, a Konstancjusz chyba tylko dlatego nie zabił Juliana, trzymając go zresztą wiele lat w więzieniu, że już innych krewnych nie miał. Julian, naturalnie, już jako cesar Galii, zbuntował się, sam zaś Konstancjusz umarł w szczęśliwym momencie, więc śmiercią naturalną. Podobno Julian chciał go oszczędzić, ale czy mógłby to zrobić przy najlepszych nawet chęciach – wielkie pytanie.

Krótkie panowanie Juliana rozpoczęło się od zniesienia ustaw wymierzonych przeciw poganom i przeszło w próbę przywrócenia czci dawnym bogom, już, niestety, pod koniec ze szkodą dla tolerancji. Cesarz zwracał świątyniom majątki, które im odebrano, przywracał stare obrzędy, składał ofiary. Ale czy mógł odwrócić bieg historii? Niektórzy, jak choćby Aleksander Krawczuk, uważają to za możliwe, a w każdym razie prawdopodobne. Sądzą, że gdyby Julianowi dane było panowanie Augusta, udałoby mu się przywrócić cześć dawnym bogom Grecji i Rzymu. Nie wydaje się to jednak prawdopodobne.

Julian wprawdzie gorączkowo opracowywał system filozoficzny, biorący początek od Platona, a mający stanowić filozoficzny pień przywracanych obrzędów. Atakował chrześcijaństwo, niekiedy z wielką mocą. Tak na przykład przeciwstawiał chrześcijańskie miłosierdzie rzymskiej sprawiedliwości, zatwierdzającej nieodwołalność czynu i jego zapłaty. Drwił, nie on jeden, że chrześcijaństwo wprowadza kult zwłok, co było dla idei antycznej świątyni obrzydliwą zmałą, że czci się teraz marynowane głowy i piszczele. I była to prawda, bo czymże innym był kult relikwi?

Zaczęły więc znowu dymić ofiarami ołtarze, znowu jak niegdyś składano hekatomby. Ale chyba niewiele byli warci nowi poganie, którymi stali się tylko dla łaski Juliana, jak przedtem byli chrześcijanami dla łaski Konstancjusza. Świat antycznych wartości klasycznych zamierał, świątynie były opuszczone, posągi poobalane. Jakże smutna jest odpowiedź wieszczych Delf, do których Julian zwrócił się o przepowiednię. Delfy odpowiedziały, że bogowie już więcej się nie odzywają i wyrocznia jest niema. Wyszły strumienie dawnej Hellady.

Nic zresztą dobrego nie miałyby wyrocznia Julianowi do powiedzenia, jego kres się zbliżał. Wprawdzie już w Galii, podczas walk z Germanami, okazał się znakomitym dowódcą, wprawdzie i teraz, podczas wielkiej wyprawy przeciw zagrażającym Cesarstwu Persom dowiódł swych zdolności i odwagi, ale celny oszczep rzucony ręką Persa, a może i własnego zdrajcy (choć to jednak mniej prawdopodobne) zakończył tę ostatnią wielką próbę uratowania dawnej chwały Kapitolu.

Nie było naturalnie żadnych histerycznych okrzyków „Galilejczyku, zwyciężyłeś!”, jak o tym opowiadała chrześcijańska tradycja. Julian umierał spokojnie i godnie. Może jednak jest i coś z prawdy w wersji, że wyrwała mu się z ust skarga „Jowiszu, czemuś mnie opuścił” tak gorzko podobna do „Eli, Eli lama sabachthani”. Ale ginący są zawsze opuszczeni i niepotrzebni innym – ludziom, losom i bogom.

Od tego momentu nic już nie mogło przeszkodzić ostatecznemu zwycięstwu chrześcijaństwa. System klasyczny mógł jedynie przez krótki czas liczyć na coraz bardziej wymuszoną i niepewną tolerancję nowych władców. Względnie łaskawie obchodził się z nim jeszcze Walentynian, który po epizodycznych rządach Jowiana objął na dłużej władzę. Ale już jego wybitny następca, Teodozjusz Wielki, był bezlitosny. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych czwartego stulecia ustawa goni ustawę.

Nie wolno składać ofiar, nie wolno zbliżać się do ołtarzy, nie wolno czcić bogów ani publicznie, ani we własnym domu. Odmawia się Larom ognia, a Penatom potrawy. Zakazuje się wróżb i auspicjów, kapłanów wyjmuje się spod prawa, obala się stary kalendarz.

I wyrocznie milkną, świątynie pustoszeją, gdzieś w tych latach szarzeją w mroku zapomnienia ostatnie igrzyska olimpijskie starożytności. Fanatyczny tłum morduje „pogańskich” filologów i filozofów – słynny jest gorzki koniec znakomitej aleksandryjskiej uczonej – Hypatii.

Z sali posiedzeń senatu zostaje usunięty prastary posąg bogini zwycięstwa – Viktorii – i na próżno zanoszone są do cesarza pokorne prośby o jego przywrócenie, na próżno przypomina się przepowiednię, że jeśli ten posąg zostanie usunięty – Rzym czeka zagłada. Miała się w przerażająco niedługim czasie spełnić ta przepowiednia, podobnie jak znacznie starsza i nie mniej złowieszcza. Kiedyś, przed wiekami, współzawodnicząc ze swym bratem Remusem

Romulus zobaczył dwanaście sępów, skąd wywróżono, że miasto przez niego założone przetrwa dwanaście wieków – teraz właśnie Rzym wkraczał w swoje dwunaste stulecie.

Świątynie Kapitolu stają się muzeami; z czasem miały się stać kamieniołomem, a jeszcze później wspomnieniem. Któż zaręczy, czy i ta ostatnia rola nie dobiega dziś kresu?

Nie sposób odpowiedzieć jednoznacznie, jaka była właściwie rola chrześcijaństwa w upadku antyku. Bo jakaś przecież być musiała, trudno uważać za zwyczajną zbieżność dwa stulecia rozpadu starożytności i równoczesne dwa stulecia wzrastania Kościoła. Ale to nie tak przecież było, że wskutek wytrwałej działalności chrześcijaństwa Imperium Romanum poszło w ruinę. Chrześcijaństwo niewiele by zwojowało wobec silnego i młodego przeciwnika, wypełniało ono przede wszystkim coraz bardziej pustoszące obszary. Czy można powiedzieć, że stuletniego starca zabija katar? Nie, zabija go starość, zamiast kataru mogłoby być cokolwiek innego.

W tym wypadku rolę likwidatora dawnej kultury mogła przejąć jakakolwiek religia, być może ze znacznie fatalniejszym skutkiem. A chrześcijaństwo niszczyło żywe, ale przecież ledwie się już tłące formy, zapewniając równocześnie wielkiej części zdobyczy starożytności przetrwanie. Miało być znacznie większym dłużnikiem starożytności, znacznie większym dłużnikiem religii klasycznej, niż chciało i mogło się spodziewać.

I kto wie, czy ostateczna agonia antyku nie dopełniła się dopiero w tym momencie, gdy Watykan zrezygnował z użycia łaciny jako języka uniwersalnego, co się stało w ostatnich latach. W latach, gdy pierwszy człowiek stanął na Księżycu, a dzieje ludzkości uzyskały największą może, jaką kiedykolwiek znały – cezurę. Możliwe, iż z perspektywy czasu ta zbieżność nie będzie niczym mniejszym niż ta sprzed pięciu stuleci, kiedy upadło Bizancjum, wyparto Maurów z Hiszpanii, a Kolumb odkrył Amerykę.

Ale teraz, w czwartym stuleciu, jeszcze niejedno jest do stracenia. Chrześcijaństwo – sądzą cesarowie – będzie może tą siłą, która na jakiś czas zahamuje upadek, a może i wleje nowe siły, jakich nie bardzo już staje wyczerpanemu Cesarstwu. Aby ratować, co jeszcze możliwe, prześladuje się teraz wszelkie objawy ruchu umysłowego i społecznego, chce się za wszelką cenę unieruchomić historię, teraz już w wersji cesarsko-chrześcijańskiej. Jest w tym jakaś obłądna logika, bo skoro każde posunięcie sytuację pogarsza, to bezruch jest najlepszy. I właśnie rodzi się społeczeństwo bezruchu.

Karcona jest wszelka inność, nie tylko pogańska. Tępi się energicznie heretyków wszelkiej maści, a jest ich bardzo wielu, utrudnia się, ile tylko można, egzystencję Żydom. Przede wszystkim jednak chodzi o uniemożliwienie komukolwiek zmiany statusu społecznego. Zasadniczą rolę gra względ na podatki. Państwo jest wyczerpane i spustoszone, pola zaniebane i handel w upadku, w obiegu brak pieniędzy, systematycznie zresztą od jakiegoś czasu pogarszanych. Dużo ich uciekło za granice państwa wskutek handlu z Indiami, Persją, Chinami; złoto, będące w rękach prywatnych, bywa najczęściej skrzętnie chowane w oczekiwaniu chwil jeszcze gorszych – z tego czasu pochodzi niejeden skarb odkopany w wiekach późniejszych.

Notable miejsca i wiejscy, którzy przeważnie są notablami jedynie z nazwy, nie chcą i nie mogą spłacać swoich zobowiązań skarbowych. I tu właśnie nowo wydawane zarządzenia uniemożliwiają im ucieczkę i zmianę zawodu, nie da się uciec ani w szeregi kleru, ani do wojska, do którego skądinąd trzeba obowiązkowo dostarczać ludzi – żałośnie brzmi zarządzenie, że zamiast jednego zdrowego wolno dostarczyć dwie kaleki.

Nie da się uciec przed podatkami, a za ukrywanie zbiegów można być nawet usmażonym na wolnym ogniu. Zresztą nic już nie można: społeczeństwo zostaje podzielone na korporacje pracowników. Nie wolno ich zmienić ni opuścić, każda ma przypisany strój, obowiązki i miejsce zamieszkania. Bo okres swobodnego podróżowania też się skończył i każdy jest od-tąd przywiązany do miejsca swego urodzenia.

W tym powszechnym systemie przymusu, właściwie teraz ogromnym więzieniu, ciągle jednak dba się o to, aby jakaś praworządność – „eunomia” – była zachowywana. Co prawda zarządzenia idą coraz dalej: w trzysta sześćdziesiątym siódmym roku zabroniono używania w mieście spodni, a także publicznego noszenia długich włosów. Kary za te występki są jednak umiarkowane: dożywotne wygnanie i konfiskata całego majątku.

Cóż, i dwudziestu wieków okazało się za mało, aby problemy krawców i fryzjerów przestały zaprzętać wyobraźnię prawodawców.

Nad tym wszystkim wznosił się majestatyczny ogrom cesarza i wszystkiego, co cesarskie. Cesarz nie był już jednym z bogów, teraz był odblaskiem i zastępcą ziemskim Jedynego Boga, a po śmierci, zamiast dawnego ubóstwienia, przysługiwało mu zaliczenie w poczet świętych. Jego głowę otacza na malowidłach aureola, podobnie głowy jego bliskich. Święte są jego wizerunki, święte wszystko, co uczyni, rozkaże lub czego się dotknie. Jego światło przenika znieruchomiałe społeczeństwo i będzie tak przenikać całe tysiąclecie historii Bizancjum. Bo są to przecież ostatnie chwile jedności politycznej Śródziemnomorza, a Teodozjusz Wielki ostatnim władcą całego Imperium Romanum, aż do swej śmierci, do roku trzysta dziewięćdziesiątego piątego, roku zerwania wielkiego przymierza ludów. W tym roku władzę obejmują jego dwaj synowie: nad Wschodem Arkadiusz, nad Zachodem – Honoriusz. Obie części już nigdy nie miały się zjednoczyć; przed zachodnią było jeszcze sto lat istnienia, przed wschodnią – przeszło tysiąc.

Ostatnie stulecie Rzymu otwiera bitwa pod Adrianopolem w trzysta siedemdziesiątym ósmym roku, zwana Kannami późnego Cesarstwa. Ale po tych Kannach nie było już Zamy. Tu, u zbiegu dzisiejszych granic Bułgarii, Grecji i Turcji, nad rzeką Maricą armia Wizygotów przebywszy Dunaj i Trację starła się z cesarzem Walensem, bratem Walentyniana. Szedł mu z zachodu z pomocą Gracjan, współcesarz. Ale nie zdążył czy może zdążyć nie chciał. A może Walens nie chciał się dzielić z nikim swoim zwycięstwem? Ale zwycięstwa nie było – zginął Walens, zginęli dowodzący oficerowie, zginęły legiony. A nowych słaby Rzym nie miał i nie potrafił zgromadzić już nigdy.

Toteż czarna strzałka wskazująca na mapie kierunek uderzenia Wizygotów nie zatrzymuje się na Adrianopolu – pętlistą, zawiłą linią przebiega ziemie cesarstwa. Obiega Attykę i Peloponez, pnie się w górę poprzez Albanie, Jugosławię i Węgry, jak wygięta błyskawica z północy przecina Italię i wbija się w Wieczne Miasto. Później linią coraz bardziej błędną krąży po południowej Galii i Hiszpanii i ostatecznie ginie gdzieś nad brzegami Zatoki Biskajskiej. Ale ten jej bieg obejmuje prawie pół stulecia.

A tymczasem wiją się inne linie. Potężne uderzenie Hunów pcha germańskie i słowiańskie plemiona na zachód i południe. Najbliżsi sąsiedzi Cesarstwa przełamują mur obłężenia, w którym już od stuleci trzymali Śródziemnomorze i coraz rzadziej pytają się słabnącą władzę Cesarstwa o wymuszoną zgodę.

Burgundowie osiadają w miejscu, które do dziś nosi ich imię. W czterysta szóstym roku Wandalowie, Swebowie, Alanowie przechodzą Ren i ostatecznie odbierają Rzymowi prowincje zaalpejskie. Wcześniej jeszcze Piktowie i Szkoci zaatakowali Wały Hadriana w Brytanii, a piraci pustoszyli północne wybrzeże Europy. W roku czterysta dziesiątym linia marszu Wizygotów zatrzymuje się na chwilę: barbarzyńcy pod wodzą Alaryka zdobywają Rzym. Rzym, którego nie ma już kto bronić, skąd uciekają mieszkańcy na Sycylię, do Afryki, gdzie jeszcze przez czas jakiś nie dotrą najeźdźcy.

Święty Hieronim napisze: „Zgasło jasne światło wszechświata; Cesarstwo straciło swoją głowę”.

Ale nie jest to jeszcze ostatni akt agonii. Rzym, nawet przez trzy dni łupiony przez Alaryka, jednak jeszcze jest Rzymem, jeszcze jest wielką stawką. Wprawdzie nie ma już nawet własnej armii – są tu prawie wyłącznie barbarzyńcy. Wprawdzie cesarz jest marionetką, a rządzą teraz „patrycjusze”, na wpół albo całkiem barbarzyńscy – Stilichon czy Ricimer. Przez

pewien czas faktyczną władzę sprawuje Aecjusz, nazwany później „ostatnim Rzymianinem”, zabity własnoręcznie przez Walentyniana III. Zbyteczne zgoła dodawać, że on sam z kolei zginie z rąk stronników Aecjusza.

Jeszcze pozornie wielki wzlot: udaje się pobić Hunów na Polach Katalaunijskich. Wojska rzymskie Aecjusza składają się jednak z Wizygotów i Alanów... I zaraz potem wielki cud, bo to już czas cudów – samotny papież wychodzi naprzeciw nadciągającemu Attyli – synowi Mundzukowemu, Biczowi Bożemu, który, gdzie przejdzie, tam trawa nie porośnie – i w tajemnej rozmowie zatrzymuje go na przedpolach Rzymu.

Tymczasem już Saksonowie podbijają Brytanię, Wandalowie przez Gibraltar docierają do Afryki północnej, gdzie zakładają królestwo. W Hiszpanii i Portugalii jest teraz państwo Swebów, a Wandalowie tymczasem przeobrażają się w lud morski, budują flotę i niszczą południe Europy. Zdobywają Sycylię, zdobywają wybrzeże Italii, zdobywają i niszczą Rzym. Niszczą tak, że do dzisiaj słowo „wandal” znaczy to właśnie, co znaczy.

Zmieniają się cesarze, którzy na tym rumowisku i pogorzeliśku, jakim się stał cały Zachód, są właściwie tylko symbolem, niezbyt godnym pamiętania w pojedynkę i indywidualnie. To też historia ułożyła z ich inicjałów pogardliwe imię cesarza ostatnich lat dwudziestu: MAMSAOGNA (Maximus Petronius, Avitus, Majoran, Severus Libius, Antemius, Olybrios, Glycerius, Nepos, Augustulus Romulus). Ale i ten symbol rozwiewa się w nicłość.

Historia wielkiej cywilizacji musi obfitować w znaki wieszczce, w tajemne zbiegi okoliczności, w nieustanną obecność widm czasów minionych, które nad głowami żyjących toczą batalię cieni. Jakże inaczej objaśnić, że ostatni cesarz Rzymu nosił imiona Romulus Augustulus, imiona założyciela Miasta i założyciela Cesarstwa. Były to imiona zdrobniałe, ponieważ był dzieckiem, co może trochę zasmucić tych, którzy pamiętają dramat Durrenmatta o ostatnim cesarzu, mądrym, sceptycznym i świadomym losów świata.

Naprawdę jednak cesarz był chłopcem. Rzymianinem co prawda autentycznym, synem wodza, który zresztą był kiedyś doradcą Attyli.

Niedługo trwały jego symboliczne rządy. Zbuntowało się jak zwykle wojsko, rzymskie wojsko złożone tym razem z Turcilingów, Rugów, Skirów i Herulów, którym, jak to też już stało się normalne, nie było z czego wypłacić żołdu. Ojciec Romulusa Augustulusa zginął, władzę zaś objął barbarzyńca Odoaker.

Ostatniego cesarza nie skrzywdził i nie zabił: zesłał go do małego miasteczka w Kampanii i zapewnił wysoką dożywotnią pensję. A insygnia cesarskie odesłał do Konstantynopola: na Zachodzie nie były już potrzebne.

Był rok czterysta siedemdziesiąty szósty od urodzenia Chrystusa, tysiąc dwieście dwudziesty dziewiąty od założenia Miasta, tysiąc sześćset sześćdziesiąty od zburzenia Troi. W powszechnym zamęciu, pożarze i rozgromie współcześni nawet nie zauważyli, że coś się stało.

I chyba dopiero w tysiąc lat potem, gdy nieodwołalnie runęło Bizancjum, powiało na Europę wielką grozą. Ale spadkobiercami Zachodu byli teraz potomkowie tych właśnie ludów, które ongiś zniweczyły Cesarstwo i same poddały się jego wiekiystemu urokowi; Germanie i Słowianie, przybysze znad dalekiej Kamy – Węgrzy, Celtowie, którzy po upadku Rzymu usiłowali odbudować swoje królestwa, byli teraz prawowitymi spadkobiercami starożytności, i oni właśnie szli z pomocą, opieszalą wprawdzie i nieskuteczną, ostatniemu Cesarstwu nad Bosforem.

Dzieje Bizancjum towarzyszyły formowaniu się nowej Europy i ten temat już do nas nie należy. Ale przecież w Bizancjum żyła do ostatniej chwili niemała część dawnej kultury i dawnej chwały i nie wypada nam się z nim rozstać byle jak. Bizantyjczycy uważali się za spadkobierców Rzymian i w jakimś sensie byli nimi naprawdę.

Tu zachowała się cesarska władza, tak jak ukształtowała się w ostatnich wiekach istnienia Imperium, tu tliła się przez wieki nadzieja ponownego zjednoczenia, tu właśnie ocalało z kultury starożytnej to, co w ogóle ocaleć mogło. Do ostatniej chwili na hipodromie stała sple-

ciona z trzech węży kolumna – trójnog wotywny, który złożyły w Delfach niepodległe państwa Grecji w podzięcie Apollinowi za zwycięstwo nad Persami pod Platejami.

I do dziś, obdarty z ozdób i złota, przetrwał na swoim miejscu, chociaż muzułmańscy zdobywcy nie wiedzą i wiedzieć nie chcą, jakie obce sprawy minionych epok ta rzecz symbolizuje. Bizantyjczycy uważali się za Rzymian, i ludy otaczające właśnie Rzymianami – „Rumami” – ich nazywali. A nawet po zwycięstwie tureckim ten skrawek Europy zatrzymał nazwę „Rumelii”.

Podczas gdy zachodnia Europa musiała sięgać do klasyków greckich, tłumacząc ich na łacinę z tłumaczeń syryjskich i arabskich, tu czytano ich i komentowano w oryginale. I jest w tym jakiś historyczny omen, że kultura klasyczna, rozprzestrzeniając się niegdyś na zachód ze wschodnich wybrzeży Morza Śródziemnego, właśnie na wschodzie przetrwała najdłużej.

Powiedzmy zresztą szczerze, że jeśli chodzi o historię Bizancjum, to traktujemy ją tutaj w sposób niezupełnie współczesny. Bo to już przecież przebrzmiałe rozumienie tej cywilizacji, jako jedynie zakrzepły i zdegenerowany strzęp późnego antyku. Dziś doceniono Bizancjum i jego oryginalną, własną pracę i wkład cywilizacyjny. Ale to akurat mniej nas może interesować. Mówimy o Bizancjum właśnie o tyle, o ile było Rzymem. A przecież w jakiejś mierze było nim do końca.

Ostatnie stulecia Cesarstwa były świadkami ustawicznego przesuwania się centrum władzy i kultury na Wschód. Trochę to osobliwe, bo z mapy wynika, że właśnie zachodnie krańce Europy były najłatwiejsze do obrony. Ale przecież byłaby to izolowana twierdza nie łącząca się z resztą świata. Przez Wschód natomiast biegły drogi do Indii, Chin, do wschodnich wybrzeży Afryki. Tu zresztą były najbogatsze miasta, rozwinięte od tysiącleci przemysły, stare centra kulturalne. Tak więc Cesarstwo koncentrowało się tam, skąd kiedyś wyszły pierwsze impulsy kultury śródziemnomorskiej, gdzie była ona najgłębiej i najdawniej zakorzeniona.

I tu można było się bronić.

Ostatecznie skracало się w ten sposób front północno-wschodni, najtrudniejszy, jak się okazało, do obrony. Ale żeby utrzymać Wschód, brzegi Morza Czarnego, Syrię, Trację, trzeba było systematycznie ściągać wojska z Zachodu. I tak właśnie robiono. Ostatecznie powstała na Wschodzie nowa stolica – Konstantynopol – Nea Roma, a Zachód przyjął na siebie wszystkie ciosy, jakie mogły zniweczyć całość Imperium. Nie darmo polityka cesarzy wschodnich będzie właśnie polegała na wysyłaniu kolejnych wędrownych ludów z Bałkanów na zachód, absorbowaniu ich łatwiejszym łupem italskim. Tak kiedyś ginąca Polska ratowała rewolucję francuską, wiążąc armie carskie, cesarskie i królewskie.

W latach, w których dopełniała się zagłada Rzymu, na Wschodzie panował Leon Wielki, któremu udało się odepchnąć inwazję Wandalów. Cesarstwo zyskało nieco oddechu, względnie, bo już nadciągały nowe ludy. W każdym razie proces formowania się nowego państwa nie został zakłócony żadnym takim najazdem, który by sięgnął aż do serca, do Konstantynopola. A proces ten był przedłużeniem tego wszystkiego, co się kotłowało w późnym Śródziemnomorzu.

Hieratyczne społeczeństwo z hieratycznym władcą u szczytu zastygało na długo. Zastygało w swoim kształcie ekonomicznym, w sztywnej centralizacji. Nie było już prawie wolnego handlu – panował system ścisłej reglamentacji – na kartki był chleb, oliwa i wino; żołąd i pensje urzędników wypłacano w naturze, było niewiele gotówki w obrocie. Ale ta, co była, była solidna. Nie opierała się już na srebrze, jak dawniej, lecz na złocie, i bizantyjski solid stabilizował rynek aż po północne Indie.

Cesarz był głową nie tylko państwa, ale i Kościoła, którą to formację zwykliśmy zwać „cezarpapizmem”, czyli połączeniem w jednym ręku władzy i autorytetu ideologicznego. Cesarz był otoczony rytuałem irańsko-helleńskim, sztywniejącym z czasem coraz bardziej, aż w końcu ceremoniał objął wszystkie, nawet najdrobniejsze czynności. Zabawne, że w tym

arcychrześcijańskim państwie zachowało się wspomnienie nie urzeczywistnionej dawno możliwości: że Rzym przyjmie religię boga-Słońca.

Tak właśnie 25 grudnia cesarz podczas uroczystej pantomimy wcielił słońce, rodzące się w tym dniu na nowo. Nie był to naturalnie element jedyny. Chrześcijaństwo mimo całkowitego i oficjalnego zwycięstwa niosło ze sobą wiele znaków i wyobrażeń przejętych skądinąd, ścieraniu się politeizmu z monoteizmem właściwie nigdy nie miało być końca.

Na razie, w piątym, szóstym wieku wybuchają nowe herezje. Przede wszystkim nestorianizm i ruch monofizytów. Szło znowu o to, jaka jest właściwie natura Chrystusa – pojedyncza, podwójna, ludzka, boska – w każdym razie kontrowersje na ten temat prowadziły do nowego rozszczepiania się wschodniej jedności kościelnej. Powstały osobne kościoły Etiopii, Armenii, Persji, kościół koptyjski.

Bizancjum wikłało się między sprzecznościami, szukało kompromisowych formuł i łądząc się z jednymi, narażało się drugim. Tak już zresztą miało być do końca. Imponującym wybuchem waśni religijnych był ciągnący się przez całe ósme i połowę dziewiątego stulecia spór o cześć dla świętych obrazów. Przeciwko kultowi ikon wystąpili cesarze i żelazną ręką zniszczyli dużą część późnoantycznego dorobku chrześcijańskiego. Spór ikonoklastyczny miał złożone kulisy. Walcząc z kultem obrazów basileusi, bo cesarz bizantyjski zwał się basileusem, walczyli równocześnie z przeogromną dominacją mnichów. Ale nie tylko na tym rzecz polegała: nowa arabska potęga islamu zmuszała do szukania nowych kompromisów. A islam był monoteizmem o wiele bardziej rygorystycznym i kult jakichkolwiek wizerunków mógł być bardzo kłopotliwym kamieniem obraży. Ostatecznie zwyciężył nurt wywodzący się ze starożytności i świątynie zapełniły się tymi niesamowitymi ikonami o ogromnych, hipnotycznych oczach, które i dziś spoglądaj na nas od Moskwy po Jasną Górę.

Dziedzictwo antyku żyło, a raczej trwało w Bizancjum aż do końca. Początkowo, w szóstym stuleciu, był tu jeszcze silny ruch literacki i naukowy, bezpośrednio kontynuujący dawne prace. Teraz właśnie powstaje ostateczna redakcja prawa rzymskiego, opracowany przez Treboniana wielki Kodeks Justyniana, opracowany po łacinie. Bo tak, jak nie chciano wyrzec się nazwy i poczucia rzymskości, tak nieprędko i nigdy całkiem nie wyrzeczono się łaciny. Oczywiście, nawet w największym rozkwicie Imperium Romanum, Wschód był grecki i po grecku mówił. Ale łacina była językiem administracji, językiem, w którym wydaje się rozkazy. I z życia Bizancjum zniknęła nie od razu, zniknęła stuleciami z poszczególnych dziedzin, a pewien jej ślad aż do końca pozostał. Mianowicie edykty cesarskie i przez cesarza sygnowane były spisywane wprawdzie po grecku, ale łacińskim alfabetem.

Działają uniwersytety, w których ciągle wykłada się starą grecką literaturę i w sporym ograniczeniu – filozofię. Teraz wprawdzie, za panowania Justyniana, zostaje zamknięta Akademia Platonańska w Atenach (rok pięćset dwudziesty dziewiąty), co przyjęto uważać za kres kultury starożytnej. Ale przecież uniwersytet konstantynopolitański, wielokroć zamykany i otwierany od nowa, ciągle bronił starej tradycji. Broniła jej i literatura, wracała do źródeł lepiej czy gorzej, mnożyła mniejsze i większe odrodzenia. Przez kroniki i poezję, przez ogromne antologie, roczniki, panegiryki snuje się woła wytrwania przy wielkiej tradycji. Ruch monastyczny szóstego wieku, który opanował zarówno uniwersytety, jak i stolice patriarsze, był wrogi starożytności, przecież całkiem zatrzeć jej wspomnienia nie potrafił.

Nie potrafiła tego dokonać i nowa organizacja kraju, do której z czasem musiało dojść, polegająca na połączeniu w poszczególnych prowincjach władzy cywilnej i wojskowej w tak zwanych temach, co doprowadziło do upadku administracji centralnej. Starożytność ciągle i ciągle odpominała się w tym zastygłym, właściwie bardzo nienaturalnym świecie. Teofilakt Symokatta i Pisides w siódmym, Focjusz w dziewiątym stuleciu, Konstantyn VII Porfirogeneta w dziesiątym i Psellos w jedenastym ustawicznie odradzali zamarłą przeszłość. Nie potrafili może sięgnąć do epoki klasycznej, ale wątki późnego antyku trwały silniejsze ponad

wszelkie spodziewanie. Trwały też książki albo bodaj wypisy z dzieł dawniejszych, kiedy już biedne Cesarstwo nie mogło sobie wprost pozwolić na odpowiednią ilość kopistów.

Bizancjum ocaliło olbrzymi obszar przeszłości, a ocaliło, bo chyba po prostu tę przeszłość kochało i było z niej dumne. Do końca prawie stanowiło to jego rację bytu, że uważało się słusznie za jedyną bezpośrednią kontynuację Rzymu. Pamiętali o tym nie tylko uczeni i nie tylko ubóstwiony cesarz. Ta świadomość nie mogła chyba opuszczać zwyczajnych obywateli, tak jak nie opuszczał ich mimo wszystko rzymski obyczaj.

Bo wiele mu tu ustawicznie sprzyjało. Przede wszystkim aż do strasznego powstania ludowego Nika w szóstym wieku, kiedy pożar spopielił znaczną część centrum, Konstantynopol był po prostu kopia, i to kopia świadomą, Rzymu. Zarówno w układzie urbanistycznym, jak i w przeniesionym tu senacie i instytucji konsulów. Ale także po prostu w zabawach ludowych, w brumaliach, które były przeniesieniem rzymskich saturnaliów i w takim samym, listopadowo-grudniowym terminie się odbywały.

Był to okres, kiedy i do cesarza można było odnosić się poufale, można było nawet z niego bezkarnie szydzić, co bywało kiedyś przywilejem spoufalonego z władzą ludu starego Rzymu. I był jeszcze cyrk-hipodrom, a na nim wyścigi rydwanów. Hipodrom był starszy od samego Konstantynopola i pochodził jeszcze z dawnego Bizancjum. A wyścigi były chyba największą namiętnością Rzymian prowadzącą do przekupstw, do trucicia koni i woźniców, do zamieszek i rozruchów. W Bizancjum nie było inaczej. Dwa „stronnictwa”, Błękitnych i Zielonych, polaryzowały zarazem opinię polityczną i były nieomalże partiami. Bunt Nika wybuchł właśnie na hipodromie.

Cesarstwo Wschodnie zmieniało się bardziej, niż sądzono dawniej, ale i trwało mocniej może, niż mówi się dzisiaj. Mimo wszystko przeważała tu idea zachowania istniejącego stanu rzeczy, a w porównaniu z przemianami, jakie w tym okresie obejmowały świat zachodni, Bizancjum sprawia jednak wrażenie bezruchu, tak jak w bezruchu trwają postacie jego ikon. Literatura sprowadzała się do mimesis – naśladowania klasyków, i to całkiem świadomie. W niektórych dziedzinach – w prawoznawstwie na przykład – obowiązywał wręcz zakaz jakichkolwiek dalszych badań.

Kodeks Justyniana był imponujący, ale i ostateczny zarazem – dalsze rozwijanie prawoznawstwa było surowo wzbronione. Podobnie działo się i na innych obszarach wiedzy i sztuki. Raz uformowany kanon nie mógł być naruszony. Zresztą we wszystkich dziedzinach obowiązywała służebność wobec państwa i Kościoła, co znakomicie likwidowało impulsy do jakichś twórczych poszukiwań. Za zachowanie resztek i pozorów dawnej świetności Bizancjum zapłaciło cenę ogromną, cenę, którą płaci leniwe starorzecze wobec wartkiego nurtu wody. Starorzecze zarasta rzesą i tatarakiem, gromadzi się muł, aż wreszcie tylko olchy wyznaczają szlak wilgotniejszej nieco ziemi, którą kiedyś płynęła rzeka.

Jest w biologii zasada, że wszystko, co rośnie i dopóki rośnie, nie starzeje się; wedle niej ameba dzieli się, a nie umiera. Dość łatwo i efektywnie, choć metodologicznie zupełnie bezprawnie byłoby wskazać, że podobnie dzieje się i z państwami. Kraj zepchnięty do obrony, do biernego trwania ma na ogół dni policzone. Coraz bardziej zależny, coraz mocniej uwikłany może istnieć tylko za cenę wciąż boleśniejszych ustępstw. Staje się ostatecznie cieniem siebie samego, aż wreszcie i ten cień rozprasza cudze słońce. Nie wszystko musi tym samym zginąć: jego treść ludzka, ideowa, kulturalna rozprasza się i żyje wśród innych. Przydarzyło się to licznym kulturom: sumeryjskiej, żydowskiej, armeńskiej, a w istocie rzeczy także greckiej i łacińskiej. Czasem trzeba zbić garnek, aby rozlać napój.

Podobny los czekał właśnie Bizancjum. W jego dziejach wyraźnie można uchwycić politykę czysto niemal defensywną, z bardzo nielicznymi epizodami aktywności i ekspansji. To prawda, niegdyś taki program sformułował August dla państwa będącego w pełni sił. Teraz natomiast obroną mógłby być właśnie atak i, być może, te nieliczne epizody ekspansywne, do jakich doszło, pozwoliły całości na tak długie trwanie. A więc przede wszystkim czasy Justy-

niana I, w szóstym wieku, kiedy jeszcze można się było łudzić i, być może, łudził się tak właśnie sam Justynian, że uda się przywrócić znowu Cesarstwo w dawnym, ogromnym kształcie. W każdym razie jego wielki i słynny wódz Belizariusz podbija i niszczy państwo Wandalów w Afryce północnej. Obejmuje południowy cypel Hiszpanii. A nade wszystko łamie panowanie Ostrogotów i włącza do Cesarstwa Italię. Później ten stan posiadania miał się przez stulecia kurczyć coraz bardziej, ale przecież, aby całkiem stopniał, właśnie stulecia były konieczne. Ten rejon staje się zresztą niezmiernie ważny po podbojach arabskich.

W VII wieku basileus Konstans usiłuje nawet przenieść znowu stolicę na Zachód. Sam rezyduje na Sycylii i toczy boje o północną Italię. Boje daremne, bo nie udało się pokonać Longobardów i los Cesarstwa musiał się dopełnić nad Bosforem. A nie był to już los łatwy. Bizancjum toczyło długą wojnę z Persją, aż obaj przeciwnicy zostali zaskoczeni nieoczekiwanym wybuchem potęgi muzułmańskiej, która z błyskawiczną szybkością ogarnęła całą Afrykę północną i Azję zachodnią. W ciągu niewielu lat giną wszystkie złudzenia na temat monarchii uniwersalnej, sam Konstantynopol jest pod koniec szóstego i na początku siódmego wieku oblegany i o krok od zagłady. Ocala go podobno „grecki ogień”, coś w rodzaju napalmu, nad którym przemyśliwano już w starożytności, lecz stworzono i zastosowano teraz. Tymczasem od północy potężnie pchnięte przez Awarów wdzierają się przez Dunaj plemiona słowiańskie. Opanowują Dalmację, Grecję, Peloponez. Na terenach dawnej Tracji zakładają swoje państwo Bułgarzy. Cesarstwo dławi się, ale jeszcze raz zdobywa się na atak. Odzyskuje Grecję, część Syrii w rejonie górnego Eufratu, odpiera i chrystianizuje Bułgarów, sięga dalej, obejmuje swym wpływem Ruś. I dalej, i dalej ciągnie się ta agonია, agonია słabnącego kraju, który nie dysponując wielkimi siłami rozwija kunszt dyplomatyczny, oszalałamiąc nim prostoduszne barbarzyńskie narody. Wszystko to jednak będzie daremne. Potężny kraj mógłby wykorzystać wyprawy krzyżowe, Bizancjum nie potrafi utrzymać ich w słabnących rękach. Ten wielki wiatr dmący z zachodniej Europy spycha Cesarstwo do roli arabskiego sojusznika, wreszcie w tysiąc dwieście czwartym roku czyniąc je łupem czwartej krucjaty. Bo nie o samą grabież tu szło, jak na ogół czytamy; po prostu Bizancjum było wtedy wrogiem krzyżowców, a sprzymierzeńcem niewiernych. Bizancjum jest już słabym partnerem na wszystko, już mu nie może pomóc żadna historyczna koniunktura. Jest za słabym partnerem dla Wenecji i dla Genui, jest arabskim, tureckim wasalem, jest już politycznie niczym.

Ale Konstantynopol ciągle jeszcze jest imponującym widmem jedności Śródziemnomorza, widmem zamierzchłego Cesarstwa. I ciągle jest czymś więcej dla Europy niż schizmatyckim miastem z niewielką okolicą. Bo całe Cesarstwo skurczyło się do maleńkiego terytorium, do ciasnego kręgu obejmującego miasto od północy. Już za Bosforem są Turcy, nieco dalej na północny zachód mają swoją stolicę w Adrianopolu. Trwają rozpaczliwe próby ratunku, który może przyjść tylko od Zachodu. Bizancjum wyrzeka się schizmy. Rusza na pomoc wielka polsko-węgierska armia ścieląca swoimi trupami w roku tysiąc czterysta czterdziestym czwartym pola Warny. Już nic nie może ocalić symbolu. Bo to jeszcze symbol ogromny, ale już symbol tylko. Miasto-widmo, gdzie w ogromnym kręgu murów mieszkało na miejscu milionowej rzeszy tylko jakieś trzydzieści tysięcy niedobitków. I gdzie było niespełna pięć tysięcy własnych żołnierzy, a dodatkowo trzy tysiące Genuńczyków i Wenecjan. Przeciw nim prowadził Mahomet II armię, którą oceniają na czterysta tysięcy, ale która zapewne była znacznie mniejsza. Może nawet tylko dziesięć razy liczniejsza od obrońców?

Nie wiemy, jak dokładnie przebiegał szturm Alaryka na Rzym, ale upadek Nowego Rzymu został opisany z drobiazgową dokładnością. Wiemy więc, że przygotowania trwały długo, że rozpoczęły się od wybudowania potężnej twierdzy po drugiej stronie Bosforu, że Mahomet II odlewał działa, jakich dotąd nie było. Słynny jest renegat Urban czy Orbano, którego działo ciągnięte przez sto wołów było obsługiwane przez siedmiuset ludzi. Bo jeszcze stały ogromne

mury stuleciami budowane, bo napastników ogarniał zapał, ale i święta groza. Przecież od przeszło ośmiuset lat zdobycie Konstantynopola było wielkim zadaniem islamu, proroctwem samego Mahometa.

Więc przez dwa miesiące kruszono mury, naciskano na miasto od strony lądu i morza. Aż wreszcie 29 maja tysiąc czterysta pięćdziesiątego trzeciego roku nie udało się już załatać wyłomu i pod naciskiem wielkiego szturmego pękła wytrzymałość obrońców. Wśród powszechnej ucieczki na placu przed bramą Świętego Romana został samotny Konstantyn XI Paleolog, ostatni basileus Bizancjum, spadkobierca cesarzy i konsulów. Ten ostatni prosty żołnierz Rzymu padł tak rozsiekany mieczami, że jego zwłoki rozpoznano potem jedynie po purpurowych butach.

I tak się dopełniła historia.

Przed dziesiątkami wieków nad cieśninami łączącymi Morze Czarne z Egejskim, po przeciwnej stronie niż Konstantynopol, czas Śródziemnomorza klasycznego rozpoczynał się pożarem Troi, skąd pobożny Eneasz na plecach uniósł swego ojca Anchizesa, a Grecy wywiedli epos otwierający kulturę helleńską i europejską. Tu więc poczęły się razem Roma i Hellada.

Teraz ginął ostatni wprost od nich się wywodzący bastion ich świata, bastion, który nosił w dziejach imię Bizancjum i Nea Roma, i Carogród, i Konstantynopol, a miał się jeszcze nazywać Stambułem.

Musiałoby się zresztą tak stać, aby okruchy antycznej wiedzy i mądrości mogły być przeniesione na Zachód i pomnożyć się potężnie w Renesansie, aby można było podjąć dalszą drogę. Bo Bizancjum samo nie było i być nie mogło drogą o tyle, o ile w ogóle o jakimkolwiek społeczeństwie wolno tak powiedzieć. Losem Bizancjum było tysiącletnie oblężenie. Czyż zresztą nie ma symbolicznej wymowy to, że Rzym obywatel się przez setki lat bez fortyfikacji, natomiast Konstantynopol od pierwszej do ostatniej chwili trwał za murami?

Nie sprawdziła się jednak teoria Wielkiej Defensywy, nie taka postawa mogła odrodzić kulturę. W tej wersji małżeństwo chrześcijaństwa z antykiem było wprawdzie bardzo długotrwałe, lecz chyba nie zanadto szczęśliwe.

Narzuca mi się natrętnie i z pewnością niesprawiedliwie jedno zestawienie: pamiętamy, że gdy w trzecim stuleciu zmarł w perskiej niewoli cesarz Walerian, jego skóra wypchana sianem czy słomą, zapewne jakoś jeszcze inaczej skrupulatnie zakonserwowana, wisiała w perskich świątyniach jako pamiątka triumfu. Co się z tym truchłem stało? Dawno zniszczało, spłonęło, zbutwiało czy może w suchym klimacie Wyżyny Irańskiej w jakimś lochu lub pod zwaliskami zapomnianych pałaców przetrwało jako szydercze przesłanie ginących ludów? Jako świadectwo ostatecznej granicy ludzkich losów, aktualne i dzisiaj, chyba żeby się skóra porwała albo słomy zabrakło.

Bogowie

Kiedy szukający wyroczni Odyseusz pozwolił Achillesowi napić się krwi ofiarnej, dzięki której przywrócił mu na chwilę świadomość, zaczął wychwalać jego panowanie nad żywymi i umarłymi. Ale Achilles odpowiedział: „Nie zachwalaj mi śmierci, prześwietny Odysie! Wolałbym za parobka służyć na cudzej roli, u biednego chłopca, który ledwo się może utrzymać, niż tu panować nad wszystkimi, co znikli ze świata”. I dalej już rozmawiali o tych, co jeszcze żyją, o tym, co się zdarzyło na słonecznym świecie, na fiołkowym morzu ciemnym jak wino. A wreszcie Odys odpłynął, a znikliwe, bezpamiętne cienie wróciły do mglistego Hadesu.

Tak widziano te sprawy w świecie Homeryckim, na progu starożytności klasycznej, ale nie był to wcale pogląd odosobniony. Czy to u Greków, czy u ludów Syrii i Mezopotamii, czy u Hebrajczyków perspektywy pośmiertne człowieka nie wyglądały zachęcająco. Już w pradawnych religiach Babilonii i Asyrii umarły był skazany na pobyt w dusznym, brudnym, posepnym podziemiu-więzieniu, i to właściwie niezależnie od tego, jakie czyny spełnione za życia wynosiły go lub potępiały. Ściślej mówiąc, można było trafić jeszcze gorzej i cierpieć męki. Wyjście zdecydowanie dobre przysługiwało jedynie umiłowanym przez bogów wielkim bohaterom i władcom, tym, którzy po prostu zostali wyniesieni do rangi bogów, a więc uzyskali nieśmiertelność.

Taki był Szeol dawnych Żydów, taki był Hades Homera. W każdym z tych przypadków działała zresztą podobna zasada: umarłemu można było w jakiś, zresztą znikomy sposób pomóc z „tej” strony.

A więc właśnie złożyć ofiarę, pozwolić się napić krwi czy też zabalsamować ciało i wyobrazić malowidłem to, co posiadał za życia. Życie pośmiertne było jedynie szczątkiem życia ziemskiego, jego zeszlą łupiną. Właściwie nie było to wręcz nieistnienie albo męki. Nie na darmo malowidła grobowe Etrusków przedstawiają okrutne demony zbrojne w narzędzia tortur i czekające cierpliwie na duszę. Wielka perspektywa eschatologiczna, powołanie człowieka do boskości, do wzrastającego istnienia była starożytności obca.

Nie całkiem co prawda jest to ściśle, bo zresztą żaden tak kategoriyczny sąd nie może się ostać bez wyjątków w obliczu cywilizacji tak wielkiej i długowiecznej. A więc trzeba przypomnieć, że obok tego były misteria eleuzyjskie, inną drogę wyznaczające ludzkiej duszy, wolno też przypuszczać, że wyznawcy Izydy prosili ją o opiekę nie tylko na tym świecie. Wreszcie całkiem inaczej rysują się poglądy Platona wyrażone w „Państwie” w słynnej opowieści o życiu pośmiertnym przywróconego istnieniu Era, syna Armeniosa. Tu dusza ludzka, czy też dusza w ogóle, bo i zwierzęta ją mają, wędruje przez liczne wcielenia, ale dokąd i po co, tego i Platon już nie objaśnia.

To jednak wyjątki, zresztą coraz liczniejsze w miarę upływu czasu. Na ogół jednak starożytność nie miała poczucia; nieskończoności ani nieskończonej perspektywy – zresztą czego-

kolwiek. Wszechświat był także konstrukcją harmonijną i zamkniętą, wszystko tu miało swoje miejsce. Mieli też miejsce i bogowie, miejsce pocześniejsze od ludzkiego, ale przecież pod wieloma względami podobne. Nie byli to więc bogowie nieskończoności ani też bogowie zaświatów niewiadomych i wyobraźnię przerastających.

W światopoglądowej wizji Greka czy Rzymianina nie byłoby dla nich miejsca, nie mieli więc ani wszechsiły, ani wszechistnienia, ani jakiegokolwiek cechy absolutnej, podobnie jak i człowiek, który ich wyznawał. Bóg i człowiek zawsze zawierają ze sobą przymierze – aby być nawzajem na własny obraz i podobieństwo.

Bogowie Hellady mieli więc ludzkie cechy, los i zajęcia. Wszystko w stopniu spotęgowanym, oczywiście, niewspółmiernym do możliwości człowieka, ale przecież jakoś porównywalnym. A więc musieli się urodzić, wiadomo było, kim byli ich rodzice, gdzie się to dokonało i w jakich okolicznościach. Po wtóre, często przechodzili okres nauki, a w każdym razie dorastania, i trzeba się było nimi opiekować. Zeusa na przykład karmiła koza Amaltea, a jego bracia-Kureci głośnymi okrzykami tłumili jego płacz, aby nie usłyszeli go wrogowie. Później przysłała edukacja pasterska, a dalej kariera dworska podczaszego i wreszcie zamach stanu.

Bo i bogowie, aby właśnie stać się bogami, musieli zdobyć władzę i takich zmian najwyższego gabinetu było w mitologiach starożytnych sporo. Kiedy zaś kolejna ekipa bogów dochodziła do władzy, trzeba było przeprowadzić podział kompetencji. Nie obywało się przy tym bez nieporozumień i niebo wielokrotnie napełniało się rozgłosną waśnią. A wreszcie bywało i tak, że bogowie tracili władzę.

Tak właśnie zdetronizowani bogowie Ziemi, Tytani, zwaleni zostali do Tartaru, przywaleni skałami. Czasem zaś – umierali. Jeśli działo się to w dawnych wschodnich kultach, to z ich ciał powstawały niebo i ziemia. Czasem, jak prastary Adonis albo grecka Kora-Persefona, wracali okresowo do życia stając się wiosną po długiej zimie. A niekiedy umierali całkiem. W każdym razie znamy jeden taki przypadek: już w czasach historycznych żeglarz Tamus płynąc do Italii mijał wyspę Paksos. Wtedy właśnie odezwał się ogromny głos znikąd: „Tamusie, powiedz ludziom, że wielki bóg Pan umarł?”. Stało się to zaś w pierwszym wieku przed naszą erą. Gdzie idą dusze, bogów po śmierci?

Byli więc bogowie tak jak ludzie zależni od losu i jego przemian. Los zresztą personifikowano także, ale tylko do pewnego stopnia: jako Mojry, trzy prządki ludzkich losów – Kloto, Lachezis i Atropos. W swojej najwyższej postaci konieczność nie miała już ludzkich kształtów – była osią świata, wokół której wszystko się obraca. Obraca – bo świat, jego ludzie, zwierzęta, bogowie i zaświaty nie zmierzają ku nieodgadnionej wielkości i tajemnicy, lecz pozostają w tym samym, choć zmiennym kręgu. Zresztą ani religie, ani inne ideologie nie zadają nazbyt często niebezpiecznego i w istocie szalonego pytania: „po co?”, nie żądamy go więc od starożytności. Na dodatek światopogląd naukowy tym bardziej podobne pytania wyklucza, zupełnie pewien, że sensu nie mają, chociaż ogrom naszej niewiedzy przewyższa bodaj jeszcze ogrom wszechświata. Ale też każda wiedza jest zarazem programem działania.

To, co Grek lub Rzymianin wiedział o bogach, nie mogło więc skłonić go do modlitwy o jakieś dobra pośmiertne czy też nie wiążące się z tym światem. Ale co i dlaczego miałoby się z tym światem nie łączyć? Dzielił nas od tamtych czasów tysiące lat i tysiące lat zupełnie innego rozumienia spraw ducha i ciała, kiedy czystemu duchowi przeciwstawiano grzeszną i niedoskonałą materię, a tak długi trening umysłowy sprawił, że niezależnie od naszych świadomych poglądów kierujemy się pewnymi resentymentami. Dla Greka jednak potępienie materii, uznanie jej za coś grzesznego i brzydkiego byłoby niepojęte i bluźniercze. Bogowie sami też mieli charakter materialny, prawda, że szło o materię wyjątkowo subtelną, ale materią materii była przecież największa i najpierwsza z bogiń – Ziemia – i wszystko, co z niej się wywodziło, z bogami włącznie, było zarówno materialne, jak i święte.

Nie oddzielano więc od materii bogów, tak jak nie oddzielano od niej pojęcia siły, życia, duszy. Zwało się to „hylozoizmem”, i było równocześnie tak dobrze materializmem, jak i

spirytualizmem. To prawda, że filozofia grecka wyznawała ten pogląd przede wszystkim w swoich jońskich początkach, później zaś wracała do niego wraz ze stoicyzmem; nie zawsze przecież trzymała się tej myśli. Ale jedność boskości, życia, myśli i całego świata była zapewne poglądem prastarym, może jednym z najpierwszych poglądów, na jakie człowiek w ogóle się zdobył, gdzieś jeszcze w mrokach epok lodowych i słonecznych dniach interglacjalów. I pogląd ten czy może poczucie raczej nie przeminęło całkiem i do dzisiaj. Znalazło po wiekach wyraz w panteizmie Spinozy, odbiło się w przypuszczeniach Teilharda de Chardin, że każda cząstka materii od swoich prapoczątków poczynając jest obdarzona drobnouteńką iskierką świadomości. Filozofia zresztą i przynieszone przez nią uzasadnienia mogą być bardzo różne, ale kult natury i poczucie jedności świata ma bezmiar wcieleń, także i współcześnie. A dodać tu trzeba, że niejeden kryzys naszego świata łączy się ściśle z rozdzielaniem wszystkiego na sfery sobie obce, na niewspółmierności zbląkanego samotnego człowieka i bezmyślnego, martwego wszechświata.

Dla człowieka starożytnego, o ile naturalnie nie był ateistą, co od pewnego momentu stało się dość częste, świat był całością boską i ożywioną. Między biegiem gwiazd, losem człowieka, przelotem ptaków i wątroba ofiarnego zwierzęcia zachodziły wielorakie i konieczne związki. Nic się nie działo tylko przypadkowo, wszystko stanowiło jakiś omen, dobry lub zły. Mogło to być groźne, ale w tym żywym, pełnym ducha i bogów świecie człowiek nie mógł być przypadkowym przybłądą. I on był boski, i boski był wiatr, i szczerp winorośli, i morze, i ziemia pod stopami. Paradoksalnie zaś najmniej może boscy bywali właśnie sami bogowie, których przywary i śmieszności znało się tak wyśmienicie. W tym bowiem miejscu boskość nie rozplywała się w dostojnych ogromach zjawisk, lecz przybierała kształt ludzkiego społeczeństwa czy wręcz ludzkiej rodziny. Była w ten sposób najłatwiej uchwytna, ale i najmniej tajemnicza.

Świat klasycznych wyobrażeń nie zrodził się przecież w izolacji i pustce, chociaż przez całe wieki uważano, że jest czymś samorodnym. Tymczasem jednak był spadkobiercą kultur Bliskiego Wschodu, a także dziedziczył wiele z tego, co Indoeuropejczycy przynieśli na południe ze swoich długich i ciągle jeszcze tajemniczych wędrówek. Przy czym Grecy nie byli pierwszymi Indoeuropejczykami w rejonie Morza Śródziemnego. Już znacznie dawniej przywędrowały tu liczne plemiona hetyckie, już tysiące lat trwało wypieranie ludności miejscowej, która zresztą pewnie też kiedyś skądś przywędrowała.

W każdym razie najdawniejsi bogowie Greków, indyjskich Ariów, Persów wywodzili się z tego samego, ciągle jeszcze nie całkiem nam wiadomego źródła. Religioznawstwo dociera do tych pokrewieństw, rekonstruuje prasytem.

Tak więc, podobnie jak we wszystkich religiach świata, najdawniejszym fundamentem religijnego myślenia i organizacji był totemizm. Poszczególne grupy miały swoich zwierzęcych patronów i braci, których nie zabijały bądź też czyniły to bardzo uroczyście i przy specjalnych okazjach. Bo przecież zwierzę było nie tylko bratem, ale wręcz starszym bratem człowieka, jako jego odległy i święty przodek. W Egipcie kult świętych zwierząt: kotów, małp, ibisów czy krokodyli, zachował się aż do schyłku cywilizacji. Ale właśnie Grecy odnosili się do totemizmu bez szczególnego nabożeństwa, a raczej z kpiną. Własne wspomnienia totemistyczne bardzo już zblakły, choć ich pogłosy dają się zawsze odnaleźć. Sam Zeus nie gardzi zwierzęcym kształtem, zwłaszcza w swoich przygodach romansowych: staje się orłem, łabędziem, bykiem, inni bogowie także nie stronią od podobnych przeobrażeń, poza tym zaś mają swoje szczególnie bliskie zwierzęta: na przykład Posejdon, zanim został bogiem morza, był przedtem bogiem koni, a możliwe, że po prostu bogiem-koniem. Tak samo rzecz się miała z innymi bogami i innymi zwierzętami.

Ale totemizm nie jest jedyną teorią dotyczącą powstania religii. „Izmów” było co niemiara: animizm, pramonoteizm, fetysyzm, szamainizm i wiele innych. Bogowie mieli powstać z kultu przodków bądź też z kultu władców, czy dla odmiany ziemiopłodów, ciał niebieskich,

co się komu podoba i jak wyobraża sobie społeczeństwo pierwotne, jak i staroświeckie. Odkrycie malarstwa paleolitycznego, zrozumienie, że dzieje człowieka są niepomiaralnie dłuższe, niż nam się kiedyś wydawało, zmusza chyba do przyznania, że potrzeby duchowe bardzo nawet odległych przodków musiały być już ogromnie złożone i nie dawały się sprowadzić do jednego tylko praktycystycznego motywu. Chociaż o tym żadnej bezpośredniej wiedzy nie mamy.

Także i religia Greków niesie ze sobą długą historię, którą się rozszyfrowuje raz tak, drugi raz inaczej, a czy prawdziwie – nie wiadomo. No i przy tym nie trzeba zapominać, że mitologia to jednak nie całkiem to samo, co religia. Imiona olimpijczyków to w niektórych wypadkach prawie tylko etykiety kryjące zawiły stosunek uczuciowy między człowiekiem a bóstwem. Żadnej zaś jedynej księgi świętej, jak Biblia lub Koran, starożytność nam nie zostawiła. Nic w tym zresztą dziwnego: jedyna księga mogłaby pochodzić od jedyne boga-prawodawcy, tu zaś było ich wielu. Co prawda wywodzono, że poczucie jedyne boskości nie było obce Grekom, a tylko różnie ją nazywano. Jest to bardzo prawdopodobne, w niektórych wypadkach pewne, ale tego rodzaju stwierdzenia zaczęły się mnożyć w latach konkurencji z chrześcijaństwem.

Innym śladem dawności w religii starożytnych była rola bogiń. Wywodzono w ten sposób: przybysze z Północy wyznawali boga-mężczyznę i oczywiście byli społeczeństwem patriarchalnym. Natomiast ludy, które ci przybysze na wybrzeżach Morza Śródziemnego spotkali, wyznawały boginię i miały strukturę matriarchalną. Mitologia grecka jest wynikiem zderzenia się tych dwóch porządków, dwóch przeciwstawnych zasad, przy czym w sposób oczywisty zwyciężyła zasada patriarchalna. Zapewne tak rzeczywiście było, choć wolno mieć i tutaj pewne zastrzeżenia. Istotnie, jaki człowiek, taki też i jego bóg, jakie społeczeństwo, taka też religia, ale wzajemne związki tych dwóch sfer bardzo często przedstawia się w uproszczeniu. Czy najwyższym bóstwem matriarchatu musi być rzeczywiście bogini?

Przypomina to ten sposób rozumowania o pochodzeniu Sumerów, który zakłada, że musieli być ludem górskim, gdyż budowali swoje świątynie na sztucznych wzniesieniach. A tymczasem, skoro niebo było tradycyjnym miejscem pobytu bogów, to zbliżenie się ku nim było rzeczą naturalną. Zresztą na ogół reprezentacyjne budynki wszystkich krajów i epok są wysokie. Czy więc mielibyśmy z obecności w Warszawie Pałacu Kultury wyprowadzać wniosek, że starożytni Mazowszanie byli góralami?

Skądinąd zaś wiadomo, że kult Madonny od Średniowiecza poczynając przewyższał wszystkie inne, niezależnie od tego, co o tym sądzili teologowie. Czy ma płynąć stąd wniosek, że od wczesnego Średniowiecza panuje w Europie matriarchat?

W każdym razie rządy Wielkiej Bogini były ongiś faktem. Zresztą to naturalne: bogowie musieli się urodzić, a bogów i ludzi rodzi kobieta. Bogiń było wiele w samej Grecji i u innych ludów basenu śródziemnomorskiego. Była więc Demeter i jej córka Kora, była Hestia i Hera, opiekunka małżeństwa, była bogini mądrości Atena i miłości zmysłowej Afrodyta, zrodzona z piany morskiej, była Eos-Jutrzenka i Artemida łowczyni, i pradawna Gaja, i wiele, wiele innych. Były rozpustne i dziewicze, opiekuńcze i złowróżbne, potężne i prawie bezbronne. Przecież roilo się wszędzie od boginek wód i lasów, i morskiej toni. A nieco dalej na wschód i południe była Inanna, Kubaba i Hebat, Astarte-Istar, Kybele i Izyda, i wiele, wiele innych.

Rozmaicie je sobie wyobrażano, różne snuły się o nich opowieści. W istocie jednak rzeczy mamy do czynienia mimo wielości imion z jedną i tą samą osobą. Zdawali sobie z tego sprawę starożytni identyfikując ze sobą poszczególnych bogów, co zresztą miało zasadnicze znaczenie i dla tolerancji, i dla jedności kulturowej. Ale o tym pomówimy osobno. Dość, że imiona bogiń nakładały się na siebie, a wszystkie wypływały z jednego źródła.

Najpiękniej i najobszerniej opowiada o tym Robert Graves szukając najstarszego europejskiego systemu wyobrażeń. W najdawniejszych czasach, powiada, istniała tylko jedna bogini przedstawiana w trojakiej postaci: dziewicy, nimfy i staruchy. Odpowiada trzem porom roku i

trzem fazom księżycy, bo i jedno, i drugie na trzy dzielono. Była też w pierwszym wypadku powietrzem, w drugim ziemią, a w trzecim podziemiem, była siostrą, kochanką i matką, życiem i śmiercią. Dopiero z czasem rozdzieliły się jej funkcje i ona sama straciła swą jedność. Graves wyciąga stąd ważne wnioski odnoszące się do dnia dzisiejszego, wnioski nie do zlekceważenia, o których jeszcze będziemy mówić. Choć z tym pierwotnym matriarchatem, przyjętym zresztą dość powszechnie, ciągle się wiążą różne wątpliwości i pytania. Na ogół rządzi przecież ten, kto potrafi walczyć, prawo do broni jest niemal jednoznaczne z prawem do władzy. A tymczasem sądząc po pradawnych malowidłach, wyposażeniu grobów i legendach walczyli jednak mężczyźni. Prawda, legendy mówią o bitnym plemieniu Amazonek, ale przecież był to wyjątek. Grecja знаła wielu herosów powalających potwory, oczyszczających ziemię. Jest wśród nich Jazon, jest Tezeusz, Perseusz, Herakles, ale nie ma wcale kobiet. Z wyjątkiem tyleż chlubnym, co osobliwym Atalanty. Nic nie słyszeliśmy o matriarchacie Sumerów, Akadów, Hebrajczyków, Asyryjczyków lub Persów. Może jednak rzeczywiście nie ma po co łączyć matriarchatu z wielką boginią przeszłości? A może tych zmian było więcej i trwały dłużej?

Bóstwo bywa karzącą dłońią męską i opiekuńczą – kobiecą, a jest to chyba raczej sprawa wyboru niż organizacji plemiennej, od chwili gdy człowiek był bardziej już człowiekiem niż zwierzęciem. W każdym razie jeśli nawet bogowie pomarli, to bogini do dzisiaj ocalała.

System antyczny dziedziczył ogromną masę wspomnień wcześniejszych, podobnie zresztą jak chrześcijaństwo czy jakiegokolwiek inne współczesne wyznanie. I mógł być przyjmowany mniej lub więcej serio – znów tak samo jak zawsze. Ale przecież stwarzał określoną, taką, a nie inną perspektywę eschatologiczną, miał własną dozę grozy i nadziei. Zawierał koncentrat niezbędnej wiedzy o powstaniu i sposobie istnienia świata, o ludzkich powinnościach i sankcjach. I nawet już wtedy, gdy dla większości oświeconych starożytnych przestał oznaczać porządek świata, to przecież w dalszym ciągu był jeszcze porządkiem serca.

A więc wszystko zaczęło się od chaosu, tak jak na ogół zaczyna się we wszystkich religiach świata. Ciekawe, że nie ma chyba ani jednej, która by zakładała, że w tej chwili trwający porządek istniał odwiecznie. Wszyscy natomiast myśliciele zawsze mieli poczucie specyficznej sztuczności ładu świata, to znaczy tego, że ów ład nie był naturalny i pierwotny, ale musiał zostać przez coś lub kogoś skonstruowany. Pod tym względem religia nie odbiega od nauki, choć oczywiście podawane tu są zupełnie różne przyczyny. Dla Greków te przyczyny także były rozmaite, bo różne były mity kosmogoniczne. Chaos jednak był wszędzie. Dopiero z niego wyłoniła się uniwersalna Matka, różnie określana i nazywana. Mogła nią być Noc, mogła być Matka Ziemia, Tetyda czy Rea. Może najbardziej poetycki jest mit najstarszy, który powiada, że to naga bogini Eurynome tańcząc na falach powołała świat do istnienia. A więc wszystko poczynaloby się od ruchu, od obrotu, od energii raczej niż materii – pogląd, któremu dałoby się przyporządkować efektowne analogie.

I bezpośrednio z tym wiąże się inny pogląd, znów trafny w zasadzie: że istnienie nie stało się takim, jak jest, od razu, że przechodziło przez różne stopnie i etapy. A więc przeczucie ewolucji jest także od kosmogonii nieodłączne. Przyczyny są zresztą zrozumiałe: stara ludzkość sięgała na w pół świadomymi wspomnieniami do dawnych epok, do strasznych kataklizmów, do odmiennego porządku społecznego.

Ciekawe jednak, że w tych mitach nie zachowało się wspomnienie epok lodowych. A przecież działo się to stosunkowo niedawno, Egipcjan i Sumerów dzieliło od ustąpienia lodowców zaledwie cztery-pięć tysięcy lat. A ludzkość istniała przecież już w interglacjalach i osiągnęła wcale niemały stopień rozwoju.

Czy przemiany klimatyczne zachodziły tak wolno, że nie były po prostu zauważalne? Czy też ludy, które składają się na żyjącą dzisiaj ludzkość, przybyły z południa nie wiedzącego nic o lodach, zaś te, które one tu na miejscu zastały, zostały wybite i wchłonięte?

Genezis z lodu występuje wprawdzie w mitologii skandynawskiej, ale tam właśnie wcale nie musi być przedwieczna. W każdym razie zostało mgliste wspomnienie, że dawny świat był światem potworów, że bogowie wedle ludzkiej miary, a czasem i nadziei, nie byli bogami początku. Bo kiedy już Matka Ziemia urodziła swojego syna i kochanka Uranosa-Niebo, to jej pierwsze ziemskie dzieci były potworami i gigantami. Byli to więc sturamienni olbrzymi: Briareus, Giges i Kottos, gigantyczni cyklopowie, którzy wszyscy zostali strąceni do Tartaru, a po nich pojawiło się plemię Tytanów, którym przewodził Kronos, później zaś Atlas. I dopiero po tych wszystkich generacjach olbrzymów i potworów objęli rządy olimpijczycy. A więc świat, normy, miary i harmonii wyłonił się po długich zmaganiach. I w poczuciu starożytnych zarówno oni sami, jak i ich bogowie byli nie stwórcami, lecz spadkobiercami. A w takim razie poczucie dziedziczenia i przemiany narzucało się samo.

W ostatecznym uformowaniu bogowie współcześni Grekom byli bardzo liczni, rozmaicie usytuowani i przeróżnie powiązani ze sobą, a zresztą także i z ludźmi. Liczni być musieli, bo skoro wszystko, co żywe, było w jakiejś mierze boskie, to wszystko także miało prawo do swego szczególnego patrona. Kompetencje bogów były przy tym ogromnie zróżnicowane. Na samym szczycie stała święta dwunastka z Olimpu, której zresztą zdarzało się zmieniać swój skład. Początkowo było sześć boskich par, później opiekunka ogniska domowego Hestia ustąpiła swoje miejsce Dionizosowi, czemu towarzyszy piękne wyjaśnienie, że jest tak powszechnie kochana, iż w każdym greckim domu i tak ją przyjmą. Pozostało więc siedmiu bogów i pięć bogiń. Pierwsze wśród nich miejsce bierze Zeus, łaciński Jowisz, zresztą rodzony brat zarówno boga podziemi Hadesa, jak boga morza Posejdona, jak wreszcie własnej żony Hery, jak i Demeter. Zeus mógł być rozumiany przeróżnie – od uosobienia błyskawicy po jedynego i wszechmocnego Boga. W każdym razie on właśnie był sędzią, wymierzał sprawiedliwość i podejmował wielkie decyzje. On właśnie zbliżał się najbardziej do chrześcijańskich wyobrażeń o Jedynym Bogu i jego dostojeństwo nie miało sobie równego. A zarazem jest tu i druga strona medalu: żaden z bogów nie miał tylu frywolnych przygód miłosnych – od uwiedzenia własnej matki Rei poczynając. Ale jego prawowitą żoną jest Hera, również bogini o wielkim dostojeństwie, co nie przeszkadza jej klócić się zaciekle z mężem i krzyżować mu zamierzeń. Takim wielkim sporem była sprawa Zeusowego syna – Heraklesa, prześladowanego przez całe życie przez zazdrosną Herę, która zresztą z reguły gnębiła nieślubne dzieci Zeusa.

Ich własne dzieci – Ares, Hefajstos i Hebe, zrodzone po nocy poślubnej, która trwała trzydzieści lat, również przebywały na Olimpie, chociaż ta młodsza generacja bogów nie wniosła się do znaczenia pozostałych olimpijczyków. Hebe została podczaszym bogów, aż do chwili gdy wydano ją za ubóstwionego Heraklesa. Choć i tu istnieje zawiła relacja identyfikująca ją ze wschodnią boginią Hebat, a ostatecznie z biblijną Ewą – matką ludzkiego rodzaju. Ares został bogiem wojny szalonej i śmiercionośnej, jest też ustawicznym kochankiem Afrodyty i przeciwnikiem Ateny – opiekunki wojny mądrej. Pamiętamy, jak w „Nocy listopadowej” Wyspiańskiego Atena musi ustąpić Aresowi... Ich spór jest, jak widać, nieśmiertelny, i to niestety właśnie Ares bywa zwycięzcą. Najszczególniejszy jest Hefajstos i najsympatyczniejszy zarazem. Niewydarzony, brzydki dzieciak dwukrotnie zrzucany z Olimpu, z połamanymi nogami jest jednak swoistym Leonardem da Vinci bogów: mechanikiem, kowalem, a jeśli sądzić po tarczy Achillesa i innych jego dziełach – także i rzeźbiarzem. To on konstruuje pierwsze w dziejach automaty przybiegające na wezwanie i pierwsze roboty pomagające mu w pracy. Jest więc bogiem prekursorem innej całkiem, dzisiejszej raczej epoki.

Gdyby wszystkie teorie były czymś więcej niż teoriami, a wiek technologiczny nastąpił bezpośrednio po antycznym, to właśnie Hefajstos powinien chyba zdetronizować Zeusa, tak jak ten zdetronizował Kronosa, a Kronos – Uranosa. Ponieważ jednak tak się nie stało, Hefaj

stos pozostał bogiem mądrym, brzydkim i zapracowanym, przy tym mężem wiecznie niewiernej, ale najpiękniejszej z możliwych żony – Afrodyty. Co za przewrotna fantazja lub może szydercza mądrość tak skojarzyła tę parę?

Afrodyta... Na jej cześć powstała lwia część napisanych na świecie wierszy, wyśpiewanych pieśni, wygwarzonych baśni. Bogini miłości, miłości zmysłowej, następczyni wieloimiennych bogiń Wschodu, która nigdy nie była dzieckiem, lecz od razu wyłoniła się z piany morskiej, przyzywana przez wszystkich zakochanych, patronująca wszystkim miłośnikom. Wyposażona w magiczną przepaskę budzącą pożądanie wszystkich i w moc odnawiania dziewiczości (którą to moc miały zresztą i inne boginie) Afrodyta miała bezlik przygód miłosnych z bogami i także z ludźmi. Jej to przecież synem zrodzonym z Anchizesa był pobożny Eneas, pierwszy założyciel Rzymu. A stąd i Afrodyta-Wenus była szczególną opiekunką miasta Wilczycy. Był jej kochankiem Dionizos i Hermes, i Adonis, i Posejdon, a właściwie dałoby się może to uogólnić i tak, że każdy, kto miał do czynienia z jakąkolwiek kobietą, miał do czynienia z tą częścią boskości, której dawczynią jest Afrodyta. W tym kształcie i znaczeniu, jakie przekazała nam grecka mitologia, ma ona pewne zabawne ograniczenie: nie wolno jej się zajmować literalnie niczym poza miłością.

Kiedy pewnego razu zobaczono ją z wrzecionem, zrobił się skandal na całym Olimpie i Afrodyta uroczyście wyrzekła się jakiegokolwiek pracy. Zbyteczne chyba dodawać, że Kościół widział w niej szczególnie niebezpiecznego demona, którego namiętnie i bezskutecznie do dzisiaj zwalcza. Pokona ją chyba dopiero na własne nieszczęście ruch Womans Liberation, ale miejmy nadzieję, że jeszcze nieprędko.

Ogromną powagą wśród ludzi i bogów cieszy się Demeter, bogini rodzącej ziemi, matka uprowadzonej do Hadesu Kory, patronka eleuzyjskich wtajemniczeń. To ona podarowała ludziom pług i nauczyła ich orać, ona również ofiarowała im drzewo figowe. Jej gniew bywa straszny, ale równie straszny jest jej smutek: po stracie córki ziemia zamarła, a wody i strumienie wyschły. I jej to doroczny smutek, bo zwracają jej córkę tylko na pół roku, przykrywa śniegami całą Europę.

Zapewne zresztą obecnie i w lecie Kora rzadziej odwiedza matkę, a wszystko, co zielone, ginie, teraz jednak bogini miast suszy i śniegu, zsyła na strapiony świat o wiele skuteczniejsze i groźniejsze fenole i detergenty.

Pośród olimpijczyków ważne miejsce zajmuje Pallas Atena, bogini mądrości, dziewicza patronka Aten, zresztą także opiekunka i orędowniczka niejednego bohatera: Perseusza, Heraklesa, Dedala, a nade wszystko wracającego do Itaki Odyseusza. Mądra i łaskawa pomagała ludziom w ich niełatwym istnieniu, była natchnieniem wynalazców, opiekunką rzemiosł i sztuków, jednym z najpotężniejszych, najłaskawszych i najpotrzebniejszych bóstw starożytności.

Zresztą nie brak także dostojności boskiemu rodzeństwu Apollinowi i Artemidzie, obdarzonemu srebrnymi lukami i strzałami zsyłającymi zarazę. Apollo czczony w niezliczonych świątyniach władał także największą wyrocznią starożytności w Delfach, a wiemy też, że w jego orszaku znalazło się dziewięć muz – opiekunek wszelakiej sztuki. Apollo był zawsze symbolem doskonałości, ładu i harmonii, majestatycznego piękna i pogody ducha, choć jego mitologiczne losy nie tylko z harmonijnych uczynków się składały. Groźną potęgę przedstawiała także jego siostra Artemida, dziewicza bogini łowów i księżycy. Dużo w tym rodzeństwie doskonałości, ale mało ludzkiego ciepła, choć i oni spełnili wiele uczynków dobrych i miłosiernych.

Zupełnie innego autoramentu bogami byli Hermes i Dionizos. Pierwszy – nieznośny kpiarz i urwis, złodziejasek i wynalazca – ukazuje nam swoje wielorakie oblicze jako herold, opiekun kupców, ale i złodziei, posłaniec bogów, pomocny w wielu okolicznościach. I dziwnie się z tym kojarzy jego rola najbardziej tajemnicza, kiedy jako Hermes Psychopompos prowadzi dusze zmarłych do Hadesu, czuwając przy umierających, kiedy po raz ostatni zamykają oczy.

To on przy tym wynalazł alfabet i lirę, on łącząc się z innym bóstwem i inną tradycją jako Hermes Trismegistos patronuje wiedzy tajemnej, a więc także transsubstancjacji pierwiastków. Czyżby w takim razie to on właśnie był duchowym ojcem broni nuklearnej?

Wreszcie ostatni z olimpijczyków – Dionizos – wsławił się wynalazkiem, który dotąd odgrywa rolę większą jeszcze chyba niż w starożytności: był bogiem wina. Miał też malownicze i dramatyczne dzieje, wiele wędrował wprowadzając swój kult i jako ostatni z wielkich zasiadł na Olimpie, gdzie Hestia ofiarowała mu własne miejsce. Ale przecież każdy z nich miał niezliczoną ilość przygód, co więcej zaś, wcale nie wszystkie źródła są zgodne w szczegółach. A nawet wręcz przeciwnie; nie ma prawie kwestii dotyczącej bogów, gdzie nie ścierałyby się ze sobą odmienne czy wręcz sprzeczne wersje.

A przecież dzieje bogów olimpijskich to tylko drobna część całego ogromnego panteonu. Bogów było bowiem znacznie więcej, jeśli zaś dodamy do nich wszystkie inne istoty półboskie i nieśmiertelne, to liczba ich przekroczy parę setek. Były przecież bóstwa morza poza Posejdonem i boskie istoty piekieł poza Hadesem i Persefoną. Do jakiego świata zaliczymy trójgłowego psa Cerbera, przewoźnika Charona, trzech sędziów: Eaka, Minosa, Radamantysa? A czyż nie bogami byli Tytani, którzy przypuścili straszliwy szturm na Olimp? Spróbujmy wyliczyć bodaj najpopularniejsze imiona i największe sprawy. Bo jak zapomnieć o Heliosie, który w słonecznym rydwanie przejeżdża codziennie nieboskłon ze wschodu na zachód? Czy o jego synu, Faetonie, który raz zastąpiwszy ojca, niósł słońce to za nisko, to za wysoko nad ziemią, pałac ją i ziębiąc, aż został strącony przez Zeusa czy może przez własne konie. Heliosa wprawdzie zastąpił Apollo, ale przecież jakoś mieścili się razem na błękitnych błoniach nieba. A jego różanopalca siostra – „rododaktylos Eos” – Jutrzenka? A inna jeszcze siostra – księżyc – Selene? To nic nie szkodzi, że równocześnie boginią księżyca była Artemida i nie ona tylko. Każda bogini była przecież księżycem, a każdy bóg słońcem. Choć pewnie nie stosuje się to ani do Daktyłów, bóstw żelaza, ani doprzedziwnych dziewięciu Telchinów, ludzi, żółwi i ryb, a także trochę psów zarazem, ani do Okeanosa, ani boga wiatrów Eola, czy do poszczególnych wiatrów, też przecież boskich. Ni do Plejad, Hyjad, Hesperyd, Oriona czy Asklepiosa, Pana albo Priapa. Właściwie ku jakiegokolwiek stronie i czemukolwiek zwracał się człowiek o czystym sercu, tam nieomylnie czekała go taka czy inna postać boskości. Zapewne, któż mógł spamiętać tę nieprzerwaną plejadę bogów, któż mógł mieć kiedykolwiek pewność, czy właśnie nie uraża, nie obraża kogoś z bogów? Toteż pomyłki się zdarzały, a bogowie, nie zawsze pobłażliwi, nie zawsze też puszczali je płazem. Nie tylko tu zresztą; Artemida potrafiła karać grzesznika nieświadomego, że się grzechu dopuścił. Ale surowiej jeszcze czynił to Jehowa, a prastarzy bogowie Rzymu byli pewnie najsurowsi. Czy to nie stamtąd, czy to nie od tamtej pory obowiązuje maksyma, że „nikt się nie może tłumaczyć nieznaną prawą”? Ludzie nie są mniej surowi od bogów. Bogów w starożytności można było przebłagać ofiarą. To samo w stosunku do ludzkich sędziów nazywa się już tylko łapówką.

Można się oczywiście i dzisiaj wyuczyć całej mitologii razem z wariantami, ale będzie to miało wartość nie o wiele większą niż bezbłędna umiejętność odróżnienia tego świętego, który wypędza gąsienice z kapusty, od tego, który migdałki leczy. Różnice są, oczywiście. Dzieje bogów są znacznie mniej monotonne, ale za to nie mają wspólnego punktu odniesienia. Zresztą tak czy owak, ani żywoty świętych, ani mitologia nie mówią o Bogu czy bogach. Mitologia jest rzeczywiście tym mniej więcej w stosunku do religii, czym byłby brany dosłownie kult obrazów. Tadeusz Zieliński nie traktowałby tego zresztą lekko – dla niego przecież Bóg czy wyobrażenie Boga ujawnia się nade wszystko w pięknie.

Całe to ogromne bogactwo wyobrażeń, wersji, imion mogło w ogóle zaistnieć dlatego, że ani kultura, ani religia nie były scentralizowane. Nie istniał jeden tylko ośrodek dyspozycyjny, rozsyłający urzędowe okólniki. Było wprost na odwrót: każda polis miała prawo do własnych wyobrażeń i własnych „preferencji”. Przy czym historycznym aktem rozsądku było

rozumienie, że spór o imię boskości jest sporem o słowa, które nigdy nie będą ciałem. A kiedy już taki ośrodek się pojawił w postaci Rzymu, to także pojął, że im większa będzie wolność jego przymusowych sojuszników, tym bardziej wzrośnie jego własna potęga i chwała. Zresztą Rzym umiał i nie wstydził się nie tylko zwyciężać, ale i uczyć.

Nawet bogowie olimpijscy nie panowali nad wszystkim i nie panowali też nad czasem. Mogli zapewnić względną równowagę sił, mogli w jakimś stopniu odczynić krzywdy przeszłości, po większej części te, którymi sami byli winni, mogli upokorzyć przeciwników i skazać ich na cierpienie, ale nie mogli ich unicestwić. Nawet największa potęga jest na lasce losu i okoliczności. Nawet ta, która potrząsa piorunami, podnosi morze i skazuje na męki piekielne. Olimp to wysoka góra, podcięta przepaściami. Z tych przepaści mogło się wyłonić niejedno zagrożenie. I rzeczywiście się wyłaniało.

Wcale nie było powiedziane, że bogów nie można oszukać. Co prawda przeważnie oszustwa wychodziły na jaw. Ale co się dokonało, to się dokonało. Szczególne, że spora część owych oszustw miała charakter gastronomiczno-kanibalistyczny: zaproszonym na ucztę bogom podawano ludzkie mięso. Było takich wypadków sporo. Tak więc synowie Likaona, syna Pelazgosa, podali Zeusowi flaki, wśród których były także wnętrzności ich brata Nyktimosa. Tak również największą zbrodnią Tantała było podanie zaproszonym na ucztę bogom potrawy z ciała własnego syna, Pelopsa.

I wiele atramentu poświęcili mitoznawcy, aby wytłumaczyć, dlaczego skoro wszyscy bogowie odwrócili się od tych potraw z obrzydzeniem – jedna tylko Demeter w zamyśleniu je jadła. Ale skoro Demeter jest jedną z postaci Matki Ziemi, to czy naprawdę trzeba jeszcze coś do tej alegorii dodawać? A gdybyśmy już chcieli konsekwentnie śledzić odbicie w mitach społecznego obyczaju, to może nie moglibyśmy się wyprzeć pradawnego kanibalizmu. Poza tym, skoro ostatecznie ludzie mogą spożywać ciało boskie, to bogowie może także i ludzkie? Ofiary z ludzi nie były przecież urojeniem, od Płocka po Kartaginę. Więc może nie tylko mitografowie starożytności woleli narzucić na te sprawy welon legendy, ale współczesny mitograf Graves zrobił po prostu to samo?

I nigdy też nie było powiedziane, że bogów nie można zaatakować. Nie tylko w antycznej Grecji. Zawsze im większy Bóg, tym groźniejszy Przeciwnik. Wiemy zresztą, historycznie rzecz biorąc, że bogowie olimpijscy nie tylko zostali zaatakowani, ale i pokonani. Tyle, że to się dokonało w świecie posągów i czcicieli. Ale przecież mitologia odnotowała ataki bardziej konkretne, i to niejednokrotnie.

Wielki ołtarz z Pergamonu, nazwany ongiś przez świętego Jana „tronem szatana”, pokazuje na długiej taśmie kamiennych zdartków otaczających piękne marmurowe schody w berlińskim muzeum skłębione cienie walczących sylwetek. Jeśli się nie wie, co to jest i o co tu chodzi, można by łatwo pomylić walczących przeciwników. Nie ma się czemu dziwić. Czy naprawdę łatwo odróżnilibyśmy na jakimś starym obrazie walczące strony pod Crecy, Grunwaldem, a choćby i Verdun? Co prawda w gigantomachii pergamońskiej po prostu ludzie walczą z potworami, ale nie każdy człowiek jest tutaj całkiem ludzki, i jeszcze bardziej – nie każdy potwór potworny.

A kiedy właściwie rzecz się dokonała, tego już sami bogowie nie pamiętają. Bo przecież nie raz byli atakowani. Był przecież bunt synów Ziemi, olbrzymów Porfiriona, Efiatesa, Atlasa, Alkioneusa i innych. Olimpijczycy zwyciężyli tylko dzięki sojuszowi z człowiekiem, co jest zapewne sednem każdej religii. I był prawie że uwieńczony powodzeniem atak Tyfona. I był bunt braci Aloeidów – Efiatesa i Otosa. I nawet sam ulubieniec bogów, Bellerofont, wlatywał na Pegazie na Olimp – niekoniecznie w bogobojnych zamiarach.

Synowie Ziemi zawsze atakowali Niebo, szaleństwo zawsze zagraża harmonii. Czasem nawet zwycięża i samo się staje harmonią, ładem i prawem. Olimpijczycy nie mogli tu mieć żadnych złudzeń, ponieważ sami w ten właśnie sposób stali się olimpijczykami. Toteż przrzucano się całymi górami i wyspami, toteż pioruny, złomy bazaltu i granitu, Sycylie, Peliony

i Ossy zderzały się w rozżarzonej walką przestrzeni. I tylko z ludzkiego sposobu widzenia czasu wynika, że walka dokonała się raz na zawsze, raz lub wiele razy, lecz jednak się dokonała. Bogowie wiedzą zapewne lepiej, że ta walka jest w samej naturze nieba i ziemi, bogów i ich przeciwników, w samej naturze istnienia. Każda skala, każde porównanie jest już samo przez się utajoną walką. Wystarczy trochę poczekać, a na pewno zjawią się przeciwnicy. I każdy ład będzie potem ładem czyjś zwycięstwa. A Hades, Tartar czy bezkształt to po prostu pokonani.

Zwykła refleksja wskazuje, że oni właśnie zawsze stanowili większość. Tyle że Don Kichot starożytnych nie mógł już niczego uczynić, aby obronić tych, których pokonano w jego imieniu. Bo umarł kto inny, a zwyciężył kto inny. Jako, że odmienna tradycja wszystkich ludów powiada, że dobro nie tyle łączy się z siłą, co ze słabością. A skrupulatne i sprawdzone zapiski donoszą, że ulubioną rozrywką świadków przeciągającej się, nudnej kaźni było łaskotanie ukrzyżowanych.

„Człowiek to brzmi dumnie”. Gdyby Gorki żył w starożytności, toby raczej tego aforyzmu nie napisał.

Ale czy moje sarkazmy mają jakikolwiek sens? Trzeba by przede wszystkim zapytać, czy dla starożytnych pojęcie Boga kojarzyło się rzeczywiście z dobrem i sprawiedliwością. Czy po prostu bogowie byli dobrzy? A czy może mieli być dobrzy? To chyba tak.

W końcu ideał „kalokagathii”, piękna połączonego z dobrem, jest ideałem greckim. Trudno zaś uważać, aby ludzie wymagali więcej od siebie niż od swoich bogów. Ale przecież był to nade wszystko postulat, postulat filozofów. Filozof może sobie pozwolić na projektowanie Boga, zwyczajny zaś członek społeczeństwa (którym może być tenże sam filozof) musi przyjąć to, co mu zaoferował jego czas i tradycja. O tyle wszystko to razem brzmi niezręcznie, że mówimy o całej, parę tysięcy lat liczącej cywilizacji, gdzie pojęcia musiały się parokrotnie zmienić. Inaczej przecież rozumował Achilles, inaczej Julian Apostata. Trzymajmy się jednak faktów, tak jak je zanotowała i utrwaliła mitologia.

Nie będziemy się wdawali w rozważania, co to właściwie znaczy „dobry” i jak to się mieć może do pojęcia boskości. W każdym razie chodzi tu i o sprawiedliwość, i o miłosierdzie czy, mówiąc krótko, o nieczynienie zła i niezadawanie cierpień. I tu natura bogów helleńskich okaże się dwuznaczna. Zanim jednak obejrzymy ich osobliwe działania, skorzystajmy z tego, żeśmy przywołali pojęcie „kalokagathii” i zapytajmy, czysto zresztą retorycznie, czy byli piękni. Retorycznie, bo dostatecznie dużo ocalało posągów i opowieści, abyśmy wiedzieli bez żadnych wątpliwości, że jednym z najwyższych atrybutów bogów olimpijskich było właśnie piękno.

Stanowiło czynnik tak istotny, że nadzwyczaj piękny człowiek mógł się dostać na Olimp, jak się to zdarzyło podczaszemu bogów, Ganimedesowi, a bóg niewątpliwy – Hefajstos, „bóg z bogów”, został dla swej szpetoty ciśnięty z nieba w morze. I tylko dzięki temu, że ogromnymi zdolnościami i talentem przerastał właściwie swoją boską rodzinę, został, na dość podwyższym miejscu, nobilitowany. Ale to przecież wyjątek. Natomiast wszyscy inni byli piękni i swoją piękność ustawicznie potęgowali w miarę doskonalenia się sztuki rzeźbiarskiej. Bóstwo bowiem karmi się nie tylko dymem całopalnych ofiar, ale w równym stopniu uczuciem i wyobraźnią ofiarodawcy.

I jest to raczej wyjątek w dziejach. A w każdym razie w basenie śródziemnomorskim, bo rozważania tej sprawy w ramach innych, odległych kultur zaprowadziłyby nas nazbyt daleko. Nie do piękna dążyły wizerunki i wyobrażenia bogów w starym Egipcie i Mezopotamii. Podkreślano potęgę, ogrom, dziwność istot nadludzkich, ale nie próbowano im nadawać piękności zmysłowej, po prostu erotycznej. A tymczasem w mitologii greckiej bóg mógł być pożądanym jako erotyczny partner przez człowieka i nie było w tym nic nadzwyczajnego. Śmiertelniczki kochały się w bogach, a śmiertelni w boginiach. Co prawda bywały to romanse niebezpieczne i czasem źle się kończyły. Dziewicza Artemida skazała zuchwałego czy może tylko

nieostrożnego Akteona na rozszarpanie przez własne psy, ale nawet ona, która nigdy żadnemu bogu nie uległa, była o krok od tego, aby się oddać pięknemu myślicywi Orionowi. I tylko intrygi Apolla zapobiegły temu.

Ale Afrodyta nie obraziła się wcale, gdy chciał ją posiadać śmiertelnik Pigmalion, i choć sama nie chciała mu się oddać, to jednak wcieliła się w swój posąg jako Galatea. A chociaż ona właśnie była najpiękniejsza, to przecież idealne piękno było udziałem wszystkich innych olimpijczyków. A więc można stosować do piękności bogów kryteria erotyczne – co byłoby dla chrześcijaństwa potworną obelgą, przynajmniej do czasu, gdy na renesansową sztukę znowu zaczął wpływać wzór helleński.

Tę piękność, apollińskość i harmonię bogów tłumaczył Nietzsche jako próbę przesłonięcia grozy istnienia. Tak o tym pisze w „Narodzinach tragedii”:

„Spostrzegamy wspaniałe olimpijskie postacie bogów, stojące na szczytach budowli, a czyny ich, przedstawione na świecących w dal płaskorzeźbach, zdobią fryzy. Jeśli stoi pośród nich także Apollo, jako bóstwo osobne obok innych i bez roszczenia sobie pierwszego stanowiska, niech nas to w błąd nie wprowadza. Ten sam popęd, który uzmysłowił się w Apollinie, zrodził w ogóle ów cały świat olimpijski i w tym znaczeniu uważać możemy Apollina za jego ojca. Z jakiejż to ogromnej potrzeby powstała ta świetlana społeczność istot olimpijskich? Kto z inną religią w sercu przystępuje do tych olimpijczyków i szuka w nich tylko wyżyny moralnej, nawet świętości, bezcielesnego uduchowienia, litościwych spojrzeń miłości, ten będzie musiał odwrócić się wnet od nich zniechęcony i rozczarowany. Nic tu nie przypomina ascetyzmu, uduchowienia ni obowiązku: przemawia tu do nas jeno bujne, nawet triumfujące istnienie, w którym ubóstwione jest wszystko, co istnieje, mniejsza, czy jest dobre, czy złe”.

Dalej zaś powołuje się Nietzsche na wywodzącą się z greckiej mądrości ludowej przypowieść, w której schwytyany przez króla Midasa sylen i pytany, co jest najlepsze, odpowiada wreszcie: „Najlepsze: wcale się nie rodzić. Drugie najlepsze: szybko umrzeć”.

I takie wnioski stąd wysuwa autor „Narodzin tragedii”: „W jakim stosunku do tej mądrości ludowej stoi olimpijski świat bogów? Jak zachwyty pełna wizja dręczonego męczennika do jego udręczeń. Teraz otwiera się przed nami niejako zaczarowana olimpijska góra i pokazuje nam swoje korzenie. Grek znał i czuł przestrazy i przerażenia bytu: by móc w ogóle żyć, musiał zawiesić przed nimi świetną tkaninę snów o olimpijczykach. Ową potworną nieufność względem tytanicznych potęg przyrody, ową nad wszelkim poznaniem bezlitośnie królującą Mojrę (...) słowem całą ową filozofię boga leśnego, wraz z jej mitycznymi przykładami, z której powodu zginęli posepni Etruskowie – wszystko to przewycięzali Grecy za pomocą swego artystycznego świata pośredniego olimpijczyków ustawicznie, na nowo, w każdym razie zasłaniaли i usuwali sprzed oczu. Aby móc żyć, musieli Grecy stworzyć tych bogów z najgłębszej konieczności; przebieg ten winniśmy sobie wyobrazić w ten sposób, że z pierwotnego tytanicznego szeregu bóstw grozy, dzięki apollińskiemu dążeniu do piękna, rozwinął się drogą powolnych przejść olimpijski szereg bóstw radości, jak róże z cierniowego wykwitają krzewu. (...) Tak to bogowie usprawiedliwiają życie ludzkie, żyjąc nim sami –jedyna zadowolająca teodycea! W jasnym słonecznym blasku takich bogów odczuwa się istnienie jako to, co samo w sobie godne jest osiągnięcia, a właściwy ból ludzi homerycznych odnosi się do rozłąki z nim, przede wszystkim do rychłej rozłąki: tak że odwróciwszy sylenową mądrość, można by teraz rzec o nich, «najgorszym jest dla nich wnet umrzeć, drugim najgorszym – w ogóle kiedyś umrzeć»”. (Tłumaczenie Leopolda Staffa).

Nietzsche wychodzi tutaj od pewnej oczywistości doskonale znanej ludziom antyku, którzy przecież mawiali, że „bogów stworzył strach”. Ale to tylko część prawdy, a poza tym wcale nie specyficznie grecka. Ważniejszy znacznie jest sposób przewycięzania owej grozy istnienia – poprzez krańcową intensyfikację życia, przy czym pamiętajmy, że żywioł apolliński jest dla Nietzschego tylko jednym komponentem, bo drugim członem jest dionizyjskie upojenie

i szaleństwo. A poza tym, jeśli bogowie mają być zasłoną między świadomością a prawdziwą naturą rzeczy, to logika nie zabraniała chyba utkać ją nie tylko z piękna, ale także z dobroci.

Co jednak zostało zrobione w stopniu niewielkim, choć może większym, niżby ze słów Nietzschego wynikało. Bo nie można powiedzieć, żeby bogowie całkiem byli nieczuli na ludzką niedolę; wtedy i składanie ofiar nie miałyby sensu. Człowiek prosi, bo ufa, że prośba zostanie wysłuchana. Ale rzeczywiście nigdzie nie jest powiedziane, że bogowie nie robią krzywdy. Przeciwnie, są mściwi, i to w sposób nieproporcjonalny do krzywdy, jakiej doznali. I ta „krzywda” też bywa mocno problematyczna.

Za prawdziwego ojca duchowego antycznych bogów uznał Nietzsche Apollina. Z pewnością można powiedzieć, że jest ich przedstawicielem najdoskonalszym, a przy tym najwyższym uosobieniem sztuki greckiej, w takiej przynajmniej formie, w jakiej do nas dotarła, czyli białych marmurów, z których cierpliwa ziemia i czas starły polichromię i wszelką krzykliwość. Naprawdę było nieco inaczej. Ale pomijając sprawę posągów przyjrzyjmy się trochę bliżej Apollinowi.

Najklasycyjszy z klasycznych, najbardziej apollinijski z apollinijskich utożsamiał się z łaskawym i życiodajnym słońcem, był zaś opiekunem najszlachetniejszych ludzkich osiągnięć. Patronował więc w orszaku muz sprowadzonych z Helikonu: muzyce, poezji, filozofii, astronomii, matematyce, medycynie i w ogóle nauce. Był rzecznikiem ładu i miary, jego to przecież dewizy: „poznaj samego siebie” i „wszystko w miarę”. A zarazem historia tego boga składa się z zabójstw i okrucieństw, przy czym dziwnie z jego słoneczną rolą kojarzy się jeden z przydomków, tajemniczy Sminteus – „mysi”. Wyrocznię delficką zdobył siłą; za jego sprawą przybito w Tartarze za ręce i nogi do ziemi olbrzymia Titiosa; dzięki niemu nimfy rozszarpały Leukipposą, Artemida zabiła Oriona, muzy pozbawiły poetę Tamrisa wzroku, słuchu i głosu i ileż jeszcze wydarzyło się nieszczęść. Pamiętamy, jak razem z siostrą zabił wszystkie dzieci nieszczęsnej Niobe, która skamieniała z rozpacz. A czy można zapomnieć Marsjasza, który przegrał z nim zawody muzyczne (flet przeciw lirze) i został przez Apolla własnoręcznie żywcem obdarty ze skóry?

To prawda, że te przeciwieństwa własnej natury odziedziczył Apollo po przedhelleńskich bogach, z których jeden pochodził może z Brytanii, inny zaś z Afryki, że ze zderzenia różnych wyobrażeń złożyła się całość nie zawsze konsekwentna. Ale wszystko w kulturze jest przecież owocem zderzenia, konfliktu i kompromisu, tyle że nie zawsze wiemy i pamiętamy, co się na ów trudny kompromis złożyło. Wyobraźmy sobie, że ktoś chciałby rozszyfrować dzieje kultury mając do dyspozycji chrześcijaństwo z jego teologią, sztuką i obrzędami, ale nie wiedząc nic lub prawie nic o judaizmie, starożytności klasycznej i wierzeniach ludowych Europy. My nie dostrzegamy wewnętrznych sprzeczności kultury związanej z chrześcijaństwem lub też dostrzegamy jedynie częściowo, ponieważ zostaliśmy w niej ukształtowani. Ale dla obcego obserwatora byłby tu może zamęt niepojętych sprzeczności.

Co prawda jest pewna konsekwencja w tych wszystkich aktach zemsty i okrucieństwa, jakich dopuszczał się Apollo i inni bogowie. Było to bezwzględne chronienie swego priorytetu i autorytetu, wykluczające jakąkolwiek ewentualność górowania człowieka nad bogiem. Ale dlaczego właściwie? Czyż przechwałka nie kompromitowała się sama? A może nie zawsze? Może niekiedy człowiek bywał i mógł być doskonalszy od boga i olimpijczycy pamiętając, jakim sposobem doszli sami do władzy, nie chcieli zostawić najmniejszej furtki groźnym niespodziankom?

Przecież i tak łaskawa zawsze Pallas Atena dopuściła się kiedyś nieprawości – wtedy, gdy okazało się, że księżniczka kolofońska Arachne rzeczywiście tka piękniej od niej samej. Gobelin Arachne został rozszarpany, a gdy tkaczka powiesiła się z rozpacz, Atena na dodatek zamieniła ją w pająka. I właściwie nie sposób wymienić bóstwa nie skalanego jakąś zbrodnią.

Cóż, pewnemu dwudziestowiecznemu politykowi przypisuje się powiedzenie: „kto się boi zabrudzić ręce krwią, niech się nie bierze do polityki”. Bogowie nie bali się nigdy i nigdy nie zapominali, jaka bywa cena boskości.

Skoro jednak wszystko składa się z przeciwieństw, to niezależnie od tego, czy świat ludzi jest dziełem bogów, czy też świat bogów odbiciem porządku społeczeństwa – przeciwieństwa i wręcz antytetyczność nawet nie powinny nas dziwić ani wśród olimpijczyków, ani u boskich mieszkańców morza, gór czy Hadesu. I pewnie nic w tym jednak osobliwego, że Afrodyta, samo wcielenie złotego życia, bywała też nazywana „Najstarszą Mojrą”, „siostrą Eryinii”, „Melajnis” – „Czarną”, „Androfonos” – „Mężobójczynią”, „Skotta” – „Ciemną”, „Epitymbria” – „Grobową”.

Może i to nie takie niezwykle; miłość i śmierć kojarzyły się zawsze, od tamtych czasów poprzez ekstazę świętej Teresy Berniniego, której twarz pełna jest śmierci i miłosnej rozkoszy, do współczesnych poetów, do słynnego wskazania Hemingwaya „piszcie o miłości i śmierci, wystarczy jeszcze na tysiąc lat”. Więc choć jest także Afrodyta „Boginią Śmierci w Życiu”, nie przeszkodziło to wcale, aby na jej cześć wyśpiewał Lukrecjusz słynną inwokację:

Rzymian pramatko, Wenus! Bogów i ludzi kochanko,
Która wprowadzasz na niebo gwiazd migotliwe kaganki,
Drogę znaczysz żeglarzom i żyzną rozjaśniasz niwę,
I sama dając początek wszystkiemu, co w świecie żywe,
Boskie, słoneczne światło każesz żrenicom ujrzeć.
Przed tobą, tobą, bogini, uchodzą wiatry i burze,
Tobie przemyślna ziemia pod stopy kwiaty rozściela,
Do ciebie wód błękitami śmieje się gładki ocean.
Dla ciebie niebo pogodne szatą świetlistą się stroi
I kiedy blaskiem porannym schodzisz z wiosennych podwoi,
Gdy ciepły wiatr południowy przeleci rodnym powiewem,
Najpierw cię z całej piersi ptaki witają śpiewem;
Potem ochoczo trzody i wolna zwierzyna wszystka
Przeływa bystro rzeki, tratuje bujne pastwiska,
Dokąd rozkażesz – zdąża w niewoli twego uroku.
W końcu po morzach i górach, po nurtach rwących potoków,
W cienistych gniazdach ptaków, na polach pełnych zieleni,
Rozciągasz ogień miłości w sercu każdemu stworzeniu
I rodzisz sztuką swoją, rozkosz dającą i boleść,
Młode radosne życie, nadzieję nowych pokoleń.

(tłum. Edward Szymański)

Słyszemy ten rytm w słynnym wierszu Gałczyńskiego poświęconym Wenus, ale także poznajemy tu zarówno motywy z „Czego chcesz od nas Panie” Kochanowskiego, jak i nade wszystko z pięknej pieśni majowej „Chwalcie łąki umajone”... Proteuszowe to wręcz odmiany, prawda.

Czyż jednak wszyscy bogowie, nie Proteusz tylko, nie przemieniali się ustawicznie, nie zaskakiwali śmiertelnych, nie robili im po prostu dowcipów?

Tradycje chrześcijańskie wprawdzie i judejskie nie łączą zbyt łatwo ze sobą dowcipu i pojęcia Boga; ale przecież i tutaj taka interpretacja bywa możliwa. Zastosował ją z powodzeniem Mann w „Józefie” kojarząc bardzo głębokimi związkami dowcip z boskością. A czyż nie było rodzajem dowcipu pojawienie się Chrystusa uczniom na drodze do Emaus, łagodne zadrwienie z ich zbolalej pewności siebie? Tylko że skądinąd na to patrząc, dysproporcja

uczestników wszystkich owych dowcipów jest wręcz zasmucająca i niewiele brakuje, aby sytuacja przerodziła się w klasyczne drwiny z garbatego. Jeżeli świat ma być dowcipem Boga, to zaiste, zanadto okrutny to dowcip.

W ten zresztą sposób dochodzimy do zwornikowej kwestii naszych refleksji, do problemu wzajemnych relacji bogów i człowieka. Bo ostatecznie gdyby żadnych związków między nimi nie było, to sprawa religii antycznej byłaby dla kultury antycznej znacznie mniej istotna. Bogowie, którzy nie interesują się człowiekiem, nie słuchają jego głosu i tylko gdzieś tam sobie i tylko dla siebie istnieją, niepomni na ludzkie życie i śmierć, tyle mieliby znaczenia dla kultury i ideologii, co, powiedzmy, pelikany czy jakieś mszyce na wielkim drzewie świata.

Bóg interesuje człowieka o tyle, o ile jest jego partnerem, w jakimkolwiek zresztą rozumieniu, w dobrym i złym. Podkreślenie może nie bez sensu, zważywszy, że w religii greckiej nie ma późniejszego dualizmu zła i dobra w bezwzględnie przeciwstawnym upostaciowaniu jakiegoś Arymana i Ormuzda. Zło i dobro miesza się w postaciach olimpijskich bogów, miesza się w tym w ogóle rozumieniu boskości, jakim dysponowali starożytni. Hermann Hesse w pierwszej powieści swego dojrzałego okresu, w „Demianie”, przywołuje „Boga dobra i zła” – Abraksasa, który miałby być patronem naszej epoki. Abraksas jest już późnym bogiem hellenistycznym, a nie klasycznie greckim, i wywodzi się z pogranicza aleksandryjsko-syryjskiego. W istocie jednak to połączenie dobra i zła można było odnaleźć i u bogów z epoki klasycznej, tyle że naszym czasom chyba nie patronują Ateny Peryklesa czy Sofoklesa...

Bogowie jednak nie byli tak całkiem „olimpijsko” obojętni na ludzkie losy, jak mogłoby się wydawać. Wprawdzie odnosili się do ludzi z nieufnością i rezerwą, a nie obca im też bywała myśl, aby cały rodzaj ludzki wytepić. Zrobili w każdym razie dla niego tyle złego, ile tylko mogli. Zsyłali pomory, głód i wojny – tak przecież i wojna trojańska po to była pomyślana, aby rodzaj ludzki wytepić, a piękna Helena po to właśnie poczęta i zrodzona. Za pomoc ludziom okrutnie ukarano Tytana Prometeusza. Wreszcie potop podobny do sumeryjskiego i biblijnego wygubił wszystkich poza Deukalionem i Pyrrą. Przypomni j my zresztą, jak pięknie poświadcza ta opowieść związek ludzi z Matką Ziemią; po ocaleniu kazano Deukalionowi i jego żonie rzucać za siebie „kości matki”.

Zrozumieli, że idzie po prostu o kamienie, i kiedy zstąpili z góry Parnas, na której osiadła ich arka, ciągle rzucając za siebie spotykane po drodze głazy, obejrawszy się zobaczyli, jak za nimi podąża nowa ludzkość. A ową radę dała im Tytanka Temida, starsza od bogów.

Co do pierwszego stworzenia człowieka, najczęściej przypisuje się je Prometeuszowi, który za pozwoleniem Ateny ulepił człowieka z gliny na podobieństwo bogów. Czasem jednak uważano, że człowiek począł się po prostu z Ziemi bez czyjejkolwiek pomocy – tak czy inaczej, ktokolwiek byłby ojcem i opiekunem człowieka, w każdej wersji Ziemia była jego matką.

Przy czym jest i wersja taka, że człowiek jest starszy od księżyca, a równy wiekiem olimpijczykom. I nie doskonalił się, niestety. Po wieku złotym nadszedł srebrny, po nim brązowy, a ostatecznie żelazny. Ścisłej mówiąc były aż dwa brązowe, jeden nikczemny, drugi heroiczny. Z pogardą także wspomniany był wiek srebrny, największa zaś chwała przypadała złotemu. I zawsze wówczas wobec ludzi bogowie zajmowali postawę co najmniej dwuznaczną.

A jednak związki ludzi z bogami były wcale liczne i w sposobie istnienia świata, wedle rozumienia Greków, odegrały ważną rolę. Bo ze związku bóstwa i człowieka rodziło się plemię herosów, których czyny służyły i ziemi, i niebu. Z jednej strony bohaterowie ci bronili bogów spełniając zadania, którym oni sami podołać nie mogli, z drugiej strony dali początek plemionom, które poprzez półmrok wyprawy trojańskiej wynurzają się na światło historii. Oni sami zostali uniesieni na Olimp lub też przynajmniej zawieszani na gwiezdnych niebie, ich potomkowie jednak zstępowali ku coraz bardziej gorzkim przeznaczeniom. Ale w każdym z najdalszych następców tliła się isierka boskości. Przyjrzyjmy się więc tym, którzy stanęli na roz-

drożu światów. Byli co prawda liczni, ale największe znaczenie dla bogów i ludzi miały czyny Perseusza, Tezeusza, Heraklesa i Jazona. Wszyscy byli synami bogów, Zeusa lub Posejdona.

Pierwszy z nich, Perseusz, którego matkę Danae zaślubił Zeus w postaci złotego deszczu, wyruszył na krańce świata po głowę Gorgony Meduzy, której spojrzenie zamieniało wszystkich w kamień. W drodze wspomagali go Atena i Hermes, a głowa Gorgony ucięta diamentowym sierpem Hermesa na zawsze została na straszliwej egidzie-tarczy Ateny. W okolicach dzisiejszego Tel-Awiwu pokonał Perseusz morskiego smoka ocalając składaną mu w ofierze Andromedę – gdyż jest rzeczą przyjętą i wskazaną, aby na bohaterów oczekiwały w ich trudach piękne i nagie dziewice w okowach. To Perseusz wróciwszy do Grecji założył złote Mykeny, a z niego i z Andromedy miała się po pokoleniach zrodzić trojańska Helena.

Tezeusz, syn Posejdona, służył Atenom. To on właśnie oczyścił z potworów i bandytów Attykę zabijając Pityokampesa, rozrywającego swoje ofiary przywiązane do dwu zgiętych drzew, i Skirona, strącającego przechodniów w morze, i – najsłynniejszego – Prokrusta, rozciągającego swych gości na łożu bądź też obcinającego im członki, gdy się na nim nie mieścili. (Prokrust jest niewątpliwym patronem polityki kulturalnej). Najsłynniejszym jednak czynem Tezeusza była jego wyprawa kreteńska, o której opowieść stała się nie mniej ważnym bodźcem dla historii kultury niż epepeja trojańska. Bo była to przecież opowieść o zagładzie cywilizacji, którą potem rzeczywiście z kreteńskiej ziemi wyprowadził pod błękitne niebo Evans. Tu kiedyś Dedal i jego syn Ikar sporządzili dla króla Minosa Labirynt, aby w nim ukryć potwora, człekobyka-Minotaura, nieprawie dziecię amorfów byka i królowej Pazyfae. Stąd później uciekli na skrzydłach, kiedy to Ikar zanadto zbliżywszy się do słońca roztopił wosk spajający pióra i runął w dół, w morze, mit, płótno i poezję. A od tego czasu Ateny składały Minotaurowi krwawą daninę. Tezeusz nie zbłądził w Labiryncie, bo go prowadziła nić kreteńskiej królowy Ariadny, pokonał Minotaura i powrócił do Aten porzucając Ariadnę na skalistej wysepce Naksos, zresztą ku jej ostatecznemu pożytkowi, bo ją tam spotkał niedługo potem sam Dionizos i poślubił.

A Kreta legła w popiele i zapomnieniu na długie trzy tysiące trzysta lat.

Bo to już prawie historia. Bogowie oczywiście zjawiają się rzadko, działają poprzez wieszczce sny, poprzez szczęśliwy przypadek, fatalny zbieg okoliczności. I jest już rzeczą człowieka, czy w nadlatującym ptaku ujrzy boga, czy tylko zwierzę, czy w szepcie morskiej fali dosłucha się wezwania boginki, czy bezsensownego bełkotu wody.

W tym mniej więcej czasie, wcześniej odrobinę, rusza wielka wyprawa na daleką Kolchidę, aby na rozkaz Hery przywieźć złote runo barana, który uniósł kiedyś z Grecji Fryksosa i Hellę. Była to najsłynniejsza poza trojańską wyprawa herosów gromadząca bohaterów tak świetnych, że równego im w dziejach zespołu nie dałoby się znaleźć. Znaleźli się tu synowie bogów – Posejdona, Aresa, Zeusa, Dionizosa, Apollina, Boreasza. Pięćdziesięciu, wśród których był sam Orfeusz i Herakles, Kastor i Pollideukes, bliźniacy-Dioskurowie, Meleager i Atalanta, i wielu, wielu innych.

Przewodził im Jazon, następca tronu Jolkos, ulubieniec kobiet. Popłynęli na okręcie „Argo”, skąd też uczestników wyprawy nazwano Argonautami. I znów były niezwykle przygody, walki z potworami, i znów była czarnoksiężka królowna – Medea, która zakochawszy się w Jazonie dopomogła w zdobyciu runa i wyruszyła z Argonautami do Grecji na dalsze wydarzenia przedziwne i krwawe. Nie jesteśmy zresztą w tej sprawie zdani na suche relacje mitografów czy urocze skądinąd książeczki w rodzaju „Herajów” Kingsleya, ponieważ istnieje znakomita książka Gravesa „Herakles z mojej załogi”.

Tylko że właśnie Herakles został w tej książce potraktowany nieco żartobliwie. A tymczasem jego dzieje to najbardziej wzniosły ustęp mitologii greckiej, opowiadający, jak przez tytaniczny trud człowiek wstępuje w boskość. Już historia poczęcia Heraklesa była przedziwnie przewrotna. Zeus, aby posiadać Alkmenę, żonę Amfitriona, nie stał się ani wężem, ani orłem, ani łabędziem, ani bykiem, ale musiał stać się człowiekiem i przybrać postać samego Amfi-

triona. Sądzę, że ojca bogów musiał ten obrót spraw poruszyć głębiej, niżby to wynikało ze znakomitego zresztą „Amfitriona 38” Giraudoux. Herakles otrzymał ogromną moc i został zarazem poniżony, został sługą swojego niezbyt wydarzonego przyrodniego brata. I przez całe lata spełniał jego polecenia, których sensem było oczyszczenie ziemi z potworów. Obalał lwy, straszliwe dziki, byki i Hydry. Oczyszczał ziemię z gnoju, wyprawiał się do piekieł po trójgłowego psa Cerbera i na daleki zachód po jabłka nieśmiertelności Hesperyd. Czynił to, czego nie mógłby zrobić człowiek, ale także i to, co było niedostępne dla bogów. Przecież to właśnie on ocalił Olimp podczas strasznego buntu olbrzymów, których nie mógł uśmiercić żaden bóg, ponieważ ich śmierć była zastrzeżona dla człowieka. Wiedział to Zeus i przeprowadzał Heraklesa przez trudy i cierpienia i poprzez męczeńską śmierć, aby mógł sprostać zadaniom ostatecznym. I sprostali im: ocalili bogów, a ludziom oczyścił ziemię.

Herakles był człowiekiem i synem bożym. W istocie spokrewniony był i z Perseuszem, i z Tezeuszem, a przyznawało się do niego wiele rodów (łącznie z wieloma szlacheckimi rodzinami w siedemnastowiecznej Polsce...). Ale też, co prawda, mitologia grecka jest właściwie familijną sagą bogów i ludzi. Herakles został ostatecznie bogiem po spełnieniu swego ziemskiego i niebiańskiego posłannictwa.

Ale tu sprawa poszerza się bardzo. Kategoria Syna Bożego jest dobrze znana religiom i religioznawcom także. Według Rudolfa Otto ponad wyznawcą jest prorok, a stopniem trzecim jest właśnie Syn. To punkt widzenia ludzi. A punkt widzenia bogów? Po co jest ów Syn potrzebny? Co prawda z równie nikłą nadzieją na odpowiedź można by spytać, po co są w ogóle potrzebni ludzie. Pytania te nie są jednak całkiem bez sensu, bo bez nich nie możemy także odpowiedzieć, po co ludziom bogowie, chyba że chcemy poprzestać na odpowiedziach raczej trywialnych. A każda z religii zakładając z natury rzeczy istnienie Boga zakłada również określone miejsce i rolę człowieka. Nie jestem ani teologiem, ani religioznawcą, więc nie potrafię tego tematu wyczerpać. Zawsze chyba jednak człowiek jest pomocnikiem i sojusznikiem niezbędnym. Dlaczego – nie wiem.

Jest wiele tłumaczeń infantylnych w rodzaju „dla większej chwały swojej”. Są tłumaczenia tak głębokie jak ojca Chenu „Teologia materii”, gdzie człowiek ma przebóstwić, sakryfikować cały bezmiar istnienia. Zakłada to pewnie jakąś identyczność substancji, jakieś wzajemne przenikanie i może o włos już jesteśmy od „kalekiego Boga” z Lemowej planety Solaris. Słowem Boga – ale nie wszechmogącego, przynajmniej na razie, dopokąd w „punkcie omega” nie zbiegnie się cała świadomość wszechświata. Ale uczestnikiem tego „punktu”, notabene Teilharda de Chardin, jest w sposób konieczny człowiek. Ten człowiek, którego Herakles czy bohaterowie Odyna, czekający w Walhalli na dzień ostatecznej bitwy – Ragnarok, są tylko uwzniośleniem i idealizacją. Może pierwszych bogów rzeczywiście stworzył strach, może także stworzy ostatnich. Ale między nimi zawsze było sporo miejsca na nadzieję.

Religia grecka łączyła w sobie wiele źródeł. Sama zaś z kolei stała się źródłem, z którego bez trudu mogły czerpać ludy śródziemnomorskie, na wiele stuleci objęte procesem hellenizacji. Pomagało temu pewne poczucie względności relacji mitologicznych, względności zrozumiałej chociażby ze względu na bogactwo wersji i wątków. W każdym razie zdawano sobie sprawę, że tego samego boga można wyznawać i pod wieloma imionami, i niezależnie od imienia – ofiara będzie przyjęła tak samo.

Dlatego właśnie bogowie greccy mogli się ostatecznie zidentyfikować z bogami Rzymian, Celtów i wielu innych ludów. W istocie jednak nasze wiadomości o bogach południowej Europy przed hellenizacją są dość szczupłe.

Domyślamy się, że najszczególniejszą rolę musieli odegrać na Półwyspie Apenińskim Etruskowie, a o nich z kolei wiemy, że ze szczególnym pietyzmem wyposażali swoje groby, w czym porównuje się ich do Egipcjan. Przypuszcza się także, że czuli się wobec bogów znikomym pyłem i oczekiwali od nich w każdej czynności znaku i przyzwolenia. Stąd ogromnie

się rozrosły umiejętności wróżbiarskie (tak zwana disciplina etrusca), czy to z lotu ptaków, czy to z wnętrzości zwierząt ofiarnych – cóż za kontrast w tym zestawieniu!

Ale wróżb nie brakowało przecież i w Grecji, choć tu miały mniej konkretny, bardziej mglisty charakter. Jakkolwiek było i jakiegokolwiek bogowie Etrusków i Rzymian mieli przymioty, przyjęli ostatecznie bez reszty „interpretację grecką”. A więc Zeus zidentyfikował się z Jowiszem, Hera z Junoną, Atena z Minerwą, Ares z Marsem, Afrodyta z Wenerą, Hermes z Merkurym, Apollo z Febem, Artemida z Dianą, Dionizos z Bachusem, Posejdon z Neptunem, Hefajstos z Wulkanem, i tak w nieskończoność bóstw i bożąt.

Tak samo wymienialne były nazwy bogów od Iberii przez Kartaginę do Fenicji lub od południa wędrując na północ; od Libii po Brytanię i Germanię, a po trosze także i Sarmację, skoro po wiekach próbowano zestawiać panteon słowiański w oparciu właśnie o grecko-rzymski. Ale grecka oliwa rozlewając się coraz szerzej rozkładała się coraz cieńszą warstwą.

Może to i tak było, że greccy bogowie łącząc się z domniemanymi bogami śmierci Etrusków dali ostatecznie rzymskich bogów społecznej powinności i obowiązku? To zaś musiało polegać na bardzo ścisłym przestrzeganiu rytuału. Co zresztą nie znaczy, aby rytuał był lekceważony w Grecji. Przeciwnie, tutaj przecież także religia polegała na ofiarach, ale wolno nam chyba przypuszczać za Tadeuszem Zielińskim, że więcej ważyła intencja i rzecz sama aniżeli rytualna kolejność słów i gestów.

Trudno równocześnie przypuszczać, aby Grecy epoki klasycznej brali serio twierdzenie, że bogowie żywią się dymami ofiarnymi. A przecież zakwestionowanie dosłowności któregoś z dogmatów religii naraża na ruinę całą resztę. I to prawda; ten system zaczął się kruszyć już bardzo dawno temu. Zżerało go to właśnie, co było jego pięknem i wartością: względność pojęć i tolerancja.

Pisałem już o tym, że od hellenizmu poczynając człowiek antyczny wierzył równocześnie we wszystko i w nic; mógł więc uwierzyć w cokolwiek. Tak pojawiły się bóstwa „syntetyczne”, takie, jak Serapis, łączące porządek grecki z porządkiem egipskim. Wtedy też ubóstwiono ostatecznie Tyche – przypadek. Ale prastara bogini Tyche – los, występowała zawsze z Nemezis – koniecznością, która jednak bywała i karą, i nagrodą. Nemezis była jakby postacią sprawiedliwości losu, wyzwolona od niej Tyche stała się czystą dowolnością. Ale wierzyć w dowolność to znaczy nie wierzyć w nic. To tak jak znak krzyża, który kreśli niewierzący, ponieważ już tylko gest może mu służyć za tarczę.

Najbardziej monumentalną świątynią Aten, którą zaczął wznosić tyran Pizystrat z piaszkowca, dopełnił cesarz Hadrian w marmurze. Świątynie Rzymian wznoszone greckim bogom były w ogóle większe i bogatsze, mechanizm myślenia był tu może taki, że skoro fasada jest tak olbrzymia, to pewnie coś się za nią kryje. I rzeczywiście coś się kryło, z tym, że to „coś” stawało się coraz bardziej abstrakcyjne. Im mniej dało się „to” odczuć, tym bardziej trzeba było trzymać się litery.

Kiedy między człowiekiem a jego ziemską lub niebiańską władzą rosły ogromne mury i fasady, wtedy jedynym sposobem porozumienia staje się umowny system znaków, którego naturalnie pomylić nie wolno, bo zmieniony znak jest już po prostu innym znakiem, a skutki nieporozumienia mogą być tragiczne.

Nawiasem mówiąc może właśnie dlatego Zieliński w swoim słynnym „Judaizmie a hellenizmie” zupełnie judaizmu nie pojął. Wydaje mi się, że Bóg rabinów, który podobnie jak i oni studiuje po parę godzin dziennie Torę, był tak samo zakłopotany, żeby nie strzelić gąfy. Cóż, alfabet był jednak najprawdopodobniej semickim wynalazkiem, obie strony musiały go z dobrodziejstwem inwentarza, nie zawsze entuzjastycznie, respektować. Szczególnie, że formalizm żydowski dość dobrze spotykał się w tym punkcie z formalizmem rzymskim, który żądał od swoich wyroczni odpowiedzi konkretnych. Nie zawsze je wprawdzie respektował: zdarzyło się i tak, że kiedy ofiarne kurczęta nie chciały jeść, konsul kazał je wrzucić w morze

mówiąc: „Niech się napiją”. Ale bitwę przegrał i konsekwencje z całą rodziną poniósł. Było to zresztą mniej więcej w tym czasie, kiedy po raz ostatni dopełniono, nie całkiem chyba skrupulatnie, obrzędów „świętej wiosny”.

Obyczaj był prastary i nie wyłącznie rzymski – raczej sabiński z celtyckimi analogiami. „Ver Sacrum” – święta wiosna polegała na tym, że w trudnych chwilach ślubowano wszystko, co się narodzi najbliższej wiosny, złożyć w ofierze. Praktycznie polegało to na wypędzeniu z miasta. Dzieci i zwierzęta nie w jednym czasie osiągają dojrzałość; zwierzęta więc zabijano, a dzieci, gdy dorosły, musiały wędrować i szukać sobie miejsca na nową ojczyznę. Czasem szły za zwierzęciem ofiarnym aż do miejsca, gdzie się położyło, niekiedy zapewne pomagały mu znaleźć właściwą drogę. Niewiele o tym można przeczytać – w czasach historycznych złożono tylko raz taką ofiarę podczas drugiej wojny punickiej. Ze zwierząt w każdym razie. Gdzież miały i mogły pójść dzieci? Zapewne jakiejś formalności dopełniono – ale była to jedynie formalność. Ztracono już grozę tej ofiary: śmierć lub wygnanie nie narodzonego jeszcze pokolenia. A z grozą przepadła i świętość.

Najbardziej nawet surowo przestrzegane formalności obrządku są bez znaczenia, jeżeli została zakwestionowana sama istota rzeczy. A bogowie, których rola polegała na intensyfikowaniu życia, nie mogli już przecież wystarczyć tym ludziom, których zajęciem było myślenie. Bo nie zostało wszak powiedziane, że i myślenie podlega owemu wzmocnieniu. Z traktatu Cycerona o bogach wieje chłodem – bądź co bądź od czasu, kiedy bogowie objawiali się widomie, minęło już tyle czasu, ile dla nas od epoki wczesnośredniowiecznych cudów. W „Metamorfozach” Owidiusza tyleż zostało nabożeństwa dla bogów, ile odnajdujemy w „Orfeuszu” Offenbacha.

Starożytności zabrakło dwóch pojęć: nieskończoności i postępu. Pierwszemu brakowi dało się zaradzić zwracając się do bogów Wschodu, do eschatologii, która była czymś więcej niż nieskończonym i jałowym obrotem w najszlachetniejszym nawet moralnie i logicznie ujęciu stoickim. Ale wszystko to razem były pociechy prostaczków, do czasu przynajmniej.

Wysublimowana kultura antyczna ginęła i chyba wiedziała o tym. I może nie tylko wiedziała, ale kultywowała swój upadek, swój nieodwracalny zmierzch. Bo czy może być większa duma niż duma klęski i upadku? A cóż mogło zastąpić dumę? Pojęcie postępu miało się narodzić nieprędko jeszcze i niełatwo wcale. Niosło je, samo o tym nie wiedząc, chrześcijaństwo przemieniając świat kołisty w świat linearny. Ludzkość wychodziła ze swego domu na drogę, której cel ani był, ani jest znany.

Bogowie byli bezradni. Zwycięzca nie szturmował, Olimpu, nie piętrzył Pelionu na Ossie. On ten Olimpu po prostu unieważnił, zabierając to wszystko, co było w nim najlepszego. Jeszcze skrupulatniej niż na początku rzeczy oddzielono ciemności, jeszcze raz skazując na klęskę najbardziej świetlistych, degradując ich do roli motywów literackich, marnych ozdóbników marnym gipsem rękami płatnych sztukatorów odtwarzanych.

Atak przyszedł ze strony całkiem nieoczekiwanej, z brudnej hańby i poniżenia, z przepaści tak stromej i głębokiej, że nikt się od tej strony nie ubezpieczał. Zaatakowani bogowie usiłowali dowieść swoim wyznawcom, że w istocie rzeczy zawsze mieli ludziom do zaoferowania to właśnie, co im Przybysz bez alegorii ofiarował. Dowodzili, nie bez racji, że Przybysz przejął ich schedę i że prędzej czy później ugrzęźnie w formalizmie fasady. Że koło jest kołem i w linię się nie zmienia, że każda linia jest tylko odcinkiem ogromnego koła. Zapomnieli już, że po tak długim panowaniu „inny” i „lepszy” to jest to samo.

Więc naprawdę przeminęło wszystko? Zagał świat, w którym wszystko jest jakością, w którym wszystko znaczy coś więcej niż to, co widzi oko uzbrojone w wielorakie szkiełka? Gdyby tak się stało, to migotliwa niespodzianka, której domem jest wszystko, co istnieje, musiałaby zniknąć bez śladu, bez takiego nawet śladu, jaki w odcisku linii papilarnych zostawia rabuś, który ogołocił dom do szczytu.

Tak się jednak nie stało i stać właściwie nie mogło. Bo przecież ludziom pozostała poezja, pozostało desperackie dążenie ku nieznanym horyzontom. I kiedy niebiańsko piękny krąg Olimpu zamienił się w obrozę, w pętlę, trzeba było ją zerwać nawet za cenę przegranej, do której człowiek zyskał nie mniejsze prawo niż jego stwórcy i prawodawcy. Ostatnim darem upadku, jeśli nieunikniony, jest właśnie duma. Może i nic więcej.

Lecz jeśli ludzie potrafią być przewrotni, to ich bogowie tym bardziej. Już w starożytności pojawiła się całkiem składna hipoteza, że bogowie to po prostu ubóstwieni wybitni ludzie. Nazywało się to „świętą historią” spisana przez Euhemera z Akras czterysta lat przed narodzeniem ostatniego z antycznych bogów. Euhemeryzm rozwinął się wspaniale w Rzymie, po czym stał się wybornym orężem chrześcijaństwa, które odnosiło tę teorię do czeredy antycznych bogów, lecz przecież nie do jedyne Boga... W istocie ani Euhemer bogom nie wadził, ani bogowie nie wadzili euhemerytom. Chrześcijanie zaś mieli rację o tyle, że euhemeryzm jest bezsilny wobec pojęcia nieskończoności.

Ale tymczasem zaszło wiele rzeczy. Sprawa istnienia lub nieistnienia Boskości i Absolutu stała się sprawą woluntarną i zależy już wyłącznie od tego, czy chcemy, czy potrzebujemy takiej formy istnienia. Wymyślono też rozwój po spirali, łączący linię z kołem.

Świat Einsteinowski nie jest już światem nieskończonym. Poezja udowodniła, że bez sakralizacji świata jest po prostu niepotrzebna i przez nikogo nie czytana. A rumuński religioznawca Mircea Eliade spróbował nie gorzej od Freuda określić warunki istnienia ludzkiej psychiki, jeśli to ma być dalej psychika ludzka. Bo nie musi.

Bogowie minęli, czemu nie może minąć człowiek? Są możliwe inne formy rozumu, sami je skwapliwie, choć jeszcze nieudolnie, tworzymy. A wszechświat i jego prawa mają charakter statystyczny, dopuszczający dosłownie wszystko, co pięknie przez neopozytywistów w rodzaju Heisenberga czy Reichenbacha spisane zostało.

Jeżeli wali się dom, to jego rozpad zaczyna się od dachu i zstępuje w dół. Najdłużej trwają fundamenty, najtrwalej istnieją formy pierwotne. Nie ma już Jowisza-piorunodzierzcy, ale letnie burze co roku przeciągają nad światem. Dionizosa można odnaleźć już chyba tylko w wierszach Iwaszkiewicza, lecz żeglarze zakłęci przez niego w delfiny są powoli przez ludzi przyjmowani znowu do świata rozumu. A co było na samym początku?

Eurynome tańcząca na falach.

Polski pisarz Władysław Zambrzycki zidentyfikował Matkę Boską z boginią Junoną, czyli Herą. Zrobił to kilkadziesiąt lat temu, więc musiał o wszystkim pisać niezmiernie oględnie. Pisał przeto o posągu, któremu równą i taką samą cześć oddawano dwa tysiące lat temu i teraz. Zambrzycki nie wiedział zapewne, że istniał posąg, któremu się to naprawdę zdarzyło. Tyle że posąg był starszy od Junony. Po latach podjął ten temat Graves, który Zambrzyckiego nie znał, ale Zielińskiego, który i Zambrzyckiego natchnął, czytał na pewno. I Graves zresztą także niesłychanie ostrożnie mówi o tym. Nawet w „Białej Bogini”. Trudno się zresztą dziwić, skoro każde bardziej określone zdanie na ten temat nieomylnie wywoła u ateistów śmiech, u chrześcijan – klątwę.

Względnie bezkarnie można przypomnieć księżyc i węża, gwiazdy i dzieciątko na ręku. Ale przecież bluźnierstwem zaleci przypomnienie, że Bogini była nie tylko Matką i Dziewicą, że wielorakie imiona antycznych i wschodnich bogiń sprowadzalne w istocie do jednego tylko imienia oznaczały hierodulie, czyli prostytutkę sakralną... Ale czemu właściwie aż tak bardzo oburzać się mamy? Jeżeli w nieustannym przepływie pojęć, w grze imion i atrybutów ocalało coś bardzo dawnego i pięknego, czemuż mielibyśmy to wyobrażenie sprzed tysiącleci kurtyzować w imię panujących dopiero niecałe dwadzieścia wieków zastrzeżeń i ograniczeń?

Posąg Izdy, antycznej patronki Paryża, stał pono w opactwie Saint-Germain-des-Près aż do szesnastego wieku. Nie Izdę jednak wzywano tym posągiem, lecz – Madonnę. A czy do prawdy jest szaleństwem utożsamianie kobiety człowieka z boginią? Bogini-matka takimi samymi łzami oplakiwała syna, jak Pieta – kobieta-matka. Przecież nie będziemy lekceważyć

i wydrwiwać klasowo nam obcych matek-bogin? Jest tu zresztą precedens nie do zlekceważenia. Sobór efeski w czterysta trzydziestym pierwszym roku uznając Marię za Theotokos – matkę Boga – zażądał dla niej czci takiej samej i miejsca takiego samego, jakie zajmuje w Trójcy Ojciec i Syn. Ciekawe, że na owym soborze potępiono raczej przeciwnika deifikatorów Marii – Nestoriusza. Koncepcja była więc drażliwa, ale dopuszczalna. Cóż zresztą za znaczenie miał ten spór o słowa, skoro Notre Dame (Nasza Pani Radosna!), Hodegetria – przewodniczka, czy jakkolwiek inaczej ją nazwiemy, stała się największą bohaterką kultury chrześcijańskiej, a w konsekwencji kultury europejskiej w ogóle? Zakazano jej być kobietą.

Na katolickim uniwersytecie, który kończyłem, panowało przeświadczenie, że nie wolno się modlić do Marii o miłość, bo ona, mimo najlepszych chęci, wszystko pomyli i popłącze, jako że się na tym nie zna. Nie spotkałem tego poglądu w jakiegokolwiek wersji zapisanej, ale myślę, że jest bardzo stary. Lecz czy jedyny?

Raczej nie sposób wymienić tutaj drobnej nawet cząstki tych wszystkich przypadków, gdzie Madonna staje się kobietą. Ale czyż pamiętamy tego chłopaka, który na palec posągu włożył obrączkę i został w ten sposób ocalony i zaślubiony? Albo dziwnie zonglujące imieniem Maria wiersze Mickiewicza? Nie uszły naszej uwadze ewangeliczne Marie, ani Egipcjanka, też Maria przecież, nie zapomnieliśmy także ostatnich słów drugiej części Fausta.

Nie wiem jednak ostatecznie, czy tego rodzaju pytania mają jakikolwiek sens. Płeć boskości jest chyba sprawą dowolną, historia kultury już nie całkiem. Jeśli nawet nieformalnie, to przecież całkiem praktycznie Maria dostąpiła u spadkobierców Śródziemnomorza adoracji większej niż cokolwiek innego. Nie wiem, czy Graves ma rację upatrując w odrodzeniu tego neolitycznego czy może jeszcze starszego kultu szansę dla kultury współczesnej. Zwłaszcza że istotę rzeczy zaciemniają humorystyczno-sekciarskie spory bigotów wiary i niewiary. Ci ostatni upatrują w identyfikacji Madonny z Izydą czy Inanną dowód na to, że przesłanie jest starsze niż jego określona postać, z czego ma wynikać, że nie ma go wcale. Z tym, że zamiast „przesłanie” mówią „legenda”; drudzy, zgorszeni, zapominają równie skutecznie o legendzie, jak i o przesłaniu.

Afrodyta-Selene-Madonna patrzy na to wszystko pobłażliwie. Już jako Matka-Ziemia nigdy nie uznała Tartaru, jako odradzający się Księżyc nie przyjęła śmierci, jak kapryśna fala przyboju niczego nie określiła na zawsze. I wszystko przemieni się jeszcze. A coś się już przez te tysiąclecia dokonało i nie istniała na próżno: jej syn Ozyrys zmartwychwstał, jej syn Herakles zwojował potwory, jej syn Jezus Chrystus złamał bramy Szeolu. Ich młodszy bracia wstąpią w wysokie gwiazdy.

Władcy

„Iliada” spełnia się w łoskocie. Aż do dzisiaj wiatr rzuca nam w twarz bryłki ziemi spod końskich kopyt, jasne skry z rozbłysku mieczy, wysoki, ku bogom się wznoszący blask złoconych tarcz, świetlistych nagolenników, włócznie miotanych „nad Ksantu koryty”. Kto prowadził te falangi wojowników, do czyjego ucha wszeptywały głos wiecznej sławy opiekuńcze boginie? Nietrudno zauważyć, że imiona bohaterów „Iliady” to prawie zawsze imiona królów. Naturalnie, każdy z nich jest otoczony orszakiem giermków, woźniców, sług wszelkiego autoramentu, ale nawet imiona koni zaprzężonych do ich rydwanów docierają do nas z większą wyrazistością aniżeli tych towarzyszących im ludzi, którzy warzyli im strawę i czyścili do pięknego połysku zbroje. Świat „Iliady”, nie całkiem już boski, jest przecież nie całkiem ludzki w pospolitym tego słowa rozumieniu. Za każdym z wielkich bohaterów ciągną równie dobrze szeregi anonimowych Achajów lub Traków, jak i nieuniknione sympatie lub antypatie olimpijskich władców. Tak jak i prawie do dzisiaj tragedia w swoim scenicznym wydaniu wiąże, czy raczej do niedawna wiązała, wielkość duszy z wielkością miecza. Trzeba było aż Lessinga, aby przyznać prawo do tragedii, a zatem do wartości człowiekowi, który nie jest półbogiem ani królem, ani nawet rycerzem.

A przecież nawet w tym archaicznym świecie „Iliady”, pierwszej wiarygodnej wersji świata Greków, odnajdujemy rzeczy zastanawiające, jeśli się weźmie pod uwagę obyczaje i nawyki ówczesnego cywilizowanego świata, czyli wschodnio-południowego krańca Morza Śródziemnego aż po Zatokę Perską. A panowały tam właśnie, nie od wieków, ale wręcz od tysiącleci, sztywne, hierarchiczne struktury społeczne o nieprzekraczalnych barierach wewnętrznych, na szczycie których nieodmiennie stał bogom podobny władca absolutny, którego decyzje i rozkazy nie podlegały dyskusji ani ocenie. Co prawda rzeczywistość „Iliady” nie jest prostą odwrotnością tych stosunków. Przypomnijmy przy tym, że „Iliada” zawiera wiele sprzeczności, co jednak nie jest dziwne. Dziwne jest raczej, że tych sprzeczności i anachronizmów jest tak niewiele. Pamiętajmy, że Homer, piszący prawdopodobnie w wieku VIII, opisywał wojnę z początku wieku XII. (Z tym, że współczesny język figla nam tu płata: Homer nie pisał przecież. Ten genialny ślepiec kazał płynąć swojej epopei dźwięcznym, złocistym nurtem heksametru nie kojarzącym się jeszcze nikomu z czarnymi wężykami znaków. Tak zobaczono „Iliadę” i „Odyseję” dopiero w stuleciu szóstym, gdy na rozkaz ateńskiego tyrana Pizystrata zostały spisane. I niejako wielkim odwetem znaku nad dźwiękiem była po wiekach muzyczna przecież twórczość ogłuchłego Beethovena. Czy nikt nie zauważył, że IX Symfonia i „Iliada” są jakoś do siebie podobne?)

A nie dysponował przecież Homer kronikami, statystykami, zakurzonymi księgami historiografów. Między nim a tym, co opisywał, minęły cztery stulecia przemian może nie tak gwałtownych i szybkich jak współczesne, ale sięgających głęboko. To przecież prawie dwa

razy większy dystans niż ten, który oddzielał Sienkiewicza od bohaterów „Trylogii”. Homer dysponował tylko tradycją ustną, prawda, że wierną nad podziw, i konkretnym wzorem otaczającego go świata, który już odmienił się bardzo. I musiał stopić to w jedność. To mniej więcej tak, jakbyśmy dzisiaj stwarzali niepowściągliwym piórem syntezę polskiego losu i charakteru od wieku szesnastego do dwudziestego. Ale czy taka synteza naprawdę byłaby niemożliwa? Czy mimo wszelkich przemian fortuny i świata nie dałoby się na dnie wypadków odnaleźć podobnych rysów; podobnych upodobań i przeświadczeń między ludźmi, którzy minęli stulecia temu, a ich dalekimi spadkobiercami? Nie zadawajmy więc szkolarskich pytań temu, co przerasta zarówno pytania, jak i pytających.

Homer to wręcz eksplozja gwiazdy, rzeczą uczonych jest rozszczeplić ją na składniki, rzeczą zwyczajną grać się w jej promieniach. A więc niezależnie od tego, do której fazy kultury preklasycznej Homer sięga, czy opisuje wiek XII czy VIII, jak wiele czerpie z kultury egejskiej, musimy przyznać, że Agamemnon, Hektor, Achilles lub Diomedes to zgoła inni ludzie aniżeli władcy Asyrii, Babilonu czy Egiptu i łatwiej znaleźlibyśmy z nimi wspólny język niż z którymkolwiek faraonem czy perskim królem królów. I bardzo być może, że zwycięstwo trojańskie i maratońskie, wygrane bitwy pod Issos i nad Granikiem umożliwiły zwycięstwo tej tradycji, wedle której władza bogów i ubóstwionych ludzi nie jest aż po pisane w tej chwili słowa rzeczą bezsporną i oczywistą. A więc wodzowie Achajów w czapkach frygijskich rewolucji tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego roku i w bluzach komunardów? Dziwne to może, ale przecież logiczne.

Wróćmy jeszcze do „Iliady”. Wedle etnologicznych teorii wyłaniający się z pomroków świat Greków był albo jeszcze rozkwitającą w pełni demokracją pierwotną, albo już prawie demokracją po tysiącleciach przeobrażeń i rozwoju. Mimo podobieństwa obu formuł są one mocno odmienne, bo wynikają ze zgoła odmiennych koncepcji ludzkich dziejów. W każdym razie w samej „Iliadzie” można bez trudu uchwycić znamienne dwuznaczność. Z jednej strony nie da się zaprzeczyć boskim powinowactwom królewskich bohaterów. Nie tylko bogowie opiekują się nimi, w sposób bardzo konkretny osłaniając ich niekiedy, gdy trzeba, przed ciosem, ale przecież właśnie także królowie od bogów pochodzą, w pierwszym, trzecim czy dziesiątym pokoleniu. Achilles był synem boginki Tetydy, Helena – córką samego Zeusa. Więc choćby tylko z tego tytułu przysługiwała im pewna nadludzkość. Z drugiej jednak strony ci sami królowie są władcami ludzi wolnych, swoich własnych towarzyszy, których nie można popędzić do boju ani nahajem, ani pogróżkami. Trzeba ich do tej walki po prostu namówić i przekonać. Między basileusem a jego podwładnymi nie ma jakiejś przepaści. Bywa więc tak, że ostatnia obozowa pokraka, Tersytes, może zdrowo rugnąć najwyższego wodza i króla, Agamemnona. Ale przecież bogowie, królowie i podwładni to po prostu towarzysze niedoli. Tak, niedoli, gdyż zginą ostatecznie wszyscy, bogowie także, bo ich los został przesądzony raz na zawsze, tak jak dola wszystkich bogów, władców i wojowników, którzy przez następne trzy tysiące lat decydowali się podjąć ich dziedzictwo.

Pisałem już w rozdziale poprzednim, jak boskość splata się z władzą, jak jedno w drugie przechodzi. Nie inaczej, naturalnie, jest w świecie „Iliady”, a można podejrzewać, że także niezupełnie inaczej bywa w świecie jej interpretatorów. Władca, jakkolwiek by był, jest pośrednikiem między słabością a siłą, między Olimpem a ziemią. Sceptyczni uczeni naszych czasów wolą rzecz oglądać w innym porządku wynikania i uważają, że to kult bogów zrodził się po prostu z kultu bardzo wybitnych przywódców.

Oczywiście, tak jak i wszystko, i ten także pogląd ma swoje korzenie w starożytności i wywodzi się od Euhemera. Bogowie mieli być dawnymi królami, których stopniowo uświęciła pokorna pamięć. Nie o bogów chodzi nam obecnie, ale pewne rozeznanie w tym problemie dopomoże nam w zrozumieniu antycznej struktury wyobrażeń o władzy. Otóż taki punkt widzenia zakłada, że w czasach owych „dawnych władców”, później ubóstwionych, społeczeństwo obywatela się bez bogów, czyli było zaskakująco racjonalistyczne. Co było przed-

tem? Frazer odpowiada, że była magia, system istotnie racjonalistyczny i pod tym względem podobny do nauki; tylko że wedle niego, był to racjonalizm fałszywy. Całe to rozumowanie ma sens o tyle, o ile ogranicza się boskość do bogów o ludzkich postaciach i imionach. Ale to wcale nie byli pierwsi bogowie. Bogiem wcześniejszym od człowieka było zwierzę i liczne przykłady takiej boskości daje nam starożytny Egipt, gdzie bogiem był i krokodyl, i byk, i szakal, i małpa, i kot.

To prawda, że w jeszcze wcześniejszych ujęciach totemistycznych zwierzę było najściślej związane z człowiekiem i granicę między nimi można uważać za pozorną. Ale aż tak daleko cofać się nie musimy wcale ani grzebać w wątpliwych ustaleniach, chwiejnych hipotezach i arbitralnych przeświadczeniach poszczególnych znawców. Bóg-zwierzę na pewno nie mógł być deifikowanym królem-człowiekiem. Boskość była nieskonkretyzowana, nie przypisana do czegoś innego na stałe, sacrum w takiej czy innej postaci towarzyszyło zawsze człowiekowi, uczestniczyło potężnie w jego wyobrażeniach o świecie, przesycało wszystkie jego czynności, realne i magiczne. A jedną z tych czynności magicznych było zwykle rezygnowanie z części własnej woli na rzecz przywódcy.

W istocie chciałbym tym wywodem zwrócić uwagę na to, że po prostu stanowisko przywódcy, jakkolwiek było nazwane, nie mogłoby powstać, gdyby owego sacrum, wcześniej czy może równoległe, nie było. Oczywiście, nie zapominam ani na chwilę o wszystkich najzupełniej konkretnych, administracyjnych czynnościach, jakie w każdym społeczeństwie ma do spełnienia władza. Ba, nie tylko w społeczeństwie ludzkim, ale także w stadzie wilków czy szczurów. Władza jest punktem zwornikowym organizacji społeczeństwa i bez niej podejmowanie wspólnych, składowych działań byłoby niemożliwe albo też niezwykle trudne. O tym aspekcie ściśle praktycznym całej sprawy nie wolno nam oczywiście nigdy zapominać. Ale to właściwie oczywistość. No i zawsze było dyskusyjne, kto właściwie i z jakiej racji ma tę władzę piastować. Mało kto uważa się za głępszego od innych...

I mało kto nie pamięta o tym aspekcie władzy, o którym tak powiadał Trazymach Sokratesowi w „Państwie” Platona: „Bo tobie się zdaje, że pasterze owiec i krów mają na oku dobro owiec i krów i tuczą je, i chodzą koło nich mając na oku coś innego niż dobro swoich panów i własne, i tak samo ci, co rządzą w państwach, którzy naprawdę rządzą, myślisz, że jakoś inaczej się odnoszą do rządzonych niż jak do owiec, i o czymś innym myślą nocą i dniem, jak nie o tym, skąd by wyciągnąć jak największą korzyść dla siebie”. Ale i tym nie będziemy się zajmowali tutaj.

Starożytni powiadali także, iż „bogów stworzył strach”, może by się to dało odnieść do władców? Ale obie te opinie są ostatecznie cząstkowe i to jest niemalże wszystko, co możemy powiedzieć na ten temat.

Wiemy oczywiście, że strachowi towarzyszyła potrzeba, ale charakter tej potrzeby niezmiernie opornie poddaje się hipotezom i snom naszych religioznawców, psychoanalityków i filozofów. I stosunek do władzy, do bogów, do mocy jest zawsze dwoisty i przeciwstawny: z jednej strony człowiek chce podlegać opiece, chce czcić, z drugiej zaś chciałby samemu sprawować władzę i być czczonym. W każdym jest bodaj tyleż materiału na władcę, co i na poddanego. I nie mamy właściwie logicznych argumentów, aby być raczej jednym niż drugim, i mieć tych racji nawet nie musimy, piastując w sobie równie czule skrytego zuchwalca i jawniejszego tchórza, zarazem zbrojni i skazani na igraszki woli i wyobraźni. Co się zresztą odnosi nie tylko do interesującego nas tutaj problemu, choć on właśnie bez zrozumienia owej dwoistości jawi nam się tylko w wydaniach krańcowych.

Bo i szczególnym ludzkim paradoksem jest ta osobliwa dwoistość każdego człowieka; z jednej strony każdy jest czymś najbardziej absolutnym, niepowtarzalnym i jedynym, ponad co nie ma żadnej wartości większej, z drugiej zaś w sposób oczywisty jest jedynie częścią cze

goś znacznie większego i ogólniejszego. I to w wielu różnych rozumieniach. A więc nie mamy większej wartości niż życie jednostkowe, ale nie wahamy się zrezygnować z niego dla jakiegoś innego dobra.

Jesteśmy niepowtarzalni, lecz równocześnie niepowtarzalni tylko jako znikomo drobna cząsteczka natury i życia. W systemach religijnych dusza ludzka miewa wymiar absolutny, realizuje się wręcz jako bóstwo, które drzemało w latach życia, a zarazem bywa ona tylko nikłym odpryskiem absolutu, w którym powinna co prędzej się roztopić. Te dziwne wahania między jednostkowością a powszechnością, znikomością i ogromem, osobowością i wspólnotą ze szczególną siłą porażają trybunały sądzące wielkie zbrodnie przeciw ludzkości.

Kara dociera do swojego pułapu i od pewnego momentu przestępca uchodzi jej. Za zabójstwo dziesięciu ludzi kara przypada taka jak za zabicie i setki, i miliona – a więc wszystkie dalsze zabójstwa są jakby bezkarne. Bo w tym sensie los ludzki nie daje się sumować. Już jeden – to cały świat.

Dla społecznego istnienia człowieka jest to jednak punkt widzenia niedorzeczny. Człowiek jest i być musi elementem pewnej organizacji, bez której nie potrafi istnieć. Nie jest to zresztą wcale jego wyłącznym przywilejem czy obciążeniem, ale odnosi się do wszystkiego, co żyje. Dlatego też wszelkie bunty przeciw społeczeństwu, ucieczki na pustynie, wyczyny anachoretów zmierzają jedynie do stworzenia nowej społeczności. Wskazują jednak na rzecz istotną – że dokąd tylko sięgają wspomnienia ludzkiej historii, wszędzie ujawniał się ten drugi, absolutyzujący jednostkę punkt widzenia, że społeczne istnienie jednostki musiało być zawsze kompromisem, kompromisem, który przyjmowała pod naciskiem konieczności i który starała się, jak umiała najlepiej, uświęcić i uzasadnić. Nie inaczej było w starożytności.

Najdawniejsze, wedle tego, co o nich wiemy, Grecja i Rzym przedstawiają sobą bardzo złożony obraz mikropaństw, mikrocząstek nie większych często od średniej wioski. Jeśli na samej Krecie było ich więcej niż sto, to można sobie wyobrazić, ile ich było w ogóle. Dziśjsze San Marino czy Andorą byłyby wśród nich mocarstwem. Podobny stan rzeczy obserwujemy u początków każdej właściwie cywilizacji, każdego narodu.

Uczeni uzasadniają to przede wszystkim nikłymi nadwyżkami jedzenia i w ogóle wszelkiego dobra. A nikłe być musiały, gdyż gospodarka była jeszcze bardzo prymitywna, wymagała wiele wysiłku, a przynosiła niedużo. Co prawda obserwujemy w historii rzecz dziwną – im bogatsza jest społeczność, tym skwapliwiej szuka sposobów takiego wykorzystania swoich nadwyżek, żeby nie służyły do powszechnej konsumpcji. Buduje się więc niebotyczne świątynie, zbiori gigantyczne armie albo realizuje kosztowne utopie społeczne. Jest to potrzeba bezsporna i odnosząca się do wszystkich chyba ustrojów, a będąca środkiem ideowego uzasadnienia społecznego losu człowieka. I ostatecznie ta „wyalienowana”, „uwieczniona”, „ubóstwiona” czy jak kto chce „zmarnowana” część ludzkiego wysiłku staje się jednym z motorów historii. Możliwości owych drobnych państw były jeszcze bardzo nieznaczne; ale już i wtedy należało losom i tajemnicom składać ofiary. A najbardziej uniwersalną ofiarą jest krew.

Co prawda to niezwykle rozdrobnienie nie jest wcale stanem pierwotnym w sensie absolutnym. Początki Grecji to przecież nie początki ludzkości, co więcej, to także nie są początki cywilizacji. Achajskie, a później doryckie plemiona zastały przecież w basenie Morza Śródziemnego stare cywilizacje, których tradycje długo łamały się ze strukturą plemienną przyniesioną przez zdobywców. Zdobywcy zaś utworzyli owe wsie-państwa wedle rodzin, łącząc się zresztą w większe całości także wedle klucza rodowego. Stąd mnogość królów i ich hierarchizacja. Nas jednak ten okres, niezmiernie skądinąd istotny dla zrozumienia poematów Homera, mniej interesuje, bo jego historyczne działanie dawno już minęło bez śladu i w ogóle miało nośność ograniczoną. Trwałej odcisnęły się na doli ludzkości rozwiązania wcześniejsze i wzorce późniejsze, już z epoki klasycznej. I jedne, i drugie w jakichś refleksjach i odbłaskach zaciążyły nad historią na tysiąclecia, może na zawsze.

O tym, co było na początku historią, niewiele wprost powiedzieć można. Są to raczej dedukcje i domysły wysuwane na podstawie mitów, obyczajów i analiz współcześnie istniejących systemów pierwotnych. To ostatnie bywa mocno zawodne, gdyż przyjmuje, że owe współczesne prymitywne plemiona od tysiącleci nie rozwijały się wcale, co jest jednak założeniem trochę dowolnym. W każdym razie uważa się, że wcześniejszym i prymitywniejszym stanem rzeczy był matriarchat i że taką właśnie, matriarchalną strukturę społeczeństwa napotkali patriarchalni przybysze z północy. Z czego jednak wynikałoby, że świat śródziemnomorski był prymitywniejszy, co jest jawnym nonsensem. Ale nie to jest dla nas istotne. Jakkolwiek by były i jakkolwiek byłyby zorganizowane owe wczesne społeczeństwa, jakąś hierarchią już dysponowały, miały swoich silniejszych i słabszych, swoich przywódców i swoich helotów. Równie naturalne jest i to, że władza wynikająca z siły musiała się przecież potwierdzać i uzasadniać, niekiedy w sposób drastyczny, że wynikające z niej przywileje wydają się nam mocno wątpliwe.

Wielka była władza takiego pradawnego króla. Co prawda wszystko jest względne i nie sposób przymierzać panujących władców sprzed czterech, pięciu tysiącleci do Aleksandra Wielkiego czy do Augusta. W skali bezwzględnej podrzędny urzędnik z biura prokonsula Syrii czy Galii był stokroć potężniejszy od jakiegoś królika z Ur czy nawet króla nad królami – Agamemnona. Ale wielkość oznacza tu co innego – pierwotny władca panował nie tylko nad ludźmi, lecz i nad żywiołami – od niego, jego mocy, męskiej siły i zdrowia zależała pogoda i plony, i połowy, i polowania. Jeżeli zestarzał się i osłabł – musiał zginąć.

W innych jeszcze wypadkach był królem tylko przez krótszy czas, na ogół przez rok. Najwyższe dostojeństwo społeczne wiązało się więc ściśle z największą ofiarą, z dwuznaczną nagrodą śmierci ubóstwiającej. Kompetencje boga i człowieka dały się najwidoczniej pogodzić raczej na krótko, co notabene chroniło społeczeństwo przed kapryсами zastarzałej dyktatury. W praktyce musiało różnie bywać i często taki król był najzwyczajniej figurantem. Z czasem zresztą władcy wynaleźli liczne sposoby, aby uchronić się od śmierci, na przykład oddając na jeden dzień koronę władcy zastępczemu, którego wieczorem zabijano.

Refleksem czasów owych świętych królów był słynny rex Nemorensis, król gaju w Nemi, nad łatyńskim jeziorem albańskim. Królem tym zostawało się w ten sposób, że zabijało się poprzedniego i zrywało „złotą gałąź” – jemiolę. Instytucja ta przetrwała w późne lata cesarstwa rzymskiego.

Innym refleksem jest pono opowieść o ostatnim królu Aten – Kodrosie, którego śmierć ocalała miasto przed najazdem Dorów. Zresztą takich historycznych i półhistorycznych śladów jest wiele. Nie wiadomo, jak długo trwała epoka świętych królów igrająca władzą i boskością, panowaniem i śmiercią. Na pewno jednak dostatecznie długo, aby zapaść w najgłębsze fundamenty podświadomości, aby się utrwalić w związku koniecznym i opornym na zmiany. W najjaśniejszym słońcu antyku wałęsało się i nie mogło szczeznąć to krwawe i ciemne widmo długich tysiącleci. Atakowano je wielokrotnie, zawsze bez skutku, usuwano radykalnie – zawsze na krótko. Powracało, strojne w nowe imiona i atrybuty, spragnione nowych ofiar, wylewające wciąż nowe i nowe rzeki krwi, obezwładniające ustawicznie nowymi argumentami. I zawsze, gdy rodził się władca, miliony innych spadało do poddaństwa. Na jednej szali była chwała jednostki, na drugiej lękliwa hańba tłumów. Choćby się ta hańba nazywała, co się często w starożytności zdarzało, udziałem w chwale władcy.

Nie bądźmy niesprawiedliwi, to tylko jedna strona medalu. Jest jednak parę konsekwencji tego stanu rzeczy, które mocno zaważyły na kulturze antycznej. Otóż właściwie tylko ten, kto miał udział w boskości, osiągał zarazem pełnię człowieczeństwa. Tylko władca mógł być przedmiotem epepei i podmiotem tragedii, czyli przedstawiać sobą wartość godną unieczystwienia, jeśli tragedia polega na zniszczeniu wartości, co naturalnie jest tylko jedną z definicji, ale chyba najbliższą prawdy. W każdym razie bohaterowie wielkich tragików greckich to bez reszty panujący. Dariusz, Medea, Agamemnon, Edyp i wielu innych pamiętanych i mniej

pamiętanych. Tylko tu człowieczeństwo było godne zachodu, objawiało się jako wartość, której zagłada miała moc oczyszczania tłumów. W ten sposób królowie jeszcze raz ofiarowali się za swoje narody i historia powtarzała się nie jako komedia, lecz jako tragedia, ale tylko na deskach teatru i w sercach widzów. Ponieważ drugą stroną medalu była tragiczność, a ceną boskiej władzy nadal śmierć. Pisz się o Kodrosie, ale na dobrą sprawę mało kto z legendarnych. Homerowych królów epoki brązu umierał śmiercią naturalną. Zginęli królowie Troi, zginął Agamemnon, zginął Ajgistos, kolejni władcy Teb, któż ostatecznie ocalał? Jeśli nie ginął, to spadały na niego nieszczęścia, kalectwa zbrodnie i jakże rzadko mógł umierać w bezpiecznym zdrowym i pogardliwym zapomnieniu.

Ale w takim rozumieniu królowie, którzy nie podjęli swojego losu, wykręcili się od śmierci zrzucając zapłatę na cudze barki – spadali do rzędu zwyczajnych oszustów, nie byli godni swojego losu i swojego śmiertelnego wywyższenia. I wraz z nimi kończyła się epoka królów, a przychodził czas uzurpatorów, którzy nie mieli na swoją obronę niczego poza nagą przemocą.

W Grecji mogłoby im odpowiadać plemię tyranów, wśród których zresztą byli mądrzy i niemal idealni jak na swoje czasy przywódcy. A jednak pamiętano im raczej, co zrobili złego, nawet jeśli nie chodziło o krwawych dyktatorów sycylijskich, ale o krótką dynastię Pizystrata, która przyniosła Atenom raczej dobro niż zło, raczej pomyślność niż troski.

Nic to jednak nie pomogło – Pizystrat i jego synowie przeminęli w pogardzie, a ich zabójcy, Harmodios i Arystogejton, stali się na zawsze symbolem obrońców wolności. Ale najgwałtowniejsze reakcje nie mogły ugruntować racjonalistycznych ustrojów laickich, gdyż w dalszym ciągu za „prawdziwą” władzę uważano tę z boskiego nadania.

Tak jak w chrześcijaństwie pełnię kapłaństwa miał dopiero biskup, ponieważ on sprawował władzę, tak i w starożytności ludzka godność musiała mieć jakąś potęgę jako czynnik niezwykły. Zobaczmy jeszcze, jak przeciw temu stanowisku wystąpią filozofowie, ale filozofia kiepsko godzi się z namiętnościami, podczas gdy i pełnienie, i posłuszeństwo władzy było sprawą nie tyle rozumu, co właśnie namiętności.

Toteż władza świecka, która w końcu wyniknęła z obalenia owej zasady półboskości, była nieustannie zagrożona, zwłaszcza gdy szło o demokratyczne systemy parlamentarne, bo tu uzurpacja jakiegokolwiek nadprzyrodzonego była wyjątkowo trudna. Nie dało się przecież uwierzyć w jakieś nadludzkie kwalifikacje wyróżnionego na agorze sąsiada, z którym skądinąd rozmawiało się o cenach i urodzajach przez własny płot. Nie widać było powodu, dla którego właśnie on, a nie ja, miałby sprawować jakąś szczytną funkcję. Toteż czyhało się tylko na jakieś jego potknięcie. Na mocy ostracyzmu, wypisania na skorupkach imienia człowieka, który mógłby zagrozić demokracji, wypędzało się co silniejszych z miasta.

A zarazem żaden układ demokratyczny nie mógł trwać długo, ponieważ ludzie nie mogą zrealizować w sobie władcy, realizują tchórza, który szuka w kimś innym osłony przed grozą bogów, natury i innego człowieka. Złamana wola mocy przemieniała się w wolę słabości. Próby ustanowienia racjonalnej władzy ponosiły w starożytności klęskę za klęską. Ale nawet w tej swojej kalekiej i nieskutecznej postaci owe próby i usiłowania należą do najszlachetniejszych wysiłków ludzkości.

Wielokrotnie i dramatycznie opisywano walkę agory z akłą – wysokim zamkiem jedynowładcy – w której na kilka stuleci zwyciężyła agora, otwierając burzliwą historię greckiej demokracji. Nie można sobie tego zresztą wyobrażać jako jednorazowego zwycięstwa, gdyż demokracja ani się w całej Grecji nie upowszechniła bez reszty, ani też nigdy nie mogła czuć się bezpieczna. Ukształtowana Grecja okresu klasycznego, powiedzmy od piątego stulecia po trzecie, przedstawiała sobą mozaikę przeróżnych rozwiązań ustrojowych. Przecież tych państw było bardzo wiele, a że należało do nich dodać liczne kolonie i kolonie kolonii, gmatwanina była potężna. W praktyce dominowało parę ośrodków skupiających przy sobie, raczej nie zawsze dobrowolnie, słabszych przyjaciół. Pamiętamy najczęściej o Atenach i Spar-

cie, a należy dodać do nich ośrodek sycylijski i rosnącą powoli na północnym wschodzie monarchię macedońską. Arystoteles wymienia w swojej „Polityce” trzy zasadnicze typy ustrojowe: jedynowładztwo, oligarchię i demokrację, ale w praktyce występowały nieprzeliczone kombinacje tych elementów. W Sparcie na przykład było dwóch królów, rada znakomitych starców – geruzja, i pięciu eforów wybieranych z ogółu obywateli. Ustrój ten wytrwał całe wieki, był zapewne jednym z najtrwalszych ustrojów niemonarchicznych w ogóle.

„Jeśli bowiem – pisze Arystoteles – ustrój ma się utrzymać, to muszą wszystkie człony państwa dążyć do tego, aby być i zostać sobą. Królowie więc odpowiadają temu wymaganiu ze względu na cześć, której zażywają, ludzie znakomici ze względu na przynależność do rady starców, bo godność ta jest nagrodą cnoty, a lud ze względu na eforat, bo na ten urząd wybiera się wszystkich bez różnicy”.

Ale ta zgoda była w istocie rzeczy koślawa i utrzymanie ustroju wymagało w praktyce wielu istotnych Wyrzeczeń, sztucznych dopełnień i w ogóle posunięć politycznych raczej mało chwalebnych. A zyski cywilizacyjne okazały się tragicznie małe – po Sparcie pozostało tylko wielkie imię, które już w czasie, kiedy pisał Arystoteles, było właściwie tylko cieniem. Ale czy naprawdę wielkość losu należy mierzyć liczbą połamanych kolumn?

Najniezwykleszy jednak był eksperyment ateński i zarazem najbardziej radykalny. Uchwały podejmowano na owej słynnej agorze, gdzie mogli się zebrać wszyscy obywatele. Bo nie znano przecież systemu przedstawicielskiego, nie wymyślono go i nie zastopowano w starożytności wcale. Decyzje podejmowane głosami wszystkich obywateli były w samym zamyśle szlachetną niedorzecznością, podobnie jak po tysiącleciach szlachetną niedorzecznością był polski pomysł, aby każda ustawa miała za sobą wszystkich głosujących. Ale kto wie, czy każdy szlachetny zamysł nie jest automatycznie na niedorzeczność skazany. Ta demokracja nie mogła funkcjonować dobrze i trwale. Nie wszyscy z uprawnionych do głosowania wiedzieli, o co w ogóle idzie. Nie mogło być inaczej, skoro znaczna część obywateli mieszkała w rozproszeniu na obszarze Attyki, bywając w mieście od okazji do okazji. W tej sytuacji doszło do rzeczy wręcz anegdotycznej, podobno jednak prawdziwej: Wypędzano właśnie z miasta Arystydesa i jeden z takich obywateli-wieśniaków podszedł na agorze do nieznanego z prośbą o wypisanie nazwiska inkryminowanego na skorupce, jako że sam był niepiśmienny. Nagabnięty wypisał proszącemu nazwisko Arystydesa, pytając przy tym, co właściwie ten mu takiego zrobił, że go chce wypędzić? Odpowiedź brzmiała, że nic i że w ogóle o Arystydesie nic nie wie, ale skoro wszyscy tak robią... Łatwo się domyślić, kto był owym nieznanym. Jest to opowieść obosieczna, bo z jednej strony podnosi wprawdzie szlachetność Arystydesa, ale z drugiej wskazuje na istotne wady ustroju, którego sam był rzecznikiem.

Jakoż i nie kochano demokracji wcale, ustawicznie zerkając to ku Sparcie, to ku Macedonii, to nawet ku Persji. Pogardliwie odgradzał się od niej Platon, wyśmiewał ją Arystofanes. Chwilową przewagę mógł zyskać na zgromadzeniu ludowym właściwie każdy, kto umiał płynnie przemawiać. Dotyczyło to spraw zarówno politycznych, jak i sądowych. Nie było zawodowych urzędników, którzy są w naszych czasach ostoją każdego ustroju i bez których (jakkolwiek na nich ustawicznie wybrzydząmy) każda poważna organizacja rozleciałaby się w mgnieniu oka.

Z wielkich mówców-demagogów nie wszyscy, o, nie wszyscy mieli talent Peryklesa, raczej wprost przeciwnie. Dowodzą tego dzieje samego słowa „demagog”, które przecież początkowo nie było wcale pejoratywne, podobnie jak „sofista” także na początku nie oznaczał „krętacza”, podobnie jak „faryzeusz” – nie oznaczał ongiś obłudnika i tak dalej.

Konkretnie i my możemy demokracji greckiej łatwo wykazać niedorzeczność i zbrodnie. Wypędzono Arystydesa i Temistoklesa, skazano na grzywnę zwycięzcę spod Maratoru – Miltiadesa, zagrożono absurdalnym procesem Alkibiadesowi, grzebiąc wyprawę sycylijską, w

majestacie prawa zamordowano Sokratesa. Tak, to wszystko prawda, można wymienić jeszcze tysiąc innych szaleństw i przestępstw. A jednak...

A jednak to, co uzyskano za tę cenę, było niezwykle i przyświeca ludzkości na jej ciemnych drogach do dzisiaj. Chciano uderzyć w ludzkie zuchwalstwo i strach równocześnie, chciano wyzwolić człowieka spod władzy złowieszczych mocy, utwierdzając go w środku świata, który miał on okiełznać. Nie bóg ani niewolnik miał być miarą rzeczy; to człowiek miał zyskać prawo do własnego, a nie ofiarowanego przez kogokolwiek losu. I cóż, że cena eksperymentu była wysoka? Cóż, że samoistnej wielkości ludzkiej nie udało się zrealizować? Liczyło się i będzie się liczyło usiłowanie i decyzja, aby ponieść koszty własnego wyboru. Sokrates mógł przecież uciec, co więcej, życzone sobie tego. Ale chciał właśnie udowodnić, że prawo może być czymś więcej niż przymusem, że może być wyborem, i potrafił dowieść tego do końca. Bo najlepszymi synami demokracji nie są przecież ci, którzy się na niej tuczą, ale ci, którzy dla niej pracują i giną. Jak wszędzie, jak zawsze.

W Rzymie bieg wydarzeń był pod pewnymi względami podobny, pod pewnymi zaś całkiem odmienny. I tutaj w swoim czasie obalano królów, trochę „świętych”, trochę tyranów – wspomniano ich na oba sposoby, z tym że dominował raczej wstręt do korony, który znalazł tak słynny wyraz w ofiarowaniu jej przez Marka Antoniusza Cezarowi i w dezaprobacie tłumy. I tu czczono przeciwników królów i tyranów – Brutusa (nie Cezarobójcę), Lukrecję. Zasada boskości jednostki została pogrzebana na długo. Ale zaszedł proces znacznie ciekawszy: atrybuty nadludzkiego autorytetu przejęło zbiorowe ciało rządzące – senat. Ten zaś szczególny obrót rzeczy miał poprzez zawiłe koleje losu doprowadzić niemal do przedproża nowoczesnego patriotyzmu. Konieczne są tu jednak zastrzeżenia.

Senatorowie mogli być bardzo przeciętnymi ludźmi, pełnymi żądzy władzy, chciwości, ambicji, zawiści i tak dalej. Ale jako całość nie pozwalali uszczuplić wspólnego prestiżu. Liwiusz twierdzi, że przez całe stulecia nie zdarzyło się, aby któryś z senatorów ujawnił komuś obcemu, co się działo na posiedzeniach. Ścisłej mówiąc wspomina jeden taki wypadek, kiedy dokonało się to przez pomyłkę.

Jeśli nawet Liwiusz przesadza, to coś w tym być musiało. Przytaczana przeze mnie wcześniej legenda o zdumieniu wkraczających do senatu Gallów także z tej atmosfery wyrosła. W każdym razie autorytet senatu był taki, że na długo podporządkował sobie wszystkich zajmujących urzędy w państwie. Konsul sprawował swoją władzę przez rok, i to bardzo wyraźnie z ramienia senatu. Oczywiście, senat nie reprezentował niby całego państwa, ale tylko patrycjuszy. Podkreślano to mocno w formule „Senatus Populusque Romanus”, a walka stronnictw formuje całą niemal historię republikańskiego Rzymu. Ale jedno zostało na długo przesądzone – że źródłem władzy nie jest wola i arbitralny wybór bogów, ale określona, taka czy inna zbiorowość ludzka.

I kiedy przywrócono znowu zasadę boskości indywidualnej władzy, to nie dało się całkiem wyeliminować czynnika zbiorowości: cesarz musiał udawać wyraziciela woli ludu i senatu.

W każdym razie w całym europejskim świecie Starożytnym odbywało się poszukiwanie formuły wolności. Było to coś absolutnie nie znanego innym ludom poza basenem Morza Śródziemnego, i to nie znanego aż do czasów nowożytnych. A nie chodziło przecież o wolność anachorety czy w ogóle odludka – ta wolność miała się realizować w obrębie społeczeństwa, zawsze więc stowarzyszała się ze społeczną powinnością. Nie była i nie miała być wolnością bez zobowiązań. Czy można powiedzieć, że z czasem poszukiwanie wolności zamieniło się w poszukiwanie dobrobytu? Byłaby to formuła efektowna, ale chyba tylko niewiele mająca wspólnego z rzeczywistością. Jako że nie ma chyba epoki, może poza momentami wielkich zagrożeń z zewnątrz, w której ludzie nie bogaciliby się na ogół za wszelką cenę, w której nie toczyłaby się walka klasowa o podłoże ekonomicznym. Nawet jeśli hasła klasowe nie wybijały się akurat na pierwsze miejsce.

Toteż jeśli chcemy mówić o wolności republiki i dobrobycie Cesarstwa, musimy przecież uściślić, kogo to mianowicie dotyczyło. W istocie rzeczy pretendentów do władzy i bogactwa nie było tak bardzo wielu, a za to oni z kolei mogli do woli manipulować pozostałymi. Nie tylko w tym sensie, że mieli prawo miecza, czy raczej krzyża w stosunku do niewolników. Rzecz dotyczyła także niebotycznego wyzysku prowincji w ostatnich latach Republiki.

Aby zostać wysokim urzędnikiem, trzeba było ponieść ogromne wydatki i z reguły zaciągnąć gigantyczne długi. Toteż kiedy dochodziło się do konsulatu i po odbytych urzędowaniu zostawało prokonsulem jakiejś prowincji, trzeba było ściągnąć z niej kontrybucję zezwalającą na spłacenie długów i urządzenie się na przyszłość. W ten sposób przywileje jednostki stawały się klęską dla wielu innych. Teoretycznie groził proces o nadużycia, i rzeczywiście często do takich procesów dochodziło, o czym przypomina nam słynne wystąpienie Cycerona przeciw Werresowi, ale skutki owych procesów były z reguły niewielkie. Natomiast nominowany przez cezara zarządca ani nie musiał spłacać długów, ani nie mógł liczyć na bezkarność, o czym zresztą pisałem wyżej.

Wobec wielkiej władzy wszyscy są mniej więcej podobnie równi. Ale też warunkiem pomysłowości i bezpieczeństwa w ustroju totalnym jest ograniczenie aspiracji, umiarkowane i ostrożne okazywanie inicjatywy i niekwestionowanie uprawnień, boskości i nieomyślności cezara. Nawet wtedy, gdy ten wydaje jawnie absurdalne zarządzenia, które prędzej czy później wyjdą wszystkim bokiem, z samym cezarem włącznie. Władza cezara nie może wybaczyć poddanemu pomocy, bo sama potrzeba pomocy kwestionuje jej nieomyślność. Stąd też dochodziło do tego, że cesarz upadał, ponieważ nie można go było powiadomić o prawdziwym stanie rzeczy. Więc też wraz z wygasaniem prawa do dyskusji narastało ryzyko wstrząsów. Nie tylko w tej wielkiej skali, także w o wiele mniejszej, kiedy władcą był właściciel, a poddanym niewolnik. Bo gdy na jednym biegunie społeczeństwa wznosiły się złote trony, ścierało się o władzę, zaszczyty i bogactwa, to na drugim wznosił się las krzyży, świstał bat, siał nieustanny deszcz krwi, potu i łez. Tyle że był to właściwie nie biegun, lecz bardzo rozległa podstawa społecznej piramidy. Nie możemy zapomnieć, że wszystkie zdobycze społeczne starożytności dotyczyły jedynie obywateli wolnych, których przecież z reguły było znacznie mniej. A historia niewolniczej starożytności jest historią równie wielką i rozległą, choć znacznie bardziej tragiczną. Tak, łatwo nam rozgrzeszać swoje zachwyty antykiem, dawnych wodzów, filozofów i poetów uspokajającą formułą, że niewolnictwo było ekonomiczną koniecznością. Zapewne, to prawda, ale jakąż prawdą, jakie usprawiedliwienie może zrównoważyć wieki cierpienia milionów?

I nic dziwnego, że miłośnicy Śródziemnomorza robią się w tym punkcie dziwnie zakłopotani. Przecież akceptować antyk, stawiać go za wzór to jednak to samo, co akceptować niewolnictwo, i nie udawajmy, że tego nie rozumiemy. Bo jeśli się powołujemy na konieczność dziejową, to dotyczy ona zarówno chwały, jak i podłości we wzajemnym, intymnym związku. Nie ma Filemona bez Baucis, nie ma Arystotelesa bez jego trzynastu niewolników. Zejdźmy więc w podziemia promiennego świata.

Niewolnictwo tyleż umożliwiało rozkwit społeczeństw antycznych, co zamykało im dalszą drogę rozwoju. Przede wszystkim w tym sensie, że do sprawnego funkcjonowania ekonomiki antycznej potrzebny był stały dopływ niewolników, dopływ, którego nie mógł zapewnić jedynie przyrost naturalny. Potrzebne były wojny. Toteż kiedy wraz z cesarstwem rzymskim zapanował pokój, zaczęło brakować siły roboczej. A nie było jej czym zastąpić. Właściwie dlaczego? Dlaczego maszyna parowa pozostała zabawką, dlaczego nie umiano dostrzec jej ogromnych możliwości? Prawdopodobnie właśnie dlatego, że nie potrafiono przełamać koncepcji pracy jednego człowieka dla drugiego. Niewolnictwo więc zakładało klapki na oczy, mściło się w tym sensie i na gnębicielach. Rozwój techniki zmusiłby starożytnych, jak zmusił i nowożytnych, do znacznie głębszego wniknięcia w prawa natury, stanowiąc nie tylko rozwiązanie ekonomiczne, ale potężny bodziec rozwojowy. Ale tak się nie stało. Wszelkie nad-

wyżki musiały wyrastać z coraz mniej opłacalnej, coraz bardziej anachronicznej pracy ręcznej. Pracy niewolników przede wszystkim. Przede wszystkim, bo nie wyłącznie przecież. Nie można sobie z kolei wyobrazić, że w starożytności pracowali jedynie niewolnicy, pozostali zaś opływali we wszystko, a jeśli nawet byli biedni, to byli na utrzymaniu państwa.

W istocie rzeczy przepych i dobrobyt zarezerwowano dla ludzi bogatych, większość natomiast musiała się komentować byle czym. To prawda, że w miarę upływu czasu rosły świadczenia publiczne dla plebsu, że wzrastało rozdawnictwo chleba, mnożyły się termy i widowiska cyrkowe. Ale i te darmowe świadczenia zapewniały zaledwie byt na bardzo mizernym poziomie. Pamięamy o ucztach Lukullusa i Trymalchiona, o różnych mózdkach pawi i języczkach flamingów, ale znacznie mniej wiemy o tym, jak wyglądał stół ubogiej większości. Toteż wręcz wstrząsająco działa na nas pompejańska tabliczka z budżetem ubogiej rodziny:

Dzień 8 przed Idami:

ser	1 as
chleb	8 asów
oliwa	3 asy
wino	3 asy
razem	15 asów

Dzień 7 przed Idami

chleb	8 asów
oliwa	5 asów
cebula	5 asów
garnek	1 as
chleb dla niewolnika	2 asy
wino	23 asy
razem	44 asy

Dzień 6 przed Idami

chleb	8 asów
chleb dla niewolnika	4 asy
kasza	15 asów
razem	27 asów

Dzień 5 przed Idami

wino dla „domatora”?	16 asów
chleb	8 asów
wino	2 asy
ser	2 asy
razem	28 asów

Dzień 4 przed Idami

.....?	16 asów
sprawunki kobiece	2 asy
orkisz	16 asów
bubella(?)	1 as
daktyle	1 as
kadzidło	1 as
ser	2 asy
kiszka	1 as

miękki ser	4 asy
oliwa	7 asów
razem	51 asów

Dzień 3 przed Idami

serwato(?)	17 asów
oliwa	25 asów
chleb	4 asy
ser	4 asy
pory	1 as
talerz	1 as
kubel	9 asów
lampa	1 as
razem	62 asy

W przeddzień Id

chleb dla niewolnika	2 asy
chleb	2 asy
pory	1 as
razem	5 asów

W Idy

chleb	2 asy
chleb razowy	2 asy
oliwa	5 asów
kasza	3 asy
mała rybka	2 asy
razem	14 asów

Jakaż nędza! Dopiero to wyliczenie przywraca nam poczucie właściwych proporcji. To menu składa się niemal wyłącznie z chleba, oliwy, wina i sera. Raz na tydzień odrobinę jakiejś kiszki, raz „mała rybka”. Czy ktokolwiek we współczesnej Europie zaakceptowałby taki wikt? Jakże przepastnie daleko odeszliśmy od tamtego ubóstwa z naszymi kaprysmi, pretensjami, domaganiem się takich, a nie innych gatunków mięsa, owoców, przypraw. Trzeba dopiero takiego dokumentu, pochodzącego przecież z czasów Cesarstwa, z czasów dobrobytu, aby zrozumieć niewspółmierność tej i tamtej cywilizacji. A przecież jest to wprawdzie budżet rodziny biednej, lecz nie analfabetów i nie bez niewolnika... Wydano przez osiem dni nieco więcej niż dwieście asów, monety drobnej, w czasie gdy gęś kosztowała tych asów dwa tysiące, a para kurcząt – sześćset. A los owego niewolnika? Czy miał swój udział i w owej „małej rybce” i jaki to mógł być udział? A przecież należał do warstwy niewolników domowych, bardzo jeszcze uprzywilejowanych. Prawdziwa, najprawdziwsza nędza dotyczyła górników w attyckich kopalniach srebra – Laurion, pracowników rolnych, niewolników obracających żarna, a zakutych w ten sposób, aby nie mogli sięgnąć po garść mąki. Już się nawet nie chce pisać o systemach kar, o krzyżach za porta Esquilina, o przeróżnych biczach i nahajach, różgach, ościeniach. A przecież bunty wybuchały tak rzadko. I nie po to, aby obalić ustrój niewolniczy, lecz by samemu niewolnictwu uniknąć. Niewolnik, któremu udało się zbiec lub wykupić, sam z kolei kupował niewolników, hańbie i cierpieniu nie mogło i nie miało być końca. Niewolnik był „narzędziem obdarzonym mową”, przedmiotem bezwzględnej eksploatacji, eksploatacji programowej, jaką potrafił zalecać – skądinąd wzór uczciwości – Kato Starszy.

To prawda, nie zawsze i nie wszędzie tak było. Niewolnik w pierwszych latach Republiki rzymskiej należał niejako do rodziny i z nią razem siadał do stołu. Jakieś względy ludzkie musiały chyba działać zawsze, ale, bądź co bądź, zależały od pańskiej łaski i niełaski. Tej łaski było naturalnie więcej, gdy samych niewolników było mniej albo gdy gospodarka zaczynała się walić. A jakże się w takiej sytuacji nie miała walić, skoro od niewolnika nie można się było spodziewać niczego poza nienawiścią, wykręcaniem od pracy i niszczeniem narzędzi. Toteż jego wydajność musiała być ogromnie niska.

Kiedy niewolników było bardzo wielu, uchodziło to jakoś. Więc na przykład w Atenach pod koniec czwartego wieku doliczono się ich czterystu tysięcy. Czyli po kilkudziesięciu na każdego obywatela. Ten stan rzeczy groził już buntem, w związku z czym patriotyczni Ateńczycy woleli paktować z wrogimi krajami ościennymi niż mieć do czynienia z rodzimymi niewolnikami.

Sparta wynalazła jeszcze lepszy sposób na swych helotów, których miała niemało. Mianowicie co roku wypowiadała oficjalnie swoim niewolnikom wojnę, podczas której likwidowała co bardziej podejrzane jednostki, i to w całym majestacie prawa. Czym może być powstanie niewolników, pokazał bunt Spartakusa, od którego zatrzęsło się całe Imperium Rzymskie. Toteż trzeba było szukać jakichś innych rozwiązań poza kijem i palem.

Już w trzecim wieku przed naszą erą niewolnik mógł posiadać własne pieniądze, tak zwane peculium, którymi mógł samodzielnie dysponować, a niejednokrotnie wręcz wykupić się. Od pierwszego wieku wzrasta bardzo ilość takich wyzwoleńców, często wyzwolonych przez samego właściciela, któremu w tej postaci przynoszą znacznie większy dochód. Równocześnie zmienia się los najbardziej upośledzonych niewolników rolnych. Pojawia się instytucja kolonatu, rodzaj dzierżawy zastępującej dawną bezwzględną i bardzo nisko wydajną podległość.

Jeśli idzie o niewolników domowych, to ich los często nie odbiegał od statusu służby, a niekiedy wznosił się bardzo wysoko. Niewolnik przyjaźnił się ze swoim panem, bardzo często dochodził do wielkiego bogactwa i nawet robił karierę polityczną, zawsze jednak na pewnym uboczu, choć bywało i tak, że komplementowali go i prosili o pomoc ludzie wolni. Nie mogło być inaczej: tak wysoka kultura, jaką dysponował antyk, nie mogła nie dostrzec wreszcie absurdalności i nieludzkości owego stanu rzeczy. Choć... tak świątły myśliciel jak Arystoteles uważa, że niektórzy ludzie rodzą się z natury niewolnikami, „żywymi narzędziami”, chociaż bliższe sprecyzowanie tego, kto jest, a kto nie powinien być niewolnikiem, nastrocza mu wielu nieprzewidywanych trudności. Cóż mówić o innych? Tak, właściciel niewolników musiał mieć twardą skórę. Wspomagała go zapewne okoliczność, że nie sam bijał (chyba, że dla przyjemności) i nie musiał słuchać, jak jęczą „żywe narzędzia”. Ostatecznie, my też jadałyśmy mięso lubiąc skądinąd zwierzęta i wyręczając się rzeźnikiem. Jakaś część hipokryzji jest w życiu nieunikniona; im jej więcej, tym obyczaje lepsze.

Można podejrzewać, że władza cesarów nie ostałaby się bez owych nieprzeliczonych rzesz biedoty i niewolników, rozległych prowincji imperialnych, którym pozwolono rozkwitać, by tym sposobniej golić podtuczony owieczki, bez tych wszystkich, którzy raczej aspirowali do kawałka chleba niż do konkurowania o władzę. Dla nich to w znacznej mierze roztańczano misteria przepychu i wspaniałości. Cezar musiał z jednej strony pokazać, że jest istotą wyższą, z drugiej zaś doprowadzić nędzarzy do ekstazy tym właśnie nadmiarem marmurów, złota, strojów, pokarmów i kobiet. Niezwykle bystro uchwycił to Broch w „Śmierci Wergilego” ukazując tłumy ekscytujące się łożkowymi zmaganiem Augusta. Cesarski podryw stawał się misterium, w którym niejako i inni mieli swój udział. Boskość cesarów, Rzymu miała bowiem źródło nie tylko w hellenistycznych wzorcach, ale i w zbiorowości, w bogini Romie, której żywym ciałem był zarówno zniewolony senat, jak i hałasujące tłumy. I wielkie, i liche miało w tym uczestnictwo rzeczywiste.

Pojęcie rzymskości zrodzone z ideałów senatu, z rozpraw publicystów, oracji wodzów, z wersetów „Eneidy” narzucało przeświadczenie o dziejowej misji, którą ma Rzym do spełnienia, i o sposobie, w jaki ją mają Rzymianie praktykować. Senat jednak skompromitował się walkami i korupcją drugiego i pierwszego wieku, cesarz, za którym bezpośrednio stały legiony, nie był więc najgorszym przedmiotem czci i podziwu. Tym bardziej że po prawdzie rzymski eksperyment demokratyczny był od samego początku niezbyt udany. Oczywiście było, że przywódcy plebsu dążą po prostu do władzy osobistej.

Starszy Grakchus, pierwszy wielki przywódca i reformator, był uważany za niekoronowanego króla, i tak też było w istocie. Z czasem ta zależność stawała się coraz mocniejsza, i im więcej chleba dostawało się biedocie, tym większą władzę dzierżył dawca. Scypion, Mariusz, Sulla – wszyscy oni mieli władzę, w pewnym momencie zgoła absolutną. Czego im brakowało – to sankcji moralnej i prawnej, bez której najsilniejsza władza jest zawsze tylko uzurpacją.

O tę sankcję nie mogło być łatwo w kraju o tak wielkiej kulturze politycznej, jakim był Rzym. Nie mogło nią być proste wskrzeszenie królestwa, ponieważ królestwo właśnie było zniechęczone. Musiały się więc połączyć bardzo różne motywy. Oczywiście, najpierw trzeba było mieć realną siłę. Ale tego było za mało. Musiała dojść sankcja rzymskości, pozór kontynuacji najświetniejszych tradycji i urzędów Rzeczypospolitej. Ale i ten pierwiastek nie wystarczał – musiał go uzupełnić status boskości, dawny i nierzymski. Czy był do uniknięcia? Dlaczego pojawiał się z taką regularnością? Czy sami cesarowie wierzyli we

własną boskość?

Zapewne rozmaicie z tym bywało. Najbardziej szaleni – być może – tak. Co rozsądniejsi raczej nie. Z tym jednak, że nawet najrozsądniejsi czuli się wyniesieni tak wysoko, powołani do misji tak wielkiej, że mogło im przychodzić do głowy i to, że choć sami być może nie są bogami, to jednak ich rola jest rzeczywiście boska. Jakże łatwo było cesarzowi pośród wielojęzycznych „ave” całego świata czuć w swoich piersiach gorący oddech Wilczyca. Jakże trudno spojrzeć na siebie jak na zwykłego tylko człowieka, na osobę, a nie na funkcję. A poza tym była w akceptowaniu boskości także pewna niebagatelna racja polityczna.

Cesarowie doskonale rozumieli, że czym innym jest ich osoba i rola w Rzymie, a czym innym w prowincjach, zwłaszcza zaś w bogatych i starych prowincjach wschodnich. Tutaj zawsze wierzone w boskość władcy, tutaj wzmocnił ten wzorzec niepomiarne Aleksander Wielki, a podtrzymywali go, jak umieli, jego następcy. I tu cesarz, chciał czy nie chciał, musiał być bogiem, jeśli miał w ogóle sprawować władzę. Toteż, początkowo przynajmniej, cesarowie zgadzali się na stawianie sobie świątyń na Wschodzie, unikając podobnych manifestacji w samej Romie. Potem naturalnie godzili się już łaskawie na wszystko, a dobrym uzasadnieniem mogła służyć okoliczność, że Rzym nie był już miastem Rzymian, ale wszystkich narodów Imperium. A cesarz nie mógł się wszak cieszyć mniejszym szacunkiem w stolicy niż na prowincji. I tak się proces dokonał. Zresztą ta właśnie wielość składników imperialnych powodowała, że cesarz naprawdę musiał mieć więcej niż jedną sankcję. Królowie i władcy późniejszych czasów powoływali się albo na Boga, albo na misję dziejową, cesarz musiał dysponować jednym i drugim.

Nie tylko to zresztą dzieliło go od późniejszych chrześcijańskich władców sukcesyjnych. Otóż chyba rzeczą istotną było to, że nie mógł się na ogół automatycznie spodziewać panowania. Bo też, zwłaszcza na początku, nie zdarzało się zgoła, aby po prostu syn następował po ojcu, syn w sensie biologii, nie adopcji. Pierwszym władcą sukcesyjnym był Tytus, po ojcu Wespazjanie, po nim Domicjan. A potem znowu szereg adopcji. Ale adopcja to jednak nie urodzenie. Więc przyszły cesarz był na początku zwykłym człowiekiem i nie infantem. Żeby mieć jakieś szansę na imperatorskie dziedzictwo, musiał się przedtem zasłużyć, wybić, zaskarbić sobie zaufanie cesarza, zdobyć przyjaciół i sojuszników. A więc, nolens volens, pokazać się wszystkim z najlepszej strony. Nawet po zdobyciu oficjalnej sukcesji nie zawsze

jeszcze mógł być pewien panowania, które przecież ostatecznie zależało od wojska. Żeby przez to wszystko przebrnąć, musiał poza stosownym urodzeniem dysponować jakimi takimi zdolnościami.

I bezpośrednio po wstąpieniu na tron najwięksi nawet szaleńcy i tyrani przez jakiś czas zachowywali się jak trusie, przestrzegali praw, szafowali obietnicami i nawet je spełniali. Naturalnie do czasu. Później następował mniej lub bardziej gwałtowny zwrot i można się było odtąd wszystkiego spodziewać. W każdym razie trupy padały jak przejrzałe porzeczeki. I w ubóstwie, i w szaleństwo prowadził ich Aleksander.

Już jego los zawierał wszystkie te elementy, które z takimi czy innymi modyfikacjami odnajdziemy u późniejszych cesarów. Tyle że Aleksander był synem królewskim. Ale wypada przypomnieć, że jego ojciec Filip trochę powątpiewał w swoje ojcostwo, jako że matka Aleksandra, Olimpias, była przed ślubem hierodulą, czyli prostytutką sakralną. I nie tylko powątpiewał, ale ożenił się po raz drugi i miał syna, już na pewno swojego. Sądząc po wizerunkach podejrzenia były niesłuszne. Zresztą i talent, i temperament były u Aleksandra bezspornie Filipowe. Ale nie to jest istotne, tylko to, co o tym i Filip, i Aleksander myśleli. Aleksander zaś pociągnąwszy na wyprawę azjatycką i odniósłszy pierwsze wielkie sukcesy uznał się za syna boga Amona, który w tym ujęciu miałby działać przez któregoś ze swoich kapłanów, a w każdym razie przez klientów Olimpias. Maurice Druon w popularnej książce o Aleksandrze utrzymuje, że tak było w istocie; w każdym razie było to zaprzeczenie przez Aleksandra ojcostwa Filipa, odrzucenie królewskości na rzecz boskości. Równocześnie Aleksander przyjmuje perski obrządek i zwyczaj dworski, bo tego właśnie wymaga jego rosnąca z każdą chwilą wschodnia dziedzina.

I znów inny jest dla Wschodu, inny dla zachodnich przyjaciół. Pierwsi muszą czcić w nim bóstwo, macedońscy hetajrowie-towarzysze bardzo się tym gorszą. Ale i oni ostatecznie idą w ślady Persów. I wreszcie przychodzi szaleństwo – Aleksander morduje swojego najlepszego przyjaciela i wychowawcę, Klejtosa. Otóż te wypadki uległy we wspomnieniach uwzniośleniu i stały się wzorem dla wszystkich ambitnych władców antyku.

To prawda, że oprócz wzoru Aleksandra działał także w okresie Cesarstwa wzór i testament Augusta. Ale przecież testament Augusta dotyczył raczej granicy, której nie powinny przekraczać legiony rzymskie, nie ubóstwienia, bo i sam August był przecież „boski”. A imperatorowie oprócz imienia-tytułu Augusta nosili także imię-tytuł jego przybranego ojca – Cezara, tego Cezara, którego właśnie Plutarch w swoich „Żywotach podwójnych” zestawia z Aleksandrem. I jeśli uwznioślony wzór był zawsze obecny, to spełniało się i sprawdzało wszystko, od boskości do szaleństwa.

Historia nie odmienia tego kierunku. Władca Rzymu będzie z latami i wiekami wzrastał w świetnościach i splendorze, będzie wzbijał się wciąż wyżej, wciąż dalej od szarego tłumu. Jeżeli wolno podejrzewać, że na początku boskość Cezara, Augusta czy Klaudiusza była raczej konwencjonalna, raczej z pewnym przymrużeniem oka traktowana, to później robi się coraz bardziej serio, coraz bardziej wymagająca i pozbawiona poczucia humoru. I, o dziwo, to właśnie okazuje się skuteczne. Senat, marzyciele buntowali się przeciw władcom ziemskim, nie próbują szemrać przeciw mocom nadludzkim. Jeśli nawet sam Rzym jest mniej skłonny do uwielbienia, to cesarowie przestają go niemal odwiedzać, przenoszą swoje stolice gdzie indziej. I nikt już nie kwestionuje boskości Dioklecjana.

Nikt – oprócz chrześcijan. Rzeczywiście, w tak ukształtowanych stosunkach chrześcijaństwo nie mogło znaleźć dla siebie miejsca. Nie kwestionowało naturalnie władzy, nie mogło jednak przyznać jej atrybutów boskości, skoro monoteizm nie uznawał żadnych dodatkowych wcieleń i objawień bóstwa.

Cesarowie z kolei nie mogli tolerować tak jawnej dywersji ideologicznej i obie strony z wielką szkodą dla państwa całymi stuleciami wojowały ze sobą. Mógł całą tę sprawę lekceważyć cesarz mądry i z dystansem do własnej osoby, taki Tytus, Hadrian czy Marek Aureli.

Ale Dioklecjan zlekceważyć jej nie mógł, nie mogło też lekceważyć jej pokolenie głupich czy przeciętnych. I w rezultacie nie przejmowali się chrześcijaństwem albo władcy bardzo mądrzy, albo bardzo głupi. Oczywiście znów z wyjątkiem Dioklecjana, jednego z najmądrzejszych, najbardziej pysznych i najbardziej skromnych. Bo wielu odbywało drogę ku boskości, ale niezmiernie nieliczni byli ci, którzy z własnej woli od boskości zstąpili ku człowieczeństwu. Dioklecjan abdykując w pełni sił i panowania dowiódł, że jest to możliwe. Prześladował chrześcijan, a oni odpłacali mu nienawiścią. I pewnie z czasem wyrzucili jego ciało ze splickiego mauzoleum – ale samo mauzoleum przebudowali na katedrę... I bodaj tak oddali naprawdę wielkiemu władcy, co mu się należało.

Cały spór okazuje się jednak niespodziewanie już niedługo tylko nieporozumieniem. Cezar przyjmuje chrześcijaństwo – nie jest więc już bogiem, ale za to wszystko, czego się dotknie – nie mówiąc o nim samym, jest przepojone świętością. W istocie rzeczy jest bardziej święty, niż to kiedykolwiek bywało „z władcami przedtem. Honory mu oddawane są jeszcze czło-bitniejsze, Bizancjum pomnoży je o dymy kadzielnic płonące dawniej starym bogom. Chrześcijanin, który wolał zginąć niż zapalić garść kadzidła Jowiszowi Kapitolińskiemu, będzie odtąd z lubością okadzał najmarniejsze kreatury spowite w purpurę. Obaj sprzeniewierzą się zarówno ceniom Romy, jak i duchowi chrześcijaństwa. Ale to już nastąpi nad Bosforem, daleko do Miasta na siedmiu wzgórzach.

W ten sposób drogą nieco niespodziewaną proces dobiegał swojego kresu. W boskość władcy można było ostatecznie powątpiewać, w jego świętość już nie. Nie mógł tego w każdym razie zrobić współwyznawca, a innowierców pozbywano się szybko. Zapominano też o deifikacji społeczeństwa, bo do niej przecież w istocie prowadziło ubóstwienie siebie, narodu, w ciele zbiorowym, jakim był senat, a później w pojęciu rzymskości. (Ale nie była to sprawa, o której mogła zapomnieć historia. I my do niej za chwilę wrócimy.)

Segregacja społeczeństwa doszła do szczytu. Segregacja na części dwie: władzę i poddanych. Skądinąd zresztą całe społeczeństwo bizantyjskie było usztywnione i nieruchome, ale to nas teraz nie interesuje. Sprzeciw wobec władcy był czymś więcej niż winą: był grzechem, którego konsekwencje mogły sięgać aż poza granicę śmierci.

Tego przynajmniej nie znał stary Rzym pogański. I bywało, że ktoś bardzo schorowany nie chciał popełnić samobójstwa, dopóki określony cesarz wreszcie nie zginie. Dla czystej złośliwości i satysfakcji. Teraz tego rodzaju stanowisko było i niemożliwe, i szalone. Ktoś, kto w ogóle by pomyślał o takim rozwiązaniu, byłby przენiewiercą wobec samego siebie, wobec władzy, wobec Rzymu. Niebo znowu zeszło na ziemię – ale spoczęło całe na dłoniach basileusa.

A więc wróćmy jeszcze do wcześniej urwanych wątków i zapytajmy, czy i jak mógł człowiek antyku akceptować czyjaś władzę nad sobą. Że mógł, to wiemy. Czy jednak uważał tę sytuację za czysty przetarg, czystą grę sił, w wyniku której on sam znalazł się w sytuacji podrzędnej, zależnej, a więc z samego rachunku sytuacyjnego musi wynikać na przyszłość jego poddanie i pokora? Odpowiedź na to nie jest jednoznaczna, tak jak i niejednoznaczna jest rola władzy w antyku. Mówienie o generalnych procesach historycznych ma ten urok, że nie ma już nikogo, kto mógłby zaprotestować mówiąc, że wszystko wyglądało inaczej i składało się ze spraw znacznie drobniejszych.

Ale przecież nasze życie codzienne ani nie jest historią, ani nasze odczucia nie mogłyby służyć za jakąś historyczną przesłankę. Nie inaczej było i wtedy. Obywatel późnego Cesarstwa, gdybyśmy go mogli spytać, mówiłby nam wiele o aktualnych cenach jajek, o publicznych klozetach, pewnie jeszcze więcej o swojej dziewczynie. O historii milczałby zgoła. Gdyby był władcą, mówiłby o spiskach i niewdzięczności poddanych, o trudnościach ekonomicznych, o których poddany nie ma żadnego pojęcia, o wydatkach na odzyskanie Libii od Wandalów, o groźbie Ostrogotów itd. Gdyby pytany przez nas obywatel Rzymu (czy „drugiego Rzymu”) zastanowił się bardziej, może odpowiedziałby nam, że pozbył się nareszcie

wolności. Że jego, bądź co bądź, wcale nie dotyczą walki i pomyłki ubiegłych stuleci. Ludzie nie umieją być wolni i wolność szczęścia nie daje. Wolność bowiem nie jest bezkarna, neutralna i byle jaka. Wolność prędzej czy później zmusza do wielkości, do ubiegania się o nią. Bo przecież trudno wolność uznać za bezczynność. Raczej przeciwnie. Ale w takim razie wolność prowadzi do klęski, a nawet do wiecznego potępienia. Wolność może wynikać albo z siły, albo z prawa, albo z ucieczki od społeczeństwa. A w każdym wypadku jest zawodna.

Starożytność poznała dobrze pomyłkę wolności. Zrozumiała, że w człowieku drzemią siły przeciwstawne, że jest mu niebywale trudno być po prostu uczestnikiem, że znacznie łatwiej być mu królem lub sługą. I że jego pragnienie wolności domaga się także wzoru, jeśli to możliwe – aktualnego. Tego wzoru będzie zresztą potrzebował wtedy, gdyby sam został władcą. Jeśliby nawet był królewskim synem, będzie potrzebował jeszcze więcej. Jeśliby sam został bóstwem, pomyśli o hierarchii bogów. W tym być może jego nieznużona siła. Lecz to, że w każdym drzemie ukryty cesar czy basileus, jest stwierdzeniem dosyć trywialnym. Z akceptacji wynika przecież gotowość objęcia każdego możliwego w tej epoce stanowiska.

Władcy lub sługi. W praktyce ludzie starożytności zgodzili się na swoje poddaństwo. Może byli zmęczeni szarpaniną wolności, może rozumieli dwuznaczność sytuacji, w której chociaż jest się wolnym, ale na utrzymaniu czeredy niewolników? W ostatecznym rozrachunku wystarczało im utrzymanie fikcji „Republiki”. Cezarowi też to wystarczało.

Nie chodziło zresztą wcale o to, żeby poddani rozumieli te i owe fikcje oficjalne. Było właściwie bez znaczenia politycznego, czy cesar kłamie czy nie. Każdy z osobna mógł sobie znać sytuację doskonale. Byleby tylko to wszystko nie zostało powiedziane głośno, nie przedzieliło się w skuteczne formy organizacyjne. Czego się zresztą nigdy starożytność nie doczekała. Cezaryzm był aż do czasów nowożytnych najpełniejszym i najbardziej podziwu godnym wcieleniem władzy. Ale przez ostatnie kilkaset lat nowożytności optyka zmieniła się odrobinię.

Carlyle'a interesowała sama wielka jednostka. Dla Plechanowa była ona tylko wynikiem, całkiem logicznym wynikiem określonej sytuacji społecznej. Ale współcześnie to nie ona wcale budzi największe zainteresowanie. Ważni są raczej ci, którzy zostali poddani jej władzy. Albo może struktura społeczna, która do niej musi się dostosować lub też ją stwarza. A z tego punktu widzenia najważniejsza staje się możliwie najskuteczniejsza kompromitacja władzy. Za przykład mogłaby służyć cała prawie literatura współczesna. Poprzestańmy na jednym tylko motywie, za to centralnym i nieuniknionym: Cezara.

Dlaczego właśnie Cezar stał się bohaterem współczesnym? Trudno odpowiedzieć na pewno, nie z braku wyjaśnień, ale z ich nadmiaru. Kompromitowany, zniesławiany, wyśmiewany chyba ponad rzeczywistą miarę. Shaw odbiera mu męskość. Brecht robi go spekulantem, Jacek Bocheński widzi w nim tylko wałek do bicia.

O cóż wszystkim im w istocie chodzi? Dowodzą, że Cezar miał mnóstwo ludzkich przypadłości. Ale to samo można powiedzieć o każdym człowieku, który kiedykolwiek żył i żyć będzie. Skąd więc ta nienawiść? Może znacznie spokojniej wyjaśnić sytuację książka Pen Warrena „Gubernator”. Jest na ten sam temat w istocie. Dowiadujemy się z niej, że władza deprawuje, ale dlatego, że deprawacja mieszka głęboko w każdym człowieku, że „na każdego można znaleźć coś”, władza zaś tylko wydobywa, co zakryte, i grozi, że będzie ujawnione. Ale może na tym właśnie władza w starożytności polegała? W tym nurcie literackim kompromitacja jest najważniejsza. Prawda – nie. Ale cóż to jest prawda, jak zapytano ostatniego ze starożytnych bogów. Też oczywiście o prawdzie nie mogą powiedzieć wiele, wiem jednak, że władza wyobrażeń jest niezmożona. I władza słów. Jednemu jednak zaprzeczyć się nie da: że imię Cezara żyje, że jest aktualne, że trzeba się z nim ciągle na nowo brać za bary. Że kimkolwiek on był, potrafił zauroczyć nas na tysiąclecia. I nie Cezar tylko. Wzory wielkich wład

ców i zdobywców potwierdzone stuleciami prób stanowią fatalną spuściznę naszej psychiki. Kto chce być Cezarem, jest niewolnikiem. Kto jest niewolnikiem, myśli o Cezarze. Mogę się mylić. Ale kto się mylić nie może?

Władza w starożytności to jednak zarazem coś mocno innego niż tylko ośrodek względnie mądrych rozkazów. To także wypełnienie pewnego miejsca w strukturze społecznej, to rola ani specjalnie lepsza, ani gorsza niż inne. Jeśli ważne jest społeczeństwo jako całość, to każda rola, którą można w nim odegrać, gorsza od czegokolwiek nie jest. Ponieważ jest właśnie funkcją i rolą. Ale niezależnie od miejsca, jakie się w nim zajmuje, spektakl jest całością. I choć to efektownie brzmi, że ludzie wobec absolutnej władzy stają się równi, że może rządzić nimi strach, że przymus wydobywa z nich to, co najpodlejsze, nie jest to jednak cała prawda. Starożytność wykształciła przecież bardzo mocne poczucie całości społeczeństwa, była wielką szkołą patriotyzmu. I to całkiem niezależnie od tego, czy aktualny władca był mądry, czy szalony. W małych państewkach greckich, we wczesnorepublikańskim Rzymie uczono się nie tylko zasad wewnętrznej walki społecznej, ale także i tego, że interes całości ma charakter nadrzędny i że jeśli trzeba, to „dulce et decorum est pro patria mori”. Trzystu Spartan poległych pod Termopilami w samotnej walce stało się wzorem dla całej kultury europejskiej. Ale nie śmierć, choćby najpiękniejsza, wydaje się najważniejszym przesłaniem antyku. Najistotniejszą lekcję przekazał Rzym kształtując ideał obywatela czynnego.

Istotnie, rozumiało się tam samo przez się, że obywatel nie po to nim jest, żeby tkwił na uboczu nic interesując się sprawami publicznymi. Odwrotnie, Rzymianin był urodzonym, jak byśmy to dziś powiedzieli, działaczem. całe jego wychowanie przygotowywało go do służby publicznej, która była jego powołaniem i zaszczytem. Trudno o dobitniejsze podkreślenie społecznego charakteru egzystencji ludzkiej, trudno o lepszą szkołę obywatelską dla przyszłości. Wprawdzie Horacy chwalał tego właśnie, kto osiadł z dala od zgiełku forum, ale nie był to jednak model najpowszechniejszy. Trzeba też dodać, że był to już Rzym cesarski i stosunki zmieniły się nieco. Nie na tyle jednak, aby większość obywateli zaszylała się na wsi.

Człowiek antyku chciał być pośród innych ludzi. Sokrates nie wybierał się za miasto, bo niczego od drzew nie mógł się nauczyć. Istotnie, czas na taką naukę jeszcze wówczas nie przyszedł, natura miała człowiekowi przekazać swoją lekcję dopiero w nowożytności. Człowiek starożytny uczy się więc od innych ludzi i z uczestnictwa w grupie społecznej czerpie swą siłę. I jeśli skazani przez cezara tak rzadko uciekali, to nie tylko dlatego, że nie było do kąd, ale dlatego, że nie wyobrażali sobie życia poza własną zbiorowością.

Przekaz społeczny antyku jest bardzo złożony. Jest w nim miejsce na patriotyzm, na demokrację, na republikę, na cesarstwo, na tyranie. Jest w nim mocarstwowe przesłanie Wergilego i głucha nienawiść Tacyta. I historia na różny sposób podejmowała i realizowała te przesłania. W istocie właśnie wielość wzorów pozwoliła następcom zbadać przydatność, konieczność bądź szkodliwość poszczególnych modeli. Nie dało się tego teoretycznie wymyślić, ludzkość musiała wszystko po prostu przeżyć. Nie oznacza to wcale, że w epoce naszej idzie ludziom jak z płatka, wiemy dobrze, że tak nie jest. Ale nauczyliśmy się w sensie społecznym, co to jest dobro, a co zło. Można dobra nie praktykować, można je zakłamać. Ale nie da się już poprzestawiać plusa i minusa, nie da się bezkarnie zniepawić demokracji i wolności. Ukradkiem, chyłkiem, kłamliwie, na czas jakiś – tak. Ale nie na stałe, nie z dobrą wiarą i wolą. Tego się już nie da zrobić w krajach, które odziedziczyły lekcję antyku. I jego walki, pomyłki i cierpienia nie poszły na marne. Tętent „Iliady”, gwar agory, metaliczna łacina senatu nie stały się niezrozumiałym widmem przeszłości, dźwięczą w uszach dalekich potomków, budzą odwagę życia i straszą tyranów.

Filozofowie

Dobry i sprawdzony zwyczaj nakazuje rozpoczynać wszystko, cokolwiek się pisze o filozofii starożytnej, w ten mniej więcej sposób, że na białym piasku, nad błękitnym morzem leżał Grek i w tym momencie zaczęła się filozofia. Ten początek wcale nie jest tylko efekciarSKI i tak idiotyczny, jak mogłoby się zdawać. Trudno nie zauważyć, że filozofia zaczynała się w krajach, gdzie natura ustanowiła coś w rodzaju moratorium dla ludzkiej nieudolności. Gdzie była także, po prostu – piękna. Może nie tylko w naszych oczach, choć wiemy, że piękno natury jest czytelne dla ludzi właściwie od dość niedawna. W każdym razie natura była łaskawa dla ludzi zarówno w Chinach, jak Indiach, jak i w Grecji. I łaskawa fala Śródziemnomorza nawet w naszych zmęczonych pojęciach i wyobrażeniach powraca czasem jak uśmiech kota Lewisa Carrola, nawet wtedy, gdy kot się rozplątał w niełaskawym powietrzu. Rozplątał się zresztą już bardzo dawno temu, w starożytności, i to bardzo klasycznej.

Trzysta lat, które minęło od Talesa do Arystotelesa, dłużyło się w tym sensie bardziej niż lawina stuleci, która dzieli Arystotelesa od Karola Marksa. W jakimś sensie pojęcia ustalone w czwartym wieku przed Chrystusem nie zmieniły się do dzisiaj. Z całą pewnością zaś można powiedzieć, że na pytania postawione wtedy i do dzisiaj pewnej odpowiedzi nie znamy. Więc może w takim razie warto przypomnieć, że pierwsza filozofia była przede wszystkim obrazem, zachwytem i zamyśleniem, parabolą i metaforą. Ze istotnie wynikała z powolnej żeglugi między Rodos i Karpatos, między Naksos a Paros, że stowarzyszyła się z „morzem ciemnym jak wino”, podobnymi do wierzby liśćmi oliwki, z inną rachubą czasu, innym jego odczuwaniem, innym jednak rodzajem odpowiedzialności za wszystko, co się w tych niewymiernych dniach i sekundach i pomyśli, i wydarzy.

Filozofia będzie w nadchodzących wiekach wszystkim, czym być można, uzasadnieniem przemocy i pociechą w upadku, stronniczką życia i egzekutorką śmierci, służą wszystkich panów, ale teraz, kiedy się rozpoczyna, pozwólmy jej być po prostu córką zachwyty i przerażenia. A najtańszym tego uzasadnieniem niech będzie to, że pierwszym europejskim filozofom brak może i wiedzy, i logiki, i rozsądku, ale nie wyobraźni, elegancji i metafory.

Pierwsi pamiętani przez nas filozofowie usiłują odpowiedzieć na pytanie, jak powstał i z czego składa się świat, czy może nawet wszechświat, tak jak go wtedy pojmowali. Pytanie beznadziejnie trudne, na które przecież i dzisiaj odpowiedzi nie znamy. Wprawdzie już wcześniej zadawano to pytanie i nawet odpowiadano na nie – ale ta odpowiedź była jedynie aktem wiary, a nie rozumienia. A więc jedno bóstwo rozcinało drugie, a z jego członków rodziła się cała reszta. Pierwsi filozofowie, a było to siedmiu jońskich mędrców, choć naturalnie liczba ich była większa, nie uchylali zresztą ingerencji boskiej, tyle że zrozumieli dowolność i bezużyteczność takiej odpowiedzi. Szukali w świecie otaczającym ich jakiejś jednej substancji, z

której rozwinęło się wszystko. Skłonność doskonale nam znana i leżąca zapewne u podstaw wszelkiego ludzkiego myślenia – sprowadzać wszystko do jakiejś jednorodnej zasady.

Czy świat naprawdę jest taki, to już oczywiście inna sprawa, ale nasz umysł tak tylko potrafi to rozumieć, a wszelkie późniejsze dualizmy też w istocie ciążyą ku jedności. Na razie ta substancja-matka nie jest jakąś abstrakcją, ale czymś właśnie bardzo konkretnym i obrazowym. Dla Talesa jest to woda, dla Anaksymenesa – powietrze, dla Heraklita – ogień, dla Ksenofanesa – ziemia. A Empedokles odejdzie już – chyba jednak trochę pozornie – od pierwotnej jedności, połączy wszystkie żywioły i nazwie je „korzeniami wszechrzeczy”.

Zdaje się, że zbrojni tysiącleciami abstrakcyjnego myślenia beznadziejnie nie rozumiemy atmosfery tej wczesnej kosmologicznej filozofii. Skłonni jesteśmy uważać ją za naiwną i nieomal poklepywać po plecach. Bo też współcześnie tego rodzaju obrazowaniem nie posługuje się nauka, lecz – poezja. I to właśnie powinno nas pouczyć, że proveniencja tej jońskiej filozofii przyrody była głęboko poetycka i metaforyczna. W materii, o której myślą filozofowie, zawiera się jako część nieodłączna i życie, i dusza. Ich żywioły są i boskie, i magiczne. Jakże zresztą mogłoby być inaczej? Wszystkie one stanowiły w różnych postaciach i pod różnymi imionami przedmiot kultu i trwogi przez długie tysiąclecia pierwotnej ludzkości. Zabarwiły je sobą wszelkie możliwe kulty płodności i urodzaju, misteria narodzin i rozpadu. Były to więc pojęcia wypełnione po brzegi znaczeniem, obrazami, skojarzeniami, wręcz nasiona poezji eksplodujące do dzisiaj życiem w snach i metaforach. I tak pierwotna filozofia przedstawiała już być religią, ale była, wiedząc o tym lub nie – poezją.

Wygląda to trochę na paradoks, ale właśnie jednym z najważniejszych i najcięższych zadaniem filozofii będzie nie co innego, jak wyzwolenie się z poezji, tak jak wydobyła się już z religii. Aby się stać czystą grą pojęć, konieczną zapewne, by opisać grę sił, filozofia, a za nią wszelka inna nauka musiała tępić to, co niejasne, to, co niedopowiedziane, to, co zabarwione uczuciem. Wolno chyba dodać, że humanistycy nigdy się to do końca i bez reszty nie udało, być może – na szczęście. W każdym razie filozofia jest w tym wczesnym okresie synonimem wiedzy i mądrości w ogóle – jeszcze nie wydzieliły się z niej poszczególne i odrębne dyscypliny, jeszcze Platon może napisać nad wejściem do Akademii, by nie wchodził tam nikt, kto nie zna matematyki. Proces rozpadu wspólnej początkowo wiedzy, tworzenie się osobnych specjalności, terminologii, twierdzeń, praw to w istocie po prostu historia nauki nie inaczej dziejąca się i przed naszymi oczyma. Eksplozja pierwotnego atomu poznania trwa do dzisiaj i przybiera na szybkości, szara mysz porodziła góry fakultetów i oceany przyczynków.

Filozof-mędrzec powinien jednak znać się na czymś więcej niż na praprzyczynach wszechbytu. Mądrość powinna być użyteczna – sądzili na ogół starożytni, choć oczywiście wyobrażali sobie tę użyteczność rozmaicie i wcale nie prymitywnie. Przynajmniej później, bo w samych początkach, w wieku siódmym, szóstym przed naszą erą wyobrażano to sobie bardzo konkretnie.

Słynna jest anegdota o Talesie, któremu zarzucano, że nie jest bogaty, więc też zapewne jego filozofia jest nie najwyższej próby. Nie sam zarzut jest przy tym najciekawszy – tego rodzaju głupawe sformułowania można usłyszeć i dzisiaj. Ciekawe jest to, że Tales przyjął zarzut poważnie i postanowił udowodnić, że jest niesłuszny. Przewidział więc przyszły urodzaj winogron i wynajął na rok wcześniej wszystkie tłocznie wina na wyspie – tym sposobem doszedł do majątku i udowodnił, że istotnie jest mędrcelem...

Jego znacznie późniejsi, choć też starożytni następcy będą niekiedy dowodzili swej mądrości w sposób niemal doskonale odwrotny. Jedno przecież pozostało z tego, co się w tym najwcześniejszym okresie formułowało – filozof powinien być mistrzem mądrości, nauczycielem życia. Filozof jest więc także – lub raczej być usiłuje – politykiem.

Jeden tyran-mędrzec poucza drugiego, jak ma zachować swoją władzę. Platon ma receptę na państwo doskonałe i spieszy ją wcielić w życie. Za takie właśnie recepty filozofów gorzko nieraz płaciła ludzkość – ale Platonowi na szczęście nic się jeszcze pod tym względem nie udało.

Wczesny filozof to człowiek raczej majątny, raczej ustosunkowany, władca jakiegoś państwa lub też i gość takowego władcy. Co prawda już wtedy rodzi się mądrość innego rodzaju – mądrość wyrzeczenia. Sam wielki Heraklit, chyba najbardziej z nich wszystkich fascynujący, dobrowolnie usuwa się z życia publicznego. Jego następcy wybiorą niekiedy znacznie bardziej drastyczne rozwiązania.

Natomiast motyw kosmologiczny wczesnej poezji nie będzie dla starożytności najbardziej znamienity. Nie zniknie wprawdzie całkiem i odnajdziemy go u Demokryta, epikurejczyków, stoików. Ale mimo że będzie tematem dzieła tak wspaniałego, jak Lukrecjusza „De rerum natura”, zawsze jednak pozostanie na drugim planie. Może jakiś instynkt ostrzegł naszych dalekich przodków, że stan ich wiedzy jest zbyt drastycznie znikomy? Może brak było zarówno odpowiednich instrumentów obserwacyjnych, jak i samego pojęcia eksperymentu? Tak czy inaczej, wszystko, co można było powiedzieć o naturze świata i kosmosu, mogło polegać, z bardzo niewielkimi wyjątkami, na czystym domyśle. Niekiedy był to domysł genialny – idee Demokryta i Epikura były i bywają do dzisiaj przewodniczkami fizyki nowożytnej, ale przecież nie stanowiły nurtu zasadniczego. Inny przedmiot obserwacji wyraźnie był bardziej dostępny. A mianowicie – człowiek w społeczeństwie.

Temat zresztą – jak widzieliśmy – nieobcy i wczesnym kosmologom. I tak prawie w całej starożytności wszechobecny, że nawet filozofie abnegacji były tylko jego dopełnieniem. Ale trzeba dodać, że nie jedyny, bo towarzyszy mu inny, bardzo istotny motyw – człowiek wobec śmierci. A przecież i to nie wszystko: musimy zdać sobie sprawę, że większość motywów filozoficznych współczesnych ma swoje korzenie właśnie w starożytności. Stąd na dobrą sprawę możemy tam znaleźć niemal wszystko... Filozofię starożytną tworzyli ludzie mądrzy, a tworzyli ją przez lat niemal tysiąc. Było wśród nich paru geniuszów spośród największych, jakich w ogóle wydała ludzkość. Każdemu ograniczaniu ich myśli, próbie sprowadzenia jej do motywów jednoznacznych i wręcz prostaczych, jak muszą to czynić najświetniejsze nawet podręczniki, nie może nie towarzyszyć świadomość, że sami ci mędrcy zdawali sobie świetnie sprawę z arbitralności tego, co mówią. A trzeba być arbitralnym, aby powiedzieć cokolwiek. Otóż i oni wybierali jedne twierdzenia wiedząc, że są możliwe odmienne. Tworzyli wielkie systemy, stwarzali rozróżnienia ważne do dzisiaj, zadawali pytania, na które być może nigdy ludzkość nie odpowie.

Przypomnijmy sobie, jak to się wszystko rozkładało w czasie. Więc najpierw, do połowy piątego stulecia przed Chrystusem, panowała filozofia kosmologiczna kulminująca w systemach Demokryta, Parmenidesa, pitagorejczyków. Później przyszedł czas „nauczycieli mądrości”, sofistów i najznakomitszego ich (po części) ucznia – Sokratesa. Ten zaś w drugiej połowie piątego wieku był twórcą największej dynastii filozofów, jaką znają dzieje: uczniem jego był Platon, a Platona Arystoteles. Oni zaś wychowali wszystkich innych – z marksistami i tomistami włącznie. Ale także nie wyczerpali wszystkich możliwości, a nawet można powiedzieć, że o „domowej” filozofii starożytności zdecydowali zgoła inni myśliciele. Ci z Ogrodu Epikura i „malowanego krużganku” – Stoa Pojkile. Wszystko łączyło się w późniejszym rzymskim eklektyzmie i filtrowało u sceptyków. A wreszcie wyznawcy ostatniego boga starożytności, żywego do dzisiaj, zaczęli kontynuować i przetwarzać koncepcje swoich poprzedników. Ostatni zaś filozof starożytności, Boecjusz, już w szóstym wieku naszej ery łączy wszystko po trosze i zamykając starożytność otwiera Średniowiecze. Zginął zaś nieomal dokładnie w tym roku, w którym Justynian zamknął ostatecznie w Atenach Akademię Platona. Teodoryk Wielki zabijał ostatniego filozofa Rzymu, a nie mniej wielki Justynian ostatnich uczonych Grecji. Ale w tej właśnie sprawie tylko niesława była owych wielkich jedynym sukcesem.

Pierwszym wielkim tematem filozofii starożytnej był człowiek w społeczeństwie i wobec społeczeństwa. Jest to podobnym uproszczeniem, jakim byłoby określenie tematu filozofii średniowiecznej jako człowieka wobec Boga, dziewiętnastowiecznej jako człowieka wobec

historii, a egzystencjalnej – wobec nicości. Tym niemniej definicja człowieka największego z największych, Arystotelesa, brzmi jednoznacznie: człowiek jest zwierzęciem społecznym. (Właściwie jest to chyba przekład nie najlepszy, ale zdaje się, że i Rzymianie się tu niezbyt popisali. „Dzoon” oznacza raczej „istota żywa”, podczas gdy po prostu zwierzę to „ther”. Łaciński „animal” pośredniczył w tym niefortunnym odcieniu). A więc jego byt społeczny musi być punktem wyjścia wszelkiego rozumowania. Oczywiście, że i to może ulegać zmianom. Ba, nawet chrześcijańskie i zgoła pozagrobowe „świętych obcowanie” też o jakiejś społeczności przecież mówi. Ale jest to starożytność bardzo późna. Wcześniej już jednak zachodziły zmiany istotne, zresztą na ogół powszechnie znane.

Inny był społeczny status człowieka w niewielkim państwie-mieście, zwłaszcza jeśli było ono republiką, inny w hellenistycznym świecie królestw, inny jeszcze w uniwersalnym Imperium Rzymskim. Nie przypadkiem sofisci rozwinęli działalność jako nauczyciele retoryki politycznej i sądowej tam i wtedy, gdzie od zdolności i umiejętności pełnoprawnego obywatela zależało naprawdę bardzo wiele w jego losie. Sztuka przekonywania była wtedy nieomal sztuką życia, bardzo odmiennie niż potem: niewiele zyska ten, kto pokona w dyskusji cezara... Ale w piątym wieku sądzili w Atenach mówców i przeciwników w miarę obiektywni współobywatele. Cóż więc dziwnego, że czyniono wszystko, aby ich przekonać i pozyskać?

O sofistach powiedziano i napisano wiele złego, do dziś ich miano jest synonimem krętacza. Zrehabilitowano ich stosunkowo niedawno i też właściwie nie całkiem. Może i nie tylko dlatego, że nadużywali praktycznie dialektyki i potrafili dowieść wszystkiego w każdych okolicznościach. Chociaż miecz bywał obosieczny, o czym mówi słynna anegdotka o syrakuzkańskim sofiscie retorze Koraksie (kruku) i jego uczniu, Tyzjaszu. Otóż Koraks uczył Tyzjasza na kredyt – ten miał mu zapłacić po swojej pierwszej wygranej sprawie sądowej. Ponieważ jednak Tyzjasz zajął się po skończonych u mistrza studiach czym innym, Koraks sam podał go do sądu. I argumentował: „Jeśli Tyzjasz przegra, to zapłaci z racji wyroku, jeśli wygra – z racji naszej umowy”. „Odwrotnie – odpowiedział uczeń – jeśli wygram, to nie otrzymasz nic z racji wyroku, jeśli przegram – też nic, z racji umowy”. Ponieważ zdesperowani sędziowie wyrzucili za drzwi „niegodnego kruka z niegodnym pisklęciem”, więc to chyba Tyzjasz, nie płacąc, wygrał ostatecznie...

Zresztą zniesławiał sofistów, kto mógł tylko – od Platona po Arystofanesa. Zdaje się jednak, że sprawa była bardzo poważna i dotyczyła tego, o czym się wprawdzie wie, ale o czym się głośno nie mówi. A sofisci mówili, że wszystkie wartości, społeczne w pierwszym rzędzie, są właściwie umowne. Tego zaś żadne szanujące się społeczeństwo uzbrojone w prawdę absolutną i obiektywną, w jedynie naukową metodę i objawienie znieść nie jest w stanie. Jakże mógł na przykład Platon, mający receptę na ustrój doskonały, przyjąć do wiadomości, że ktoś może sobie szczęście wyobrażać inaczej, niż przewiduje jego teoria? (Już drugi raz krzywo wspominałem o Platonie, jakby to nie był jeden z najważniejszych i dla mnie, i dla całego świata autorów. Jakby to nie był największy poeta filozofii. Ale chodzi tu tylko o niektóre jego wyobrażenia o państwie doskonałym, państwie, skąd chciałby przepędzić poetów, więc przede wszystkim siebie samego...) Nauka sofistów musiała więc na dalszą metę przeskadzać wszystkim, nade wszystko zaś twórcom wyznań, ideologom i przywódcom państw doskonałych, a jakież absolutyzm nie był kiedy dla swojego króla doskonały? Innym natomiast głosem mogli przemówić sofisci do brodatego filozofa podpalającego świat przy kuchennym, londyńskim stole. Ale Karol Marks żadnym imperium nie władał.

Prawdy sofistów wniosły raczej nie były. I po większej części nie były wniosły ich żywoty. Zresztą – jeśli miały być konsekwentne – wniosły być nie mogły, bo wniosłość wymaga determinacji. Czy rzeczywiście tak? Przecież jeden z najwznioślejszych ludzi naszej cywilizacji był w istocie bardzo bliski sofistom, był od nich nawet radykalniejszy, bo oni przynajmniej wiedzieli, że świat jest umową, on zaś, jak się przyznawał, nie wiedział i tego. Wiedział, że nic nie wie. Lecz nie tylko tego nas nauczył; sam może o tym nie wiedząc na-

uczał wielkości, trudniejszej, lecz i większej od potęgi cesarów. Co prawda wielce był mu pomocny jego status społeczny – bo nawet wielka śmierć nie zawsze trafia na swoją wielką passę.

Nie da się zaprzeczyć, że zawód filozofa był w starożytności zawodem modnym. Prawdopodobnie drugim z kolei – na pierwszym miejscu stoją wielcy władcy i wodzowie. Może to zresztą być złudzeniem perspektywy – bądź co bądź, właśnie filozofia jest najbardziej chyba żywą i kontynuowaną dziedziną starożytnej działalności. Tu ciągłość wysiłku i myślenia jest chyba największa. Powiedzmy: kto zajmie się uważniej Leninem, trafi na spór o uniwersalia, to zaś zaprowadzi go poprzez Średniowiecze, Abelarda, patrystykę aż w głąb klasycznych, starożytnych systemów. Kto zajmie się Sartrem, ten trafi na Kirkegaarda, stąd wróci do Pascala, cofnie się do Augustyna i nie obejdzie się ostatecznie bez Platona. I tak dalej.

Filozofia starożytna jest dziedziną, do której nieustannie musi się odwoływać każdy humanista. Do tego stopnia, że aż czasami dziwnie o niej mówić: „starożytna”. Może dlatego wydaje się nam, że i wówczas filozof mógł liczyć na popularność współczesnego piosenkarza. A może to jednak coś więcej niż złudzenie, może istotnie coś sobą owi ludzie stanowili szczególnego? Bądź co bądź, więcej o nich dotarło do nas opowieści, anegdotek, plotek po prostu niż o wielkich poetach, malarzach, aktorach. To znowu może być także przypadkiem i błędem perspektywy. Możemy przecież jednego wieczora sięgnąć do Ksenofonta, Cycerona i Jamblicha, niekoniecznie pamiętając, że to przecież nie byli ludzie sobie współcześni. Wielki gwar filozofów, historyków, komentatorów i publicystów jest może tylko tym, czym byłaby jedna strona maszynopisu streszczająca kulturę polityczną Francji od Karola I le Grand do Karola de Gaulle...

Zdaje się jednak, że w owej popularności filozofów było coś rzeczywistego i niezależnego od naszego punktu widzenia. Może sprawiała to wielka na ogół tolerancja religii, że zalecenia i osobiste przykłady filozofów brzmiały tym czyściej i dobitniej? Bądź co bądź filozof konkurował z Bogiem (konkurencję kapłana właściwie uchylił; nigdy jednak nie zakwestionował kompetencji wyroczni), stwarzał wiedzę ludzką, zalecenia na ludzką miarę, rację i normy, których podejmował się bronić. Aż do czasów wielkiej wędrówki bogów z Syrii, z Palestyny to właśnie filozof mówił, czym jest dobro, czym jest zło, jak i dlaczego należy je uprawiać. Toteż wpływ filozofów był naprawdę ogromny. I dlaczego zresztą nie miał być ogromny wtedy, skoro i dzisiaj nie można go zlekceważyć? Tak więc jeśli Domicjan czy Karakalla rządili ciałem, to jednak Epikur albo Epiktet duszą. Czyż tak wielka władza nie może oszłomić, czyż nie warto dla niej zrobić wiele, nawet bardzo wiele?

I jeszcze coś. Filozofia była wyjściem z sakralnej sfery przymusu nie podlegającego dyskusji. Przymusu bogów, władzy, nawet biologii. Była objawieniem wolności, była zaoferowaniem wyboru. Zgodą albo niezgodą. Akceptacją albo sprzeciwem. Była także złudzeniem wiedzy przeciw złudzeniom teologii. A poza tym była przecież owym nasieniem, zarodkiem wszelkiej wiedzy, drobiną, która miała w zanadrzu nieprzeczuwane światy, pierwszymi milisekundami wybuchu, podobnego do tego, o którym dzisiaj śnią nasi fizycy i filozofowie. Filozof antyczny wie o tym, podejmuje rząd dusz i robi wszystko, aby go nie stracić.

Już bardzo wcześniej, bo od początku piątego wieku przed Chrystusem, Empedokles, który był cudotwórcą i lekarzem, kapłanem i natchnionym filozofem, chciał być, jeśli nie bogiem, to przynajmniej herosem. I już wtedy złośliwa legenda opowiadała, że skoro bogowie nie chcieli porwać go żywcem do nieba, to postanowił nieco pomóc ich decyzjom i sam skoczył do krateru wulkanu, aby pozostała po nim legenda boskości. Lecz bogowie wzgardzili i Etna wzgardziła: kolejny wybuch wyrzucił sandał filozofa, niedoszły bóg stał się hochsztaplerem. Było to tylko pomówienie: Empedokles zmarł na wygnaniu, na Peloponezie, gdzie nie ma wulkanów.

Lecz oto innym Presleyem swego czasu staje się Diogenes z Synopy, cynik, ten właśnie, który zamieszkał w beczce, zniesławiał cywilizację, a na pytanie Aleksandra Macedońskiego,

czego by sobie życzył, odpowiedział podobno: „żebyś mi słońca nie zasłaniał”. Czy naprawdę Aleksander powiedział wtedy: „Gdybym nie był Aleksandrem, chciałbym być Diogenesem”? Cóż, możliwe, Aleksandrem był tak czy owak.

Cóż wiemy o tym, jaki kaprys kazał Arystotelesowi wyklądać przede wszystkim na spacerze? Epikurowi zadowalać się jednym asem dziennie – drobna moneta – Epiktetowi jaka siła pozwalała znosić bolesną chorobę? Tysiącom innych wyprawiać tysiące przedziwnych dziwactw? A później – czy asceci tebaidskich pustyń nie mieli naprawdę żadnego związku ze swoimi „pogańskimi” poprzednikami? Czy to była naprawdę czysta miłość boża? Anatol France w swojej „Thais” zdaje się o tym sądzić nieco inaczej. Czy Orygenes wykastrował się tylko dla większej koncentracji intelektualnej? Wprawdzie czynili tak właśnie w uniesieniu wyznawcy Wielkiej Bogini, a w tysiąc lat później prawosławni skopcy – lecz właśnie Orygenes nie był raczej natchnionym prostaczkiem. Mógł być nim Kleombrotos, który przeczytałszy Platonowego „Fedona” popełnił samobójstwo dla lepszego świata, stając się dla całego antyku przedmiotem to drwin, to podziwu. Jedno było pewne: kto chce być mistrzem, musi nie tylko słowem, ale w nie mniejszej mierze czynem udowodnić swoje mistrzostwo. Pod innym znakiem i dla innych celów, lecz przecież także w starożytności napisano: wiara bez uczynków martwa jest. Czyż i na krzyżu umierał ktoś w rodzaju „superstar”? Bogatsi o sceptycyzm naszego czasu powróćmy do Sokratesa.

Więc jak to było? Jak to nie było? Wiemy aż nadto dobrze, jak wiele mieszanych uczuć niejednoznacznych, wręcz sprzecznych motywów współdziała w każdej decyzji. Wiemy już od Średniowiecza, że „największy święty siedemdziesiąt i siedem razy dziennie grzeszy”, wiemy też, że najbardziej aseptyczna biel pełna jest zdradliwego, niemożliwego do usunięcia życia. I w imię tej wiedzy potrafimy zrobić z bohatera kanalię, a z kanalii świętego. Tylko że z tego bardzo niewiele wynika. A raczej tyle, że nikt nie jest tak święty, jakby na to wyglądało, a każda podłość może się powołać na jakieś okoliczności łagodzące. Wiedział o tym równie dobrze i sam Sokrates. Zresztą jest jednym z tych bohaterów, którego myślenie i postępowanie było wręcz nieskończoną ilość razy analizowane, rekonstruowane, ganione i chwalone. Ileż razy broniono jego żonę, osławioną Ksantypę, która przecież musiała mieć z mężem autentyczny krzyż pański. To piękne, że Sokrates nie brał pieniędzy za naukę – lecz smutne, że nie przynosił także niczego do domu. I tak dalej. Zresztą po prawdzie samego Sokratesa wręcz nie możemy dojrzeć poprzez gęstwinę słów, które o nim powiedziano i napisano. Znamy jednak fakty. Fakty zaś są takie: oskarżony o bezbożność i gorszenie młodzieży nie potrafił się skutecznie obronić. Mimo że nie był ani bezbożny w ateńskim rozumieniu, ani młodzieży nie gorszył. Wiedzieli o tym wszyscy, z oskarżycielami włącznie. Oskarżyciele zresztą nie chcieli wcale jego śmierci, lecz tylko głośnego potępienia. Spodziewali się, że ucieknie z prawie niestrzeżonego więzienia. Lecz właśnie Sokrates nie uciekł. Może najbardziej niesamowite w tym wszystkim było czekanie. Sokrates nie działał pod wpływem ulotnego impulsu, mógł wszystko do końca przemyśleć. Mógł się zaprzeć samego siebie i uciec. Mógł to także zrobić w pięćset lat potem Chrystus i w dwa tysiące lat później Dziewica Orleańska. Nie wiem, nie mogę nic powiedzieć o ich intencjach, wiem jednak i mogę powiedzieć, czego bylibyśmy wszyscy pozbawieni, gdyby tej trójce zabrakło odwagi i wielkości. U schyłku siedemnastego wieku Fontenelle napisał swoje wzorowane na Lukianie „Rozmowy umarłych”; nie ma tam, naturalnie, rozmowy tych właśnie osób. Być może dzisiaj łatwiej byłoby napisać tego rodzaju dialog. Ale kto by się ośmielił być jego autorem? Korczak? Kolbe?

Może to i nie jest w ostatecznym rozrachunku najważniejsze, w imię czego broniono ludzkiej godności. Istotne jest to, że taka obrona była i jest zawsze możliwa. Ale przecież i poglądy Sokratesa wstydu mu nie przynoszą. Może mylił się, że najważniejsza jest cnota, może mylił się bardziej jeszcze, że cnoty można się nauczyć, najbardziej pewnie, jeśli sądził, że

jego odkrycia w zakresie logiki będą służyły jedynie dobru. Ale bądź co bądź, od jego czasów można kwestionować związek dobra i mądrości jedynie bardzo cicho – i na użytek ani mądrych, ani dobrych słuchaczy.

Śmierć Sokratesa była o tyle szczególna, że została wybrana w imię prawa, w imię posłuszeństwa własnej ojczyźnie i własnemu czasowi. Toteż może jeszcze coś trzeba powiedzieć na ten temat: święte dziewice opuściły na stosie Joannę, Pan opuścił Syna Człowieczego przybitego do belki, ale Dajmonion, głos wewnętrzny Sokratesa, nie opuścił go chyba do końca. Może dlatego, że jego śmierć była jednak łagodna...

Lecz kiedy umierał Sokrates, ani jedno ziarenko piasku nie upadło wolniej w jakiegokolwiek klepsydrze Śródziemnomorza. Bo w końcu inni żyli dalej i nie chcieli umierać. A żyć chcieli jak najlepiej. I jak najszczęśliwiej. Wielkich zaś się podziwia, ale nie naśladuje. Czyny i myśli wielkich – Sokratesa, Platona, Arystotelesa – mogły wyłącznie wielkim służyć. A żyć trzeba jednak codziennie.

Kto podjął myśli Platona? Plotyn po całych wiekach i Renesans po tysiącletniach. Arystotelesa? Wiek trzynasty i znowu po siedmiuset latach dwudziesty. Być może system każdego z nich był pałacem nie na miarę przeciętnego człowieka. Ludzkość zaś podziwia pałace, lecz mieszka we własnych, skromniejszych domach.

Tak więc można rozprawiać o poszczególnych działach i poglądach – mylnych, prawdziwych bądź nie docieczonych Arystotelesa, można mówić o Etyce Nikomachejskiej, o Metafizyce, Poetyce, o czym kto zresztą zapragnie, o uczniach niezliczonych – od Awerroesa do Maritain'e'a, lecz w końcu jego uczeń najbliższy i najszczególniejszy – Aleksander Macedoński – też zrezygnował z pogwarek z mistrzem, posyłając mu za to prezenty – na przykład pierwszego chyba w Attyce słonia. I był to zapewne, jak na pogromcę imperium perskiego, wykręt dość niekosztowny.

Może trudniejszy był wykręt samego Arystotelesa, jeśli rzeczywiście powiedział, że Platon jest wprawdzie jego przyjacielem, lecz prawda jeszcze większym. W istocie jednak o prawdzie lub nieprawdzie poglądów Platona nie można wiele powiedzieć. Ze wszystkich może filozofów on był zawsze najbliższy kapłaństwu, statusowi prawdy objawionej. Wprawdzie Dante spotyka go w Pierwszym Kręgu Piekieł, gdzie jedynym cierpieniem jest nieobecność Boga, lecz także w pierwszym kręgu Raju, w niebie aniołów, nie potrafi o nim zapomnieć. My zaś nie potrafimy zapomnieć tego obrazu, zwanego parabolą jaskini, w której jesteśmy skrępowanymi niewolnikami, śledzącymi na ścianie jedynie cienie bytów rzeczywistych, przesuających się za naszymi, zwróconymi ku wyjściu i światłu, plecami. Ponieważ jednak właśnie o „Państwie” znalazły się w tym rozdziale słowa uszczypliwe, pozwólmy więc przemówić fragmentowi księgi siódmej samego Platona. Zrobi to przecież lepiej niż ktokolwiek:

„Potem powiedziałem: – Przedstaw sobie obrazowo, jako następujący stan rzeczy, naszą naturę ze względu na kulturę umysłową i jej brak. Zobacz! Oto ludzie są niby w podziemnym pomieszczeniu na kształt jaskini. W niej oni siedzą od dziecięcych lat w kajdanach; przykute mają nogi i szyje tak, że trwają na miejscu i patrzą tylko przed siebie; okowy nie pozwalają im obracać głów. Z góry i z daleka pada na nich światło ognia, który się pali za ich plecami, a pomiędzy ogniem i ludźmi przykutymi biegnie górą ścieżka, wzdłuż której widzisz murek zbudowany równoległe do niej, podobnie jak u kuglarzy przed publicznością stoi przepierzenie, nad którym oni pokazują swoje sztuczki. – Widzę – powiada. – Więc zobacz, jak wzdłuż tego murku ludzie noszą różnorodne wytwory, które sterczą ponad murek; i posągi, i inne zwierzęta z kamienia i z drzewa, i wykonane rozmaicie i, oczywiście, jedni z tych, co je noszą, wydają głosy, a drudzy milczą. – Dziwny obraz opisujesz i kajdaniarzy osobliwych. – Podobnych do nas – powiedziałem. – Bo przede wszystkim, czy myślisz, że tacy ludzie mogliby z siebie samych i z siebie nawzajem widzieć cokolwiek innego oprócz cieni, które ogień rzuca na przeciwległą ścianę jaskini?”

Nie można chyba było nie przytoczyć tych słów żywiących kulturę europejską od świętego Pawła po straszne pomysły cybernetyczne Stanisława Lema. I jeśli Jehowa Talmudu studiuje codziennie Torę, to bogowie liczący dziś sobie trzy tysiące lat muszą pewnie z zamyśleniem spoglądać niekiedy na te słowa i dyktować Borowskiemu wielorakich czasów: „I śnionym powietrzem oddychać. I miłość, i śmierć znać ze snu”... Wypada jednak zamknąć nawias tej dygresji, bo to przecież chyba o czymś innym niż o człowieku w społeczeństwie mowa. Tyle że nie wszystkim, czym posługuje się historia i kultura, może się także posłużyć pojedynczy człowiek.

Zacznijmy wobec tego od Ogródu Epikura. Ten Ogród nie jest zresztą przenośnią – istniał rzeczywiście. Zakupił go, po wędrówkach od wyspy do wyspy, wróciwszy do Aten Epikur za min osiemdziesiąt. I napisał nad wejściem słowa trochę odmienne od Platónskich: „Gościu, tutaj będzie ci dobrze; tutaj dobrem najwyższym jest rozkosz”. I podobno rzeczywiście całe Ateny, ze starcami i dziećmi włącznie, spędzały tu czas na łonie natury i w ciepłe osobowości samego Epikura. Ponieważ jednak ja tam nie byłem – ani w sensie dosłownym, ani metaforycznym, nie widzę więc powodu, by nie zacytować epigramu Faniusza trochę odmiennego w tonacji od obiegowych zachwyków:

„Pewnego dnia Tesalczyk Eugates odrzucił z pogardą lustro, odrzucił ręcznik, w który zgarniał obcięte włosy, i pasek filcowy, o który ostrzył brzytwy, i zgrzebło trzciniowe, i stare ostrza bez trzonków, i pilniczki do paznokci – wszystko wyrzucił precz: nożyczki, brzytwy, fotel! Plunął na to i jednym skokiem – ze swojej budy fryzjerskiej – pomknął do Ogródu, gdzie rozbrzmiewa mądrość Epikura. I siedział tam, niby osioł wsłuchany w muzykę liry. I pewno by do dziś umarł z głodu, gdyby nie zdecydował się wrócić – tą samą drogą, którą przyszedł”.

W istocie młodość Epikura przypada na lata starości Arystotelesesa. Tymczasem jednak za przyczyną Arystotelesowego ucznia odmieniła się barwa czasu. Najkrócej mówiąc, w nowych, niezmiernych imperiach obywatel stał się poddanym. Czyli równocześnie wychynął ze swojego partykularza, z ciasnego kręgu wolności, trafiając do przestronnej, wręcz gigantycznej klatki. A więc nie będzie się już teraz nikogo uczyło, jak w społeczeństwie działać – ale raczej tego, jak od niego uciekać. A przynajmniej – jak je znosić najłatwiej, jak w społeczeństwie obywać się bez społeczeństwa i nieomalże w życiu bez życia. Przesłanki takiej postawy zostały zresztą stworzone już wcześniej. Była już atomistyka Demokryta, był hedonizm Arystypa z Cyreny, głoszący, że jedynym dobrem rzeczywistym jest przyjemność. I tu właśnie zaczyna się Epikur głosząc pochwałę przyjemności i egoizmu. Nie trzeba jednak tego rozumieć topornie, bo przyjemność ma u Epikura oblicze przede wszystkim negatywne i polega na braku cierpienia. A stąd już zaskakująco bliska droga do pochwały wyrzeczenia i zgoła ascezy, bo im kto mniej pragnie, tym mniej mu brakuje.

Przyjemność jako dobro, cierpienie jako zło, rozumny i w istocie życzliwy innym egoizm miały zbliżać człowieka do sposobu, w jaki istnieje natura. Stąd zresztą także ów Ogród – właśnie łono przyrody. Nawiasem mówiąc życie zgodne z naturą jest jednym z największych i najpowszechniejszych haseł filozoficznych świata, choć oczywiście ową naturę pojmuje się w sposób bardzo różnorodny. Ostatecznie chiński taoizm też polegał na zgodności życia człowieka z tao – drogą świata.

A więc znów to odwieczne poszukiwanie pogodzenia ludzkiej świadomości i natury świata, przeświadczenie, że rozdziwki między nimi są pozorne, że w istocie wszystko jest lub przynajmniej może być sensowne, a jedynie my nie potrafimy dostrzec stosownej szansy i sposobu. Nie był to naturalnie jedyny w dziejach styl rozumowania. I człowiek nieraz występował przeciw naturze, a to w imię Boga i duszy własnej, a to, jak stosunkowo niedawno temu w imię własnej potęgi technologicznej, bardziej zresztą przyszłej niż aktualnie istniejącej. Tyle że sprawa ma się w istocie nieco inaczej i mniej się w rzeczywistości liczy to, czy chcemy, czy też nie chcemy żyć w jednościsli z naturą, więcej zaś to, o ile możemy i musimy. Tylko

że badanie owych determinacji społecznych i biologicznych zaczęło się na wielką skalę dopiero w epoce nowożytnej i trwa do dzisiaj. Starożytni wielu spraw mogli się jedynie domyślać. Inna sprawa, że domysły miewali genialne.

Mówiłem już, że epikurejski egoizm był rozumny i przychylny innym, przynajmniej w sensie negatywnym. „O ile nie pogwałcisz praw, nie naruszysz dobrych obyczajów, nie zamrucisz bliźniego, nie nadwerężysz ciała, nie utracisz środków koniecznych do życia, to używaj, jak chcesz, swej ochoty”. I to także musiało przemawiać do wyobraźni w epoce, kiedy wyobrażenia religijne mocno wyblakły. Co prawda w Rzymie masa ludzi, nawet w czasach cesarskich, mogła jednak kultywować, i to całkiem praktycznie, wyobrażenia dotyczące dziejowego powołania Imperium.

Chyba nie były to czasy Mucjusza Scewoli, Kamilla czy Decjusza poświęcających bez chwili wahania swoje życie ojczyźnie jako sprawie najświętszej i najdonioślejszej, ale przecież pojęcie misji Rzymu było nadal bardzo silne i może najpełniej zostało sformułowane właśnie w czasach Augusta. Ale nawet rzymski *esprit du corps* nie mógł jednak wystarczyć jako jedyna recepta na życie.

Epikureizm został więc potraktowany jako cenne dopełnienie. Bardzo to znamienne, choć pewnie trochę smutne – epikureizm nie powoływał właściwie człowieka do niczego, co by przerastało jego aktualny status, nie narzucał mu mierzenia sił na zamiary, nie nakłaniał do walki, do bohaterstwa. Nie namawiał nawet epikurejczyków do rozwijania ich własnych poglądów, a właśnie wprost na odwrót – recepta sformułowana przez Epikura miała im wystarczyć na wszystko i na zawsze. Świat w tym ujęciu był całkiem do zniesienia, nie miał w sobie nic tragicznego, nic patetycznego. Czy to będzie wielką niesprawiedliwością, jeśli napiszę, że epikureizm odbierał człowiekowi wielkość i przekonywał, że nikomu nie jest do niczego potrzebna?

To prawda, że powołał do życia zjawiska ogromnie sympatyczne. Bądź co bądź, z niego właśnie wyrosła poezja Horacego i jego „*aurea mediocritas*”, bez czego nie mielibyśmy ani rozkosznego Mikołaja Reja, ani Kochanowskiego, ani wielu, wielu innych. Ksiądz Hieronim Coignard Anatola France’a był przecież także epikurejczykiem, podobnie zresztą jak wielu myślicieli i pisarzy Odrodzenia i Oświecenia. W ogóle epikureizm może być sympatyczny jako filozofia przekory w obliczu jakiegoś zwartego i bezwzględniego systemu ideowego, żądającego od jednostki surowego posłuszeństwa. Systemem takim było chrześcijaństwo (które notabene nie znosiło epikureizmu od samego początku) i stąd odnowiony, nowożytny epikureizm miał sporo do zrobienia.

Ale w starożytności niczego takiego nie było, a dawni bogowie domagali się od ludzi bardzo niewiele. Toteż epikureizm był nie tyle filozofią przekory co przeciętności. Nie dziwny się więc golibrodzie Fianiasza. Trzeba jednak pamiętać, że owe czasy nie znały pojęcia postępu – przeciwnie, złoty wiek, tak dobrze u Owidiusza, jak i u Lukrecjusza, należał do bezpowrotnie minionej przeszłości, przyszłość natomiast nie zalecała się niczym szczególnym. Dlatego też może polityczne utopie starożytności były takie stabilne – ale, po prawdzie, wszystkie utopie zawsze są takie. W każdym razie rola człowieka (o ile o jakiegokolwiek „roli” mówić można) przedstawiała się raczej marginesowo i skromnie. Może tak zresztą jest i naprawdę, ale też wtedy Ogród Epikura wydaje się miejscem dosyć stosownym do życia.

Był takim dla Greków. Ale w większym jeszcze stopniu dla Rzymian. Bo trzeba przecież zwrócić uwagę, że losy filozofii, jak zresztą w ogóle całej nauki i sztuki, zgoła inne były w Helladzie niż w Rzymie. To w Grecji rodziły się pomysły. Tu powstawały wielkie systemy, tu biło przez tysiąclecie serce olbrzymia. Ale Rzym nie tylko wsłuchiwał się w jego rytm – sprawdzał zrodzone gdzie indziej koncepcje na ogromną społeczną skalę. Dowiódł, że takie sprawdzenie jest potrzebne i możliwe. Rzym bez Grecji byłby może tylko glinianym Golem, ale Grecja bez Rzymu, osobliwej wprawdzie urody – tylko partykularzem.

To wielkie i aż zastanawiające „zapotrzebowanie na ideologię” nie zrodziło się w Rzymie od razu. Jeszcze Katon Starszy w pierwszej połowie drugiego wieku przed Chrystusem przepędził z Miasta filozofów i robił to parokrotnie przez lat dwadzieścia. Zawodowy „filozof” nie zawsze był godny najwyższego szacunku. „Nauczyciel mądrości” to jakże często zwyyczajny wydrwigrosz i pieczeniarsz. Przypomina się amerykański dowcip, w którym współczesny „guru” powiada do swojego ucznia-businessmana: „ja pana nauczę stu sposobów zdobywania szczęścia, a pan mnie gry na giełdzie...” Zapewne niejedyn „filozof” zawodowy z tych, którzy ściągali do Rzymu, nie był wart więcej. Można nawet przypuszczać, że wśród greckich przybyszów było szczególnie wiele ludzi pośledniejszego gatunku – tacy przecież nic by nie mieli do roboty w Atenach czy Aleksandrii, ich hochsztaplerka i strojenie się w cudze piórka mogły oczarować jedynie prostaczków i ignorantów.

Nie miało ich zresztą w Rzymie zabraknąć nigdy, bo z czasem filozofia stała się modą i każdy wzbogacony dureń musiał mieć własnego, domowego filozofa. Więc pewnie nawet szkoda by było do tego celu ludzi naprawdę dużej miary. Rzymu nie odwiedzali zatem najwięksi, przy czym trzeba zwrócić uwagę, że ich życie przypadło na lata znacznie wcześniejsze. Prawdę powiedziawszy w okresie rozkwitu kultury rzymskiej wielkich filozofów nie było już nie tylko w Rzymie, ale i w Grecji. Był to już raczej czas komentatorów, kontynuatorów, glossatorów, czas wyciągania wniosków, zbioru, a nie siewu. I właśnie jego owocem miała być jedna z najpiękniejszych ksiązek, na jakie zdobyła się ludzkość – „Rozmyślania” Marka Aurelego.

Starożytność zawsze z pewną pogardą traktowała tych, którzy zarabiali pracą umysłową. Może właśnie dlatego tak wysoko ceniono Sokratesa, że pieniędzy nie brał. W naszych czasach ten punkt widzenia byłby absurdem – mało kto miewa włości dziedziczne. Chociaż mówiono, że Eliot za swoje honoraria poetyckie ponoć kupował tylko stare srebra, żył natomiast z pracy redaktorsko-urzędniczej.

W każdym razie obok filozofów do wynajęcia byli w Rzymie ludzie, dla których filozofia ani literatura nie stanowiła zawodu. Wielcy mężowie konsularni schyłku Republiki, dostojnicy Cesarstwa, a i sami cesarowie pisywali wiersze, rozprawy historyczne i wreszcie filozoficzne traktaty. August, Trajan, Hadrian, Antoninus Pius poprzedzali największego filozofa na tronie.

I znowu trzeba przypomnieć, że to jeden z tych przypadków, w których biografia autora wspiera i uwierzytelnia jego dzieło. Gdyby Marek Aureli nie był potężnym władcą zachodniego świata, to jego książka nie byłaby oczywiście ani o jotę gorsza, moglibyśmy jednak mieć wątpliwości, czy sam autor potrafiłby praktykować cnoty, do których zachęcał. Ale właśnie Marek był jednym z najsprawiedliwszych, najskromniejszych i w ogóle naprawdę wcale nie palił się do rządzenia, przy czym jest pewne, że obowiązki swoje traktował jak pańszczyzną, wykonywaną jednak nieopieszale i bez zarzutu.

Nie oznaczało to przy tym jedynie przyjmowania interesantów w Kurii i dysponowania światem z bajkowego pałacu. Horyzont polityczny zaczął się już w tych czasach zaciemniać i mrok nadciągał zza Renu i Dunaju; cesarz musiał rezydować nie w Rzymie, ale w wojskowych obozach na kresach Imperium. I jego przeznaczony dla samego siebie notatnik refleksyjny i filozoficzny miał go rzeczywiście duchowo wspierać i krzepić. Więc kiedy czytamy: „ran-kiem, gdy się niechętnie budzisz, pomyśl sobie: budzę się do trudu człowieka”, wiemy, że autor tych słów potrafił sam owemu ludzkiemu trudowi sprostać. Mimo że wcale nie był jakimś nieczułym posągiem.

Przeciwnie, w jego książce jest mnóstwo wątpliwości, jest nieskrywana ludzka słabość, jest świadomość konieczności nieustannej walki ze sobą. I jeszcze coś, co czyni tę książkę tak mądrą i dobrą: nie ma w niej ani odrobiny fanatyzmu, przemądrzałej pewności siebie i równocześnie ani trochę minoderii. Kipling radził w jednym ze swych wierszy synowi, aby nie

był nikomu ni panem, ni sługą, bo wtedy będzie aż człowiekiem. Marek Aureli jest, musi być i panem, i sługą, a przecież jego człowieczeństwo wysokiej próby nie ulega wątpliwości.

Trzeba jednak powiedzieć, że tradycja filozoficzna, z której wyrasta, jest może z całej klasycznej filozofii najszlachetniejsza. Bo gdzieś w odległych początkach roznieca ją płomień Heraklita, później zaś patronuje jej Sokrates. Są tu także cynicy z ich przeświadczeniem, że cnota jest najwyższym i jedynym dobrem, wyziera i Diogenes ze swojej beczki.

Dopiero jednak Zenon z Kition na przełomie czwartego i trzeciego wieku wykładając w ateńskiej Bramie Malowanej sformułuje założenia stoicyzmu, a uzupełni je Chryzyp. Działo się to czterysta kilkadziesiąt lat przed Markiem. Przez ten czas stoicyzm przechodził różne fazy, była szkoła stara, średnia i młodsza, był Seneka, do dzisiaj w pełni czytelny, był Epiktet, było wielu znakomitych myślicieli i miliony ludzi, którym stoicyzm pozwalał znieść swój los bez nadmiernie głośnej skargi. Ale mimo tego wszystkiego bez Marka i po trosze bez Seneki nie tak wiele by nas to wszystko obchodziło.

Co prawda, właśnie dzięki cofnięciu się do starej jońskiej filozofii przyrody zachował w sobie stoicyzm coś ze wzniosłej poezji kosmosu. Jest to niby materializm, ale szczególnie, bo dopuszczający zarówno istnienie bogów, jak i duszy. Jest to wprawdzie dusza nieco tylko mniej śmiertelna od ciała, ale wszystko to jest względne, gdyż materia jest po prostu boska. Oczywiście, to jedna z postaci panteizmu, choć z pewnych względów dość różnego od wersji, powiedzmy, Teilharda de Chardin. Nie ma tu bowiem żadnego „punktu Omega”, ku któremu świat zmierza w nieskończonym rozwoju. Świat stoików rozwija się wprawdzie, ale tylko do pewnego czasu. Po okresie różnicowania się, po prostu wzrostu, wszystko wraca do jedności i ostatecznie ginie w wielkim „pożarze świata”. Wszystko poczyna się i kończy w Heraklitejskim ogniu. I znów zaczyna się od początku... Tylko niekiedy przewija się nadzieja, że wszystko to nie zachodzi w jednako niezmiennym kołowrocie i że bogowie i dusze tych, którzy umieli je sobie stworzyć, przetrwają i dalej.

Moglibyśmy wprawdzie zapytać tutaj, czy mają po prostu trwać, czy może coś gdzieś dalej jest jeszcze do spełnienia, ale to już zupełnie inna historia.

Ale kosmogonia stoików nie stała na miejscu naczelnym. Filozofia starożytna koncentrowała się na człowieku, i to społecznym. Więc i tu mamy zalecenie życia zgodnego z naturą, która stanowi jedność, i tu cnota jest dobrem najwyższym. Pewnie nie zgodzilibyśmy się już dzisiaj, że istnieją bezwzględne, kontrastowe różnice między dobrem a złem. I może uśmiechnęlibyśmy się smutno, że można zignorować cały świat, bo sama cnota jest przecież sobie drogą i domem w pełni wystarczającym. Ale nauka, że człowiek może jednak próbować oprzeć się na sobie samym wbrew przeciwnościom losu, zawodności ciała, bogów i sprawiedliwości społecznej na skalę małą i wielką, ta nauka była i jest wielką pomocą dla ludzkości na jej pochmurnych drogach.

Przy czym ta filozofia uniezależnienia się nie musiała wcale zakładać abnegacji cyników, nie wykluczała służby społecznej, nie zwalniała od pracy dla ludzkości. Obowiązki i przynależności rodzinne i społeczne to koncentryczne koła wokół każdego człowieka, koła, do których i cała ludzkość należy.

Wszystkie są organicznie spójne, wszystkim trzeba i można sprostać wedle sił własnych i własnego miejsca na świecie. Toteż ostatecznie dla stoika nie było „Greczyna ani Żyda”, jak nie miało ich być, przynajmniej w teorii, dla Imperium Romanum, jak może kiedyś nie będzie dla wolnej i rozumnej ludzkości. Z czego zresztą nawet brązowy koń Marka na Kapitelu by się uśmieiał...

Poczucie znikomości człowieka i jego niezawisłości, wielkości wewnętrznej łączą się w dziele Aureliusza w jedną, i to logiczną całość. Ale jest to raczej wewnętrzna logika osobowości niż podległość jednej, bezspornej zasadzie. Bo też Marek nie jest już stoikiem dogmatycznym i „typowym”. Za wiele miał z ludźmi do czynienia, za wiele widział i za wiele rozumiał, aby upierać się przy literalnym brzmieniu czegokolwiek. Autor „Rozmyślań” czytał

zapewne uważnie Platona, czytał jednak także i sceptyków. W istocie jest w nim więcej zwątpienia, niż mogłoby to i powinno wynikać z doktryny, gdyby jakakolwiek doktryna była rzeczywiście najważniejsza.

Muszę się przyznać, że piszę tutaj o sprawie możliwie najbardziej mi nieobojętnej. Kiedy po raz pierwszy, dwadzieścia kilka lat temu, przeczytałem „Rozmyślania”, nie mogłem wprawdzie nie zauważyć piękna tej książki, lecz wydała mi się nie obca wprawdzie, ale wręcz wroga. Uważałem ją nawet za pokusę ucieczki, za książkę szkodliwą, ponieważ sądziłem, że wszystko, co zwalnia człowieka od miary największej, od aktywności za wszelką cenę, nawet za cenę tragedii i unicestwienia, jest mu w istocie wrogiem. Wydawało mi się także, że pilny czytelnik Malraux i Nietzschego nie może przyjmować pomocnej ręki ani bogów, ani ludzi, ponieważ sam ma sobą stanowić wszystko albo też wszystko unicestwić. W istocie ten model postępowania był wielokrotnie sprawdzany i osądzany w literaturze nowożytnej, od Ibsenowskiego „Brandta”, przez Lafcadię z „Lochów Watykanu” – Gide’a, po – bo ja wiem? – „Bramkarza świętej Barbary” Promińskiego.

Przez całe lata pisałem i dopisać nie mogłem szkicu przeciwko Aurelemu (a po trosze przeciw całej starożytności), który miał się zwać „Pożegnaniem z Markiem”. Lecz widocznie nie poprzestaje się bezkarnie na co dzień ze swoim, nawet wyimaginowanym wrogiem. Bo niepostrzeżenie staje się jego przyjacielem.

I bardzo trudno przyznać, że zdobywająca błyskawicznie świat drapieżna filozofia Zachodu niesie ze sobą także krzywe zwierciadło, które trudno zignorować. Że, inaczej mówiąc, głęboko posadzone ziarno (nazwałbym to kiedyś zadra) pokory nie różni się przecież wiele od dumy.

Marek Aureliusz wydawał mi się raczej pisarzem Wschodu, kwietyzmu, rezygnacji, taryfy ulgowej. Dziwne, że nie mogąc i dzisiaj temu całkiem zaprzeczyć, nie widzę już powrotu do wyprawy krzyżowej. Może dlatego, że ta książka składała się kiedyś dla mnie z twierdzeń, a teraz raczej ze znaków zapytania.

Tych znaków zapytania jest znacznie więcej w kulturze antycznej, aniżeli chcielibyśmy i mogli zauważyć. Powód jest dość prosty. Przecież Renesans postawił nam Romę i Helladę za wzór z trudem lub całkiem niedościgniony. Było to dość naiwne albo raczej jest takie w naszych oczach. Tym niemniej wtedy właśnie zaczęła się nasza nowożytność. I nasza wierność jej początkowym założeniom bywa aż rozczulająca. Więc i dla nas ciągle jeśli Roma locuta – to – causa finita. I może nieprędko dostrzeżemy w starożytności cywilizację pytań, a nie odpowiedzi. Nie prędzej jednak pewnie aniżeli nasz własny i organiczny związek z krwią naszej matki, krwią, która zawsze niespokojna burzy się i w naszych żyłach.

Marek pisał swoją książkę w czasach, kiedy chrześcijaństwo odkrywało, że można spętać świat ideologią. Spętać i zresztą stworzyć na nowo. I Aureliusz, i chrześcijaństwo korzystało z wielkiej filozofii wątpienia, chociaż w celach, na razie, odmiennych. Bo przecież i taki sposób, wręcz szkoła myślenia istniała, i to wcale nieprzelotnie. Sceptycyzm jako zorganizowany sposób myślenia był rówieśnikiem zarówno epikureizmu, jak i stoicyzmu, czyli hellenizmu po prostu. Sięgał oczywiście głębiej w przeszłość z równą naturalnością, jak my, nie zawsze ó tym pamiętając, do niego sięgamy. Sceptycyzm, bądź co bądź, pewnie skądinąd równie stary jak rodzaj ludzki, odwoływał się do sofistów. Nie bez racji, naturalnie. To jednak ciekawe, że właściwie każdy wielki prąd umysłowy szukał swojej genealogii w czasach, kiedy nie było jeszcze żadnego wielkiego państwa (a jeśli było, jak perskie, to tylko śmiertelnym wrogiem), a jedynie chaos polityczny kłótliwych społecznych drobiny. Przecież wiek złoty miał polegać na harmonii, a nie na wiecznej kłótni wolnych mikroorganizmów!

Kiedy Aleksander Wielki, który właśnie skończywszy podbijać Azję Centralną, ruszył na Indie, usłyszał o rozdzwiękach między Macedonią a Epirosem, powiedział pogardliwie „wojna myszy”, to na pewno miał rację. Sceptyków tedy o zdanie nie pytał, bo ich zresztą nie było, a gdyby sam był sceptykiem, to pewnie tam, gdzie był, w ogóle by nie był. Ciekawe natomiast,

że twórca sceptycyzmu, Pirron, brał właśnie udział w wyprawie Aleksandra i od uczonych indyjskich (zwanych dość pogardliwie przez nasze podręczniki „magami”) dowiedział się, że poznanie może być omyłne. Jest to zresztą temat ogromny i ogromnie także naukowy, chociaż praktycznie każdemu człowiekowi po trosze znany. Racjonaliści sądzą, że myślą się zmysły, ale nie rozum, natomiast empirycy mieli zdanie odwrotne. Większość ludzi sądzi po prostu, że myślą się inni. Na przykład przywódcy sądzą tak o poddanych i vice versa. Wszyscy mają rację.

Sceptycy byli zresztą nieomalże humorystami Starożytności – humorystami, którzy nie zawsze wobec siebie mieli poczucie humoru. Potrafili prawie wszystko sprowadzić do absurdu – co zresztą umiał także zrobić i Sokrates, i jeszcze wcześniej Parmenides czy Zenon z Elei. Tylko że dla sceptyków, równie dobrze Pirrona, jak i jego następcy, Karneadesa, rzecz się na tym kończyła. Dla innych był to etap wstępny dopiero.

Po wiekach Kartezjusz zacząwszy od „dubito” – wątpię, przeszedł do „cogito” – myślę, a stąd do „sum” – jestem. Sceptycy tego nie czynili. Byli natomiast tą Goetheańską częścią owej siły, która zawsze chce zła, i zawsze czyni dobro. (Tak przynajmniej przedstawił się Mefistofeles Faustowi: Ein Teil von jener Kraft, Die stets das Böse will und stets das Gute schafft). W praktyce duch, który zawsze zaprzecza (der Geist, der stets verneint), był w tym wypadku niezmiernie pomocny właściwie wszystkim twórcom i myślicielom, nie tylko starożytnym przecież. Duch przeczenia jest może także ironicznym pytaniem przodków, czy następcy o wiele stali się mądrzejsi? Trudno byłoby komukolwiek na takie pytanie jakkolwiek odpowiedzieć. Trudno dlatego, że wielki szesnastowieczny odnowiciel sceptycyzmu nazywał się Michałem z Montaigne i stworzył lub może odnowił gatunek literacki, który nazwał skromnie „próbą”, czyli po prostu esejem. Chyba nie sprzeniewierzę się duchowi ani literze pojęcia nazywając także to, co sam teraz piszę „pytaniem”... I tak też prawie określając ostatnie zdania książki cezara Marka.

„Byłeś, człowiecze, obywatelem tego oto wielkiego państwa. Cóż ci na tym zależy, czy lat pięć czy sto? Co jest według praw, to jest dla wszystkich równe. Cóż więc w tym strasznego, że cię usuwa z granic państwa nie tyran, nie sędzia niesprawiedliwy, ale natura, która cię w nie wprowadziła? Tak jak aktora usuwa ze sceny pretor, który go przyjął. »Alem nie odegrał pięciu aktów, tylko trzy«. – Dobrze. Ale w życiu trzy akty tworzą sztukę całą. Bo kiedy się ma skończyć, wyznacza ów, kto przedtem zespół ułożył, a teraz rozpuszcza. Ty zaś ani w jednym, ani w drugim udziale nie brałeś. Odejdź więc łagodnie. Łagodny bowiem jest i ten, kto cię zwalnia”.

Ten zaś ustęp, trzydziesty szósty księgi dwunastej, czyli nieobojętnej dla Rzymian, bo jest to potrójne, czyli magiczne powtórzenie nie tylko liczby godzin czy apostołów, ale stuleci, które miał istnieć i istniał rzeczywiście Rzym, prowadzi nas do tematu, który dla wszystkich jest drastyczny, lecz w wersji starożytnej wyjątkowo trudny do zrozumienia. Chodzi o stosunek do własnej śmierci.

Od prawie dwu tysięcy lat problem się odmienił. Życie jest darem, a dobrowolne wyrzeczenie się go aktem karalnej niewdzięczności. Życie jest, także dla nas, dobrem najwyższym. Własnym i cudzym. Nigdy nie było inaczej. „Nie zabijaj” – to pierwsze przykazanie wszelkich możliwych dekalogów. Jakież bóg, jaka moc zdobyła się kiedykolwiek na przykazanie naturalniejsze: nie umieraj? Byli podobno daleko stąd nieśmiertelni, wyznawcy i święci taoizmu. Ale już bardzo dawno temu pomarli.

Stosunek do śmierci w czasach przedchrześcijańskich był jednak mocno odmienny. Chrześcijaństwo, jeśli nawet nie stworzyło, to utrzymało i upowszechniło przekonanie, że człowiek nie jest dysponentem ani własnego, ani cudzego życia. To drugie pozostało raczej na zawsze teorią, pierwszego przestrzegano z całą skrupulatnością aż do dzisiaj. Dlatego na przykład „Sedno sprawy” Greena, którego bardzo „pozytywny” bohater popełnia samobójstwo, wywołało w kołach katolickich intelektualistów ogromną dyskusję. Przy tym nasza cywilizacja

od paru tysięcy lat dyskutuje nieustannie o istnieniu duszy i stara się zgromadzić argumenty na rzecz takiego poglądu. Uważano też, że materializm wykluczający pośmiertne, niezależne od ciała istnienie duszy jest z tej racji ideologią pesymistyczną. Antyku wprowadzić nie da się sprowadzić do jakiegoś jednoznacznego, wykluczającego inne możliwości poglądu. Wzorem dowodu na istnienie duszy pozostanie chyba na zawsze „Fedon” Platona, chociaż dzisiaj czyta się tę książkę przede wszystkim dlatego, że opowiada o śmierci Sokratesa. W każdym razie istnienie duszy jest dla Platona, podobnie jak później dla chrześcijaństwa – pocieszeniem. Mimo wszystkich groźnych możliwości zaświaty wydają się raczej domeną dobra, bo daj tylko dla „dobrych” w tym życiu.

Ale pośmiertne istnienie nie zawsze i nie wszystkim wydawało się tak optymistyczną okolicznością. Nasuwa się tu przede wszystkim przypomnienie buddyzmu identyfikujące istnienie z cierpieniem. Nie tylko nie dowodzi się tu istnienia duszy ku jakemukolwiek pocieszeniu, lecz wychodzi się od tego mniemania jak od niezbitego, choć wcale nie radosnego pewnika. I ostatecznie buddyzm uczy właśnie tego, jak duszę unicestwić, jak wyrwać się z fatalnego kręgu wiecznych narodzin. (Nie cały wprowadzić buddyzm, dodajmy, bo przecież ten wielki prąd filozoficzny i religijny realizował się w skrajnie ze sobą sprzecznych wariantach.)

Ale perspektywa życia pośmiertnego przerażała nie tylko filozofów Dalekiego Wschodu – przecież i Hamlet w swoim monologu lęka się snów, które może czyhają na człowieka po śmierci. A rozpraszenie lęku przed śmiercią stanowi wręcz centralny motyw filozofii Epikura. Tylko że właśnie Epikur pociesza człowieka w sposób wręcz odwrotny od Platońsko-Sokratejskiego. Człowiek ma się nie bać śmierci nie dlatego, że ją przetrwa, tylko dlatego, że zostanie bez reszty unicestwiony, a więc nie będzie cierpiał. Właśnie w nieistnieniu duszy, w bezwzględnym końcu człowieka dopatruje się Epikur okoliczności pocieszającej.

Trochę to zaskakujący punkt widzenia i skierowany raczej do tych, którzy wierzą, że po śmierci czekają nas okrutne straszdyła ze swoimi mękami. Epikur i chrześcijanie, czy w ogóle ludzie wywodzący się z tradycji chrześcijańskiej, nie mogą się w tym punkcie całkiem porozumieć i nic szczególnego, że chrześcijanie uważali epikureizm za filozofię przydatną dla oczekujących potępienia grzeszników – bezgrzeszni nie mieli się czego obawiać, bo wszak liczyli na wiekiwieczną szczęśliwość. A z tego poszło, że i sam epikureizm jest grzeszny.

Prawdopodobnie każda ideologia w każdej epoce ma za zadanie oswojenie człowieka ze śmiercią, chociaż środki używane w tym celu mogą być bardzo zróżnicowane i nie zawsze równie skuteczne. Współcześnie na przykład usuwa się śmierć z pola widzenia, po prostu nie mówi się o niej, jeśli nie liczyć pseudo-krzepiących banałów. Zapewne, nasze stulecie nie ograniczyło się do tego. A więc w silnie historycystycznych systemach – marksistowskim, ale nie tylko w nim – podkreśla się bardzo silny związek jednostki z całym gatunkiem, starając się w ten sposób jakby nieco unieważnić fatalne zakończenie indywidualnego losu. Jednostka nie jest w tym wypadku czymś absolutnym, ale jedynie częścią rozleglejszej całości.

Z drugiej strony właśnie w naszych czasach podjęto próby naukowego uzasadnienia „życia po śmierci”. Próby te są ciągle bardzo dyskusyjne. Ale skoro tak ogromna ilość ludzi we współczesnym świecie za jedyny swój cel uważa osiągnięcie jak największej dozy przyjemności, to nasuwa się jednak rozwiązanie quasi epikurejskie. Z tym że epikureizm o śmierci mówił, a współcześni nic o niej wiedzieć nie chcą.

Kluczową różnicą w tym wszystkim jest jednak stosunek do samobójstwa. Człowiek antyczny ani nie uważał samobójstwa za jakąś winę, ani za wyjście specjalnie tragiczne. Uważał na przykład, że znacznie lepiej jest umrzeć niż cierpieć. Przyjmował więc, że człowiek ma tu wolność wyboru, co więcej, że wybór jest możliwy, bo i wartości jakoś współmierne. Chrześcijanin nie mógł tego uczynić, bo życie pośmiertne, w które nie wątpił, jawiło mu się w aspekcie kary lub nagrody. Ale skąd właściwie się wzięło tak bezwzględne potępienie samobójstwa? Ewangelie przecież nie wypowiadają się na ten temat i niczego nie zakazują. Rzecz jednak w tym, że w tak rozumianym monoteizmie człowiek nie jest współpracownikiem Bo-

ga, ale jedynie podwładnym, i to takim, od którego nie wymaga się rozumu, lecz wyłącznie posłuszeństwa. Za czym już poszły stosowne uzasadnienia dogmatyczne. Niezbyt to jednak było logiczne, jeśli zważyć, że przy odpowiedniej interpretacji wyjdzie nam, że Chrystus pośrednio samobójstwo popełnił...

W każdym razie oswojenie się ze śmiercią było w starożytności znacznie większe niż w naszych czasach. Zapewne sprawiła to właśnie dopuszczalność samobójstwa, że o własnym kresie nie myślało się jak o czymś nieprawdopodobnym i niesłychanym. Może jeszcze miał jakiś wpływ na to stanowisko charakter ówczesnych wojen. Przecież już od paru stuleci broń palna sprawiła pewne rozluźnienie związku między zabijającym a zabijanym. Ba, mamy nawet powiedzenie, że „człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi”, usiłujące niejako uwolnić zabójcę od odpowiedzialności. W czasach, gdy głównym śmiercionośnym narzędziem był miecz, było to naturalnie niemożliwe, zadawanie śmierci musiało być bezpośrednio widzialne i żadne wykręty na nic się nie zdały. Ale ten właśnie aspekt dawnych dziejów nie jest chyba czymś najbardziej przez nas żalowanym.

Natomiast stosunek do śmierci w ogóle, niezależnie od tego, czy przedstawia go Platon, Epikur czy stoicyzm, jest z pewnością jednym z najcenniejszych przesłań starożytności, przesłań zapomnianych, które należałoby sobie przypomnieć i przemyśleć na nowo. Zapewne ten wyniosły stosunek wobec własnego końca niezbyt dobrze godzi się z naszym przeświadczeniem, że wszystko idzie ku lepszemu, że prędzej czy później wszystkie choroby będą uleczone, a śmierć jest właściwie tylko specyficzną odmianą choroby. Oby tak było rzeczywiście, ale na razie ciągle jeszcze jesteśmy śmiertelni i wizyta w Portyku Malowanym czy też w Ogrodzie Epikura wydaje się godniejsza niż razem ze strusią głową w przyjemnym piachu.

Warto jednak zwrócić uwagę i na to, że taki określony stosunek do śmierci wedle stoików czy epikurejczyków jest dziełem starożytności bardzo już dojrzałej i określonych okoliczności politycznych. Grek czy Rzymianin epoki klasycznej umierał za ojczyznę, jeśli było trzeba, ale przecież sam do śmierci się nie palił. Jeśli uwikłał się w kłopoty polityczne, to mógł próbować ucieczki do jakiegoś innego państewka, gdzie znalazł identyczną kulturę i nie był skazany na obcość. Ucieczka zaś nie przedstawiała wielkiego trudu. Ale obywatel Imperium Rzymskiego nie miał żadnej szansy ucieczki. Zależał bez reszty od kaprysu cezara, a ów kaprys mógł być i bywał irracjonalny i niedocieczony. W tej sytuacji zgoda na własną śmierć musiała poważnie ograniczać wszechmoc władców. Trudno jest narzucić swoją wolę komuś, kto gotów jest uprzężyć jakikolwiek cios lub nakaz. Trupem nie da się komenderować. Cezarowie posługiwali się w tym wypadku drogami okrężnymi – na przykład prześladować rodzinę. Ale to jednak był półśrodek. Dlatego zgoda na śmierć była wówczas poważnym wsparciem wolności, była wręcz jej elementem bardzo istotnym. Istotnym i najbardziej krańcowym – bo przecież w ogóle wyrzeczenie wedle epikurejczyków i stoików stwarza ludzką wolność, a zaprojektowane ubóstwo przemienia się w siłę. Wiedzą o tym zresztą asceci wszystkich kultur i czasów. Wiedzieli też ostatni filozofowie starożytności.

Bo ostatnie stulecia antyku coraz to śmielej zaglądały w zaświaty. Znika gdzieś harmonia ciała, duszy i świata, serce ogarnia głęboki niepokój. A z Azji Mniejszej ciągną nowi bogowie i płyną recepty na inny, nowy sposób rozumienia życia. Życia – jako okresu przejściowego, jako jedynie przedśmionka i przygotowania. Dotychczasowy dorobek filozofii dostarcza niezliczonych pomysłów i wzorów rozumowania; ich dziełem będzie teraz wsparcie dla prawd nowo objawionych. Żadne doktryny nie ostaną się więc w czystości i na uboczu, wejdą ze sobą w ścisłe i zawiłe związki.

Co prawda nie jest to zupełną nowością, bo od stuleci już rozwija się eklektyzm, ogólna skłonność do łączenia rozproszonych twierdzeń i prawd. Najwybitniejszym eklektykiem był sam Cyncero. Tak wiele jest przecież pomysłów trafnych, efektownych, tyle mądrych i głębokich książek napisano. Czy więc nie należy teraz połączyć wszystkiego w jeden system, pozbierać rozsianych okruchów prawdy? Prawda, przecież, może być chyba tylko jedna...

A jednak tego rodzaju postępowanie nie stworzy koncepcji prawdziwie wielkiej, choć zdecydowanie o filozoficznej atmosferze czasu. Ludzie późnego hellenizmu będą wprawdzie zawsze jeszcze pamiętali, że szczęście łączy się z cnotą, że piękna i dobra rozłączać nie wolno. Wszystko to jednak może i wystarczy do zaszczytnej i godziwej śmierci, ale nie do sensownego i szczęśliwego życia. Człowiek starożytny zaczyna odkrywać nieskończoność. Bo dotąd nie znał jej i nie ufał, kojarzyła mu się raczej z nieporządkiem i chaosem. Czyż życiem nie rządzi proporcja? A jakże być może proporcja bezmiaru? Stąd też rozważano zawsze ograniczone cele ograniczonego człowieka w ograniczonym społeczeństwie i w obliczu dość w istocie wymiernych bogów. Historia także kiedyś rozpoczynała się i kiedyś miała zakończyć.

To prawda, że obok apollinijskiej proporcji i jasności istniał jeszcze zawsze dionizyjski mrok, ale trzeźwa myśl nie chciała go przyjąć do wiadomości, protestowała przeciw irracjonalnym wizjom, dowodziła, że świat jest rozumny i człowiek może być rozumny, a rozumny znaczyło „dobry”. To prawda, że każdy z tych ludzi, jak każdy zresztą człowiek w ogóle, miał w sobie przepaść, ale starał się ją przesłonić i nie zaglądać do niej. Zajrzał tam wprawdzie i Heraklit, i wielu innych, ale atmosfera niemożliwych do pogodzenia sprzeczności, wzruszeń i lęków nie dających się wysłowić nie odpowiadała mentalności antycznej.

Czas słońca i umiaru kończył się jednak, wybijała godzina pomysłów zawrotnych.

Na ogół nie łączymy ich już z filozofią starożytną, uważając raczej za wstęp do Średniowiecza. Bo też najpotężniejszym nurtem moralnym i duchowym było tu chrześcijaństwo, które – jak nam się na ogół wydaje – swoje apogeum przeżyło w kilkanaście wieków później. A stąd wyrasta już przeciwstawienie tak silne, że powołało do życia określenie „nasza era”. Ale urodzenie Chrystusa nie przyniosło przecież ery całkiem nowej i z „poprzednią” niczym nie związanej. Chrześcijaństwo nie było przy tym jedynym posłaniem duchowym, choć było najpiękniejsze i najbogatsze. Przez kilkaset lat miały przenikać na Zachód także inne koncepcje, od kultu Mitry czy Izidy po manicheizm. Chrześcijaństwo jednak miało się także okazać najbardziej chłonne – bo ostatecznie przejęło prawie wszystkie ważniejsze koncepcje filozoficzne antyku. Wielcy ojcowie Kościoła – Orygenes, Grzegorz z Nyssy, Tertulian, Augustyn, apologety, twórcy dogmatyki zapożyczali się w nieskończoność u Platona, Arystotelesa, stoików. Chrześcijaństwo postawiło człowieka w obliczu nieskończoności, niedocieczoności, odsoniło mu przepaść, jaką w sobie nosi, ale wyposażyło go w systemy myślenia odziedziczone po „pogańskich” przodkach. W istocie rzeczy było samo bardziej pogańskie, niż się kiedykolwiek chciało i chce do tego przyznać. Gdyby Ewangelie nie padły na grunt filozofii greckiej, to chrześcijaństwo na zawsze mogło zostać ubogą sektą. W umysłowości Bliskiego starożytnego Wschodu było bowiem za mało miejsca dla człowieka, który za życia był prochem, a po śmierci – cieniem. Z tego miejsca nie mogła się więc zacząć wyprawa po nieskończoność, bo w imię czego miałyby się dokonać? Najpierw trzeba było ugruntować miejsce człowieka, zapewnić mu określoną wartość, aby potem można było robić cokolwiek więcej. I dlatego jest trochę złudzeniem, że filozofia (nie tylko wczesnochrześcijańska, ale także synkretyzm aleksandryjski Filona czy Plotyn, gnoza czy manicheizm) odcina się w pewnym momencie całkowicie od przeszłości, że zrywa z nią i ją potępia.

To prawda, że w imię ducha potępiała materię – ale też materia związana ze świadomością mogła być przynajmniej czymś, o czym w ogóle warto mówić, mogła być także uczestnikiem gry z nieskończonością. Nie sprowadzało się też bytu do jednej zasady więc też zamiast monizmu był teraz dualizm czy też gradualizm. Lecz przeciwieństwo monizmu i dualizmu jest zawsze odrobinę pozorne. Zauważmy, że na ogół przeciwstawne sobie składniki – na przykład dobro i zło, pozostają wobec siebie w układzie pewnej symetrii, komponentów wrogich, lecz dopełniających się i dających się ostatecznie sprowadzić do jednej formuły. Mówi się też, że starożytność wychodziła od materii, a kończyła na Bogu, zaś filozofia teologiczna pierwszych wieków po Chrystusie wychodząc od Boga kończyła na materii, lecz może istnieje i taki punkt widzenia, dla którego jest to różnica raczej nieistotna.

Filozofia starożytna zaczynała od obrazu, od metafory, a kończyła się na pojęciach, które wykluczały wszelką obrazowość, bo niby jak wyobrazić sobie absolut wyniesiony ponad wszelkie pojęcia i obrazy? Lecz z czasem okazać się miało, że i to może było stanem przejściowym, że absolut łatwiej jest osiągnąć obrazem właśnie, niż pojęciem. Po wiekach mieli to zrozumieć mistycy. Pewnie że jest to już obraz inny, odwrócony, zaprzeczony, właściwie antyteza obrazu. Ale po wiekach następnych mieli to właśnie zrozumieć poeci, którzy zespolili ze sobą starożytną materialność i średniowieczne czy może już Augustiańskie nienasyce- nie, Augustiański mrok i niepokój. Filozofia, która od poezji się rozpoczęła, do poezji po ty- siącleciach powróciła lub też jest niedaleko od jej dawnego, heraklitejskiego ducha w poezji kosmosu od Teilharda po astronomię współczesną.

Czy więc cała filozofia od jońskich początków po dzień dzisiejszy stanowi po prostu orga- niczną i na dodatek logiczną całość? Nie możemy na to odpowiedzieć, bo nie znamy odpo- wiedzi na wiele innych, ogólniejszych i trudniejszych pytań. Lecz właśnie spośród różnych dziedzin ludzkiej aktywności filozofia zachowała najwięcej może logicznego, wewnętrznego związku. Tu właśnie raczej niewiele od samego początku musiało się zaczynać. Do pytań, które postawiono w okresie klasycznym, doszły pytania z epoki schyłku i przemian, a ten zestaw pytań nie tak bardzo zmienił się do dzisiaj. Od czasu do czasu pojawiają się jakieś nowe sformułowania – ale najczęściej się okazuje, że i one kiedyś przez kogoś już zostały postawione. Czy zresztą jest tak, że Kartezjusz obala Platona albo Kant Arystotelesa? Tak jak Kopernik obalił Ptolemeusza? Czy filozofia jest tego rodzaju nauką, czy wreszcie w ogóle jest nauką? Czy nie jest przypadkiem grą pojęć bliższą religii bądź poezji? Jak istnieją jej pojęcia i twierdzenia – „w ogóle” czy tylko w naszych umysłach? Spór o uniwersalia trwa przecież do dzisiaj. Co tu jest naszym odwiecznym głosem wewnętrznym, co darem czasu i okoliczno- ści? I tego nawet nie wiemy. Wiemy jednak z całą pewnością, bez względu na to, czy czasy odmieniły się, czy nie odmieniły, czy należymy do schyłku epoki starej, czy do początku no- wej, że to właśnie dawni Grecy nauczyli nas języka, którym, zawsze częściowo, zawsze nie- doskonałe, usiłujemy się od tysięcy lat wysłowić, porozumieć i spełnić.

Kanon

Powiedziano już i na różne sposoby, że przyszłość jest „korektorką wieczną”, ale można by niekiedy powiedzieć wprost, że czas jest oszustwem. Tego rodzaju stwierdzenie wydaje się stosownym początkiem do rozdziału o sztuce antycznej. Bo właśnie czas sprawił, że nasze wyobrażenia o sztuce Greków i Rzymian od początku były fałszywe, a nawet dziś sam nasz sposób mówienia o niej jest właściwie przeniewierczy. O niektórych dziedzinach mówimy prawdopodobnie tylko uczone głupstwa: tak jest przede wszystkim z muzyką. Do naszych czasów nie przetrwało nic, mamy do dyspozycji same omówienia. A to jest dokładnie tak, jakbyśmy zamiast muzyki Bacha, Mozarta czy Chopina mieli jedynie encyklopedyczne artykułiki. Nie usłyszymy nigdy tych dźwięków; umarli. To różnica: być w ramionach Fryne czy tylko znać o niej pikantne anegdotki. Ale i postać, w jakiej dotarła do nas rzeźba grecka, spowodowała gigantyczną wręcz pomyłkę. Posągi wprawdzie przetrwały, co prawda głównie kopie, a nie oryginały, ale dosłownie obdarte ze skóry. Rzeźba grecka była bowiem malowana, a nie lodowokamiennie biała, jak ją dzisiaj widzimy. Bo i co z tego, że pomyłka została już dawno temu sprostowana, skoro naprawdę widzimy tylko to, co zobaczyć możemy? Jaki był kolor ich oczu, jaka była karnacja ciała Wenus z Knidos? Do jakich granic sięgały efekty polichromii? Zostały z niej resztki tak znikome, że jesteśmy zdani tylko na bardzo wątpliwe domysły. Ale nawet i nie to mam na myśli mówiąc o oszustwie czasu. Jest rozdźwięk istotniejszy.

W ogóle sama kategoria „sztuki w ogóle” jest już sfalszowaniem całego problemu. Grecy wcale nie mieli takiego pojęcia. Nie było nigdy muzy rzeźby ani muzy malarstwa, ani muzy architektury. I kiedy nazywamy dziś film muzą dziesiątą, to jest to po prostu absurd, gdyż tymczasem obdarzyliśmy muzami sztuki plastyczne, i film byłby raczej muzą trzynastą lub czternastą. Lecz prawdziwie paradoksalny w tym wszystkim jest nasz iście niefrasobliwy stosunek do poglądów starożytnych.

Zakładamy, że „sztuki piękne” stanowią jakąś zupełnie naturalną jedność, i powiadamy, albo że starożytni „nie dorosli” do zrozumienia tego, albo że sztuki „dzielili” wedle tego, czy wymagały wysiłku fizycznego czy nie. Otóż nie; nie „dzielili”, bo nie było żadnej całości do dzielenia, a jedynie nie łączyli tego, co my łączymy ze sobą. Zaś „podział” wedle wkładu siły fizycznej wydaje mi się mocno wątpliwy i powierzchowny – muzyk, aktor czy literat, a także zawodnik w gimnazjonie mają do pokonania ciężką pracę fizyczną, i musiano o tym równie dobrze wiedzieć w starożytności, jak i dzisiaj.

Krótko mówiąc nie o „podział” chodziło, lecz o brak związku pomiędzy poszczególnymi dyscyplinami (w naszym ujęciu) i dlatego wszelka argumentacja ma tu charakter zupełnie marginesowy. Istotne jednak wydaje się właśnie to, dlaczego Grecy nie stworzyli takiego ogólnego pojęcia. Czy naprawdę dlatego, że nikt na taki pomysł nie wpadł, że zabrakło im

inwencji, czy może powody były znacznie poważniejsze? A jeśli takie powody były, to może my z kolei, tworząc ogólną kategorię sztuki, coś na tym tracimy? A jeśli tak – to co? Odpowiedzi musimy szukać w czasie, kiedy łączne, abstrakcyjne pojęcie jeszcze nie istniało, a za to były pojęcia bardziej szczegółowe, ale bogatsze, i może właśnie lepiej służące społeczeństwu. Lepiej, bo każda z osobna dziedzina sztuki, nie łącząc się z innymi, przenikała za to o wiele głębiej żywą tkankę społeczeństwa, wiązała się z innymi sferami działania, uszlachetniała je, żyła razem z całością.

Kiedy rzeźbiarz i garncarz stali pod jednym dachem, to nie szkodziło to w niczym rzeźbie, a za to prowadziło rzemiosło do granic arcydzieła.

Ba, nawet skojarzenie sztuki z pięknem, tak naturalne i oczywiste dla nas, nie było wcale oczywiste dla starożytnych. Połączył je ze sobą dopiero Plotyn, już u schyłku starożytności, u rozchylających się wrót Średniowiecza, kiedy atak nieskończoności na wymierny ludzki świat potężniał i łamał ustanowione dotąd kanony. Ale starożytni nie byli ludźmi ograniczonymi do tego stopnia, aby nie zdawać sobie sprawy z oczywistych pokrewieństw. Już dawno Simonides nazwał malarstwo „milczącą poezją”, Platon rozmyślał o istocie piękna, a Arystoteles – tworzenia. Nie można było nie widzieć związku wszystkich rzeczy ludzkich, z człowieka rosnących, w społeczeństwie zawartych. Ale można je było widzieć w innych związkach, niż my to czynimy. Ponieważ zaś nie bardzo umiemy znaleźć jedną formułę godzącą sprzeczności, więc tworzymy podziały – pomysłowe bądź tylko pedantyczne. Nietzsche mówi o sztuce dionizyjskiej i apollinijskiej, Tatarkiewicz o ekspresyjnej i konstrukcyjnej, inni jeszcze inaczej, byleby znaleźć wspólną foremkę dla rzeczy różnych, byleby koło pożenić z kwadratem.

Od owego poszukiwania cech wspólnych nie potrafimy się całkiem wyzwolić, jak i ja w tym miejscu nie potrafię, skoro w jednym rozdziale mówię o sztuce w ogóle, mimo że coś takiego istnieje tylko w naszej wyobraźni. Jak widać nie nauczył nas wiele stary paradoks Humboldta pytający, jak literatura może być sztuką, skoro nie operuje niczym zmysłowym. Odpowiedzi padały różne, ale nigdy taka, na jaką by się zdobyli starożytni: że literatura po prostu żadną sztuką nie jest. I w takim razie od niej zaczniemy.

Na początku było słowo, na początku ludzkiego rodzaju, i ono jest najstarszym zabytkiem świata, jeśli rzeczywiście znaki-symbole sztuki paleolitycznej były kiedyś dźwięczącymi w powietrzu słowami. A były z pewnością, bo znak jako artykułowany dźwięk jest starszy od wizerunku. I pierwszym a najcenniejszym bogactwem, jakie wynieśli z „ciemnych wieków” po upadku kultury egejskiej, były bohaterskie poematy „Iliady” i „Odysei”. Istniały nie zapisane przez stulecia i nie były żadną sztuką, rozrywką czy ozdobą, ale summą ideologiczną, estetyczną i moralną. Towarzyszyły wszystkiemu i wszystko się do nich odnosiło, były radością biesiady, katechizmem narodowym, podręcznikiem i modlitwą. Żadne dzieło naszych czasów, zresztą nawet żadne inne dzieło starożytności nie spełniało tak wielu i tak różnych funkcji.

Literatura grecka rozpoczyna się więc od dzieła uniwersalnego i najdoskonalszego zarazem – a jego doskonałość wiąże się właśnie z uniwersalnością rozciągającą się od świata bogów po świat ludzi. I jak pięknie o tym mówi sam Homer: „Bóg dał śpiewakowi śpiew, aby budził radość”. Bo w owym śpiewie tkwił czar, moc czarodziejska, która wiodła ludzi do walki i do miłości. Słowo było zawsze szaleństwem, zaklętym śpiewem Syren i poeta musiał być szalony – wiedzieli o tym i Platon, i Horacy, i Baudelaire, który pisał w „Paryskim spleeniu”: „bądźcie zawsze pijani – winem, miłością, poezją, to obojętne”.

Poezja zawsze była sprawą ciemną i szamańską, bo przecież ona jest zaklinaniem, jest wezwaniem do takiego czy innego stanu psychiki, do określonej oceny świata, do miłości, do śmierci, do zemsty, do przebaczenia. Poezja, która nie potrafi jak demon, w nas wstąpić, jest po prostu złą poezją, ponieważ jej istotą jest zawładnięcie słuchaczem, choćby na krótką chwilę. Ta jej istota nie zmieniła się przez wszystkie stulecia mimo najróżniejszych teorii, najróżniejszych sposobów kompozycyjnych i tematyki. Ale ta magiczna moc wyniesiona z

pradziejów ludzkości uległa w tej chwili osłabieniu i niekiedy popada nieomal w zapomnienie. Ponieważ weszła w inne parantele, a wyzbyła się tych, które jej moc najsilniej wzmacniały. A były nimi taniec i muzyka. Przecież wedle słynnej i chyba po prostu prawdziwej formuły Tadeusza Zielińskiego na początku istniała „trójjedyna choreja”, jedność słowa, melodii i gestu. Ale ta jedność zachowała się tylko w teatrze – który zresztą może właśnie dzięki temu jest do dzisiaj taką potęgą przy czym mam tu na myśli i film czy nawet telewizję, prawdziwą współczesną koordynatorkę społecznych odczuć i poczynań. Lecz jeśli nawet poezja przestała być widowiskiem, to przecież jednak była przez całą starożytność recitalem. W ogóle słowo kojarzyło się z głosem, a co za tym idzie z lekturą publiczną. Nie można tu zresztą kłaść znaku równości między tym, co się działo w niewielkiej polis a imperialnym Rzymem.

Wiemy, że w cesarskim Rzymie wieczory autorskie, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, stały się prawdziwą plagą środowiska kulturalnego. Było ich po prostu za wiele, bo ilość autorów, w większości zapewne niezbyt godnych słuchania, przerosła znacznie możliwości tego sposobu publikacji. Zresztą właśnie wtedy zaczyna wchodzić w modę lektura cicha. Czyli coś jak przejście od zbiorowego przeżywania filmu czy teatru do prywatnego odbioru telewizji. Ale przez setki lat poezja, nie tylko Homerowa, w sposób autentyczny unifikowała społeczeństwo. Przy czym, jak wiemy, różnym odmianom poezji odpowiadały różne muzy – bo też znowu mniejsza była wzajemna bliskość poszczególnych rodzajów literackich, a znacznie wyższa i konkretniejsza ich funkcja społeczna. Nie mieszano więc poezji biesiadnej z poezją elegijną, miłosnej z wojenno-patriotyczną. Safona i Tyrteusz chadzali osobno. Ale te właśnie podziały okazały się z czasem nazbyt szczegółowe, chociaż naturalnie poszczególne gatunki rozróżniano dalej.

Muzy, córki samego Zeusa i Tytanki Mnemozyny, bogini pamięci, co chyba nie jest przypadkiem, opiekowały się nie tylko poezją. Melpomenę była muzą tragedii. Talia – komedii, Polihymnię obdarzono z czasem muzyką, Terpsychora opiekowała się tańcem. To wszystko wydaje się nam logiczne. Ale oto obok nich jeszcze dwie siostry, trochę mniej oczekiwane. Klio, patronka historii, i Urania astronomii. Poprzez nie otwiera nam się perspektywa na bardzo ciekawe powinowactwa i uwikłania. A więc zarówno historia, jak i astronomia były bliskimi krewniaczkami poezji i tańca? Więc i w nich jest ten pierwiastek szaleństwa? Cóż, pewnie to prawda, przynajmniej jeśli idzie o historię, która najczęściej więcej mówi o osobie historyka niż o opisywanych przez niego faktach. I najczęściej jest właśnie historią szaleństwa...

Ale astronomia? Może to, co o niej sądzono, było raczej zmyśleniem niż rachunkiem, a w każdym razie obie te sfery splotały się z pewnością. No i coś jeszcze: w gwiazdach były przecież zapisane przyszłe dzieje świata, przyszłe szaleństwa ludzi, bogów i losu. W każdym razie strefa oddziaływań poezji była niezmiernie szeroka, miała kształtować teraźniejszość, pamiętać przeszłość, nieść ją w nieodgadnioną przyszłość. Była obrzędem, który dawał przemijającym ludziom szansę wyższego, trwalszego istnienia wobec nieświeżych perspektyw, jakie rysowały się w życiu pozagrobowym. Sztuka jest długa, a życie krótkie – wtedy właśnie powiedział Hipokrates. I aż szczególne, wstrząsające wrażenia robią niektóre wyznania z dawnych, archaicznych czasów.

Achilles wybiera wczesną śmierć w zamian za sławę, a nie wiem – gorycz, dumę czy pocieszenie należy czytać w tych słowach „Iliady”: „Zeus na to nam przeznaczył zły los, abyśmy wśród przyszłych pokoleń żyli w pieśni”. A w „Odysei” to samo: „Bogowie zgotowali los Ilionu i przeznaczyli zgubę ludziom, aby powstała pieśń dla tych, co przyjdą”. A więc poezja uświęca zgubę i prowokuje ją nawet... Jakaż zawrotnie wysoka ocena! Czy ktokolwiek z nas ośmieliłby się powiedzieć, że obozy śmierci istniały po to, by Borowski mógł napisać swoje nowele? Nie mogło więc iść o byle co, o potoczną popularność gwiazdora. Stawką była nieśmiertelność jednostki i społeczeństwa, a poezja jeszcze raz potwierdziła swój magiczny rodowód.

Jeśli to pociecha, gorzka jest jednak bardzo. Ale też człowiek poezji antycznej czy wręcz starożytnej literatury przez cały czas był w mocy przeznaczenia. To przeznaczenie mogło zakładać przeróżne maski, w tym nawet maskę przypadku, ale pozostawało sobą. I na nic się nie mogły zdać najchytrzejsze wybiegi – ten, kto usiłował los oszukać, był przezeń uderzony z tym większą siłą. Nie znaczy to, aby buntowników miała czekać pogarda, nie ze strony literatury w każdym razie. Godność ludzkiego buntu, ludzkiej niezawisłości nie była kwestionowana, ale jej przyszłość musiała być przesądzona. Od mitu o Prometeuszu, poprzez tragedię klasyczną po Tacyta sytuacja właściwie nie ulega zmianie. Musimy się jednak strzec uproszczeń i pamiętać, że w grę wchodzi tutaj różne czasy i różne ustroje społeczne. A także różne postawy. Godnością bohaterów „Iliady” i „Eneidy” jest właśnie poddanie się przeznaczeniu, świadome przyzwolenie, by los działał za ich, pośrednictwem, zgoda na historię. Ale nie tak dzieje się w tragedii, I tu znów musimy zapytać, czym ta tragedia w istocie była.

Nie idzie o specyfikację literacką. Przypomnijmy sobie jednak, że przez trzy dni oglądało się po trzy tragedie dziennie i na dodatek w części „artystyczno-rozrywkowej” po dramacie satyrowym na zakończenie każdej trylogii. Wiemy, że uczestnicy mieli wysoką świadomość tego, w czym uczestniczą. Arystoteles – zauważmy – mówiąc o tragedii mówi zarazem o jej działaniu, a więc o widzach po prostu. A widzowie pod wpływem tragedii przeżywali litość i trwogę i tak dostępowali oczyszczenia.

Byłoby rzeczą tanią mówić komplementy tej formule – sama przez się jest arcydziełem. Przecież w ten sposób tragedia urosła do rangi wielkiej spowiedzi dorocznej chrześcijan, po której otrzymuje się właśnie oczyszczenie, rozgrzeszenie. Ale analogia nie jest wcale taka prosta. Podczas spowiedzi wyznaje się swoje grzechy, litość i trwoga nie są udziałem tej samej osoby – człowiek się trwoży, a Bóg się lituje. Tymczasem tragedia przedstawia zbrodnie ludzi i bogów, jest wielkim oskarżeniem, wielkim zaklinaniem, wielkim rachunkiem sumienia kosmosu i przeznaczenia, rachunkiem daremnym, bo ni przeznaczenie, ni kosmos sumienia nie mają. Więc może tu człowiek oczyszczając siebie oczyszcza i rozgrzesza zarazem los? Może pokazuje, że to jego właśnie, człowieka, stać na boskość, wielkość i godność tego oczyszczenia i przebaczenia? A stając się choć na chwilę lepszym od bogów staje się, on i jego gromada, także partnerem i współsędzią, mniejsza już o to, bytu czy nicości. A było to możliwe, ho wręcz niepojętym cudem tragedia grecka osiągnęła taką wyżynę moralną, że przez następne tysiąclecia literatura rzadko tylko ją osiągała, a nie prześcignęła nigdy.

„Grecki cud”... określenie tak wyświechtane, a jednak przedziwnie wierne. Bo przynajmniej w kilku dziedzinach Grecy prawie natychmiast, u samych początków, osiągnęli doskonałość nieprześcignioną. Nie wiemy ostatecznie, czy „Iliadę” i „Odyseję” napisał jeden człowiek czy dwóch, ale pewne jest, że literatura naszego świata zaczyna się aż od dwóch dzieł genialnych. Potem współcześni przecież, Ajschylos, Sofokles, Eurypides! I współczesny im Arystofanes. I znów: Sokrates, Platon, Arystoteles. Z rzeźbiarzami, z malarzami tak samo. Co prawda podobne serie zdarzały się później niekiedy w dziejach, choć nie wiem, czy na taką skalę. Żeby ograniczyć się do literatury Wergiliusz, Owidiusz, Horacy; Marlow, Szekspir, Calderon, Cervantes, Lope de Vega; Goethe, Schiller, Kleist, Hoffmann, Heine; Corneille, Racine, Molier; Puszkina, Lermontow, Gogol; Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid – i jeszcze garść podobnych zbieżności. Tkwi w tym coś więcej niż przypadek, ale to już nie należy do tematu tej książki. Tyle że gdyby nie tamci Wielcy Helleni, nie dałoby się już wymienić ani rzymskich, ani nowożytnych następców...

Wróćmy jednak jeszcze do tragedii. Idzie nam o to, że przez swoje trzy dni była czymś więcej niż rozrywką, czymś zdecydowanie innym niż jakiś społeczny dodatek, który może być, może nie być, ale stanowiła ważną i niczym nie zastąpioną część społecznego organizmu. Tak jak poezja – jednoczyła; na widowni ateńskiej spotykał się archont z szewcem (co prawda szewc wybrany losem sam mógł być archontem). Była i nabożeństwem, i świętem

państwowym, i festiwalem kulturalnym. Bo nie była niczym zewnętrznym, niczym dodanym, była, bo była konieczna, tak samo jak aprowizacja, służba wojskowa, transport i wszelkie inne instytucje społeczne.

Uzyskała w niedługim czasie formę kanoniczną, czyli sakralną, lub, jak kto woli, społecznie nieuchronną. Ten kanon dopuszczał modyfikacje, jak w każdej innej antycznej dziedzinie kanonicznej, lecz obowiązywał o tyle, by stworzyć jasne porozumienie między twórcą i odbiorcą. Bo twórca nie był i być nie mógł przeciwnikiem odbiorcy, nie toczyli między sobą gry ani sporu, przynajmniej jeśli szło o zasadę określonej formy działania.

I coś jeszcze, na co warto chyba zwrócić uwagę: tragedia nie była działalnością zarobkową. Państwo płaciło obywatelom za wstęp – dwa obole – czyli nie wymagało od nich opłat, podobnie jak nie płaci się za udział w nabożeństwie lub pierwszomajowym pochodzie. Jeśli poezja homerycka była codzienną normą, to teatr był świętem – czyli w jednym i drugim przypadku stopień udziału literatury w życiu społecznym był dla nas prawie niezrozumiale wielki.

Trzeba co prawda przypomnieć, że widowiska cyrkowe w Rzymie także były fundowane – w tym miejscu chciałem napisać coś deprecjonującego, lecz zawahałem się. Czy naprawdę krwawe widowiska nie przynosiły widzom litości ani trwogi, czy nie oczyszczały ich na swój sposób? Dlaczego i w imię czego miałbym gardzić rzymską biedotą, odmawiać jej prawa do ludzkich przeżyć? Ale w takim razie może musiałbym mówić o tych wszystkich, którzy otaczali z reguły nieskończoną ilość stosów i szafotów? Tak, pewnie bym musiał – skoro już się mówi w imieniu ludzi (a cóż innego czyni każdy autor?) – to także w imieniu tych najgorszych, więc najbiedniejszych. Lecz mimo to dobrze przecież, że w ateńskim teatrze Dionizosa krew nie płynęła i że niezależnie od oczyszczenia widzów teatr ten i Colosseum pozostały symbolem czegoś najzupełniej odmiennego.

Może tylko warto i to przypomnieć, że teatr (podobnie jak cyrkowe widowisko) nie oczekiwał codziennie pokornie na widzów – płacących klientów, ale był formą jednorazową. W wypadku teatru greckiego także dokładnie cykliczną, jak określone igrzyska czy procesja panatenajska. Nie można pójść codziennie na pasterkę czy na mistrzostwa świata w piłce nożnej i dlatego teatr starożytny był równocześnie cykliczny i wyjątkowy, miał swoje niezamienialne miejsce w strukturze czasu. My też – niezależnie od kraju, w jakim żyjemy, ustroju, religii czy przekonań – mamy taką sakralną strukturę czasu, lecz ani teatr, ani poezja już w niej nie uczestniczy. A tylko imitacją, gorzej niż śmieszna, są rozpowszechniane na całym świecie „dni” tego lub owego; choć jako sygnał określonej społecznej potrzeby ma to rzeczywiście znaczenie pierwszorzędne.

Z tego działania muz zdawano sobie doskonale sprawę i dyskusjom szczegółowym nie było końca. Słynna jest formuła Sofoklesa, że on przedstawia ludzi takimi, jacy być powinni, a Eurypides takimi, jacy są. Ale co właściwie było społecznie skuteczniejsze? Tego ani wtedy nie wiadomo, ani dziś nikt nie wie. Arystofanes w każdym razie utrzymywał, że obowiązkiem literatury jest mówić rzeczy pożyteczne, a słynny muzykolog z V wieku, Damon Ateńczyk, chciał widzieć w muzyce potężny środek wychowawczy, którego zmiana może nawet obalić ustrój społeczny.

Cóż, widocznie przeświadczenie o „twórcy-inżynierze dusz ludzkich” należy do najstarszych i najtrwalszych zarazem złudzeń i marzeń ludzkości. Może to i nie tylko złudzenie. Ostatecznie wpływ jednych ludzi na drugich jest faktem, a literatura jest tylko pewnym sposobem przekazywania owego wpływu. Tyle że ten wpływ ma swoje granice. Są, naturalnie, dzieła, które wywierają na nas wpływ głęboki, są i takie, które mają nieomal doraźne, społeczne znaczenie. Ale chyba działają one przede wszystkim, o ile nie wyłącznie, na charakter, i tak skłaniające się w danym kierunku. Gdzie się więc kończy sztuka, a zaczyna natura – orzec naprawdę nie sposób. W każdym razie funkcja dydaktyczna i ideowa literatury, muzyki, teatru nie podlegała w starożytności dyskusji. A ponieważ w wielu dziedzinach Grecy osią-

gnęli doskonałość bardzo wcześnie, można było sądzić, że istnieje jakiś kanon najlepszego działania. Że się da wyliczyć szczegółowe przepisy, wedle których należy tworzyć.

Co prawda rzecz jest do dzisiaj dyskusyjna: sądzi się więc, że Arystoteles w słynnej „Poetyce” dał po prostu opis istniejących gatunków literackich, a dopiero następcy uczynili z tego dzieło normatywne, ale czytając „Poetykę” dzisiaj nie jest się tak całkiem pewnym, jak w istocie rzeczy się miały i co Arystoteles „miał na myśli”. A nie mniej słynny „List do Pizonów” Horacego ustala już bez żadnych wątpliwości ściśle normy literackie. Wyjaśnia, jak powinny być formowane charaktery, jakim metrum i językiem powinna być pisana tragedia, a jakim komedia, co przystoi, a co nie określonym formom poetyckim. Oczywiście Horacy nie ludzi się ani przez chwilę, że znajomość norm i przepisów sama przez się wystarczy poecie. „Poetom nie pozwalają być miernymi ani ludziami, ani bogowie, ani wystawy księgarskie”. Zaś: „Czy godny pochwały utwór poetycki powstaje talentem czy sztuką, to pytanie nieraz rozstrzygano. Ja nie widzę, na co by się zdała sama nauka bez bogatej żyłki poetyckiej ani talent bez wykształcenia: tak jedno wymaga pomocy drugiego i wchodzi z nim w przyjazne porozumienie”. Pewnie, wyznawcy zasady „złotego środka” nie wypadało wręcz napisać inaczej. Ale sprawa nie była taka łatwa. Przecież podkreślano wielokrotnie udział boskiego szалу w poezji, a czynił to równie dobrze materialista Demokryt, jak i spirytualista Platon. Skądinąd zaś wierzone, że gatunki poetyckie są niezmiennie, że istnieją najsluszniesze rozwiązania formalne i że podważanie form kanonicznych może jedynie dzieło ośmieszyć.

Achilles musi być taki, a Odys owaki – wręcz odwrotnie niż w literaturze współczesnej, gdzie zgoła każda postać i sytuacja znana z przeszłości jest przedstawiana w formie niekanonicznego apokryfu – równie dobrze u Czapka, Giraudoux czy Bułhakowa

Między tymi sprzecznościami jak między Scyllą i Charybdą musiała przepływać nawa literatury antycznej, chyba jednak nie zawsze z najlepszym skutkiem, jeśli się zważy, że najwybitniejsze dzieła powstały w czasach, kiedy kanon nie został jeszcze sformułowany. Co się zresztą nie odnosi do osobowości tak wielkich, jak sam Horacy, Owidiusz czy Wergiliusz, boć przecież, jak napisał po wiekach Goethe, „In der Beschränkung zeigt sich erst der Meister” – wśród ograniczeń mistrz się objawia.

Nawiasem mówiąc wczesne formułowanie kanonu estetyczno-ideowego w formie znakomitej i w naszych czasach może wywoływać dziwaczne skutki: gdyby poezja Majakowskiego nie była tak dobra, nie mogłaby później przez jakiś czas odgrywać roli kanonu hamującego jej rozwój. Sam natomiast kanon literatury antycznej miał odegrać w dziejach rolę zawiłą i wieloznaczną. Był traktowany poważnie, nawet bardzo poważnie i przez teoretyków, i przez poetów. Ale jeśli ci pierwsi – równie dobrze nasz Sarbiewski, jak i późniejszy Boileau, mnożyli drobiazgowo przepisy, to poeci usiłowali wprawdzie być bez reszty rzymscy bądź helleńscy, lecz w praktyce szli własnymi drogami. Sam Horacy stał się poetą kanonicznym dla niezliczonych pokoleń i języków, nie stanowił jednak krępującego ograniczenia, lecz nieskończone i do dziś żywe źródło inspiracji. Iluż Kochanowskich, Mickiewiczów, Puszkiców zrodziło „Exegi monumentum”, ilu zrodzi jeszcze w przyszłości...

Jak już mówiliśmy, plastyka należała w starożytności do całkiem innego porządku zjawisk, inaczej, z czym innym powiązanych. Z innymi dziedzinami dzisiejszej sztuki wiązało ją jednak niezachwiane przekonanie, że i tu istnieje pewien kanon, który musi zostać zachowany i powtarzany, choć przecież nie bez modyfikacji. Co więcej, kanon w plastyce dał bodaj świetniejsze jeszcze efekty niż w literaturze i na swój sposób respektowany jest aż do dzisiaj. Sama idea nie była zresztą grecka, podobnie jak i okoliczność, że przecież ani rzeźba, ani malarstwo, ani architektura nie narodziły się w Grecji.

Hellenowie mieli do czynienia ze sztuką minojską minionych tysiącleci, z odkrywanymi niekiedy naczyniami, freskami, z widocznymi jeszcze wyraźnie zrębami cyklopowych murów. Ale i współcześnie mogli w śródziemnomorskim świecie, po którym poruszali się z taką swobodą, zobaczyć świątynie i posągi Egiptu, zikkuraty Babilonu.

Były to dzieła gigantyczne, dość świadomie i wyraźnie nieludzkie i ponadludzkie. Sztwyne, hieratyczne postacie bogów łączyły ciała ludzkie i zwierzęce, oczy wpatrywały się w nieodcieczone dale. Bogowie kroczyli poprzez ziemię nie zwracając niemal na nią uwagi. A ich sylwetkami rządziła geometria. Posąg czy malowidło dzieliło się na kwadraty, które mogli ryc i malować zupełnie inni ludzie w odległych od siebie miejscach. Całość i tak dała się z tego złożyć – znamy zresztą takie konkretne wypadki.

Grecy zachowali geometrię jako nadrzędną zasadę sztuki, ale w jej obrębie odkryli niezwykle możliwości – piękno form organicznych. Nie widzieli między jednym i drugim sprzeczności, co umieli teoretycznie i praktycznie udowodnić. Potrafili więc zrobić to, co nie bardzo i nie bez reszty udało się twórcom dziewiętnastowiecznej secesji, szukającej piękna w nieregularnej i kapryśnej łodydze i liściu rośliny. Zresztą może to także był kanon, ale już innych czasów i innej matematyki.

Bo kanon grecki właśnie z matematyki wynikał, a oznaczał po prostu poszukiwanie jakiejś jednej, najdoskonalszej proporcji. Każda rzecz miała więc swój moduł – miarę powtarzającą się określoną ilość razy – tak więc fronton świątyni miał dwadzieścia siedem modułów (była nim połowa szerokości kolumny u podstawy), a wzrost ludzki siedem. Ciało, ludzkie dawało się wpisać w koło bądź w kwadrat, wazy także określał kwadrat albo prostokąt o stałych proporcjach. Miało to zresztą swoją podstawę teoretyczną – wierzono, że harmonijny wszechświat też jest zbudowany wedle określonych modułów, które trzeba jedynie odnaleźć i przenieść na ludzkie dzieło. Była to nade wszystko nauka Pitagorasa, ale odnajdziemy ją po trosze w całej starożytności. Nie tak daleko stąd mieści się przecież znak równania między cnotą a wiedzą, równania Sokratejskiego, ale będącego ostatecznie wspólnym dobrem epoki.

Szczególne, że w tym samym mniej więcej czasie na przeciwległych kresach Eurazji, w Chinach, powstawała nauka o tao – drodze świata, wedle której i człowiek powinien kształtować swoje postępowanie. Ale plastyka Dalekiego Wschodu poszła zupełnie innymi drogami.

Sztuka grecka nie od razu odeszła od hieratyczności poprzedzających ją kultur. Pierwsze znane posągi są jeszcze na egipski sposób sztywne, na twarzach błąka im się nieobecny uśmiech. Malarstwo na wazach przechodzi przez styl protogeometryczny i geometryczny. Ale od czasu, kiedy Homer uczłowieczył bogów, dalszy rozwój plastyki był właściwie przesądzony: kto jak człowiek postępuje, musi także jak człowiek wyglądać. A co jest w sztuce możliwe, będzie w niej także, prędzej czy później, spełnione.

Niestety, nie na tym się kończą odmiany losu. To, co spełnione, bywa także i zniszczone, zniszczone doszczętnie. Rzeźba grecka przechowała się w późniejszych kopiach – malarstwo, które zapewne nie było mniej wspaniałe od niej, nie zachowało się wcale. Trochę prowincjonalnych fresków w Stabiach czy Pompejach, trochę mozaik, ale to w sumie gorzej niż nic, bo tylko fałszuje obraz. Jakąż ironię włożył czas w usta Zeuksisa, który oświadczył: „wolno maluję, bo wieczność maluję”. Czym byłaby historia kultury nowożytnej, gdyby nie zachowało się ani jedno malowidło Rafaela, Rembrandta, Tycjana, Memlinga, van Gogha ani po prostu nikogo, nikogo, nikogo? Zostałoby trochę nazwisk, trochę anegdotek, sama nędza. Nikt nigdy nie zobaczy niczego Polignota, Apellesa, Zeuksisa i tylu, tylu innych. Cóż o nich wiemy? Że Polignotos używał zapewne tylko czterech barw – czarnej, białej, czerwonej i żółtej, że Zeuksis idealizował swoich bohaterów, że z pięciu modelek tworzył jedną idealną kobietę, że ptaki zlatywały się dziobać winogrona namalowane przez Apellesa, że dwu malarzy współzawodniczyło w rozcinaniu cienkiej linii prostej jeszcze cieńszą?

Zapewne, istnieją nawet jakieś kadłubowe historie malarstwa antycznego, niezdolne jednak przedstawić naszym oczom ani jednego obrazu. Płótno było materiałem nietrwałym – i gdyby naszą cywilizację spotkało nieszczęście, to dla potomków również może nie pozostać ani jeden skrawek największych mistrzów. Płótna greckie wędrowały z miasta do miasta, gromadziły się w Rzymie, wreszcie prędzej czy później murszały, darły się, płonęły. A kto

wie, czy nie były nam bliższe od rzeźby, gdzie użycie koloru nieco nas detonuje. W malarstwie stosowanie koloru zarówno wtedy, jak i dziś wydaje się równie naturalne. Przetwarzanie rzeźby antycznej korygowało właściwie zawsze rzeźbę europejską – tak czy inaczej jej wpływ jest czytelny nieomal do dzisiaj. Jaki wpływ mogłoby wyrzucić malarstwo? Wiemy, że istniało coś na kształt impresjonizmu czy pointyilizmu zgoła. Czy mistrzowie Renesansu malowaliby znając ten prąd tak, jak malowali w rzeczywistości dokonanej? Odkrycie fragmentów malowideł w rzymskich podziemiach, „grotach” powołało do życia najpierw słynne stacje Rafaela, a później doprowadziło do ukształtowania się pojęcia „groteski”, tak przecież istotnego w rozwoju całej nowożytnej sztuki. Może by więc dzieje sztuki wyglądały inaczej, gdyby zachowało się choć kilkanaście płócien. A może i nie. Bo przecież zachowało się malarstwo etruskie – co prawda tylko grobowcowe, zachowały się mozaiki rzymskie, afrykańskie, rawenneńskie. Nie były bez wpływu na rozwój sztuki, chwilami nawet bardzo silnego, ale dziejów nie zmieniły przecież. Wreszcie zachował się jeden przynajmniej dział sztuki greckiej, a mianowicie – ceramika. Zachowała się w olbrzymim bogactwie form, stylów, tematów. Być może jest to jedyny dział sztuki antycznej – przy czym mam teraz na myśli i sztukę słowa – o którym dorzecznie można mówić od początku do końca. Ba, w tym właśnie zakresie można sięgać do prehistorii nawet najdalszej, do form pierwotnych. Gdyż paradoksem czasów właśnie najbardziej nietrwały przedmiot najpospolitszego użytku – garnek – okazał się najtrwalszy!

Jakiż triumf czegoś z repertuaru wczesnej poezji Białoszewskiego, będącej przecież także pochwałą codzienności i zwyczajności, przedmiotu.

Historię ceramiki możemy więc rozpocząć w momencie dowolnym. Cały kłopot polegałby jedynie na oznaczeniu tego momentu, w którym zaczyna się ceramika starożytności klasycznej. Bo Grecy byli przecież uczestnikami kultury śródziemnomorskiej wcześniej niż do niedawna, do odczytania tak zwanego kreteńskiego pisma linearnego B, sądzono.

A jeśli nie pomylił się polski uczonej i dysk z Fajstos jest rzeczywiście spisany w języku greckim, to znowu o wiele wcześniej jeszcze. Ale to za wcześnie dla nas, chociaż dziwy morza na wazach egejskich są piękne niezwykle. Dla nas epoka klasyczna zaczyna się właściwie wtedy, gdy gaśnie polichromia stylu geometrycznego, gdy pozostaje już tylko czerwień i czern, ale za to glina ożywa tysiącem postaci mitologicznych i lawiną sytuacji niedługo potem obyczajowych, codziennych.

Może zresztą ta właśnie okoliczność sprawiła, że ceramika grecka częściej jest uważana za ilustrację niż za cokolwiek innego. Bo też i jest jakimś odpowiednikiem dzisiejszej fotografii notującej na gorąco sprawy rodziny człowieczej. Dzięki ceramice wiemy, jak starożytni siedzieli przy stole i jak bawiły się dzieci, jak wyglądała kąpiel i toaleta dziewczyn, jak odmieaniały się mody i nieskończoność innych szczegółów. Niekiedy, rzadziej, zwracamy także uwagę na doskonałość kompozycji, podejrzewamy, że niektóre sceny mogą być kopią arcydzieł malowanych na płótnie, tak jak czasem tkaniny nowożytne przenoszą na pstrokatą nić kompozycje wielkich malarzy. Rozróżniamy wyraźnie style, nade wszystko w obrębie owej czerni i czerwieni, choć przecież były także i naczynia białe malowane – lekyty. Pierwszy po geometrycznym, w siódmym wieku, był styl czarnofigurowy, surowszy, w którym postaci była czarna, a tło czerwone. Później stan rzeczy odmienił się całkiem i czerwone figury na tle czarnym uzyskały więcej swobody. Jeszcze później były nawet próby światłocienia – ale materiał nie był najodpowiedniejszy. Wiemy już, że same wazy, amfory, alabastrony, aryballosy, hydrie, kyliksy, kratery, stamnosy, pyksidy, skyfosy i jak tam się one jeszcze nazywały, podporządkowane były regułom geometrycznym i gdyby nawet nie nosiły na sobie żadnych malowideł, można by je zwać arcydziełami.

Ciekawe, że najwyższy szczyt rozwoju osiągnęły właściwie już w Grecji archaicznej, w siódmym, szóstym, na początku piątego wieku. Trwają zresztą i później, ale ich wielka chwila już minęła. Były przedmiotem rzemiosła, lecz i sztuki, co na jedno zresztą wynosiło, bo okre-

śleniem „techne” obejmowano jedno i drugie. I tylko nam może się wydawać paradoksem, że przetrwało więcej nazwisk garncarzy i malarzy garnków niż twórców najpiękniejszych antycznych świątyń. A dzieje ich bywały niejednokrotnie dramatyczne. Pamiętamy nazwisko Herostratesa, który spalił świątynię Diany w Efezie, podobno po to, aby upamiętnić swoje nazwisko. Lecz mniej znamy historię „wazy François”, attyckiego krateru czarnofigurowego, dzieła garncarza Ergotinososa i malarza Klitiasa z początku szóstego wieku. François odnalazł ją w połowie ubiegłego stulecia i arcydzieło trafiło do florenckiego muzeum archeologicznego. Ale że było arcydziełem, posadzono przy nim strażnika, który trwał na tym stanowisku przez lata: skończyło się tak, że w końcu strażnik sam potłukł „wazę François”, jedno z największych arcydzieł starożytności, na drobne kawałki.

Wyzwolił się w ten sposób z więzienia i chyba nie po to, by dostąpić sławy Herostratesa, bo jego nazwisko zostało zapomniane, podobnie zresztą jak i konserwatora, który od nowa zlepił szczątki. Nowego strażnika już nie posadzono... W istocie rzeczy to jeszcze jedna ilustracja dziejów degradacji sztuki staroattyckiej. Bo wtedy w tym kraterze było przecież wino, w amforze była oliwa i któż by niszczył rzeczy tak oczywiście potrzebne? Służyły człowiekowi, ale nie jako kajdany. Co prawda i dzisiaj tłucze się szklanki w ogniu domowych kłótni, ponieważ każde zniszczenie jest bodaj odrobinę wyzwoleniem. Wolałbym nie doprowadzać tej myśli do końca.

Hipolit Taine w rzadko dziś czytanej, staroświeckiej, a przecież pięknej książce „Filozofia sztuki” zamyka część poświęconą rzeźbie greckiej obrazem procesji wstępującej na Akropol, co jest zarazem procesją pojęć i wyobrażeń związanych z Palladą. Opis jest dość długi, natchniony i piękny, a Antoni Sygietyński tak przekłada ostatni ustęp: „W tej chwili podwoje Partenonu mogły się otworzyć i wśród darów, naczyń, wieńców, zbroi, kołczanów, larw srebrnych ukazałyby się olbrzymi wizerunek, opiekunka, dziewica, zwyciężczyni stojąca, nieruchoma z dzidą w ręku, z tarczą postawioną obok, trzymająca w prawicy Nike ze złotą i kości słoniowej, z egidą złotą na piersiach, w obcisłym hełmie złotym na głowie, w wielkiej szacie złotej o różnych odcieniach, z twarzą, z stopami, z rękami, z ramionami odrzynającymi się od broni i szat ciepłą i żywą białością kości słoniowej, z jasnymi oczami z drogiego kamienia, świecącymi niewzruszonym blaskiem w półświatle pomalowanego przybytku. Z pewnością Fidyasz, przedstawiając jej wyraz pogodny i wzniosły, pojął ją jako potęgę przekraczającą wszelką miarę ludzką, jako jedną z sił powszechnych, kierujących biegiem rzeczy, jako inteligencję czynną, która, dla Aten, była duszą ojczyzny. A może słyszał w swem sercu dźwięczące echo nowej fizyki i filozofii, które, mieszając jeszcze ducha z materią, uważały myśl za najlżejszą i najczystszą z substancji, za rodzaj subtelnego eteru, rozlanego wszędzie w celu wytworzenia i utrzymania porządku świata; tym sposobem urobiło się w nim pojęcie wyższe jeszcze niż pojęcie ludowe; jego Pallada przerastała Palladę egińską, i tak już poważną, o całej majestat rzeczy wiecznych. Rozpoczynając z daleka i robiąc kręgi coraz większe śledziliśmy całe pochodzenie posągu i przybyliśmy do miejsca pustego, które można rozpoznać jeszcze, gdzie się wznosiła jego podstawa, a skąd jego forma szlachetna zniknęła”.

Słynna Atena Fidyasza należała do kategorii posągów najszczególniejszych, a zupełnie przez czas zniweczonych. Zwano je „chryzelefantowymi”, czyli zrobionymi ze złota i kości słoniowej, tworzyw używanych dzisiaj jedynie w drobnych, jubilerskich wytworach. Grecy stosowali je jednak do dzieł monumentalnych, co wywołuje w nas po prawdzie uczucia trochę mieszane. I dziś możemy oglądać w nigeryjskim muzeum Beninu ogromne kły słoniowe, całe pokryte-płaskorzeźbami, to jednak całkiem inna sprawa. Co prawda możemy sobie przypomnieć barokowe posągi w ołtarzach, właśnie całe pozłociste, ale o słoniowobiałych twarzach i dłoniach. Lecz i to przypomnienie kuleje, gdyż tego rodzaju barokowe posągi, dość liczne w naszych kościołach, jak choćby u lubelskich Dominikanów, są zazwyczaj uchwycone w jakimś charakterystycznym geście, pełne ruchu, podczas gdy chryzelefantowe kolosy (Atena miała dwanaście metrów wysokości) były właśnie szczególnie hieratyczne.

Zresztą był to zawsze ze względów zrozumiałych – ceny materiału – dość nielicznie reprezentowany rodzaj rzeźby. Posągów w ogóle było natomiast wiele, bardzo wiele. Ich rozwój to cała osobna opowieść, która musiałaby przedstawiać różne lokalne style, analizować wczesną precyzję szczegółu przy nie zharmonizowanej, sztywnej jeszcze całości, specjalnie widocznej w stojących posągach męskich, tak zwanych kurosach; przełom został spowodowany odkryciem złóż marmuru i jego szczególnie dogodnych właściwości. Ten rozwój obejmował stulecia siódme i szóste, w piątym, podobnie jak cała kultura klasyczna, osiągnął szczyt. Teraz właśnie rzeźbi Fidiasz, uznany za największego z wielkich, równocześnie nadzorując budowę Partenonu, podobny w tym do Michała Anioła, również przecież po trosze architekta. Jego współczesnymi i kolegami są Myron i Poliklet – a więc znów seria znakomitości najwyższej miary. Wszyscy znamy Myronowego „Dyskobola”, wcielenie i ruchu, i harmonii. Trzeba też pamiętać, że to właśnie Poliklet sformułował pierwszy kanon postaci męskiej, w którym stopa ma wynosić jedną szóstą długości ciała, głowa jedną ósmą, twarz jedną dziesiątą i tak dalej, aż do najdrobniejszych części. Tyle, że to właściwie nie o posąg chodziło – rzeźbiarze obliczali, jak powinno być zbudowane doskonałe ciało ludzkie, i dopiero takie, wyidealizowane, poprawione – przedstawiali. Zrobili swoją robotę lepiej niż natura, która rzadko tylko potrafi im dorównać, choć ona przecież była źródłem i natchnieniem, i pomysłów do tego stopnia, że rzeźbę uważano niekiedy wręcz za wiedzę. I w tym chyba byli podobni do poetów, że natura nie chciała, niestety, uwzględnić ich koncepcji, tak samo jak ludzie nie stosują się do pouczeń swoich mędrców i pisarzy. Tymczasem następane, czwarte stulecie poprowadziło rozwój rzeźby dalej jeszcze i kto wie, czy to nie właśnie dzieła tego czasu przemawiają do nas z siłą największą. Zresztą nie można wszystkich zjawisk mierzyć jedną miarką. Jeden z największych, Skopas, wyrażał patos i dynamizm. Lepiej jednak od niego znamy twórczość Praksytelesa z jego Apollem Sauroktonosem i nade wszystko Afrodytą z Knidos, w której po raz pierwszy przedstawiono w sztuce greckiej boginię nagą. Ale obok tego Apollo Belwederski Leocharesa stał się niemal symbolem całej starożytności, posągi Lizypa, twórcy nowego, smuklejszego kanonu ciała, do dzisiaj także są wcieleniem nieprześcignionego wdzięku. To zresztą jest już kres epoki klasycznej, a początek nowej, hellenistycznej. Sam Lizyp był przecież portrecistą Aleksandra Wielkiego.

Podboje Aleksandra otworzyły Grekom szerokie krainy, w których zaczęły teraz szybko powstawać nowe miasta, nowe świątynie, buleuteriony (czyli ratusze), agory, ołtarze. W różnych miejscach rozwijają się różne style, z których najbardziej znany jest patetyczny, barokowy, w stosunku do poprzedników przesadny, ale przecież tworzący również arcydzieła, jak choćby Grupę Laokoona, rzecz zbiorową Agesandrosa, Polidora i Atenadora. Również zbiorowym dziełem musiał być gigantyczny ołtarz pergamoński, nazwany niezbyt dorzecznie przez pierwszych chrześcijan „tronem szatana”. Może najpiękniejsza jest Tyche Antiochii Eutychidesa łącząca dostojeństwo bogini z łagodnością i wdziękiem kobiety. Patos i nadmiar wyrażał się w pomysłach monumentalnych, niekiedy dziwacznych, oczywiście nie była dziwactwem latarnia morska w Aleksandrii na wysepce Faros, ale już słynny „kolos rodyjski”, stojący okrakiem nad wejściem do portu, stumetrowej wysokości pozłocisty Helios mógłby wzbudzić pewne wątpliwości. (Notabene oba dzieła zostały zaliczone do „siedmiu cudów świata”). A cóż dopiero powiedzieć o nie zrealizowanym pomysle przerobienia góry Atos na pomnik Aleksandra, gdzie z jednej dłoni miała spływać rzeka, a na drugiej miało się mieścić dziesięciotysięczne miasto...

Co prawda takie monumentalne dzieła zawsze właściwie nawiedzały ludzką wyobraźnię. Z tego rodzaju myślenia wyrósł przecież Sfinks, indyjskie posągi Buddy, współcześnie zaś cełuje w nich Ameryka – czy to będzie nowojorska Statua Wolności, czy posąg Chrystusa nad Rio de Janeiro. No i właśnie w Stanach Zjednoczonych przekształca się masywy górskie na podobizny słynnych polityków; bierze w tym nawet udział polski rzeźbiarz Ziółkowski.

Ale obok patetycznej, monumentalnej, sakralnej rzeźby rozwija się zupełnie inna, rodzajowa i portretowa. Hellenistyczne są postaci dzieci i karłów, starej pijaczki, chłopca duszącego gęś – bo rzeźbi się teraz także sporo zwierząt i nawet pejzaży. To już naturalnie dzieje się poza obrębem kanonu; twórcy nie starają się już o poprawienie natury, o wydobycie z niej najdoskonalszych proporcji, ale raczej cech wyjątkowych i osobliwych. Bo też jak zawsze powstaje jakiś kanon, tak też zawsze towarzyszy mu jego zaprzeczenie, protest, bunt niemalże. Wzniosłość i przyziemność nie mogą się obyć bez siebie, jak i piękno bez brzydoty, choć starożytnym bardzo by się to sformułowanie nie podobało.

Ale i w tych późniejszych czasach rozwija się styl neoklasycyzy, świadomie powtarzający cechy najwspanialszej, klasycyzm epoki. A największe uznanie zdobywa w Rzymie. Ten z kolei podlegał przez cały czas wpływom helleńskim, ale łączył je z dziedzictwem etruskim. Ostatecznie i sam miał coś własnego do powiedzenia: późna Republika stworzyła znakomity, realistyczny portret pełen wewnętrznego charakteru, a najpiękniejsze chyba było popiersie Cyncera. Także klasycyzm czasów Augusta był – mimo wpływów greckich – czymś odmiennym, poważnym, solennym, jak właśnie i sens ołtarza Augustowego pokoju. Dostojeństwo było tu na miejscu, bo przecież i Roma była boginią, która realizowała się przez tworzących ją i służących jej ludzi. Natłok figur i zdobień, coraz bardziej monumentalne, wreszcie zdeformowane kształty będą towarzyszyły losom Rzymu aż do końca, zakładając podwaliny pod sztukę bizantyjską. Będzie to jednak inny kanon, nie mający już nic wspólnego z Grecją klasycyzm ani poszukiwaną doskonałością natury.

Dzieje sztuki i jej kanonów, przede wszystkim zaś dzieje architektury – to w istocie historia przemian społecznych, wyobrażeń, sposobu bycia, a także technologii. Toteż przyjmuje się powszechnie i niejako automatycznie, że kamień powtarza względnie biernie to, co przedtem było koniecznością technologiczną, wynikającą z użycia drewna i gliny. Pewnie tak jest w istocie, choć jaka właściwie konieczność technologiczna zrodziła poddane dachy chińskiego budownictwa? Czy rzeczywiście wystarczyło zastąpić kamieniem surowce pierwotne, aby otrzymywać zjawiskowe piękno antycznego frontonu z jego kolumnami, architravem, tryglifami, metopami? Co prawda architektura antyczna to nie tylko świątynia, to także bezlik różnego rodzaju budowli publicznych i prywatnych, rozsianych na trzech kontynentach, w strefie klimatu łagodnego, nie tak już zimnego i nie tak jeszcze gorącego, aby kazał ludziom kryć się za grubymi murami. Stąd właśnie w tej śródziemnomorskiej sferze światło i mrok, słońce i cień mogły ze sobą wejść w związki najbardziej intymne, najbardziej płodne.

Klasycyzm sztuki grecka stworzyła normę architektoniczną dla kultury europejskiej wszystkich czasów po dzień dzisiejszy. Co prawda każdy historyk sztuki oburzyłby się bardzo, gdyby usłyszał, że Europa zdobyła się właściwie na dwa tylko style – antyczny i gotycki, może jeszcze uzupełnione we wschodniej wersji kopułami Bizancjum i prawosławia. Że cała reszta była tylko kontynuacją, kompromisem, syntezą, modyfikacją. A jednak tak jest rzeczywiście naprawdę i cały krąg kultury wynikającej ze Śródziemnomorza przenika coś wspólnego, tak jak jest coś wspólnego we wszystkich świątyniach indyjskich, japońskich, chińskich, tybetańskich, indochińskich i tak dalej. Całkiem nowe układy architektoniczne starające się zerwać bez reszty z przeszłością proponuje dopiero wiek dwudziesty ze skutkami nie zawsze budzącymi entuzjazm. Może to robić, ponieważ dysponuje nowymi, nieznanymi przedtem tworzywami, ale chyba albo nie odgadł jeszcze ich ducha, albo też duch ten jest niepomiaralnie uboższy. To trochę tak, jakby materiał musiał długo dojrzewać, zanim przyjął nadany mu przez człowieka kształt. Drzewo rośnie dziesiątki, czasem setki lat, kamień wyłania się z głębin ziemi po milionach. A beton krzepnie w godzinę, jakże więc może być mądrość molekuł takiego niemowłęcia? A może też tkwi w naszym stosunku do dzieł architektury świadomość naturalnego, więc pozaludzkiego, więc jakby trochę tajemnego i magicznego pochodzenia materiału? Ceramikę, w tym także i cegłę, na ogół wtedy dopiero uważamy za piękną, kiedy się zestarzeje, kiedy jest już starsza od człowieka, który na nią spogląda.

Dwa wielkie style greckie, dorycki i joński, narodziły się w ósmym wieku i doskonalily przez lat trzysta. Z czasem dołączył do nich styl koryncki rozwinięty z jońskiego, który już sam przez się, odmiennie niż dorycki, miał elementy dekoracyjności. Właśnie w architekturze najwcześniej został sformułowany kanon, stosowanie stałej proporcji matematycznej, jednego modułu we wszystkim. Ta stała proporcja określała wysokość kolumn (14 modułów), stosunek szerokości kolumn do ich rozstawienia (2: 3,2), który jest identyczny do stosunku tryglifu i metopy. Wszystko się liczyło: żłobkowanie kolumny, kapitel, sposób zwinięcia jońskiej ślimacznicy. Moduł zmieniał się nieco, gdy budowla była wyższa – kolumny musiały wtedy stać gęściej, gdyż ciężar, który dźwigały, zwiększał się i wymagał silniejszej podpory. Kanon był zresztą stosowany nie tylko w świątyniach, ale i w innych budowlach – najkonsekwentniej i najprzemysłniej w teatrach, gdzie obejmował także akustykę.

Nie jest moim zadaniem przedstawianie dziejów budownictwa antycznego. Sama świątynia grecka miała wiele typów, choćby tylko w zależności od ilości i rozmieszczenia kolumn. Wymieńmy bodaj przykładowo distylos in antis, amfidistylos in antis, prostylos, amfiprostylos, peripteros, dipteros, pseudodipteros... Nie było chyba nigdy dwóch identycznych, chociaż zasady je kształtujące były takie same. Najpopularniejszy bodaj jest Partenon Iktinosa i Kallikratesa, syntetyzujący porządek dorycki z elementami jońskimi, oraz świątynia Posejdona w Paestum. Natomiast trzeba wspomnieć o nadzwyczaj ciekawym zjawisku mającym zapewne walor ogólniejszy: o łamaniu kanonu, wprowadzaniu świadomej nieregularności właśnie po to, aby wrażenie było doskonałe. Tych drobnych deformacji świadczących o arcymistrzostwie twórców było bardzo wiele. A więc pogrubiano środek kolumny, kolumny boczne rozstawiano rzadziej niż środkowe i nachylano je w dodatku. Kolumny wewnętrzne były cieńsze niż zewnętrzne, gdyż przedmiot w cieniu wydaje się większy niż w świetle. W największych arcydziełach odchylenia szły jeszcze dalej: linie proste, poziome i pionowe właśnie wcale nie były proste, tylko nieco wygięte, krzywe.

Władysław Tatarkiewicz uważa, że nie chodziło tu o korekty optyczne, ale o uzyskanie wrażenia swobody, o uniknięcie sztywności. Czy architektura naszych czasów skorzystała coś z tej lekcji? Jeśli nawet tak, to nie wyszła poza pierwsze litery alfabetu.

Starożytna architektura miała form wiele. Już i sama willa rzymska była małym arcydziełem, a przecież trzeba by tu jeszcze mówić o cyrkach i stadionach, o akweduktach, forach, kopułach, bazylikach, łukach triumfalnych, portykach, rotundach, termach, mauzoleach... Była to przecież cywilizacja bardzo zurbanizowana i miasto musiało być całym, dużym czy małym wszechświatem z jego pięknem i różnorodnością.

Ale świątynia grecka i jej kolumnada stała się nie tylko symbolem, lecz ciągle obecnym wzorem, który w osiemnastym wieku nagle odżył jako styl nowy i najdoskonalszy. Właściwie żyje i do dzisiaj. Można by się przy okazji zastanowić, czemu właśnie kolumny utrwaliły się w kulturze jako wzór wspaniałości, piękna, dostojeństwa. Zapewne, można by wyciągnąć dość prosty wniosek, że nasi przodkowie wyszli ongiś z bezdennych lasów i później, w mniej lesistych stronach, tworzyli parki z marmuru. Taki sposób rozumowania bywał już nieraz stosowany: na przykład stąd, że Sumerowie czcili swoich bogów na sztucznych górach – zikkuratach – wysnuto wniosek, że musieli widocznie przybyć na niziny Mezopotamii z jakiejś krainy górzyszej. Czyżby więc wszystkie ludy, których dziełem był neolit, a działo się to w okolicach Azji Mniejszej, przybyły z puszczy Północy? Dość to wątpliwe rozumowanie, tak w jednym, jak w drugim przypadku. A jednak dla ludzkiej psychiki nie mogło być przypadkiem zastąpienie ściany kolumną. Ściana zatrzymuje, więzi, kolumna otwiera drogę. A droga i las to odwieczne symbole życia. I ku życiu zwraca się grecka świątynia, tak jak zamknięte wnętrza chrześcijańskiego kościoła każe myśleć o zaświatach.

Prawie dwa tysiące lat rozwoju antycznej literatury i sztuki nie bardzo daje się sprowadzić do jednej, nawet rozbudowanej formuły. Na ogół myślenie estetyczne starożytnych pozostawało w zgodzie z myśleniem filozoficznym w ogóle. A że świat ich wyobrażeń był skończo-

ny i wymierny, więc takie też cechy przypisywali i rzeczom pięknym. Piękno było w ograniczeniu i ładzie, w doskonałości ludzkiego ciała, w symetrii, harmonii, proporcji. Przeciwnie, to, co nieregularne lub nieograniczone, musiało być brzydkie. Po prawdzie ideał estetyczny starożytnych wychował nas tak, że Europejczycy, którzy zetknęli się z innymi kulturami i konwencjami, nie od razu mogli je uznać. I do dzisiaj, mimo całego podziwu dla Dalekiego Wschodu, Asyrii, sztuki prekolumbijskiej, wszystko to wydaje nam się jednak odrobinę mniej „realistyczne” „naturalne” „oczywiste” niż sposób widzenia wywodzący się z tradycji klasycznej. Ta sztuka wydaje się nam najbardziej „ludzka” ze wszystkich sztuk, co zresztą nie jest może czysto umowne, skoro proporcje ludzkie przyjęła za punkt wyjścia. Trudno też właściwie powiedzieć, że jest to rozdział kultury światowej już zamknięty, skoro spadkobiercy w grecko-rzymskim domu czują się nadal u siebie.

Wróćmy jednak znowu do punktu wyjścia tego rozdziału. Grecy nie mieli wspólnego dla wszystkich dziedzin tworzonych przez człowieka piękna jednego określenia, bo po prostu piękno i sztuka były rozpuszczone w całym ich życiu, uczestniczyły w większej liczbie poczynań niż dzisiaj. My pozbieraliśmy drobiny piękna i wtłoczyli w organizacyjne ramy jednego urzędu. Ponieważ zaś pozbyliśmy się sztuki z innych zakresów życia, więc teraz wydzieloną traktujemy odrobinę gorzej niż inne, bardziej, jak nam się zdaje, doraźne i „potrzebne” dziedziny. Ministerstwo kultury i sztuki – chyba w każdym współczesnym kraju na świecie – jest z reguły czymś gorszym, mniej istotnym, jakby doczepionym. I trochę w tym jest prawdy, bo sztuka wydzielona i oddzielona od życia staje się czymś w rodzaju luksusowej przyprawy, bez której od biedy można by się obyć.

Nie sądzę jednak, by się tu dało coś zmienić, choć przecież właściwym miejscem dla rzeźby, malarstwa, architektury byłyby ministerstwa budownictwa i przemysłu lekkiego. Ale właśnie ranga sztuki jest już dziś za niska, żeby któryś z tych urzędów chciał ją wziąć na swoje barki jako dziedzinę równorzędną i niezbywalną. I tak w każdej innej sprawie. Propozycję, by repertuarem teatru kierował prezydent z prymasem, wszyscy i wszędzie na świecie uznaliby za kiepski dowcip. A przecież tak właśnie było w starożytności i nikt nie widział w tym nic śmiesznego. Tak jak nie szkodziło nikomu, że architektura i rzeźba akceptowały istniejący świat i stan rzeczy, a poezja i teatr zadawały pytania, na które nie było odpowiedzi. I tak właśnie zwalczając się – niejako dopełniały i uzupełniały się właśnie, tworzyły całość, która była jednością tylko przez kontrast, przez wewnętrzne napięcie, spór, w którym apollińskie i dionizyjskie nie pogodzą się nigdy. I godzić się nie powinny, bo kontrast i złudzenie są rodzicami wielkości. Platońska triada – dobro, piękno i prawda – nie ziściła się nigdy w dziejach, które każdą swą chwilą jedynie jej zaprzeczają. Lecz gdyby jej nie było, nie moglibyśmy mieć nigdy nadziei, że mrok historii rozjaśni kiedykolwiek inne światło niż ogień stosów i krematoriów. Światło Pallady rzadko zstępuje na ziemię, ale Odyseusz i Fidiasz widzieli je naprawdę. A nam oddali swoje oczy w dziedzictwo na przetrwanie, próbę i nadzieję.

Dom i Droga

Pamiętamy, jak powstały najszlachetniejsze, najpiękniejsze brązy korynckie: kiedy runęła na miasto zagłada, kiedy Lucjusz Memmiusz zamienił je w płomienny stos, w jego tyglu stopiło się i pomieszało złoto, srebro, miedź, wszelkie inne metale, tworząc stop jedyny w swoim rodzaju i nie dający się naśladować i podrobić. Ognista rzeka zmieszała się z inną, nie mniej obfitą, ale czerwoną. Metal zebrano i odlewano zeń posągi i naczynia, symbole szczęścia i klęski, śmierci i narodzin.

To raczej legenda, ale niezłe pasuje do tego, co sprawiła historia z antycznym Śródziemnomorzem. Klęska całej cywilizacji była dla niej czymś w rodzaju pożaru Koryntu: spadkobiercy mieli do czynienia z kruszcem złożonym z nieprzeliczalnej i trudnej do rozróżnienia masy składników, którą można było od pewnego momentu uważać za jedną tradycję, jedną epokę, jedną cywilizację. W istocie bogactwo zmieszanych ze sobą szczątków i okruchów było ogromne, a ich unifikacja polegała tylko na prawach perspektywy. Jeśli stoimy na torach, to szyny zbliżają się do siebie wraz z odległością i w końcu łączą w jedno. Tak za nami, jak i przed nami.

Gromem, który podpalił Śródziemnomorze, były zarówno najazdy barbarzyńców, jak i chrześcijaństwo rozprawiające się z przeszłością pogańską. I nie był to naturalnie grom jedyny, ani jeden tylko określony moment. Upadek Cesarstwa Zachodnio-Rzymskiego w czterysta siedemdziesiątym szóstym roku jest datą tyleż symboliczną, co umowną, podobnie zresztą jak zamknięcie Akademii Platonskiej w Atenach w pół wieku później. Dla ludzi wieku szóstego czasu Cycerona i Cezara były odleglejsze niż dla nas wojna stuletnia, a nawet epoka Antoninów, majaczyły w głębszej dali niż dziś dla nas odsiecz wiedeńska Sobieskiego. Wojna trojańska natomiast nie przedstawiała im się w o wiele większej odległości niż nam dzisiaj. Choć może to my jesteśmy jej bliżej. Wtedy było jeszcze wiele pamiątek, pozostałości, które nie istnieją w naszych czasach, my z kolei uzupełniliśmy niemałe braki ogromnymi badaniami i odkryciami wszelkiego rodzaju, tak że ostatecznie więcej wiemy o Starożytności niż ludzie „ciemnych wieków” od piątego po jedenasty.

A cóż właściwie wiedzą i mają oni? Zaczniemy może od tego, czego już w tym okresie nie ma. Nie ma „wspólnego świata” ani w sensie politycznym, ani ekonomicznym, skończył się obieg wszelkich dóbr materialnych i kulturalnych na obszarze od Hiszpanii po Kaukaz. Upadała kultura miejska wraz ze zniszczeniem, spauperyzowaniem i wręcz zburzeniem miast, żyje się teraz na wsi, w mniejszych, często izolowanych grupach, znowu jak niegdyś samowystarczalnych. Na wsiach, w osadach zagubionych w borach żyją jeszcze pogańscy bogowie – ale nie są to bogowie klasyczni. Zresztą „poganin” oznaczał pierwotnie po prostu mieszkańca wsi. To, co pozostało z kultury klasycznej, znajduje się bez reszty w rękach jej wrogów. A znajduje się sporo. Przede wszystkim więc język – a właściwie języki, skoro greka będzie

jeszcze przez wieki językiem Bizancjum. Natomiast łacina stanie się językiem zachodniego Kościoła, językiem, bez którego jakkolwiek rozwój jest nie do pomyślenia. Jeśli Kościół chce istnieć – musi pielęgnować łacinę. Czyli w jakimś stopniu liczyć się także z literaturą klasyczną, wielkim, niedoścignionym wzorem. Nawet rytm pieśni bojowej legionów Cezara okazuje się potrzebny, żyje, ba, staje się wzorem jednego z najtrwalszych i najuniwersalnych metrów Średniowiecza, tetrametru trocheicznego. Poetyka i retoryka starożytnych będzie teraz orężem Kościoła. I nie tylko one.

Jego orężem duchowym pozostaną filozofowie, nie tylko chrześcijańscy, będzie ich komentował i wracał do nich w nieskończoność (co prawda Whitehead zauważa po prostu: „Europejska tradycja filozoficzna składa się z przypisów do Platona”). Stosunek Kościoła do antyku dałby się pewnie objaśnić powiedzeniem „wiódł ślepy kulawego” – mogą się nawzajem nie cierpieć, ale rozstać nie potrafią. Zresztą Kościół to też ludzie, na dodatek jedyni względnie wykształceni ludzie tamtych czasów. Jeśli więc ktokolwiek cokolwiek czyta i pisze, to robią to właśnie duchowni.

Nie ma już miast, w których mogłaby się schronić wiedza i tradycja, ale są za to klasztory, a więc zespoły ludzi nie zmuszonych, przynajmniej częściowo, do nieustannego zajmowania się jedynie zdobywaniem chleba. Pierwszy, jak wiemy, został założony przez świętego Benedykta na Monte Cassino w owym symbolicznym roku pięćset dwudziestym dziewiątym, roku zamknięcia Akademii Ateńskiej. Podobno to już wtedy Kasjodor, uczonec i doradca Teodoryka Wielkiego, wpadł na pomysł, aby zająć mnichów przepisywaniem starych tekstów. I rzeczywiście, przepisywali je aż po czasy Gutenberga. Niszczycieli zresztą także, wymazywali karty, ale przecież jeśli mają udział w zniszczeniu, to ocalenie niemal całkiem do nich należy. W każdym razie tego, co ocalało na zachodzie Europy, bo były jeszcze inne szlaki, bardziej okrężne, a odnoszące się do piśmiennictwa greckiego.

Zresztą i zachodnioeuropejska historia spuścizny antycznej jest bardzo zawiła, długa i dramatyczna. Obejmuje dzieje kościoła irlandzkiego, który w pewnym momencie stał się potęgą konkurującą z Rzymem i kształtującą Europę przez całe stulecia, odrodzenie karolińskie w ósmym wieku, rozkwit humanizmu wieku dwunastego i trzynastego, powstanie uniwersytetów, historię wzajemnych stosunków Rzymu i Konstantynopola, tysiące zjawisk, tysiące ludzi.

Stopniowo Kościół przestał już obawiać się odrodzenia klasycznej religii, chociaż imionami bogów Hellady nazywał miejscowe bóstwa celtyckie, germańskie czy słowiańskie. Musiał raczej stawić czoło innej potędze, także przecież zadłużonej u kultury antycznej: islamowi. Bo to właśnie islam z kolei przechował przekłady filozofów i uczonych greckich. To od niego, za pośrednictwem języka syryjskiego, przez ośrodki sycylijskie i hiszpańskie, czerpało Średniowiecze znajomość Arystotelesa. To ze światem islamu musiało się rozprawić chrześcijaństwo, jeśli chciało istnieć, i toczyło boje w Roncevall, pod Poitiers, w Ziemi Świętej, pod Warną, Lepanto, Chocimiem, Cecora...

Kimże jednak byli ci nowi „rycerze Chrystusa”, a chcąc nie chcąc, obrońcy kultury klasycznej? Nie byli już potomkami z krwi i kości Greków i Rzymian. Przybyły inne ludy – Germanie i Słowianie. Jedni z nich, jak Frankowie, Longobardowie czy Chorwaci wtargnęli poprzez dawne granice Cesarstwa i osiedli na ziemiach zromanizowanych. Inni – nazwani później Niemcami, Polakami czy Szwedami, zatrzymali się u tych granic i od miejsca, w którym pozostali, miała zależeć pora ich chrystianizacji i romanizacji. Spoza rodziny indoeuropejskiej nadciągnęli znad dalekiej Kamy Węgrzy, spustoszyli Europę, a potem jakoś zdumiewająco szybko osiedli w dawnej Panonii i tak samo sięgnęli po spuściznę antyczną. Rzecz niezmiernie ciekawa, że nie chcieli poprzestawać na dziedzictwie tylko ideowym i kulturalnym, że szukali także związków krwi ze starożytnymi.

Nie śmiejmy się z Polaków siedemnastego wieku, że wiodą się od Aleksandra czy też Cezara – tak czyniono znacznie już wcześniej i z nie większym prawem. Z Troi mieli pochodzić

nie tylko Ostrogoci Teodoryka, ale i Normanowie Wilhelma Zdobywcy. Ba, wszystko to jeszcze wcześniej się zaczęło. Przecież Rzymianie uważali się za spadkobierców Trojan przez Anchizesa i Eneasza, a ta legenda miała dla nich także całkiem realne polityczne znaczenie. Przecież w dwieście trzydziestym ósmym roku przed naszą erą zwolnili z podatków greckich Akarnańczyków dlatego tylko, że tysiąc lat przedtem Akarnania nie wzięła udziału w wojnie przeciw Troi...

W Średniowieczu „trojański” oznaczało zachodnioeuropejski, a „grecki” – bizantyjski, po upadku Konstantynopola obie tradycje stały się równie „dobre” i równie pożądane. Szyny po prostu jeszcze dalej odbiegły...

Otóż dobrowolność podjęcia tego dziedzictwa jest jednym z największych wydarzeń w dziejach świata. To właśnie pozwoliło następcom zidentyfikować się emocjonalnie z minionymi tysiącleciami, to też pozwoliło na podjęcie ich trudu, na dalszy rozwój. Okresem, w którym dokonana się podstawowa identyfikacja, było właśnie Średniowiecze. Wtedy zakorzenił się i zrodził podziw dla przeszłości, a zarazem zrozumienie, że nie można chcieć jej powrotu (bo skoro się jest chrześcijaninem, to nie można chcieć powrotu pogaństwa). Podziw miał podstawy materialne – jeszcze przez długie wieki po Alaryku Rzym był lasem posagów, jeszcze na przełomie dwunastego i trzynastego wieku Magister Georgius wykrzykiwał „Rzymie, nic ci nie dorówna, nawet gdy umierasz”, a Bernard z Chartres sformułował to słynne odtąd i stosowane w różnych sytuacjach zdanie: „Jesteśmy karłami, którzy stanęli na ramionach olbrzymów”.

Cała esencja życia duchowego, nauki, filozofii średniowiecznej wywodziła się z antyku, bądź za pośrednictwem chrześcijaństwa, bądź bezpośrednio. Pierwsze biblioteki w Polsce już od początku zawierają historyków rzymskich razem z Psalterzem i Ewangeliami. Chrześcijaństwo bez antyku jest po prostu niezrozumiałe, choć dzieje tego antyku zamieniły się w przedziwną legendę. Miała to być epoka nie tylko wielkiej wspaniałości i bogactwa, ale także nadludzkiej zgola wiedzy, wiedzy czarnoksięskiej. Czarownikami są cesarowie, Aleksander, Wergiliusz. Takimi ich widzimy w „Gesta Romanorum”, w legendach i romansach. Ale są obecni, obecni bez wytchnienia. Ani przez chwilę nie przestano czytać Owidiusza i Horacego, nie było żadnej przerwy, choć szły przecież niekiedy czasy biedne i ciemne, w których pamięć historii i jej dokonania tliła się słabiusieńko.

Ale na rzecz tego płomyka odtrącano własne dzieje narodowe, przyjmując udział w narodowości większej i dawniejszej. Nie brakło zresztą także prób integracji politycznej tego „narodu narodów”, ale nie doprowadziły ostatecznie do niczego, chociaż doniosłość usiłowań ustanowienia „Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego” miała jednak znaczenie ponadnarodowe. Gorzko mieli wprawdzie i sami Niemcy, i ich sąsiedzi zapłacić za próbę identyfikacji niemieckości z europejskością i starożytnością, ale przecież istnieje także druga, jaśniejsza strona medalu, polegająca na utrzymywaniu wszelkimi sposobami pamięci o jedności kultury. Nie znalazł się w Europie jeden zdecydowany hegemon i to ją prawdopodobnie ocaliło dla przyszłości i dalszego niebywałego rozwoju.

Bo jeśli kultura antyczna i Cesarstwo Rzymskie jest pierwszą przesłanką rozwoju nowożytnego świata, jego kultury i wiedzy, to klęska i ruina jest przesłanką drugą, nie mniej istotną. Ozimina została zasiana, musiała jednak ścierpieć srogą zimę nieprzychylnych czasów, aby mogła wydać plony. Jak się zdaje, mit złotego wieku i mit wieków ciemnych, mit katastrofy, są koniecznym wyposażeniem psychicznym wszystkich kultur, wszystkich ludów. Istotnie, nie ma kultury, w której nie dałoby się tego odnaleźć. Szczególny przypadek Europy polegał na tym, że nie był to już upadek pierwszy i że, używając znowu rolniczej przenośni, można było dysponować plonami kilku sezonów. Starożytność klasyczna miała przecież dość jednak żywe wspomnienia świata brązu, kultury egejskiej, mykeńskiej. Były cyklopowe ruiny Tyrynsu, była „Iliada”, była też mitologia. Ponieważ równocześnie dożywały swych dni żywe zabytki – kultury wschodu, więc już w tym momencie było z czego czerpać. Ale nie da się

tego porównać z oszałamiającym bogactwem, które zostawiła po sobie epoka klasyczna. Wprawdzie zmęczona starożytność doszła do kresu swoich sił, koncepcji, rezerw ludzkich (może i genetycznych zgoła), ale po jej dorobek zgłosili się następcy, nowe pokolenie wyłonię z macecznika czasów, przybyłe wprost z epoki magii, z ciemnego dzieciństwa neolitu. Nie wolno naturalnie traktować tego zbyt dosłownie – za wiele już było nieudanych prób porównywania historii do rozwoju organizmu czy gatunków biologicznych, ale tak czy inaczej, była to możliwość odnowy myślenia, dysponująca innymi punktami widzenia i już nagromadzonym wcześniej doświadczeniem. I ta możliwość została w pełni zużytkowana i nie wyczerpana jeszcze. W każdym razie pamiętajmy, że kiedy Europa poczuła się zmęczona, z pomocą przyszedł jej chaos i pozorny upadek.

Istnieją na świecie tradycje kulturalne porównywalnie stare jak europejska, którym udało się utrzymać względną ciągłość rozwoju. Będą to Chiny, będą to Indie. Europa jednak różni się od nich. Przede wszystkim nie stanowi jednego organizmu ani politycznego, ani też kościelnego, bo, także chyba na szczęście, rozłożyła się na trzy zasadnicze ośrodki – katolicki, prawosławny i protestancki, na tyle różne, że nie powtarzające tego samego, a na tyle bliskie i z jednej tradycji wyrastające, że bez najmniejszego trudu zawsze mogły się porozumieć.

Europa nie mówi też już od przeszło tysiąca lat wspólnym językiem, chociaż łacina ciągle pod wieloma względami jest językiem pomocniczym – od gramatyki po botanikę. To zresztą także źle nie jest – jeden z wczesnych królów węgierskich – święty Stefan – zauważył, że „źle dzieje się w królestwie, w którym używa się tylko jednego języka”. (Co prawda zarówno Chiny, jak i Indie mówią także wieloma językami, nie idzie jednak za tym taka mnogość indywidualnych kultur narodowych). Europa mogła więc zrealizować różnorodność w ramach ogólnej formuły umożliwiającej porozumienie, dysponowała wieloma ośrodkami kultury, dysponowała konkurencją nie zawsze zgubną i śmiertelną dla konkurentów, wielorakimi możliwościami językowymi, różnicami charakterów i tradycji narodowych. Kiedy oba te pierwiastki – ogólny i indywidualny – znalazły się we względnej równowadze, do czego doszło mniej więcej w wieku szesnastym, odkrycia i sukcesy zaczęły się sypać wręcz lawinowo. Uważa się, że mniej więcej do czternastego, piętnastego wieku wszystkie wysoko rozwinięte kultury świata reprezentowały podobny poziom. Ale od tego czasu Europa wysuwa się na czoło, proponuje rozwiązania ideowe i technologiczne ważne dla całego świata. Zaczyna się epoka nowożytna.

Taki trójkowy podział dziejów nie jest naszym odkryciem, stosowano go już w starożytności, a Marek Aureli wyróżnia też identyczną niemal triadę, chociaż bez heglowskiej dialektyki historii. W istocie mamy za sobą dwie starożytności pamiętane i dwa pamiętane Średniowiecza. Pamiętane – nie odkryte, bo odkryliśmy ich tymczasem w naszej historii więcej, a pewnie odkrycia nie skończyły się jeszcze. Istotne było to, że mogliśmy te okresy zapamiętać lepiej czy gorzej, że było na czym budować czy nawet czemu się przeciwstawiać. I że te „wieki złote”, które przepadły i minęły, nie były wiekami bogów, lecz ludzi, z którymi potrafimy się porównywać. I to ma chyba większe znaczenie niż doszukiwanie się ewentualnych regularności historycznych.

Proszę wszakże zwrócić uwagę na pewien warunek, na który położyłem nacisk – jest to warunek pamiętania, i to w formie konkretniejszej niż mitologiczna. I ta zresztą istnieje i pozwala nam sięgać nieświadomie do czasów naprawdę odległych, do paleolitu. Takim śladem w naszej pamięci jest prawdopodobnie szczególnie rola siódemki, o ile radziecki uczony Frołow (i równocześnie amerykański Marschak) mają rację. Tu jednak nie o tym mowa.

Polska jest przykładem kraju, gdzie tradycja starożytna została przyjęta szczególnie głęboko. Nie tylko dlatego, że piśmiennictwo polskie aż po wiek piętnasty posługiwało się prawie wyłącznie łaciną. Ale dlatego nade wszystko, że dawni Polacy po prostu usiłowali stać się Rzymianami, tak jak to rozumieli. Proces nie tylko nie kończy się na Odrodzeniu, ale wtedy właśnie wkracza w fazę najgwałtowniejszą, niekiedy prawie karykaturalną. Od siedemnastego

wieku rozpoczyna się więc coś szczególnego, odmiennego niż w innych krajach: to nie język narodowy wypiera łacinę, ale łacina zaczyna się stawać drugim językiem narodowym. Przecież Sarbiewski jest naprawdę najwybitniejszym poetą nowołacińskim w skali świata. Właściwie można by zapytać, czy nie mogło się tak stać, aby Polska przemieniła się w kraj romański? Odpowiem – ależ właśnie – z wyjątkiem języka tak się właśnie i stało... Zmiana języka nie mogła się dokonać, bo z jednej strony Polacy znaleźli się poza obszarem objętym ongiś przez Imperium, z drugiej kultura wieku siedemnastego trwała zbyt krótko. Gdyby ta formacja kulturowa potrwała jeszcze ze dwa stulecia, to nie wiadomo, czym by się skończyło. Bądź co bądź, Tadeusza Sinka „Roma i Hellada w Polsce” to nieomal historia kultury polskiej w ogóle... I w tym momencie wracam do warunku świadomego pamiętania przeszłości, warunku spełnionego przez Polskę z nadatkiem, co przecież wcale nie odebrało jej własnej indywidualności, a raczej przeciwnie.

Otóż wiemy już, że rozwój badań historycznych idzie w parze z rozwojem cywilizacji w ogóle – ostatnie dwa stulecia mogły świat o tym upewnić. Badania te dowiodły nam, najogólniej mówiąc, że jesteśmy tej historii dłużnikami i że dobrze jest, kiedy o tym wiemy.

Musiałbym doprawdy napisać drugą książkę, gdybym chciał ukazać, jak wyobrażenia wyniesione z antyku funkcjonują w dniu dzisiejszym albo bezpośrednio, albo w formach odwróconych, bądź pochodnych, zresztą w istocie i ta książka jest właśnie na ten temat, choć nie zawsze wykladałem wszystkie szczegóły, ponieważ zdawały mi się oczywiste. Jeden więc z morałów dotyczyłby dalszego kultywowania własnej tradycji, w sensie węższym – narodowym, który jest niemal identyczny z romańskim i ogólnym – europejskim, który także tego dotyczy. Nie wynika stąd jednak wcale piastowanie jakiejś wyłączności kulturalnej, bo byłaby to zguba i absurd.

Naszą epokę porównywano z wieloma – pewnie nigdy dla współczesnego obserwatora tego czas nie jest jednoznaczny – najczęściej jednak bądź z okresem hellenistycznym, bądź ze schyłkiem starożytności w ogóle. Istotne w tym porównaniu jest właśnie to, że w obu tych epokach, podobnie jak i dzisiaj, wpływy innych kultur były chętnie wchłaniane na olbrzymią skalę. Tradycja starożytna okazała się na tyle silna, że nic jej to nie zaszkodziło, chociaż jej świat musiał się przemienić. Ale dlaczego by świat nie miał się odmieniać?

Książka ta miała początkowo nosić tytuł „Dom i droga”, ponieważ w tej metaforze zawiera się stosunek do czasu i są to chyba zwornikowe symbole ludzkiego losu. Człowiek pozbawiony bądź domu, bądź drogi, to człowiek nieszczęśliwy, zbłąkany, uwięziony. Wydawało mi się więc, że starożytność jest zarówno takim domem naszej wyobraźni, jak i odcinkiem drogi, tej samej w istocie, na której my się teraz znajdujemy. Że to inaczej wygląda? Cóż z tego, rzeka też inna jest u źródła, a inna u ujścia. Ale za owo ujście, którym jest zawsze dzień dzisiejszy, my, spadkobiercy, ponosimy szczególną odpowiedzialność, bo nie jesteśmy tylko dziedzicami, lecz i tymi, którzy dziedzictwo przekazują. A przyjmując wpływy kultur z całego świata obdarzamy je właśnie tym, co sami mamy. Czy to będzie dla nich lekarstwem, czy trucizną? Nikt tego nie wie na pewno, ale nasza droga staje się także coraz wyraźniej drogą całej ludzkości.

A ci, którzy z nami czy po nas na nią wstąpią, będą mieli prawa nie mniejsze od nas, jakimkolwiek językiem będą mówili, jakikolwiek będzie kolor ich skóry. Nasz dom jest w chwili, a droga tylko wtedy coś warta, jeśli nią wszędzie trafić można. Ale starożytność też była tylko odcinkiem drogi. Wybiegała z ciemności, w których snuła się tysiące lat w neolicie, a miliony może wcześniej jeszcze. I jeśli chcemy mieć szacunek do owej drogi, to musimy wiedzą i wyobraźnią szukać jej w tych zapomnianych ciemnościach. Nie tylko z powodów sentymentalno-irracjonalnych. Gdzieś tam, na niewidocznych, zapomnianych szlakach kryją się odpowiedzi na pytania, które nadaremnie zadajemy czasom, losom i gwiazdom. Tam też jest na pewno znaczna część odpowiedzi dotyczących naszej przyszłości, wartości tego, co robimy, słuszności lub niesłuszności naszego wyboru, naszych decyzji i planów. To stamtąd

wyłaniają się świetliste boginie i zmory bezgwiezdnych nocy. W istocie rzeczy cała historia cywilizacji jest tylko cieniutkim nabłonkiem prześwieconym światłem i pamięcią, znikomym mgnieniem wobec dziejów utraconych.

Nasza epoka zaczęła się wraz z „Iliadą”, może wraz z pamięcią „Iliady”, a więc od upadku Troi, przed mniej więcej trzema tysiącami lat. Naszą epoką jest to, co pamiętamy, a to pamiętaliśmy przez cały czas. Wiele zaszło od tej pory, wiele się odmieniło, następowały kolejne okresy rozkwitu i upadku. Ale nie daliśmy już sobie wydrzeć raz uchwyconej nici pamięci, nie pozwoliliśmy jej zerwać. Zdobyliśmy w ten sposób bodaj cząstkę wiadomości dobrego i złego, ich granic i ich związku.

To oczywiście wielkie uproszczenie, że dysponujemy zarówno racjonalizmem starożytności, jak i irracjonalizmem Średniowiecza, wiemy jednak, że obydwa są potrzebne, a także pewnie nieuniknione. Wynieśliśmy tak ukradkiem z raju owoc wiadomości, którym okazała się pamięć i historia. Lub też raczej potrafiliśmy go wyhodować na nowo, choć za cenę niezmiernie dużej ilości klęsk i cierpień, które przecież nie skończyły się jeszcze wcale. W historii można właściwie odnaleźć wszystko, czego się szuka, mieści się więc tam zapewne także dowód na to, że przyszłe cierpienia będą wprawdzie nieuniknione, ale przecież także przemijające. I że trzeba je zaryzykować, jeśli chce się w ogóle istnieć.

Co prawda wiemy, że skala zjawisk zmieniła się do tego stopnia, że nie wszystko, co było prawdziwe w przeszłości, da się odnieść i do chwili obecnej. Czy nie da się także odnieść ten cytat z „Traktatu o górnictwie”? Pseudo-Longinosa: „Bodaj że dla takich ludzi jak my lepsza jest niewola niż wolność, bo inaczej żądze chciwości wypuszczone jak z klatki na naszych bliźnich mogłyby cały świat podpalić swą złością”.

Tak, i to da się odnieść, i tego dziedzictwa nie możemy się wyprzeć. Bo wypieranie się czegokolwiek będzie właśnie zdradą wobec pamięci, zerwaniem nici, odrzuceniem owocu.

Więc jeśli mamy i musimy szukać w przeszłości, dostrzeżmy w niej także słowa odwagi, które przecież nie wszystkie i nie ze wszystkim są skłamane. Przyjmijmy wielki wiatr historii, który lamie nas, ale, i unosi w przyszłość, ku nieznanym kontynentom. Przyjmijmy wielką naukę antyku, że zmęczenie jest nieuchronne, ale przemija. I wstępujemy bez trwogi w nadchodzący czas, choćby każdemu z nas z osobna groził zagładą. Nieugięty wiatr z dalekich pustkowi, z czarnych puszczy, z białych Partenonów i Kapiteli, z rozgniewanego żelaza, ze wszystkich mogił i wszystkich kołysek zrywa się jak w wierszu Pawła Valerý, więc jeszcze raz mimo wszystko i dla wszystkiego spróbujmy pamiętać i działać, spróbujmy żyć.